



CATHERINE SANDERSON



*MAŁA
ANGIELKA*

Prolog

Budzę się nagle po trzech, czterech godzinach zamroczonego alkoholem snu. Powoli wracają wydarzenia poprzedniego wieczoru i stają mi przed oczami z bezwstydną ostrością; nie mogę się ruszyć, sparaliżowana poczuciem winy.

Kijanka, nasza córka, wzywa mnie śpiewnie pod nosem. Monotonne, ciche „mamo, mamo, mamo” biegnie wzdłuż korytarza od jej sypialni do naszej. Zostawione bez odpowiedzi zawrodozenie nasila się i staje bardziej naglące, wznosząc się do piskliwego crescendo. Ktoś musi iść i przenieść jej ciepłe, rozespiane ciało do naszego łóżka. To zadanie każdego innego dnia byłoby dla mnie czystą rozkoszą.

Mój jęk i gest protestu - jakim zakrywam sobie twarz ramieniem w obronie przed światłem dnia, wciskającym się przez szpary żaluzji - odnoszą pożądany skutek. Łóżko skrzypi, Pan Żabojad podnosi się i człapie bez słowa w kierunku pokoju Kijanki. Jego milczenie zawiera wiele pokładów dezaprobaty. Że wróciłam do domu nad ranem. Że byłam najwyraźniej podchmielona, bo nie mogłam trafić kluczem do zamka. Że z całą pewnością nie będę w stanie powlec się do pracy.

Słyszę zbliżające się kroki i chwilę później niespokojne paluszki ściągają mi rękę z twarzy - para szaroniebieskich oczu patrzy na mnie pytająco.

- *Maman?*

Ogarnia mnie fala matczynej miłości, ale zwalczam chęć, żeby przygarnąć córeczkę, wtulić się w jej kark i wciągnąć w nozdrza jej mleczny, niewinny zapach.

- Mamusię strasznie boli głowa - mamroczę słabym głosem, odwracam się na drugi bok i wciskam rozpalone policzki w chłodną poduszkę.

Ale nic mnie nie boli, w każdym razie nie w sensie fizycznym. Jestem po prostu ogarnięta paniką, przerażona widmem katastrofy, jakie zawisło nad naszą małą rodziną. Boję się, że moje zdradzieckie myśli są wypisane na twarzy, odcisnięte jak szkarłatna litera wypalona na czole.

A jednak, w tym samym czasie, każda komórka w moim ciele wibruje z większą częstotliwością. Czuję krew krążącą w żyłach i gęsią skórę na karku. Mój strach - strach przed rzuceniem się na oślep w nieznane - miesza się pół na pół z rozkosznym podnieceniem. Nigdy nie czułam się tak winna ani tak pełna radości życia.

Leżę bez ruchu, podczas gdy naburmuszony Pan Żabojad kręci się po mieszkaniu. Nie oferuję mu się z pomocą, kiedy słyszę, że najpierw ubiera Kijankę, potem siebie i sypie jej płatki śniadaniowe do miseczki.

Zanim jeszcze drzwi frontowe trzasną za nimi oskarżycielsko, już swędzą mnie palce, żeby zasiać do komputera. Skupiając wirujące myśli, nie mogę się doczekać, żeby przelać je na mój blog, póki są świeże, spontaniczne i nowe.

RS

1.

Migawki

W dniu, kiedy zakładałam mój anonimowy, internetowy pamiętnik, od razu przyszedł mi do głowy pseudonim *petite anglaise* i wydał mi się tak trafny, tak naturalny, że nie brałam już pod uwagę żadnego innego.

Każda angielska dziewczyna, która kiedyś mieszkała we Francji, powie wam, że zawsze w którymś momencie nazywano ją *petite anglaise*. To określenie ma swój ciężar gatunkowy: serdeczny ton pozwala się domyślić, że dana osobka to nie tylko Angielka, ale także urocza Angielka, a frywolna nutka sugeruje, że jest ona warta grzechu - co szło w parze z powszechnym stereotypem, że angielskie dziewczyny są raczej łatwe.

Ale to miano miało dla mnie także inny podtekst, który przemawiał do mojej wyobraźni: w dwóch słowach zgrabnie wskazywało, kim zawsze chciałam być. *Petite anglaise*: angielska dziewczyna przetłumaczona na język francuski, z angielskim życiem przetransponowanym na francuski klucz.

Swój pseudonim pisarski, czy też raczej blogerski, pozwoliłam sobie skrócić o rodzajnik *la*, który - prawidłowo rzecz biorąc - powinien go poprzedzać. *Petite* stało się moim imieniem, *Anglaise* nazwiskiem. Po kilku klinięciach myszką zrodziło się moje *alter ego*.

Dość łatwo wytłumaczyć, dlaczego przyjąłam taki idealny, oczywisty pseudonim. Sama się jednak głowię, skąd wzięła się u mnie ta głęboka, przemożna chęć, żeby w ogóle stać się *petite anglaise*. Co, na Boga, mogło pchać dziewczynę do zmiany całego życia, kiedy nigdy nawet nie spróbowała prawdziwego croissanta? Kiedy przez całe dzieciństwo rzadko wyjeżdżała na wakacje poza brytyjskie wybrzeże, a jej rodzina była mocno zakorzeniona w Yorkshire? Co sprawiło, że zakochałam się w idei, by zatopić się w języku i kulturze obcego kraju? I dlaczego wybrałam akurat Francję?

Kiedy urodziła się Kijanka, spędziłam bezsenną noc na oddziale położniczym, wpatrując się intensywnie w jej granatowe oczy noworodka i starając się dojść do ładu z niezaprzeczalnym faktem, że oto patrzy na mnie nowy człowiek, nie zaś miniaturowa wersja Pana Żabojada albo mnie, albo nas obojga. Od samego początku zdawała się

wiedzieć, czego chce, i zrozumiałam, że w żaden sposób nie uda mi się przewidzieć, jakimi ścieżkami podąży. Jeśli jednak będę uważnie obserwować jej rozwój, może dostrzegę jakieś wyraźne znaki wskazujące na to, kim lub czym się stanie. Ponieważ kiedy sama grzebię w pamięci, poszukując tropów we własnej przeszłości z klarownością, którą daje tylko myślenie z perspektywy czasu, widzę całą serię znaczących momentów, migawek, które połączone razem prowadzą mnie jak po sznurku do miejsca, w którym znalazłam się dzisiaj: od nauki francuskiego do Francji, do Paryża i do *petite anglaise*.

Już jako dziecko śniłam na jawie o ucieczce. Kiedy nasz vauxhall sunął po autostradzie, a ja siedziałam z nogami wbitymi pod niewygodnym kątem w wąską przestrzeń za siedzeniem ojca i z żołądkiem podchodzącym do gardła z powodu choroby lokomocyjnej, za zamkniętymi powiekami rozwijał mi się cały film rysunkowy. Zatykając uszy przed jazgotem moich młodszych sióstr, które kłóciły się na tylnym siedzeniu, widziałam, jak biegnę przed siebie. Przecinam łąny zbóż, przemykam przez czyjeś ogrody, przeskakuję przez kamienne murki i strumyki.

Zupełnie jakbym chciała być gdzieś indziej, niż jestem, choć wtedy jeszcze nie wiedziałam, gdzie to „indziej” ma być. W swoich fantazjach zawsze biegłam obok naszego samochodu. Moja uciekająca dusza nie miała poczucia celu.

Na kilka dni przed dwunastymi urodzinami, ubrana w granatowy mundurek Szkoły Podstawowej Mill Mount dla Dziewcząt, w nylonowej, naelektryzowanej spódnicy do kolan, zajęłam z przejęciem miejsce w klasie na poddaszu. Drewniana ławka, pokryta graffiti przez wiele pokoleń uczniów, miała niespotykane ostro nachylony blat i musiałam z najwyższą ostrożnością położyć na niej pióro, żeby nie stoczyło się na podłogę. Weszła pani Baker i napisała swoje imię i nazwisko na tablicy - przyziemne, angielskie brzmienie w pierwszej chwili ostudziło mój entuzjazm. *Bonjour tout le monde!* - powiedziała radośnie i tak zaczęła się moja pierwsza lekcja francuskiego. Otworzyłam podniszczony podręcznik *Tricolore*, który miał stać się moim przewodnikiem na wiele lat, zsunęłam okulary z głowy na nos i z ciekawością pochyliłam się nad pierwszą stroną.

Francja. To był cel, do którego zdecydowałam się skierować moje uciekające kroki; hak, na którym mogłam zawiesić moje marzenia - taka kusząca, taka egzotyczna, taka prowokująco bliska. Nie szkodzi, że szkolne lekcje francuskiego składały się głównie z niekończących się prób przedstawień szkolnych i odmiany czasowników. Nie szkodzi, że

na swój pierwszy dłuższy pobyt na francuskiej ziemi musiałam czekać jeszcze sześć długich lat. Kiedy siedziałam w numerowanej kabinie w laboratorium szkoły językowej z niewygodnymi słuchawkami na uszach, które odcinały mnie od jakichkolwiek angielskich dźwięków, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że już tam jestem. Nie mogłam się doczekać, żeby spróbować dwustu gramów *pâté*, które kazano mi kupić w sklepie spożywczym, żeby odwiedzić kościół albo ratusz po wypytaniu przechodnia o drogę - za każdym razem był to starszy pan w berecie.

- *Ecoutez, puis répétez!* - mówił na początku wszystkich ćwiczeń głos na zdartej taśmie.

Właściwsze byłoby, gdyby mówił: „Słuchaj i marz”. Beznadziejnie i irracjonalnie zakochałam się w języku francuskim, a przy okazji i we Francji. I nawet teraz nie potrafię powiedzieć dlaczego.

Dopiero latem przed moimi osiemnastymi urodzinami wsiadłam na stacji w Yorku do pociągu na lotnisko Heathrow, skąd miałam polecieć do Francji. Kiedy machałam na pożegnanie mojej zatroskanej matce, wzięłam kilka głębokich oddechów, starając się uspokoić oszalałe motylki trzepiące skrzydełkami o ścianki mojego żołądka. Trudno mi było uwierzyć, że to prawda, że naprawdę tam jadę. Otworzyłam plecak drżącymi rękami i po raz setny sprawdziłam, czy paszport jest na właściwym miejscu, a w nim bilety, które kupiłam za własnoręcznie zarobione pieniądze, serwując w soboty herbatę ze śmietanką mocno wyperfumowanym starszym paniom. Przez lata wyklócałam się gorzko z rodzicami za każdym razem, kiedy wypływał drażliwy temat wymiany między francuską i angielską młodzieżą, oburzona ich odmową, żeby ułatwić mi drogę. Na nic się to zdało; nie byli w stanie przezwyciężyć obaw przed przyjęciem kogoś obcego pod swój dach. Ale teraz, nareszcie, byłam wystarczająco dorosła, żeby wziąć sprawy we własne ręce. Ta podróż do Lionu miała być moim chrztem.

Przez całe dwa tygodnie miałam mieszkać z Florence i jej rodziną. Miałam spać w łóżku zaścielonym francuską pościelą. Miałam jeść francuskie jedzenie przy ich stole, wycierać talerz kawałkiem chrupkiej *baguette*, jak postaci z książek Pagnola, które pochłaniałam, albo jak aktorzy z kilku podrzędnych filmów, które wyszukałam w lokalnym sklepiku z kasetami wideo. Miałam mówić po francusku i tylko po francusku dzień w dzień przez okrągłe dwa tygodnie. Przedtem przez półtora roku wypisywałam

sążniste, starannie wypracowane listy do Florence, której adres znalazłam przypadkowo w dziale „Szukam przyjaciół” w magazynie „Cartable” leżącym w klasie - i modliłam się, żeby pewnego dnia przyszło zaproszenie. Florence zawsze odpowiadała na moje listy po francusku. Dzieliła moje uwielbienie do The Cure, a na fotografii, którą mi przysłała, jej orzechowe oczy były grubo obwiedzione czarnym ołówkiem, jak u Roberta Smitha. Dołeczki w policzkach i piegi na nosie nie pasowały do chmurnej miny, jaką starała się przybrać, i były dziwnie wzruszające. Teraz w końcu miałyśmy się spotkać. Byłam gotowa od razu ją pokochać.

Kiedy zaciągnęłam walizkę na kółkach do hali przylotów, nagle ogarnięta dawną nieśmiałością, która była zmorą mojego dzieciństwa, podbiegła do mnie dziewczyna w dżinsowych szortach.

- Cat-reen! - zawołała - *C'est bien toi?*

Kiwnęłam głową i nie mogąc wykrztusić słowa, smakowałam dźwięk mojego imienia w jego francuskim wcieleniu. O ile ładniej „Catherine” brzmiało w jej ustach!

Florence była niższa, niż sobie wyobrażałam, a jej włosy - kiedy przywarła do mojego policzka, żeby wycisnąć na nim mój pierwszy w życiu francuski *bise* - mocno zapachniały dymem z papierosów. Jej akcent w niczym nie przypominał tego, co słyszałam na ćwiczeniach ze zrozumienia w laboratorium językowym, i przez wiele dni musiałam ją prosić, żeby powtarzała wszystko znacznie wolniej, po kilka razy. Miałam cichą nadzieję, że nauczy mnie lokalnego dialektu tak perfekcyjnie, że moi nauczyciele oniemieją z zakłopotania, a koledzy szkolni zzielenieją z zazdrości.

Komitet powitalny, który Florence przyprowadziła ze sobą na lotnisko, powiedział mi od razu wszystko o jej beztróskim stylu życia: składał się z jej byłego chłopaka i dwóch młodszych braci. Nie mieli żadnego środka transportu. Plan, z tego co zrozumiałam, był taki, żeby złapać autobus pod pocztę w pobliskim miasteczku, gdzie pracował starszy brat Florence. Jeśli go zastaniemy, to nas podwiezie do jej miejsca zamieszkania, jeśli nie, to złapiemy okazję. Jej ojciec, wdowiec, pracował na drugiej zmianie w miejscowej fabryce parówek i miał wrócić do domu dopiero na kolację.

Florence i ja stanęłyśmy na trawiastym poboczu z kciukami do góry, a chłopcy z moją walizką trzymali się z boku, żeby nie psuć nam szans. Dzięki Bogu, że rodzice mnie teraz nie widzą, pomyślałam, zbierając się na odwagę, aby wsiąść do samochodu całkiem

obcego Francuza. Ciekawe, czy nie stanę się obiektem opowieści mających odstraszyć przyszłe pokolenia podróżującej młodzieży. Pamiętasz tę Angielkę? Wiesz, tę, która została poćwiartowana i przerobiona na kielbasę?

Jednak nawet jeśli istniało jakieś niebezpieczeństwo, to w tym momencie było mi wszystko jedno. Wyostrzonymi zmysłami chłonełam otoczenie: auta z dziwnymi numerami rejestracyjnymi, które jechały po złej stronie drogi, sposób, w jaki bracia Florence gestykulowali nie tylko rękami, ale całymi ramionami podczas rozmowy, nieznaną kadencję wypowiedzianych przez nich zdań, cykanie tysięcy *cigales*, niewidocznych pośród krzewów i zarośli. Byłam tak zauroczona, że kiedy wreszcie jakiś samochód zwolnił na zapyłonej drodze, w pierwszej chwili tego nie zauważyłam.

- *Cat-reen, réveille toi!* - zawołała Florence, kładąc mi rękę na ramieniu i budząc mnie z rozmarzenia. - *Zatrzymuje się, chodźmy!* - Rzuciła na ziemię na wpół wypalonego *gauloise'a*, rozdeptując go wypraktykowanym ruchem gumową podeszwą tenisówki, i pochyliła głowę, żeby porozmawiać z kierowcą przez uchyloną szybę. Po dłuższych negocjacjach wrzuciliśmy moją walizkę do bagażnika i wpakowaliśmy się na tylne siedzenie z jednym z jej braci.

- *Et les autres?* - spytałam moją łamaną francuszczyzną, wskazując na pozostałą dwójkę.

- Och, nie martw się. - Florence wzruszyła ramionami. - Złapią sobie coś innego.

Podczas jazdy pożerałam wzrokiem każdy znak uliczny, każdą żółtą skrzynkę na listy, każdą witrynę sklepową, które mijaliśmy. Zupełnie jakbym weszła na strony podręcznika *Tricolore*. Wszystko było tak obce i egzotyczne, jak tego pragnęłam. Ale, pomimo niewątpliwie francuskiego otoczenia, jakaś część mnie czuła, że należy do tego miejsca od zawsze. Kipiałam z radości: naprawdę byłam wniebowzięta, że znalazłam się w innym świecie, tak jak to sobie wymarzyłam.

* * *

Trzy lata później, kiedy „rok za granicą” stał się najgorętszym tematem dyskusji pod koniec mojego drugiego roku na uniwersytecie, nigdy tak tego nie nazywałam. Dla mnie miał to być „rok we Francji” z doczepionymi paroma miesiącami w Niemczech, żeby spełnić wymogi studiów. Wypełniłam formularz podania z prośbą o pracę jako angielska *assistante*, nie dbając o to, w którym miejscu Francji wyląduję, chociaż od razu

wykluczyłam Paryż. Wychowałam się w małej miejscinie, skala i wielkomiejski gwar stolicy onieśmiały mnie. Miałam zamiar pojechać do Paryża na wycieczkę i podejrzewałam, że kiedyś moja droga życiowa zawiedzie mnie tam na stałe, ale nie byłam jeszcze gotowa na Miasto Świąteł. Zostałam przydzielona do *lycée* w Yvetôt, w bezbarwnym, nieciekawym mieście handlowym w surowej Normandii, z zadaniem, żeby przez parę godzin w tygodniu „uczyć” angielskiej konwersacji nonszalanckich, odzianych w dzinsy nastolatków. Ale to zajęcie - które nieszczególnie lubiłam - było środkiem do celu. Jedyne, co miało dla mnie znaczenie, to fakt, że całe dziewięć miesięcy spędzę we Francji.

Zamieszkałam w pobliskim Rouen, w pokoiku na poddaszu wynajętym od nauczycielki z miejscowej szkoły i jej męża, stroiciela fortepianów, którego rzadko widywałam. W ciągu tych pierwszych tygodni i miesięcy większość czasu spędzałam z innymi angielskimi *assistantes*; grzałyśmy ręce na dymiących kubkach gorącej czekolady w zadymionych kafejkach, wspominałyśmy z tęsknotą swoich nieobecnych chłopaków i przedrzeźniałyśmy śmieszny angielski akcent naszych uczniów - a czasem także ich nauczycieli. Nie był to zbyt obiecujący początek: zamiast zanurzyć się w tutejszy język i kulturę, mówiłam przez cały dzień w ojczystym języku w szkole, potem zaś włączałam się z grupką innych *anglaises*.

Pewnej jesiennej soboty spacerowałam po centrum dla pieszych z Claire, angielską przyjaciółką, stąpając ostrożnie po śliskich kocich łbach, oblepionych mokrymi, żółtymi liśćmi. Zatrzymałyśmy się przy ulicznym straganie przy *Gros Horloge*, żeby kupić gorące *crepes* z czekoladą, owinięte cienkim pergaminem, który od razu przesiąkł ich maślaną gładkością. Kiedy ugryzłam pierwszy kęs, Claire szturchnęła mnie konspiracyjnie w ramię, pokazując wysokiego chłopca, który zmierzał w naszym kierunku z wilczurem na smyczy i dwoma niższymi kolegami po bokach.

- Pamiętasz tego nauczyciela angielskiego, który zaprosił mnie w zeszłym tygodniu na rodzinną kolację? - spytała, przełykając pośpiesznie naleśnika. - To jego syn, Yann. Niezły, co?

Kiedy się zbliżył, przyjrzałam mu się dokładniej. Był szczupły, miał mocno zarysowane kości policzkowe, rzymski nos i interesujące cienie pod niebieskozielonymi oczami. Był w długim ciemnoszarym płaszczu, podkreślającym jego wzrost, wyblakłych

dżinsach i swetrze *pull camionneur*, zapinanym na zamek błyskawiczny, który tego roku zdawał się być obowiązkowym mundurkiem wszystkich Francuzów. Nagle poczułam się onieśmielona i skrępowana, że wokół ust jestem wymazana czekoladą. Yann był nie tylko przystojny, był boski! Wysoki i ciemnowłosy, otoczony melancholijną aurą i w jakiś nieuchwytny sposób nieodparcie francuski. Jakby trafiona piorunem zdałam sobie sprawę, że jeśli tylko Yann mnie zechce, mój chłopak z uczelni - co z oczu, to z serca - przejdzie do historii. Tutaj miałam przed sobą kusząco lepszy, francuski model; paszport do francuskiego życia, jakie sobie wyśniłam.

Wraz z Claire i z innymi *assistantes* w ciągu następnych paru tygodni często widywałam Yanna, czując się coraz bardziej spięta w jego towarzystwie i coraz bardziej nim zauroczona. Czyżbym tylko sobie roiła, czy rzeczywiście on także okazywał mi zainteresowanie, choćby biorąc za cel żartów i przytyków? Podróż do Paryża z Claire, Yannem i grupką jego przyjaciół dała mi w końcu okazję, żeby się o tym przekonać. Od chwili kiedy zajął miejsce obok mnie w pociągu, do którego wsiedliśmy na stacji w Rouen, wiedziałam, że instynkt mnie nie mylił.

Całowaliśmy się w półmroku, pośród znumifikowanych ciał drzemiących w śpiworach na podłodze u kogoś ze znajomych. Byłam w euforii. Mam francuskiego chłopaka, który jest sexy, egzotyczny i mój! Uwielbiałam sposób, w jaki odymał wargi, mówiąc w ojczystym języku, i jego bogaty, galijski repertuar wzruszeń ramionami, w którym każde drgnienie mięśni wyrażało więcej niż słowa. Uwielbiałam sposób, w jaki w mgnieniu oka potrafił przygotować posiłek; przyrządzić sałatę z idealnym, domowym *vinaigrette*. Z każdym pocałunkiem, z każdą kolacją u jego rodziców zbliżałam się o krok do celu: tworzyłam sobie niszę we Francji, czyniąc ją swoim domem.

Za pierwszym razem, kiedy zostałam u niego na noc, wymyśliliśmy mało przekonujący pretekst: zasiedzieliśmy się u przyjaciół, przez co spóźniłam się na ostatni środek transportu do mojego wynajętego pokoju. Nikt się nie dał zwieść, ale rodzice Yanna przyjęli to bez mrugnięcia. Nazajutrz rano, kiedy zeszliśmy do kuchni na kawę, skręcałam się z zażenowania, skradając się przy ścianie ze spuszczonej oczami, ubrana tylko w pożyczony T-shirt, co - zdaniem Yanna - wyglądało całkiem przyzwoicie, a moim wręcz przeciwnie. Jego ojciec siedział na swoim ulubionym krześle przy oknie, udając, że czyta „Liberation”, ale po sposobie, w jaki się poruszył, zorientowałam się, że dostrzegł

mój dyskomfort.

- *Alors, c'était comment hier soir?* - zagadnął, mrugając do mnie znad gazety.

Policzki mi zapłonęły. Jak było zeszłej nocy? Naprawdę może mnie pytać o sprawność swojego syna w łóżku? Chyba nawet w przysłowiowo rozpustnej Francji nie jest to normalna odzywka rodzica?

- *Le dîner, je veux dire, bien sûr* - dodał, jakby chciał zasugerować, że jeśli zrozumiałam go niewłaściwie, to jest to wyłącznie moja wina.

Ale kiedy z ukosa spojrzałam na Yanna, jego figlarna mina upewniła mnie, że insynuacja ojca była zamierzona.

- To był bardzo przyjemny *soirée*, dziękuję - odparłam, wciąż patrząc na Yanna. Coś w jego oczach kazało mi na chwilę zapomnieć o swojej nieśmiałości. - Mam nadzieję, że dla wszystkich - dodałam z uśmiechem, który miał być dwuznaczny.

Ojciec Yanna parsknął stłumionym śmiechem.

- Umie się znaleźć ta *petite anglaise* - mruknął z aprobatą.

Przez chwilę delectowałam się dźwiękiem mojego nowego imienia i od tej pory nosiłam je z pełną dumą.

Zdobycie pracy, rok później, na Sorbonne Nouvelle - która była ubogą krewną prawdziwej Sorbony mieszczącej się w budynku z lat siedemdziesiątych o wątpliwej urodzie - było tak niewiarygodnym łutem szczęścia, że aż zakrawało na palec boży. Udało mi się przebrnąć przez wyższe studia jak przez tunel, z oczami wbitymi w świętego Graala - Francję - nie zaprzatając sobie głowy planowaniem przyszłej kariery zawodowej. Posada lektorki trafiła mi się jak ślepej kurze ziarno, bo nikt inny na moim roku nawet się o nią nie ubiegał, i była doskonałym punktem wyjścia. Nie tylko pozwalała mi zamieszkać w Paryżu, ale dawała cały rok na rozważenie następnego posunięcia. A kiedy po roku mój uniwersytet nie znalazł ani jednego absolwenta chętnego na moje miejsce - sytuacja bez precedensu - z miejsca przedłużono mi kontrakt na dwa lata.

Pewnego wczesnego wrześnieowego ranka autokar Eurolines wysadził mnie na bliżej niesprecyzowanym parkingu w pobliżu La Fourche, na północ od Place de Clichy, jeśli dobrze pamiętam, chociaż w tamtym czasie miałam jedynie dość mgliste pojęcie o geografii miasta. Nie zwlekając, zarzuciłam plecak na plecy i pomaszerowałam prosto do najbliższej stacji metra, gdzie zaczęłam studiować mapkę. Przede wszystkim musiałam

znaleźć jakieś lokum. Miałam zarezerwowany na tydzień pokój w akademiku przy Denfert Rochereau, ale pierwsze kroki skierowałam do Kościoła Amerykańskiego na Quai d'Orsay, gdzie - jak słyszałam - wisi tablica z napisanymi ręcznie ofertami mieszkań dla studentów. Ustaliwszy kurs na Pont d'Alma, przemierzyłam miasto w szeregu podziemnych pociągów, widząc jedynie własne odbicie w szybach i czując niespokojny puls w skroniach. Kiedy przybyłam do celu, wspierałam się po betonowych schodach i zmrużyłam oczy w jasnym świetle dnia.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była zarysowana na tle nieba wieża Eiffla, wznosząca się ponad budynki mieszkalne i biurowce wzdłuż *quais*. Byłam równie zdumiona jak za pierwszym razem, kiedy widziałam ją z bliska, z Yannem u boku, bo nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest pomalowana na rudy odcień brązu. To tylko przereklamowany słup, powiedziałam wtedy z udanym brakiem entuzjazmu, za co spotkał mnie żartobliwy kuksaniec w zębra. Ale teraz, kiedy sięgnęłam do kieszeni po plan miasta, aby ustalić, jak mam dalej iść, ogarnęło mnie wzrastające podniecenie. Jestem na miejscu! Stało się! Za chwilę Paryż będzie moim domem!

Pierwszy numer, który wynotowałam i trzęsącymi się rękami wykręciłam z najbliższej budki telefonicznej, należał do kobiety wynajmującej *chambre de bonne* o kilka minut spaceru od miejsca, gdzie była, na wąskim poddaszu dawnej służbówki mieszczącej się na szczycie okazałego kamiennego budynku z ciężkimi podwójnymi drzwiami i marmurowym holem. Pokój, dostępny z klatki schodowej dla służby, mógł się poszczycić widokiem na Pola Marsowe zwieńczone „przereklamowanym słupem”. Jednak mój entuzjazm szybko ostudziła perspektywa wspólnej toalety i pryszniców na parterze oraz fakt, że właścicielka mieszkała piętro niżej, zbyt blisko, aby poczuć swobodę. Zawiedziona wróciłam zatem do budki telefonicznej, żeby spróbować szczęścia z następnym numerem na liście.

Deux pièces w jedenastej *arrondissement*, spod drugiego adresu, leżały niedaleko placu Bastylli. Budynki mieszkalne były z tego samego okresu co ten, który właśnie zwiedziłam, ale na tym podobieństwo się kończyło. Tu sąsiedztwo stanowiła solidna klasa robotnicza, więc zamiast kunsztownej roboty kamieniarskiej i zdobionych okien, fasada 104 rue de la Roquette była pomalowana na biało i pozbawiona ornamentów. Ale kiedy weszłam do środka, zakochałam się od pierwszego wejrzenia i pobiegłam na drugą stronę

ulicy do najbliższego banku, żeby wymienić wszystkie czeki podróżne, co do ostatniego, na kasę, zapłacić depozyt i przypieczętować interes. Nowa właścicielka, atrakcyjna *divorcée*, była elegancka, choć potargana, jakby właśnie wstała z łóżka i narzuciła na siebie designerską kreację; poza tym wyglądała na niezłą cwaniaczkę. Nie podpisałyśmy żadnej umowy i zażądała pieniędzy w gotówce na początku każdego miesiąca. Nie miałam jednak zamiaru martwić się tym niekonwencjonalnym załatwieniem sprawy. Dwa pokoje z łazienką i kuchnią za tę samą cenę co poprzednie poddasze przy wieży Eiffla to była zbyt dobra okazja, by ją stracić.

Kiedy oparłam się o drzwi frontowe, kontemplując wewnątrz mojego teraz mieszkania i słysząc za sobą oddalające się po schodach kroki właścicielki, twarz rozjaśnił mi uśmiech od ucha do ucha. Moje pierwsze w życiu *chez moi* i to w Paryżu! Nieśmiała uczennica ściskająca kurczowo podręcznik *Tricolore*, beztroska osiemnastolatka wyprawiająca brewerie w miasteczku, gdzie mieszkała Florence, rozpromieniona studentka ze swoim pierwszym francuskim *amoureux* - wszystkie moje poprzednie wcielenia patrzyły mi teraz przez ramię, zacierając ręce z radości. To była kulminacja naszych marzeń. Czas zacząć pierwszy paryski rozdział *petite anglaise*.

2.

Paryżanka

Rue de la Roquette kipiała życiem zarówno za dnia, jak i w nocy; pełna butików, barów i restauracji wiodła od przepelnionych knajpek przy Bastylli do cichego sanktuarium cmentarza Père Lachaise, stopniowo stając się coraz bardziej odrapana. Chociaż po raz pierwszy mieszkałam sama, rzadko czułam się samotna. Moje życie odmierzała muzyka z sąsiedztwa: ożywiony gwar rozmów przechodniów na ulicy pod oknem, wibracje basy ze sklepu z płytami na dole, pijackie okrzyki hulaków toczących się do domów we wczesnych godzinach rannych. Ale moje mieszkanie przenikały nie tylko odgłosy z ulicy: zielony neon nad pobliską *pharmacie* oświetlał w nocy moją sypialnię widmowym fosforyzującym światłem, bawialnia zaś była zabarwiona na jasnopomarańczowo przez światła uliczne na pobliskim skrzyżowaniu.

W środku wszystko było paryskie do szpiku kości. Rolę kuchni pełniła nisza z dwiema elektrycznymi płytami grzejnymi nad lodówką wielkości minibaru; dwa główne pokoje były maleńkie, a wanna tak krótka, że musiałam podciągać kolana pod brodę. W jednym zagrzybionym rogu sypialni po kremowej tapecie w zielone listki zaczęła wspinać się czarna pleśń, a moja pościel często była wilgotna w dotyku. W zimie panował przenikliwy ziąb: małe elektryczne grzejniki umieszczono pod nieszczelnymi oknami, przez co ciepło natychmiast wydostawało się na ulicę, zanim jeszcze pokój zdążył się choć odrobinę ogrzać. Gdy wróciłam z przerwy świątecznej, znalazłam po wewnętrznej stronie okna w sypialni grubą warstwę lodu, która roztapiała się później przez całe wieki.

To wszystko w ogóle mi nie przeszkadzało. Najczęściej i tak przebywałam poza domem, wędrując pieszo po ulicach, wyposażona tylko w *Plan de Paris* albo przewodnik - samotna *petite anglaise* w swoim eleganckim, przybranym mieście, chłonąca jak gąbka każdą kroplę francuszczyzny, podziwiająca każdy najmniejszy detal. Wdychałam charakterystyczne zapachy Paryża: piekące się pieczywo z *boulangeries*, które mijałam co jakieś kilkaset metrów, smród dojrzałego sera koziego oznajmiającego na odległość obecność *fromagerie*, siarczaną woń metra unoszącą się przez metalowe kratki na wysokość ulicy, ostry odór moczu w podziemnych korytarzach. Przy moim ograniczonym

budzenie Paryż miał także smak gorzkiego espresso, kiedy w zimie dyskretnie ogrzewałam sobie stopy przy kawiarnianym kaloryferze; kwaśny smak taniego wina na języku, maślany, rozplywający się smak *pain au chocolat*.

Jako *assistante* wyposażona zostałam w specjalny nauczycielski karnet, który zapewniał mi wolny wstęp do niemal każdego muzeum. Zwiedziłam je wszystkie po kolei: Pompidou - czy też Beaubourg, jak nazywają je prawdziwi paryżanie - gdzie wjechałam po schodach na sam szczyt i podziwiałam widoki; Muzeum Picassa w samym sercu Marais z jego cichym zasłoniętym ogrodem, Muzeum Rodina w cieniu Les Invalides. Dreptałam po Luwrze, zaczynając od wykopalisk egipskich, ale nie doszłam do *Mony Lisy*, tylko wstąpiłam na kawę do Café Marly, żeby dać odpocząć zboląłym nogom i nasycić oczy widokiem szklanej piramidy, która strzegła głównego wejścia.

Moje ulubione miejsca leżały na uboczu wydeptanych szlaków. Lubiłam wymykać się z kampusu, żeby napić się herbaty miętowej na wyłożonym mozaiką dziedzińcu Mosquée de Paris albo wziąć kanapkę do Arènes de Lutèce, gdy nastawa wiosna. W przerwach między zajęciami zabijałam czas w małych kinach na rue des Ecoles, gdzie obejrzałam niezliczoną ilość starych, czarno-białych filmów hollywoodzkich.

Ale - podobnie jak w Rouen - czułam się sfrustrowana, że moje kółko przyjaciół składało się głównie z obcokrajowców, nauczycieli akademickich z uniwersytetu albo Brytyjczyków i Amerykanów spotkanych w barze. Spędzaliśmy długie wieczorne godziny opowiadając o swoich doświadczeniach i chociaż dobrze się bawiłam, łaknęłam czegoś więcej. Miałam nadzieję zaprzyjaźnić się ze swoimi studentami, ale ku mojemu rozczarowaniu okazało się, że wielu z nich nadal mieszka z rodzicami i zaraz po zajęciach wraca RER-em do domu na dalekie przedmieścia.

To, co najważniejsze, wciąż mi umykało: żyłam obok Francuzów, nie pośród nich. Obserwowałam ich życie, ale w nim nie uczestniczyłam. Od spełnienia marzeń dzielił mnie na pozór tylko włos, jednak czasem ta maleńka przepaść zdawała się nieprzekraczalna.

Podczas drugiej zimy w Paryżu - pamiętej z lodowatej temperatury i strajku generalnego, który na całe tygodnie sparaliżował zajęcia na uczelni - zaczęłam martwić się o swoją przyszłość. Nie mogłam już przedłużyć kontraktu nauczycielskiego, ale i tak tego nie chciałam. Uczenie nigdy nie było moim powołaniem, tylko najprostszym środkiem do

celu, jakim była Francja. Musiałam szybko znaleźć alternatywę, jakąś stałą pracę, która pozwoli mi osiąść tu na dłużej. Przypadkowe spotkanie z przyjaciółką przyjaciółki, zatrudnioną w amerykańskiej firmie prawniczej, pomogło mi rozwiązać ten problem: ukończę dwujęzyczny kurs dla sekretarek. Był duży popyt na asystentki z ojczystym językiem angielskim, które płynnie mówiły po francusku. Oto idealna praca dla tej *petite anglaise*.

Mój plan miał jedną wadę: jedyny dyplom, który cokolwiek się liczył, pochodził ze szkoły w Anglii. Francuzi mają zgrabne powiedzonko na sytuację, w której się znalazłam: *devoir reculer pour mieux sauter*. Musiałam zacisnąć zęby i cofnąć się o parę kroków, zanim wezmę skok do przodu. Mimo niechęci nie pozostawało mi nic innego jak wrócić na parę miesięcy do kraju, zanim rozpocznę nowy etap paryskiego życia.

Za każdym razem, kiedy myślałam o wyjeździe z Paryża, ścisnęło mnie w żołądku. Wałęsając się po targu owocowo-warzywnym na Boulevard Richard Lenoir, popychana przez tłum i narażona na kolizję z wózkami sklepowymi, które tak kochają paryżanie w każdym wieku, czułam gulę w gardle. Siedząc na filmie *Chacun cherche son chat* wyświetlanym w Majestic Bastille, śledziłam z zapartym tchem akcję, która rozgrywała się w mojej ukochanej okolicy: ujrzałam na ekranie moją czerwono-białą pralnię, moją ulubioną kawiarenkę i sklep z płytami, skąd brałam reklamówki nocnych klubów. Kiedy pokazały się napisy końcowe, widownia zareagowała burzliwymi oklaskami - zjawisko, które zaobserwowałam tylko we Francji - i w półmroku pociekły mi łzy po policzkach. Anglia wydawała mi się teraz płaska i dwuwymiarowa w porównaniu z bogactwem i intensywnością przeżyć tutaj, gdzie już samo porozumiewanie się w obcym dla mnie języku stanowiło ciągłe wyzwanie, a każda pokonana przeszkoda oznaczała małe prywatne zwycięstwo.

Mniej więcej w tym czasie zaprzyjaźniłam się z Sarah, koleżanką *lectrice* z uniwersytetu. Była Szkotką, miała burzę ciemnych kędziorków na głowie i skłonność do przelotnych przygód - jej zachowanie odpychało mnie i fascynowało jednocześnie. Z pewnością nie przyczyniało się do podważenia przekonania Francuzów o swobodnych obyczajach *petite anglaises*, chociaż trudno ją samą winić za utrwalenie tego stereotypu, zwłaszcza że - jako Szkotka - była, ściśle rzecz biorąc, *petite écossaise*.

Pewnego marcowego wieczoru, dwa albo trzy miesiące przed moim nieuchronnie

zbliżającym się wyjazdem, siedziałyśmy po turecku na pojedynczym łóżku, które służyło mi za kanapę. Równie dobrze mogłyśmy jednak siedzieć wprost na chodniku - mój pokój na parterze z cienkimi jak papier oknami trudno było nazwać oazą spokoju: przez nieszczelne drzwi frontowe wdzierały się lodowate podmuchy wiatru i gwar ulicy wzmożony rykiem motocykli bez tłumików. Ale w niczym nam to nie przeszkadzało, miałyśmy zmysły stępione tanim *bordeaux* i całą uwagę skierowaną na stos korespondencji, którą Sarah wyjęła z torby i rzuciła na kołdrę.

Parę tygodni wcześniej zamieściła ogłoszenie w rubryce towarzyskiej francusko-angielskiego pisma „Jeune fille anglaise ouverte cherche amis français”. Odzew przeszedł jej najśmielsze oczekiwania: dostała mnóstwo entuzjastycznych odpowiedzi - od nieprzyzwoitych propozycji do ofert od poważnych mężczyzn, którzy chcieli doskonalić swój angielski. Bez pośpiechu przejrzałyśmy listy, które Sarah umieściła na „liście B” przeznaczonej na straty. Owszem, była otwarta na nowe znajomości, ale po prostu nie mogła sprostać im wszystkim.

- Nie do wiary, ile osób odpowiedziało! - wykrzyknęłam ze zdumieniem. - To ogłoszenie z pewnością ci się opłaciło.

- Absolutnie - zgodziła się Sarah, dolewając nam wina. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że sześciu, z którymi się już spotkałam, postawiło mi kolację.

Bałam się myśleć, czego ci faceci oczekiwali w zamian. Chociaż sama byłam wolna - moja ostatnia przygoda z poznanym tu Anglikiem zakończyła się we łzach - do głowy by mi nie przyszło iść na randkę w ciemno. W całym tym przedsięwzięciu było dla mnie coś dwuznacznego i wolałam trzymać się z boku jako obserwatorka i powierniczka.

Jednakże jeden list z „listy B” zwrócił moją uwagę. Nie pamiętam już dokładnie jego treści, ale wyróżniał się dowcipnym tonem i nutką ironii. Autor zadał sobie trud, żeby z wycinków prasowych wykleić śmieszny obrazek dla zilustrowania swoich słów: pod mężczyzną z wąsem Toma Sellecka, ubranym w kąpielówki, białe skarpetki i plastikowe sandały, widniał odręczny podpis: *Wolę sportowe obuwie*.

- Ten koleś jest całkiem zabawny jak na Francuza - zauważyłam, podsuwając Sarah list pod nos. Zastanawiałam się, czemu rzeczony kandydat od razu nie trafił na „listę A”. Na mojej liście pożądanych atrybutów poczucie humoru zajmowało bardzo wysoką pozycję. - I popatrz, lubi dubbing, muzykę elektroniczną, pracował nad projektem

magazynu... Fajnie byłoby go poznać...

- Więc daj mi telefon - wyszczerzyła zęby Sarah. - Żyje się raz.

- Nie, nie, poczekaj! - zaprotestowałam nagle onieśmielona. - Co mu powiemy?

Ale było za późno. Sarah już sięgnęła po słuchawkę i wykręcała numer.

* * *

Usadowione przy okrągłym stoliku popijałyśmy niegodne dam *bière blanche*, kiedy wszedł. Jakimś cudem, mimo że chichotałyśmy jak oszalałe, a Sarah plątał się język po winie, zaskoczony gość z „listy B” dał się namówić na spotkanie w jednej z moich ulubionych knajpek. Dla podkreślenia, że to nie ma być randka, powiedziałyśmy, że - jeśli chce - może przyjść z przyjacielem lub przyjaciółką. Jak zauważyłam, kelnerki w Café Chabron, podobnie jak w wielu innych modnych miejscach w Paryżu, były szorstkie, efektowne i nieco pogardliwe w stosunku do swojej ekscentrycznej *clientele* z bohemy. Akustyka w wysokim wnętrzu baru - którego sufit albo pomalowano na kolor nikotyny, albo został przydymiony zbiorowym wysiłkiem tysięcy palaczy - tłumiła ożywione rozmowy wokół nas do nieszkodliwego szumu za plecami.

Moja przyjaciółka zastygła, a jej oczy zwięziły się w badawcze szparki - obejrzałam się, żeby zobaczyć, kogo lub co wypatrzyła. W ciężkich drzwiach wahadłowych stał szczupły niebieskooki blondyn w przydużej budrysówce. Opis się zgadzał: to był on. Rozglądając się, rozpiął kurtkę i ukazał dopasowany czarny sweter z motywem tęczy, co w pierwszej chwili kazało mi się zastanowić, czy nie jest gejem. Sarah ściągnęła go wzrokiem i pomachała. Na twarzy naszego kandydata z „listy B” odmalowała się ulga. Może podzielał mój strach przed samotnym wchodzeniem do zatłoczonego baru.

- *Bonsoir les filles* - powiedział, rzucając kurtkę na oparcie krzesła. - Wiem, zachęcałyście, żebym z kimś przyszedł, ale dopiero niedawno przyjechałem do Paryża w poszukiwaniu pracy i mało kogo znam. Obawiam się zatem, że będę musiał wam wystarczyć.

Podniosłyśmy się z Sarah, szurając krzesłami po wykafelkowanej podłodze, żeby mógł złożyć obowiązkowe *bises* na naszych policzkach.

- Twój angielski jest naprawdę dobry - zauważyłam nieśmiało. - O wiele lepszy niż któregośkolwiek z moich studentów... i to z angielskim akcentem.

- Skończyłem studia w San Diego - wyjaśnił, siadając naprzeciwko mnie - ale

miałem tam mnóstwo angielskich przyjaciół, którzy przyjechali na wymianę, podobnie jak ja. Dzięki temu nie skaziłem się amerykańską wymową.

Rozśmieszył mnie jego komiczny dobór słów: zabrzmiało to, jakby amerykański akcent był czymś w rodzaju choroby.

- Założę się, że była też jakaś angielska dziewczyna - powiedziała Sarah znacząco, pochylając się i dotykając lekko jego ramienia.

Nie mogłam uwierzyć, że potrafi być aż tak bezpośrednia, ale sama przed sobą musiałam niechętnie przyznać, że jestem ciekawa odpowiedzi.

- No cóż... była dziewczyna, ale z Walii - potwierdził z nieznacznym grymasem, jakby to wspomnienie nadal go bolało.

W miarę upływu wieczoru nasz gość coraz bardziej mi się podobał. Miał urok osobisty i sarkastyczne poczucie humoru, rzadkie u Francuzów. Jasnowłosa i bladolicy, fizycznie był całkowitym przeciwieństwem mrocznych brunetów w moim typie, ale musiałam przyznać, że i tak mnie pociąga. Widziałam, że Sarah też ma na niego chrapkę, lecz im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej miałam nadzieję, że odrzuci jej awanse i wybierze mnie.

- Moi znajomi grają w klubie Rex w piątek wieczorem - powiedział od niechcienia, kiedy Sarah stała w kolejce do toalety na tyłach kawiarni. - Może byśmy się wybrali?

Zastanawiałam się, czy specjalnie wspomniał o tym właśnie w tej chwili i czy jego zaproszenie skierowane jest tylko do mnie, czy do nas obu.

- Chętnie - odparłam, zdrapując paznokciem naklejkę z butelki z piwem. - Uwielbiam ten klub. Chociaż nie jestem pewna co do Sarah...

W gruncie rzeczy nawet nie zamierzałam jej o tym wspominać. Rozgrzeszyłam się z tej małej zdrady, mówiąc sobie, że szkoda go na kolejne nacięcie na jej pasku, bo ten chłopak jest wart czegoś więcej.

Lata później Pan Żabojad zawsze był nieco speszony, kiedy opowiadałam, w jaki sposób się poznaliśmy. Nigdy też nie padło satysfakcjonujące wyjaśnienie, dlaczego w ogóle odpowiedział na drobne ogłoszenie w gazecie. Może więc nic dziwnego, że jego wersja wydarzeń była nieco skrócona.

- Och... - mówił ogólnikowo - Spotkaliśmy się w barze.

* * *

Pan Żabojad i ja zamieszkaliśmy razem, kiedy mój kontrakt na Sorbonne Nouvelle ostatecznie dobiegł końca. Z pewną nostalgią opuszczałam *deux pièces* na rue de la Roquette, żeby dzielić z nim *chambre de bonne* parę minut drogi od Ogrodów Luksemburskich. To posunięcie było spowodowane czystym pragmatyzmem, ale byliśmy szalenie szczęśliwi w naszym małym pokoiku i rzadko narzekałam na pochyłą podłogę, szwankującą instalację elektryczną czy fakt, że aby skorzystać z toalety musiałam uzbrajać się w ciężki, średniowieczny klucz i wdrapywać po lodowatych, wykafelkowanych schodach piętro wyżej.

W lecie pociałam się za kuloodpornymi szybami zagranicznego kantoru wymiany; pracowałam jako kasjerka i chomikowałam pieniądze na mój angielski „urlop naukowy”, podczas gdy Pan Żabojad szukał stałego zajęcia. Wieczorami jedliśmy w najtańszych *bistros* albo chodziliśmy do jednego z kin w Odeonie na zniżkowe bilety, które kupowałam w pracy. Kiedy miałam wolne, odwiedzaliśmy razem moje ulubione miejsca. Przechadzaliśmy się, trzymając się za ręce, po parku Buttes Chaumont, zrobiliśmy pielgrzymkę na cmentarz Montparnasse, na grób Serge'a Gainsbourga, zaśmiecony zielonymi biletami metra, spacerowaliśmy po pasażach w stylu *art nouveau* w pobliżu Wielkich Bulwarów albo wspinaliśmy się po kocich łbach bocznych uliczek na Butte Montmartre. Rozmawialiśmy albo milczeliśmy, łączyła nas więź, która przekraczała bariery językowe i różnice kulturowe. Gdy patrzyłam w jego oczy, oczy kameleona - w zależności od otoczenia raz niebieskie, raz zielone, a czasem szare - czułam, że jesteśmy po prostu dla siebie stworzeni. Idealna para.

W gronie moich przyjaciół Pan Żabojad doskonale sobie radził. Swobodnie brał udział w grach słownych lub opowiadał dowcipy w naszym ojczystym języku, budząc moją dumę i podziw towarzystwa. Ale potrafił też robić śmieszne błędy, z których parę weszło do mojego słownictwa. Stworzyliśmy własny sekretny język, okraszony *franglais* i przetykany zamierzonymi potknięciami. Jestem taka skatowana, jęczałam po pijackiej nocy, głowa mi się rozpęka... Pan Żabojad pokpiwał sobie dobrotliwie z mojego „okropnego angielskiego gustu” i wytykał mi skłonność do nadużywania alkoholu na imprezach, ale miał dość rozumu, żeby nie podkopywać mojej pewności siebie i nie poprawiać mnie za każdym razem, kiedy pomyliłam rodzajnik.

Ja z kolei poznawałam jego przyjaciół. Chodziliśmy na domowe kolacje do pary, którą znał od dzieciństwa, a która osiadła w stolicy z powodów zawodowych, ale uważała życie w mieście za zło konieczne - ich mieszkanie w sennej piętnastej arrondissement było oazą spokoju. Nasze nazwiska figurowały na liście gości w klubach nocnych, ilekroć jakiś DJ, którego znał z lat studenckich z Grenoble, przyjeżdżał na występy gościnne. Wszędzie witano mnie z otwartymi ramionami, komplementowano moją znajomość francuskiego i przyjmowano jak swoją.

W końcu znalazłam ten nieuchwytny składnik, którego brakowało mi w paryskim życiu. Zaczynałam pozbywać się dręczącego mnie uparcie kompleksu wiecznego outsidera, który obserwuje wszystko zza szyby, niczego nie dotykając. Pan Żabojad, choć nie był paryżaninem, wziął mnie za rękę i najzwyczajniej w świecie wprowadził do środka.

Ponura perspektywa wyjazdu do Anglii przestała mnie przerażać, bo teraz miałam już nie tylko dokąd wracać, ale i do kogo. Podczas mojego „wyznania”, jak to żartobliwie nazywałam, będziemy spędzać długie wieczory, wisząc na telefonie i paplając po francusku. Będę przyjeżdżać na weekendy i na przerwę semestralną. Łączyły mnie teraz z Paryżem silne więzy. A za parę miesięcy, kiedy tu wrócę, odetchnę pełną piersią. Stała praca i Pan Żabojad u boku dadzą mi mocne podwaliny pod wymarzone życie we Francji.

Nie byłam już jakąś tam *petite anglaise*. Byłam jego *petite anglaise*.

3.

Echa

Jedną z najfajniejszych rzeczy w burżuazyjnym apartamentowcu na avenue Simon Bolivar, gdzie zamieszkaliśmy siedem lat później z Kijanką, naszą roczną córeczką, był zabawny mały zakład fryzjerski na parterze. Wszystko w nim świadczyło o poczuciu humoru właściciela: nazwa *Les Intondables*, która równie dobrze mogła znaczyć „niedogoleni” jak „niedostrzyżeni” lub nawet „niedokoszeni” w zależności od preferowanej wersji tłumaczenia; plakat na drzwiach reklamujący filie paryskie, Ouagadougou i Gif sur Yvette (francuski odpowiednik, powiedzmy, Bognor Regis), naiwne, psychodeliczne zawijasy zdobiące ściany.

Daleko mu było do wysokich progów salonów na ósmej *arrondissement*, gdzie wyniosłe czterdziestoparoletnie *parisiennes* obnosiły swoje designerskie torebki, podczas gdy armia umundurowanych kolorystów, stylistów i masażystów spełniała każdy ich kaprys, krążąc wokół jak sępy w oczekiwaniu na hojny napiwek. W naszej dzielnicy wyfiokowane kobiety z psami we wdziankach od Chanel rzadko się trafiały. I właśnie dlatego ją lubiłam.

Les Intondables mogło się także pochwalić szafą grającą z muzyką, starą i nową, którą kochałam. Zatrzymując się w słabo oświetlonym przedsionku, żeby podrzeć ulotki reklamowe, ze zdumieniem odkrywałam, że pamiętam każde słowo ze starej płyty New Order albo uśmiechałam się pod nosem, rozpoznając pierwsze akordy *Smells Like Teen Spirit*. Kiedy puszczano piosenkę, której nie umiałam nazwać, walczyłam z pokusą, żeby zajrzeć tam z pytaniem. Rozrywkowa dziewczyna, którą niegdyś byłam, podskakująca pod dyktando DJ-ów w nocnych klubach, nie potrzebowałaby zachęty. Ale kobieta, którą się stałam, nie miała czasu na takie błahostki, zbyt zaprzątnięta bieganiem do opiekunki, do pracy i z powrotem, z wizytą w supermarkecie na dokładkę. Byłam teraz pracującą matką i moje życie było odmierzane tykaniem niewidzialnego metronomu. Gdybym zoczyła z kursu, wypadłabym z rytmu.

Pewnego sobotniego ranka pod koniec czerwca Pan Żabojad, Kijanka i ja mineliśmy witrynę fryzjera, wracając do domu z nosami spuszczoneymi na kwintę po kolejnej

nieudanej wyprawie w poszukiwaniu nowego mieszkania. Wyruszyliśmy pełni nadziei: zdjęcia na stronie internetowej pośrednika nieruchomości ukazywały oryginalne drewniane podłogi i działające kominki, a przez telefon on sam podkreślał dobrą lokalizację z widokiem na *mairie du 19ième* i park Buttes Chaumont. Ale nasz entuzjazm zaczął słabnąć, kiedy drzwi frontowe uchyliły się, ukazując szereg przechodnich pokoi dla służby bez łączącego je korytarza i centralnego ogrzewania, a zgasł zupełnie, kiedy zamiast normalnej toalety odkryliśmy w łazience *sanibroyeur*, który robił piekielny hałas przy spuszczeniu wody. Wychylając się niebezpiecznie z okna sypialni, można było wprawdzie dojrzeć skrawek parku i wypatrzeć spadzisty dach merostwa, ale ogólnie biorąc, nie rekompensowało to innych mankamentów.

Po naszym powrocie Pan Żabojad przytrzymał ciężkie drewniane drzwi wejściowe, a ja przeprowadziłam wózek Kijanki przez kamienny próg do mrocznego przedsionka z odrapanymi ścianami. Trzeba przyznać, że nasze lokum na piątym piętrze solidnej kamienicy z przełomu wieków było trudne do przebicia. Pokoje miały dobre proporcje, dębowy parkiet i marmurowe kominki, a ściany były tak grube, że choć widywaliśmy sąsiadów, to ich nie słyszeliśmy. Przez całą długość biegł balkon, a francuskie okna wychodzące na południe zalewały nas potokiem słońca. Był tylko jeden szkopuł: mieszkanie nie należało do nas i nawet gdyby właściciel zgodził się je sprzedać, znacznie przekraczało nasze możliwości finansowe.

Posiadanie własnego kąta stało się moją obsesją, odkąd Kijanka była jeszcze tylko błyskiem w szaroniebieskich oczach jej ojca. Pan Żabojad nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak mi zależy, żeby znaleźć się na swoich śmieciach, Francuzi - w przeciwieństwie do Anglików - nic sobie nie robią z życia w wynajętych mieszkaniach, dopóki nie przekroczą czterdziestki. Ale w miarę jak ceny nieruchomości w Mieście Świateł z dnia na dzień szybowały w górę, coraz bardziej się bałam, że jeśli się nie pośpieszymy, zostaniemy na lodzie.

- Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek jest gotów dać taką kasę za byle norę z kibelem z rozdrabniaczem z toalety przenośnej - pomstowałam, szukając kluczy. - Jeśli tacy ludzie jak my nie mają szans na rynku nieruchomości, to kto, do cholery, może sobie pozwolić na kupno mieszkania w tym mieście?

Zanim na dobre wpadłam w swój zwykły lament, charakterystyczny riff gitarowy

powstrzymał mnie w pół słowa. Uwalniając Kijankę z szelek, zerknęłam na Pana Żabojada, który sprawdzał zawartość wspólnej skrzynki pocztowej oznaczonej napisem *courrier volumineux*. Uśmiechnął się nieznacznie, podobnie jak ja rozpoznając piosenkę: *Bigmouth Strikes Again* zespołu The Smiths. Choć dzielił nas kanał La Manche, we wczesnej młodości czerpaliśmy radość i wzruszenia z tej samej muzyki.

Jak tylko postawiłam Kijankę na wyłożonej kafelkami podłodze, zaczęła wymachiwać krótkimi, pulchnymi rączkami do taktu, co nasunęło mi pytanie, czy nasze wspólne muzyczne gusty nie zostały zakodowane w DNA naszej córki. Bez chwili wahania Pan Żabojad przyłączył się do niej, dając jej przykład i zachęcając do robienia kroków, które każdej przyzwoitej siostrzenicy kazałyby spalić się ze wstydu, gdyby jej wuj zaprezentował coś podobnego na weselu. Taniec nie jest moją mocną stroną, zwłaszcza na trzeźwo, ale Pan Żabojad miał do tego dryg. I mógł się poszczycić szerokim repertuarem: od robotycznych ruchów do wirowania niczym John Travolta w *Gorączce sobotniej nocy*. Kręcił biodrami w rozkosznie śmieszny sposób, wymachiwał wyimaginowanym mikrofonem jak lassem i dopingował Kijankę: *Danse! Pivote! Oui, comme ça!*

Dostałam takiego ataku śmiechu, że łzy pociekły mi po policzkach, ale to właśnie ja pierwsza zauważyłam jakiś cień padający na moją córkę. Głośna muzyka i wyłożone chodnikiem schody, które tłumiły kroki, sprzysięgły się przeciwko nam. Widząc, że zmienia mi się wyraz twarzy i że zakrywam ręką usta, Pan Żabojad zastygł w pół obrotu. Tylko niczego nieświadoma Kijanka kontynuowała taniec, podczas gdy jakiś zasepiony nieznajomy - mężczyzna po pięćdziesiątce z marszem na czole i zaciętymi w smutny grymas ustami - zmierzał do wyjścia, omijając naszą rodzinę szerokim łukiem.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi z głuchym trzaskiem, Pan Żabojad i ja wybuchnęliśmy śmiechem w napadzie *fou rire*, jak powiedzieliby Francuzi.

- Widziałeś jego minę? - zapałam, kiedy odzyskałam głos. - Warta wszystkich pieniędzy!

- Twoja też była niezgorsza! - Pan Żabojad podniósł Kijankę i posadził ją sobie na ramionach. - Zauważyłaś, że obchodził nas z daleka jak śmierdzące jajo?

- Zupełnie jakby się bał, że gdyby podszedł o krok, to zarazi się poczuciem humoru! O Boże, omal się nie zsikałam...

Co - na szczęście - nie było prawdą w dosłownym znaczeniu tego słowa, za co należy się podziękowanie państwu francuskiemu i darmowym postnatalnym sesjom fizjoterapeutycznym.

Pan Żabojad patrzył na mnie z błyskiem rozbawienia w oczach i kiedy wciskaliśmy się z wózkiem do windy, przypomniało mi się, co od pierwszej chwili mnie w nim ujęło: łatwość, z jaką umiał mnie rozśmieszyć.

Odkąd się poznaliśmy, jakimś cudem minęło dobrych parę lat. Nigdy się nie pobraliśmy, więc trudno było mówić o kryzysie siódmego roku małżeństwa, ale niepostrzeżenie ziemia zaczęła usuwać się nam spod nóg, a drobne rysy stopniowo się powiększały. Hołubiłam w sercu takie momenty jak ten - ostatnio coraz rzadsze - i zbierałam w pamięci dobre chwile z niemądrą nadzieją, że to wystarczy, aby utrzymać nasz związek.

* * *

- Długo jeszcze? - spytałam, odkładając plastikową łyżeczkę, którą trzymałam od dłuższego czasu, i nad słuchując dźwięków dochodzących z naszej mikroskopijnej łazienki.

Nie było odpowiedzi ani też odgłosów głośnego pluskania, które zwykle towarzyszyły porannemu rytuałowi Pana Żabojada, tylko wentylator szumiał hałaśliwie, pracowicie wyciągając gęste, zaparowane powietrze z pomieszczenia bez okna. Westchnęłam, kontemplując pokryty owsianką policzek Kijanki. Wyglądało na to, że Pan Żabojad znowu zasnął w wannie. Był poniedziałek rano, dwa dni po incydencie z tańcem, i na powrót staliśmy się niewolnikami naszej codziennej rutyny.

- Biedny tatuś jest bardzo zmęczony - mruknęłam do Kijanki, rozdarta między irytacją a współczuciem, i podniosłam rękę do ust, tłumiąc ziewnięcie.

Jedną z niespodziewanych korzyści posiadania małego dziecka było to, że miałam doskonały pretekst, żeby mówić do siebie, ile dusza zapragnie, i udawać, że robię to dla dobra córki, dla dobra jej znajomości angielskiego. Repertuar słownictwa Kijanki był ograniczony do paru nieartykułowanych dźwięków i dwusylabowych słów, takich jak „mama”, „tata” i „piesek”, więc nasza wymiana zdań w żadnym razie nie mogła być nazwana „konwersacją”. Mimo to wpadłam w zwyczaj komentowania wszystkiego, co się dzieje, jednym niekończącym się potokiem słów, w którym, z jakichś powodów, zawsze

mówiłam o sobie w osobie trzeciej.

- Mamusia też nie czuje się najlepiej - dodałam, wycierając resztki snu z kącików oczu.

To była okropna noc. Panu Żabojadowi, który wiercił się jak oszalały i mruzczał coś pod nosem, śniła się praca. Poznałam to po jego charakterystycznym, znużonym tonie rezygnacji: choć była trzecia nad ranem, bez cienia wątpliwości słyszałam wyimaginowaną jednostronną rozmowę z jego szefem w agencji reklamowej.

Kijanka, w odruchu zemsty za moje zamyślenie, chwyciła łyżeczkę i wysłała porcyjkę owsianki w powietrze. Owsianka zatoczyła łuk i wylądowała na ciemnofioletowej kanapie, rozpryskując się efektownie, a mała zachichotała rozkosznie na widok mojej przerażonej miny. Zebrałam się w sobie, wytarłam kleistą białą plamę śliniaczkiem, łyknęłam pośpiesznie odrobinę letniej już *café au lait* z filizanki i wyrwałam zbrodnicze narzędzie z ręki córki. Jeśli miałam zdążyć do pracy, to powinnyśmy być ubrane i gotowe za dziesięć minut. Szanse na to były niewielkie: Kijanka wciąż miała na sobie piżamkę i pieluszkę, która, jeśli mnie wdech nie mylił, musiała zostać zmieniona, a ja nadal byłam naga pod szlafrokiem.

Za łukowym oknem na lewo - przedmiotem zazdrości wszystkich, którzy nas odwiedzali - ciągnęły się dachy Paryża, skąpane w ciepłym, miodowym blasku. Światło odbijało się od metalicznych kominów; jaskrawe, jak w Legolandzie, kolory Beaubourg wyróżniały się na tle morza kamiennej szarości, a dalej wznosiły się majestatycznie iglice Notre Dame i kopuła Panteonu, z tej perspektywy zwodniczo zbliżone. Wieża Montparnasse, zwykle najbardziej rozpoznawalny punkt orientacyjny, była teraz skryta za porannym smogiem, wiszącym nad miastem.

Ale wspaniały widok - powód mojej miłości od pierwszego wejrzenia, kiedy szukaliśmy większego mieszkania do wynajęcia, a Kijanka, wielkości awokado, dopiero dojrzewała w moim brzuchu - tego ranka mnie nie poruszył. Patrzyłam przez okno niewidzącymi oczami, zastanawiając się tylko, jaka będzie pogoda i w co powinnyśmy się ubrać.

Bulgotanie wody spływającej z wanny oznajmiło koniec kąpieli Pana Żabojada, który rzeczywiście wynurzył się z łazienki spowity tylko w ręcznik. Miał poszarzałą, zmęczoną twarz i mocno zaciśnięte szczęki. Serce mi się ścisnęło: dopiero teraz

zauważyłam, jak bardzo się przez te lata postarzał, jak praca do późna w nocy wyprała mu kolor z policzków. Chłopiec, w którym się zakochałam, miał oczy skrzące się niczym światełka na wieży Eiffla, był pełen humoru i sypał żartami jak z rękawa. Mężczyzna, z którym teraz żyłam, był jego bladym, niepozornym cieniem. Dzieliliśmy dom, spaliśmy obok siebie, ale każde z nas było uwięzione we własnej rutynie, a przepaść między nami tylko się pogłębiała. Nie zauważałam już Pana Żabojada tak samo, jak nie zauważałam widoku za oknem. Nasze uczucia były dalekim echem tego, co nas kiedyś łączyło.

- Tata! Tata! - zaszczębiotała Kijanka, podnosząc rączki z błaganiem, żeby uwolnić ją z wysokiego krzeselka.

Pan Żabojad zatrzymał się w przelocie, żeby pocałować ją w czoło, starannie unikając mojego wzroku.

- *Finis ton petit-déjeuner, ma puce* - powiedział, delikatnie zdejmując jej końcem palca owsiankę z górnej wargi.

- Więc co masz dzisiaj, przypomnij mi? - Staralam się mówić spokojnym, neutralnym głosem.

Dobrze, że Pan Żabojad nie widział mojej twarzy, bo miałam minę, jakbym wysysała cytrynę, a nie piła kawę z mlekiem. Ale nie było potrzeby ukrywać goryczy: już zdążył zniknąć w sypialni.

- *Une nouvelle présentation...* najnowszej wersji scenorysów... w Londynie.

Usłyszałam wsuwanie nóg w spodnie i psyk dezodorantu.

- Nie wiem, o której wrócę. Prezentacja jest późnym popołudniem, więc zapewne będę musiał wrócić ostatnim ekspresem Eurostar.

Angielski Pana Żabojada był już niemal idealny, jeśli nie liczyć jednej czy drugiej omyłki przy stawianiu przyimków. Osiem lat mieszkania z *petite anglaise* i praca z międzynarodową klientelą zrobiły swoje i wyeliminowały błędy, które tak mnie bawiły, kiedy się poznaliśmy.

Zdusiłam gorzkie słowa, które cisnęły mi się na usta. Jeszcze jeden powrót po nocy? - chciałam powiedzieć. W ogóle się nie widzimy! Przez większość wieczorów Pan Żabojad zjawiał się w domu, kiedy Kijanka już spała, a ja dawno zjadłam kolację, obejrzałam jakiś film albo położyłam się do łóżka z książką. Robił sobie kanapkę i kładł się na sofie przed migającym telewizorem. Straciliśmy rachubę filmów, które przedzemał

i najczęściej prosił mnie o wypełnienie luk - stałam się mistrzynią w opowiadaniu końcowych scen. Rankami albo wychodził, zanim Kijanka się obudziła, albo, jak dzisiaj, moczył się w kąpieli, starając się zebrać siły przed pracą, podczas gdy ja kręciłam się po domu, przygotowując nas obie do wyjścia.

W najgorszych dniach słyszałam złowrogie pokasływanie zza drzwi łazienki, widomy znak, że z nerwów zbuntował mu się żołądek.

Powstrzymałam się teraz od bezużytecznych protestów, zbyt znużona, by rozpocząć kolejną bitwę. Sztywnymi palcami zapięłam sukieneczkę Kijanki, potem w pośpiechu narzuciłam na siebie pierwsze lepsze czyste ciuchy, jakie wpadły mi w ręce. Gotowi - przypadkiem - w tym samym czasie, weszliśmy razem do prostokątnej windy, która była nowoczesnym dodatkiem wielkości budki fotograficznej, wciśniętym w środek wyłożonych chodnikiem schodów. Kiedy zjeżdżaliśmy na parter, podniosłam Kijankę do lustra, żeby mogła popatrzeć na swoje odbicie. W bezlitosnym świetle jarzeniówki wyrzał na nas uchwycony przelotnie portret rodzinny. Trzy blade twarze, otoczone jasnymi włosami: moje gęste, nieujarzmione, ściągnięte do pracy w ciasny koński ogon, ich rzadkie jak meszek. Trzy pary niebieskich oczu: moje ciemne, zniekształcone przez soczewki okularów, ich jasne, w szare ciapki. Kijanka kipiała energią, Pan Żabojad i ja ledwo staliśmy na nogach, przyćmieni naszą córką.

Drzwi windy złożyły się w harmonijkę, Pan Żabojad wyniósł Kijankę, a ja wyciągnęłam jej wózek z pachnącej wilgocią, wytapetowanej w kwiatki przechowalni, gdzie dawniej był pokój *gardienne*. Złożyłam zdawkowy pocałunek na gładko wygolonym policzku Pana Żabojada, mruknęłam *bon courage* i patrzyłam za nim, jak spieszenie oddala się w kierunku swojej vespy. Drzwi frontowe zatrzasnęły

powrotna miała tę wadę, że odbywała się pod górę. Jednak do opiekunki wózek toczył się łagodnie w dół zbocza i kierowałam nim raczej, niż go pchałam. Wystarczyło leciutkie szturchnięcie, żeby ominąć nieoczekiwany pryznic ze zraszarki albo nacierającego biegacza. Podniosłam głowę i wciągnęłam głęboko zapach świeżo ściętej trawy, starając się zrzucić z siebie zniechęcenie i przygnębienie, które spadły na mnie dziś rano jak gęsta mgła. Rozczarowanie codziennością psuło mi smak Paryża, kiedy pozwalałam sobie na gorycz. Ale to nie miasto było winne, tylko skojarzenia.

Buttes Chaumont należał do moich ulubionych parków. W przeciwieństwie do francuskich ogrodów Tuileries czy Ogrodów Luksemburskich nie było tu równo przyciętych, wypielęgowanych żywopłotów, znaków zakazujących wchodzenia na „zabronione” kawałki murawy ani też tych znienawidzonych przeze mnie piaszczystych ścieżek, które pokrywały buty białym mączastym pyłem. Spadające zbocze na terenie nieużywanego kamieniołomu i wysypiska śmieci były podziurawione jak plaster wosku. Tablica w pobliskiej stacji metra wesoło upamiętniała wypadek sprzed dziesiątków lat, kiedy to wyrosnięte drzewo w ciągu jednej nocy zostało w całości pochłonięte przez park, i często zastanawiałam się, czy ta historia nie powtórzy się któregoś dnia i ziemia nie połknie na moich oczach któregoś z umundurowanych parkowych strażników.

Chociaż park Buttes Chaumont wyglądał naturalniej niż wiele jego sterylnych, przesadnie zadbanych rówieśników, wszystko tu było sztuczne. Jezioro, spływający do niego wodospad, jaskinie ze stalaktytami. Ogrodzenia, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak splecione z sękatych gałęzi, w gruncie rzeczy były odlane z betonu. Czasem czułam się, jakbym szła przez park utworzony dla potrzeb filmu, choć w tym przypadku kostiumologom można by wiele zarzucić. Strój przeciętnego tutejszego biegacza naprawdę mógł przyprawić o ból głowy.

Oprócz dobiegającego z oddali odgłosu ruchu ulicznego i porannego chóru ptaków, wokół panowała cisza. Jak zwykle wpadłyśmy w nasz codzienny rytuał: Kijanka pokazywała coś, a ja to objaśniałam. Na pobliskim drzewie załśniła w porannej rosie pajęczyna i chociaż „architekt” nie był nigdzie widoczny, zaczęłam podśpiewywać jej ulubioną rymowankę:

*Mały pajęczek chodził po konarze,
który słonko osuszyło,*

ale przyszedł deszcz i pajęczka zmyło...

Moją uwagę przyciągnął biegacz w obcisłych szortach z lycry, uwydatniających jego „konar” podczas biegu, i piosenka zamarła mi na ustach.

Kijanka, która splatała do rymu paluszki, zastygła, czekając na sygnał, jak to deszcz pada, a ja z trudem zdusiłam chichot i powtórzyłam wierszyk nie jeden raz, a trzy razy - kiedy mijałyśmy wijący się strumyk, herbaciarnię z desek i wiszący most, który wiódł na skalistą wyspę pośrodku jeziora. Dzięki przywiązaniu mojej córki do tego, co już zna, nie musiałam dysponować nieograniczonym repertuarem rymowanek.

Wychodząc przez główną bramę, przeszliśmy przez rue Manin przed *mairie* - gdzie w szczęśliwszych czasach miałam nadzieję wziąć ślub z Panem Żabojadem - i skręciłyśmy w boczną uliczkę, gdzie mieszkała opiekunka.

Większość *assistantes maternelles*, z którymi rozmawiałam po urodzeniu Kijanki, mieszkała - w przeciwieństwie do nas - w domach komunalnych: w blokach z lat siedemdziesiątych należących do państwa, często odrapanych, ale mających tę zaletę, że mieszkania w nich były tanie i wystarczająco duże, by pomieścić kilkoro dzieci. Nasza opiekunka nie była wyjątkiem i kiedy jej własne potomstwo wyrosło i poszło w świat, miała do dyspozycji dwie wolne sypialnie, w których jej podopieczni mogli odbywać popołudniową drzemkę. Żeby wejść do budynku, musiałam najpierw ominąć górę śmieci wyrzuconych na podjazd - zepsuty wózek dziecięcy, pudło po telewizorze, dwa złamane krzesła - a w przedsiionku unosił się zatechły zapach moczu. Mieszkańcy może i nie wykazywali należytej troski o swoje otoczenie, ale za to dobrze się znali i nie żałowali sobie czasu na pogawędki.

Każdy, kogo spotkałam, witał mnie uprzejmym: *Bonjour, madame!*, a dzisiaj dwóch nastolatków rycersko przytrzymało mi drzwi. Natomiast w naszym apartamentowcu panowała atmosfera jak w kostnicy. Jedna miła staruszka co prawda odzywała się do mnie, kiedy nasze drogi od czasu do czasu się skrzyżowały, ale ponieważ jej pamięć już szwankowała, nigdy nie wyszłyśmy poza jej: *Comme il est beau votre petit garçon* i moje defensywne: Tak naprawdę, to dziewczynka...

Tata, było jednym z pierwszych słów Kijanki, chociaż na początku, naturalnie, brzmiało to dla nas jak *papa*. Jak się zdaje, francuskie opiekunki zawsze otrzymują to miano, które jest dziecięcą wersją „cioci”. Algierka w średnim wieku, z siwiejącymi

lokami do ramion, stanowcza, choć ciepła, wywarła na nas takie wrażenie, że dosłownie błagaliśmy ją, żeby została naszą *tata*, a Pan Żabojad nie ustawał w wysiłkach, prowadząc delikatną, ale nieustępliwą ofensywę przez telefon, dopóki się nie zgodziła. Dobre opiekunki są prawdziwą rzadkością w Paryżu i to one rozdają karty, dobierając sobie podopiecznych.

Kiedy *tata* otworzyła drzwi, opary z gotowanych warzyw buchnęły do holu i zaparowały mi okulary. Przez moment nic nie widziałam.

- *Bonjour! Comment va mon petit ange?* - zagruchała, wyjmując z wózka chichoczącą Kijankę, która zarzuciła jej ręce na szyję, jak zawsze stęskniona po weekendowej przerwie.

- *Nous avons passé un très bon weekend* - odparłam, jęknąwszy w duchu, kiedy zauważyłam, że w pośpiechu założyłam Kijance dwie różne skarpetki. - *Elle a été adorable. Et vous, vous allez bien?*

Jak zawsze zadawałam to pytanie z sercem w gardle. Moim największym zmartwieniem było, żeby *tata* się nie rozchorowała, bo musiałabym wtedy zużyć wszystkie przypadające mi dni urlopu na opiekę nad córką. Na szczęście nasza opiekunka zdawała się mieć końskie zdrowie: jak dotąd nie zawiodła nas ani razu.

- Udało się państwu znaleźć nowe mieszkanie? - spytała.

Jej największym zmartwieniem, teraz, kiedy tak się przywiązała do Kijanki, było to, że kupimy coś w innej dzielnicy i zrezygnujemy z jej usług.

- Nie, kolejna nieudana próba. Szkoda, bo mieszkanie było tuż za rogiem. Ale robi się późno, muszę lecieć...

Kiedy zasuwwały się drzwi windy, malutka rączka pomachała mi z drugiej strony szyby, a ja poczułam ucisk w piersi. Duch uleciał ze mnie wraz z osuwającą się w dół kabiną: najlepsza część dnia była za mną. Spojrzałam na zegarek. Ósma czterdzieści trzy. Jeśli kolejka metra podjedzie w chwili, gdy stanę na peronie, może uda mi się zdążyć do biura na czas. „Na czas” oznaczało dziewiątą pięć, mój obecny osobisty rekord.

Moje ręce wydawały się dziwnie puste i niepotrzebne bez wózka, kiedy biegłam wzdłuż avenue de Laumière, chwytając po drodze darmową gazetę z ogłoszeniami ze stojaka przed agencją nieruchomości. Widząc, że nie ma kolejki w piekarni, wpadłam jeszcze po *pain aux raisins*. W tym stanie rzeczy zapewne nigdy nie pozbędę się tych paru

kilo nadwagi, które zostały mi po ciąży, ale był poniedziałek rano i odczuwałam gwałtowną potrzebę poprawienia sobie nastroju czymś podnoszącym cholesterol.

Mój fioletowy bilet *Navigo* wydał swój satysfakcjonujący „drriiinngg”, kiedy przesunęłam torebką przed skanerem na stacji Laumière.

- *Je peux passer avec vous?* - zamruczał za mną męski głos i aż się wzdrygnęłam, czując napierającego z tyłu jakiegoś faceta - o wiele za blisko - który wymusił na mnie przeciśnięcie się przez metalowy kołowrotek bez płacenia.

Zbiegałam na peron po dwa stopnie naraz i modliłam się, żeby pierwsza kolejka nie pękała w szwach, prosząc boga transportu francuskiego o wolne miejsce w *ligne 5*. Miałam szczęście, niezbyt zatłoczone wagony wtoczyły się na stację jak na zawołanie i zanurkowałam do środka prosto na rozkładane *strapontin* przy drzwiach. Trzymając na bezpieczną odległość przesiąknięty tłuszczem papier ze śniadaniem, przeglądałam ogłoszenia. Czy na rynku jest może jakieś nowe mieszkanie z dwoma sypialniami? Nic z tych rzeczy. Z pięciu czy sześciu ofert widzieliśmy już trzy, a dwie inne z góry odrzuciliśmy, bo były po złej stronie Canal de l'Ourcq, z dala od parku. Przeniosłam wzrok na stronę z dłuższą listą jednosypialnianych mieszkań i obliczyłam szybko, na co mogłabym sobie pozwolić, gdybym miała kupić coś na własną rękę.

- Jeśli mam żyć jak samotna matka, sama wychowywać dziecko i prowadzić dom, chociaż ja też pracuję, to równie dobrze mogę być samotną matką! - wykrzyczałam kiedyś do Pana Żabojada. - Przynajmniej będę miała jedną osobę mniej, o którą mam się troszczyć!...

Było to w trakcie jednej z tych kłótni, które poprzedzały moje pretensje, że nie pozmywał - czy coś równie trywialnego - ale eskalowała do awantury, która objęła wszystko, co miałam mu za złe. Pan Żabojad potraktował moje protesty uszczypliwymi uwagami, jak zawsze złożył je na karb „hormonów” lub odesłał do „pustych grózb” i zamknął się w sobie, odmawiając dalszej wymiany zdań. Oczywiście z mojej strony to była „pusta groźba” - nieoczekiwany, gwałtowny atak mający na celu spowodować jakąś reakcję. Oboje wiedzieliśmy, że mogę sobie szczekać, bo i tak nie ugryzę: choćbym miała wszystkiego dość, nie wyobrażałam sobie podjęcia żadnych stanowczych kroków.

Jednak bez względu na to, czy Pan Żabojad brał moje wybuchy serio, czy nie, zżerało mnie całkiem realne niezadowolenie. Jak i kiedy się to stało, że moje życie w

Paryżu zamieniło się z wina w ocet, rozmyślałam, dając się nieść przez tłum zaspanych pasażerów metra. Spełniłam przecież swoje marzenie, czyż nie? Na pozór miałam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia: francuskiego kochanka, naszą rozkoszną córeczkę, nasze piękne mieszkanie, nasze dobrze płatne posady. A jednak czułam się głęboko rozczarowana codzienną rzeczywistością. Z upływem lat wtopiliśmy się w tło, Pan Żabojad i ja, przestaliśmy się zauważać, koncentrując się na pracy i na Kijance, co pozwalało nam odsuwać niewygodną prawdę, że nasze uczucie wygasło. Jakby tego było mało, mój ukochany Paryż też jakby się rozmył, rozpląnął przed moimi oczami, zastąpiony żelazną rutyną: metro-tata-praca-tata-sen. Ostatnio stałam się zgorzkniałą zrzedą, cieniem tej pełnej radości i entuzjazmu *petite anglaise*, którą niegdyś byłam; stałam się kimś, kogo nawet niezbyt lubiłam.

Na Gare du Nord, gdzie prosto z RER-u wtargnął tłum pasażerów z północnych przedmieść, zwolniłam niechętnie składane krzesło, które plasnęło o ścianę, i wstałam. Przez zmętniałe z brudu szyby patrzyłam na ciemny tunel.

Oczyrna duszy widziałam się, jak biegnę obok pociągu. Bez tchu, nie tak szybko jak dawniej, ale jednak.

4. *Online*

Mechanizm zegarowy pokazał dziewiątą zero sześć, kiedy przesunęłam przez czytnik swoją plastikową kartę; jego głośny „biiip” zabrzmiał jak reprimenda. Pobiegłam wzdłuż wyłożonego szarym chodnikiem korytarza obok portretu królowej Elżbiety w niebieskiej szarfie - kwintesencji angielskości w małej firmie rachunkowej, w której pracowałam od dwóch lat - a potem po schodach na piąte piętro. Nasze biuro zajmowało dwa piętra w imponującym budynku na avenue de l'Opéra, pod eleganckim adresem w połowie drogi między starą operą a Luwrem.

Te dwa piętra różniły się wszystkim, odzwierciedlając diametralnie różne style dyrektorów, którzy nimi zarządzali. Mój szef, którego królestwo było wyżej, wybrał otwartą przestrzeń i oddzielił własny gabinet od reszty personelu szklaną ścianą. Znad swojego biurka często obserwowałam niemy film, jaki tam się rozgrywał, odgadując jego nastrój po sposobie gestykulacji, kolorze policzków i zastraszonej postawie osoby na dywaniku. Mój przełożony, łysiejący Anglik w średnim wieku, był bardzo sprawny zawodowo, ale również niemożliwie wymagający. Poprzez fakt, że dzieliło nas tylko okno, czułam się jak na świeczniku: wystarczyło, by podniósł głowę, a mógł zobaczyć monitor mojego komputera.

Niższe piętro, dla kontrastu, było podzielone na szereg małych biur. George, drugi paryski wspólnik firmy, rządził w największym z nich, siedząc za ogromnym politurowanym biurkiem, którego nie powstydziliby się gabinet ministra.

Kiedy już wbiegłam na górę, pierwsze kroki skierowałam do wspólnej kuchni. Nie nadawałam się do użytku bez dwóch lub trzech dawek kofeiny, więc, skoro nie było jeszcze śladu mojego szefa, zamierzałam zrobić sobie podwójne espresso i nacieszyć się spokojnym porankiem przy biurku nad internetowym wydaniem codziennej gazety. Przechodząc, włączyłam fotokopiarkę, a potem światła, które, mrugając, obudziły się do życia równie niechętnie jak ja. Powiesiłam płaszcz w szafie, wślizgnęłam się do kuchni i postawiłam swój kubek pod ekspresem do kawy, który zawarczał głośno, doprowadzając mnie do ściskoszczyku, kiedy zaczął mieć ziarenka. Poniedziałki zawsze wolno się

rozkrewały. Większość personelu, która miała nienormowany czas pracy, nie stawiała się zwykle przed dziesiątą.

Tacka na korespondencję, zawieszona nad moim biurkiem, była kojąco pusta, więc gdy sprawdziłam już zawartość skrzynki pocztowej mojego szefa, mogłam z czystym sumieniem zająć się przeglądaniem dzisiejszych nagłówek. Moja ręka przez chwilę spoczywała nieruchomo na myszy, kiedy poczułam znajome wibracje przejeżdżającego metra, które wprawiły w drżenie fundamenty budynku. Później, gdy zjechałam w dół ekranu, moją uwagę przyciągnął artykuł na temat autorki pamiętnika internetowego o francuskim pseudonimie.

Belle de Jour, jak przeczytałam, była wysokiej klasy prostytutką, która za swoje pisanie zebrała nagrody. Niektórzy wierzyli, że naprawdę jest tym, za kogo się podaje, cytując jej rozległą wiedzę o najstarszej profesji świata, ale sceptycy byli przekonani, że jest początkującą pisarką, która wybrała sobie pieprzny temat, żeby zdobyć lukratywny kontrakt wydawniczy. Mnie samej obecność blogów - jak najwyraźniej nazywano te pamiętniki - do tego czasu jakoś umknęła, chociaż uważałam się za namiętną użytkowniczkę Internetu. Byłam zafascynowana zarówno Belle, jak i samym zjawiskiem blogowania. Tego dnia, ilekroć mój szef oddalił się na bezpieczny dystans i nie musiałam niczego pisać pod dyktando ani odbierać telefonów, skakałam ukradkiem z blogu na blog. Call Centre Confidential przypominał serial komediowy *Biuro*; utrzymany w innym tonie niż blog Belle, miał w sobie tyle zjadliwej satyry, że przy niektórych wpisach krztusiłam się kawą ze śmiechu. Ktoś kryjący się pod pseudonimem Little Red Boat poruszał różne tematy w sposób sarkastyczny i tak nieodparcie zabawny, że po przeczytaniu kilku postów wraz z dowcipnymi komentarzami zostawionymi przez czytelników wsiąkałam w tę zabawę bez reszty.

Za pomocą zaledwie kilku kliknięć każdy mógł założyć własny mały pamiętnik, jak się dowiedziałam z paru fachowych artykułów, które znalazłam. Może ja także powinnam to zrobić? - pomyślałam. Przecież i tak często siedzę przed komputerem, nie mając nic do roboty. To może być zajmujące. Czemu nie spróbować?

Ten pomysł zaczął mnie z wolna fascynować, aż w końcu w wolnej chwili, kiedy mój szef był na konferencji, zdecydowałam się skoczyć na głęboką wodę. Żując czubek długopisu - obrzydliwy zwyczaj, którego nigdy nie zdołałam się pozbyć - spoglądałam

przez okno nad biurkiem głęboko zamyślona. Potrzebowałam jakiegoś punktu wyjścia. *Sekretny dziennik sekretarki* brzmiało mało zachęcająco, a - co więcej - z zasady nie lubiłam mówić o swojej pracy. Była dobrze płatna, stała i nawet dość ambitna, zważywszy na wymaganą dwujęzyczność, ale zawsze się kuliłam, kiedy musiałam powiedzieć, w jaki sposób zarabiam na życie. Wstydziłam się, kiedy dochodziło co do czego. Gdzieś w środku czułam, że zaprzepąściłam swoje szanse, poświęciłam karierę zawodową dla pierwszej lepszej posady w imię większego celu, jakim było życie we Francji. Jedyną logiczną rzeczą, zdecydowałam, było skupić się na tym, gdzie mieszkam, na tym aspekcie mojego życia, którego ludzie mi zazdrościli; napisać sprawozdanie „ryby wyjętej z wody” i rzuconej do Paryża.

Potrzebowałam tylko dobrego tytułu. Podobał mi się pomysł pisania pod *nom de plume*, nie dlatego, że miałam coś do ukrycia, ale dlatego, że takie były niepisane reguły gry. Pseudonim *petite anglaise* sam mi się nasunął wraz z wyjaśniającym podtytułem: *Dziennik trzydziestolatki w Paryżu*.

Stworzenie bloga było zadziwiająco łatwe: parę kliknięć myszką i podpisałam swoje konto, nazwałam blog i wybrałam standardowy podkład. Sekundy później narodziło się moje *alter ego*. Teraz zostało mi tylko wymyślić coś, o czym powinnam pisać.

To będzie niewinne hobby, pomyślałam, mój *jardin secret*, mój wirtualny świat. Ani przez chwilę nie zdawałam sobie sprawy, że uwalniam siłę, która w ciągu roku przewróci do góry nogami moje życie i życie moich najbliższych.

* * *

- Słyszałaś kiedyś o Belle de Jour? - spytałam parę dni później Amy, wpychając łyżeczką nadzienie do mojego napchanego do granic możliwości sandwicha.

Byłam w dobrych stosunkach z większością ludzi z firmy, ale moje życie towarzyskie ograniczało się niemal do zera, odkąd urodziła się Kijanka, zatem większość kolegów widywałam tylko przelotnie w pracy. Amy, drobna brunetka o porcelanowej cerze, była wyjątkiem. Zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy została księgową, przeniosła się na górne piętro i wtedy nabrałyśmy zwyczaju jadać razem lunchu w kuchni.

Siedziałyśmy na stylowych, ale wyjątkowo niewygodnych stołkach, które zakupił mój szef, kiedy modernizował biuro. Nasza uczta leżała teraz na przydymionym szklanym blacie stołu: ja pozwoliłam sobie na sandwicza z jajkiem i bekonem od Liny, czyli

najbliższe mi angielskie śniadanie, jakie mogłam znaleźć na avenue de l'Opéra, chociaż jajko było wymieszane z majonezem, a bekon w formie skrawków, zbyt małych, żeby poczuć jakikolwiek smak.

- *Belle de Jour*... Mówisz o tym filmie z Catherine Deneuve? - spytała Amy.

Potrząsnęłam głową z pełnymi ustami.

- Nie, to również pseudonim kogoś, kto pisze blog - wyjaśniłam, kiedy skończyłam żuć. - Taki internetowy pamiętnik. Czytałam go ostatnio. Jest naprawdę wciągający, jak narkotyk. Był na ten temat artykuł w „Guardianie”.

- Nigdy o tym nie słyszałam ani w ogóle o żadnych blogach, jeśli o to chodzi - powiedziała Amy. - Chociaż „blog” brzmi dla mnie jak coś w rodzaju przykrew choroby...

Nasza konwersacja zoczyła na inne tematy, jako że moje ostatnie odkrycie niezbyt Amy interesowało. Wdałyśmy się zatem w zwykłe plotki: omawianie ostatniego odcinka *EastEnders*, jęczenie na temat pracy, porównywanie swoich przygód z francuskimi chłopakami albo narzekanie, że nie siedzimy w parku, chwytając promienie słońca, zamiast kulić się w klimatyzowanym pomieszczeniu tak chłodnym, że trzeba było mieć na sobie sweter. Boże, pomyślałam, nie jestem tutaj jedyną osobą, która nie wie, co to blog. Trzymanie w sekrecie mojego nowego hobby nie powinno stanowić problemu.

Parę dni później, gdy byłam na zwolnieniu z pracy z powodu męczącego letniego przeziębienia, napisałam swój pierwszy post. Zatyłowałam go *Calpol* i *czopki* i chociaż nie było to może dzieło sztuki, udało mi się zamieścić parę zgryźliwych uwag o praktykach medycznych francuskich lekarzy, którzy przepisywali bezsensowne lekarstwa na zwykłe dolegliwości - wiele z nich aplikowanych *per rectum* - i ponarzekać trochę na swoją pracę. Czytałam i czytałam cztery krótkie paragrafy, wreszcie wzięłam głęboki oddech i nacisnęłam klawisz „publikuj”. Nie sądzę, by choć jedna osoba tego dnia zajrzała na moją stronę, ale widok moich zdań opublikowanych online i tak dał mi dreszczyk satysfakcji.

Bardzo wyraźnie pamiętam wszystkie pierwsze razy. Pierwszy komentarz przy moim dziewiątym wpisie, tydzień później, w którym opisywałam karalucha, który pełzał po ekspresie do kawy w biurze. „To obrzydliwa i zbyt osobista informacja”, napisał Cass, nieznany czytelnik z Ameryki. Pierwsza wiadomość, jaką dostałam na adres e-mailowy *petite anglaise*, stworzony do tego celu, pochodziła od kolegi blogera, który nazwał się

Tim. Po raz pierwszy inny bloger dodał *petite anglaise* do swoich ulubionych stron.

Kilka tygodni później do mojej skrzynki trafił e-mail informujący mnie, że dział newsów o blogach wybrał *petite anglaise* na Odkrycie Dnia. Otworzyłam ich stronę, ledwo żywa z podniecenia, i przeczytałam z zapartym tchem, co mieli do powiedzenia. Recenzja była zwięzła i słodka: *Raczej elegancki nowy blog, prowadzony przez kobietę, która określa się jako trzydziestokilkuletnia Brytyjka w Paryżu* - ale ta krótka wzmianka przyniosła mi tłumy czytelników. Tego dnia pływałam po biurze w obłoku własnego samozachwytu. „Raczej elegancki”, mówiłam do siebie, kiedy wchodziłam do kuchni po zwyczajową gorącą czekoladę, uśmiechając się pod nosem. Już nie byłam „tylko sekretarką” ani „tylko matką”, byłam teraz także „bloggerką”. *Petite anglaise* stanowiła sekret, który trzymałam dla siebie i który mnie podtrzymywał na duchu przez morderczo nudne godziny kserowania i pisania na komputerze, a także przez długie samotne wieczory w czterech ścianach mieszkania, kiedy Pan Żabojad pracował, a Kijanka spała.

- To wspaniale - powiedział Pan Żabojad pewnego wieczoru, zmagając się ze szczególnie śliskim kawałkiem sushi, podczas gdy ja wpychałam do ust mokre różowe plasterki imbiru.

Korzystaliśmy z jednej z nielicznych okazji, kiedy mogliśmy wyjść na miasto, i siedzieliśmy w japońskiej restauracji w cieniu kościoła Saint Jean de Belleville. Kijanka była pod opieką rodziców Pana Żabojada - całe dwie godziny drogi pociągiem - a *tata* wyjechała na wakacje do swojej rodziny w Algierii. Po raz pierwszy rozdzieliłam się z córką na cały tydzień i chociaż rozkoszowałam się błogim spokojem i odrobiną odzyskanej swobody, czułam się winna za przyznanie sobie tego prawa.

- Chodzi mi o to, że piszesz to coś dopiero od miesiąca. - Sięgnął po imbir i zdziwił się jego smakiem. - A już masz tysiąc czytelników! To zdumiewające! Przykro mi, że nie mam kiedy tego czytać, ale sama rozumiesz, jestem tak zajęty w pracy...

- Nie ma sprawy. Wiem, że czytanie nigdy nie było twoją ulubioną rozrywką, zwłaszcza po angielsku.

Mało powiedziane. Najdroższym meblem w naszym mieszkaniu była półka na książki z Habitat, wypełniona od góry do dołu trzema rzędami moich powieści. Pan Żabojad posiadał pięć, może sześć książek, ale z tego, co wiem, przeczytał jedną.

Nie wykrzyczałam mu całej prawdy, bo jego stwierdzenie trochę mnie jednak

zabolało. Znalazłam sobie prawdziwe hobby, stworzyłam coś, z czego zaczynałam być dumna. Czy to za dużo spodziewać się, że podzieli mój entuzjazm, że zainteresuje się tym, co piszę? Rozgoryczona zanurzyłam kawałek tuńczyka w sosie sojowym i skrzywiłam się, kiedy brązowe kropelki rozprysnęły się na moim białym T-shircie.

* * *

Petite anglaise nie było właściwie o mnie, w każdym razie nie na początku. Przez miesiąc lub dwa wypełniałam blog dowcipnymi, miałam nadzieję, i sarkastycznymi spostrzeżeniami o życiu w Paryżu, opisując, jak miejscowi strażnicy parkowi uwielbiają gwizdać w swoje gwizdki, napęczniali własną ważnością, albo lamentując, że Francuzi tak niechętnie sprzątaję po swoich psich przyjaciółach. Po raz pierwszy wspomniałam o Panu Żabojadzie, kiedy zamieściłam post, jak to Francuzki zdają się być od młodości przyzwyczajane do akceptacji niewierności mężów, którą to kwestię poruszyłam w rozmowie z Amy na temat surrealistycznej pogawędki, jaką przeprowadziła kiedyś z macochą swojego chłopaka. „Pan Żabojad codziennie pracuje do późna”, napisałam w ostatnim zdaniu. „Rzekomo”.

Jego pseudonim nie był szczególnie natchniony i wymyśliłam go bez większego zastanowienia. A stąd był już tylko krok do nazwania naszej córki Kijanką, bo jedno do drugiego pasowało. Stopniowo zaczęłam nakreślać moje „postaci”, opisując zabawne rzeczy, które powiedziały albo zrobiły, ale powstrzymywałam się od ujawniania zbyt wielu faktów, nie chcąc otwierać puszeki Pandory.

Któregoś jesiennoego dnia wreszcie przekroczyłam linię, jaką sobie wyznaczyłam, i napisałam post, który zaczynał się od słów: „Pan Żabojad nie chce mnie poślubić...”. Przeszłam do listy pragmatycznych i mało romantycznych argumentów, którymi usiłowałam zacisnąć pętlę, odkąd urodziła się Kijanka, a które obracały się wokół dziedziczenia, emerytur i wspólnego kupienia mieszkania, i dodałam do tego parę jęków, że moje racjonalne rozumowanie nie wywarło na Panu Żabojadzie żadnego wrażenia.

- To deprymujące, że wszystkie te scenariusze prowadzą do zapewnienia sobie bytu po śmierci któregoś z nas - powtarzał. - Gdybym miał kiedyś się ożenić, w co wątpię, wolałbym to zrobić z bardziej pozytywnych powodów.

Przyznałam także, że czuję ukłucie zazdrości, ilekroć mam podać nazwisko naszej córki, które nie jest moim nazwiskiem. W treści mojego postu nie było niczego, czego

bym nie omawiała setki razy sam na sam z Panem Żabojadem, ale tu nagle zachęcałam obcych ludzi do wypowiedzi na temat naszego prywatnego życia. Co, na Boga, chciałam przez to osiągnąć? Czy w głębi duszy miałam nadzieję zawstydzić Pana Żabojada i zmusić go do deklaracji? Czy sądziłam, że jeśli przeczyta oburzone komentarze moich czytelników, zda sobie sprawę z własnych błędów?

„Jeśli przyklęknie na kolano, wyjmiesz pierścionek i powiesz: »Proszę, wyjdź za mnie, bo nie mogę bez ciebie żyć«, to on powie »Tak«? - zastanawiała się Zinnia, inna blogerka, która stała się regularną komentatorką. Dlaczego nie zmusisz go do wyłożenia kart na stół?"

„Zawsze możemy wzbudzić jego zazdrość - zasugerował komentator, który podpisywał się nickiem Watski, zapewne dla żartu. - Co ty na to?"

- Mam nadzieję, że nie uraziło cię to, co dzisiaj napisałam - powiedziałam do Pana Żabojada, kiedy wrócił tego wieczoru do domu.

Siedziałam przy komputerze, od paru godzin pracowicie projektując nową szatę graficzną blogu w odcieniach przydymionego różu, cappuccino i czekolady. Obrazek na górze strony przedstawiał widok z naszego balkonu o zachodzie słońca, w który wkomponowałam słowa *petite anglaise*. Litery nie były całkiem równo rozstawione, ale i tak cieszyłam się jak dziecko ze swojego dzieła.

- A cóż by mnie miało urazić? Nie czytałem, wybac. Jestem w tym momencie strasznie zavalony pracą. - Brzęknął kluczami, kładąc je obok papierosów na gzymsie marmurowego kominka, i zerknął na monitor nad moim ramieniem. - Ale wygląda bardzo ładnie. Naprawdę twoja strona zyskała, odkąd widziałem ją ostatni raz.

- Napisałam dzisiaj, co sądzę o małżeństwie - powiedziałam, zaciskając prawą ręką na myszy, a lewą skubiąc brzeg spódnicy. - No wiesz, o tym, jak nie możemy dojść do porozumienia czy to konieczne. To trochę bardziej osobisty wpis niż zazwyczaj. Nie żeby ktoś wiedział, kim jesteśmy, oczywiście...

Jedynymi osobami, oprócz Pana Żabojada, które wiedziały, że prowadzę blog, byli moi rodzice. Po tym, jak napisano o nim w gazecie, nie mogłam sobie darować, żeby się nie pochwalić.

- Och, rób, co uważasz, i pisz, o czym chcesz. To twój blog. Cieszę się, że znalazłaś sobie hobby, które lubisz - powiedział łaskawie Pan Żabojad, zdejmując garnitur i wkła-

dając piżamę.

Wyszedł z pokoju, żeby coś przegryźć przed nocą; usłyszałam, jak otwiera drzwi lodówki i zdejmuje kapsel z piwa. Z ulgą wróciłam do mojego bloga. Czyż nie dał mi *carte blanche*, żebym robiła to, co chcę?

Pobudzona przez dobrotliwą obojętność Pana Żabojada oraz coraz liczniejsze wspierające e-maile i komentarze, zaczęłam zdradzać coraz więcej szczegółów z własnego życia w *petite anglaise*. To doświadczenie stało się dla mnie niespodziewanym katharsis; zachęciło mnie, żeby sięgnąć w głąb siebie, korzystając z pełnej anonimowości. Moją wizytówką stała się bezwzględna szczerość. Dokumentowałam swoje niezadowolenie z pracy, poczucie winy, że nie chcę siedzieć w domu z dzieckiem, i ogarniającą mnie zazdrość, kiedy Kijanka lgnęła do ojca, którego wyraźnie faworyzowała. Ale gdy opisywałam jego późne powroty do domu albo moje rozterki, czy mieć, czy też nie mieć drugiego dziecka, między wierszami ujawniało się moje niezadowolenie z naszych relacji, choćbym nie wiem jak starała się trzymać w ryzach. Blog dawał mi ujście, a pisanie stało się dziwnie wyzwalającym doświadczeniem. Znalazłam sposób, żeby dać wyraz swoim myślom i emocjom, bezpieczne miejsce do wyrzucenia z siebie frustracji bez robienia nikomu krzywdy. Negatywne uczucia często ze mnie uchodziły - choćby na chwilę - gdy tylko naciskałam ikonkę „publikuj”. Z łatwością zapomniałam, że za każdym razem, kiedy dawałam upust goryczy, moje słowa w czekoladowo-brązowym foncie pojawiały się na ekranach tysięcy komputerów.

Wykreowana przeze mnie w wirtualnym świecie osoba była dowcipniejsza i seksowniejsza, niż sama mogłam do tego aspirować. Jej wypowiedzi były spisane i edytowane, a każdy ruch opracowany, podczas gdy w prawdziwym życiu często się gubiłam w słowach i jak każdy miewałam złe nastroje. Moi czytelnicy nie widzieli, czy mam skarpetki do pary i odpowiedni makijaż, i zdawali się z góry zakładać, że jestem elegancka i szykowna, jakby część uroku Paryża opromieniała także i mnie. Nie miałam zamiaru tego prostować - cieszyłam się kreowaniem nowego, ulepszanego wizerunku osoby, którą chciałam być. Popularność *petite anglaise* pozwalała mi uciec od samotności i pustki, od braku zainteresowania ze strony partnera.

Po jakimś czasie zaczęłam żyć jakby poprzez *petite anglaise*. Dziewczyna, którą byłam - i która niechętnie zajęła tylne siedzenie, borykając się z realiami pracy i

macierzyństwa - z każdym postem stawała się silniejsza i bardziej pewna siebie. *Petite anglaise* wyskoczyła z monitora: żyła i oddychała, rzucała własny cień. Razem byliśmy wyższe. Blog kazał mi uważniej przyjrzeć się swojemu otoczeniu, dał nowy wymiar mojemu życiu.

Pan Żabojad, chociaż nie krył ulgi, że znalazłam sobie rozrywkę, która łagodziła moje pretensje o jego późne powroty, rzadko zaglądał do mojej duszy poprzez to wirtualne okienko. Jeśli któryś z moich wpisów był wołaniem o pomoc, prośbą o odrobinę uwagi albo cienko zawołowaną groźbą, to pozostawał bez echa, bo choćby nie wiem ilu ludzi czytało moje słowa, czy też, ilu ludzi je komentowało, jedyna osoba, do której były adresowane, nie wykazywała nimi żadnego zainteresowania.

„Któregoś dnia wsadziłam szpilkę Panu Żabojadowi, że gdybym miała namiętny romans i opisała to w Internecie, byłby ostatnim człowiekiem, który się o tym dowie" - zamieściłam w grudniu sarkastyczny komentarz na mojej stronie, sześć miesięcy po powstaniu bloga.

Tego wieczoru przygotowałam się na jego pełną oburzenia reakcję, która nie nastąpiła. Sądzę, że Pan Żabojad nigdy nie przeczytał tych słów.

5.

Kontakt

- Apsik! - kichnęła Kijanka, kiedy podetknęłam jej pod nos bukietik jasnoróżowych kwiatków.

Płatki rozsypały się od tego podmuchu i opadły delikatnym gradem konfetti na jej dzinsy. Byłam przewrotnie zachwycona, że kichnęła po angielsku, a nie po francusku: *Atchoum! France: nul points; Angleterre: dix points*. Zaledwie poprzedniego dnia lamentowałam na blogu, że język jej ojca góruje teraz nad moim, zwłaszcza od jej niedawnej wizyty u rodziców Pana Żabojada - czyli u *Mamie* i *Papy*, jak ich nazywała - więc każda sylaba po angielsku, jaką mogłam wydobyć z jej ust, była małym zwycięstwem i niebiańską muzyką dla moich anglosaskich uszu.

Był marzec i *petite anglaise* miała już dziewięć miesięcy. Łagodne promienie światła sączące się przez drewniane żaluzje i uporczywe gruchanie gołębi obudziły mnie tego ranka wcześniej niż zazwyczaj i przepełniona wiosennym optymizmem zainaugurowałam pierwsze wyjście w nowym jasnoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym, który był owocem szybkich zakupów w porze lunchu. Zauroczyła mnie jego pikantna podszywka w kolorze zielonego jabłuszka, choć nie mógł jej widzieć nikt oprócz mnie.

- Koci łapci? - poprosiła Kijanka, mówiąc o swojej najnowszej ulubionej zabawie.

Nadchodziły jej drugie urodziny i mówiła coraz lepiej, odkąd po raz pierwszy zaczęłam pisać o niej na blogu. Często gratulowałam sobie, że dokumentuję jej postępy, zachowując fragmenty naszych rozmów dla potomności.

- Hm... - westchnąłem, szukając w myślach innej zabawy. - Nie za bardzo mogę z tobą w to grać, kiedy pcham wózek. - Może raczej sobie policzymy?

Ćwiczyłyśmy liczenie od paru dni: liczyłyśmy zabawki w kąpielni, jabłka w sałatce owocowej, palce u rąk i nóg. Najpierw Kijanka kwitowała moje wyliczanki uśmiechem, choć widziałam, że uważnie obserwuje każdy ruch moich ust. A potem, znienacka, kiedy słuchałam jej jednym uchem, policzyła samodzielnie od jednego do dziesięciu. Potykała się tylko przy cyfrze „cztery”, którą dla wszelkiej pewności zawsze powtarzała dwa razy.

- Raz... - zaczęłam, wskazując samochód, którego maska niemal dotykała tylnego zderzaka stojącego przed nim vana, co było typowym dla paryżan sposobem parkowania.

- Twa, szy, sztery... - ciągnęła Kijanka, wskazując mniej więcej w tym samym kierunku. - Sztery, pięć, sześć, siedem... - Urwała, jakby zabrakło jej konceptu.

Samochodów wokół stało bez liku. Porysowanych, pokiereszowanych i naznaczonych obecnością gołębi nad głowami.

- Po siedmiu jest osiem - odpowiedziałam.

- I... dziewięć, dziesięć! - krzyknęła nagle Kijanka triumfalnie.

Przystanąłam, pochyliłam się i pocałowałam ją w czubek nosa. Kiedy podnosiłam głowę, zauważyłam, że nadal wskazuje palcem na „dziesięć”. Dopiero wtedy mnie oświeciło. Podczas kiedy ja liczyłam niefrasobliwie zaparkowane samochody, moja córka pieczołowicie liczyła psie odchody różnych wielkości i kształtów, które starałyśmy się omijać. Takie są radości życia w mieście. Przynajmniej będę z tego miała niezły post, pomyślałam, uśmiechając się do siebie. Kijanka była zapewne najbardziej popularną postacią na blogach w ostatnich dniach, podczas gdy nieobecność Pana Żabojada mogła rzucać się w oczy.

Zanieczyszczony chodnik na chwilę odpłynął w dal, a ja oczami wyobraźni zobaczyłam zupełnie inne życie: stary wiejski domek, zarośnięty ogród, mały rodzinny samochód. Ostatnio rozważaliśmy, czyby nie przenieść się na wieś pod Lion, kiedy Pan Żabojad wypatrzył interesującą ofertę pracy w magazynie związkowym. Uczepiłam się tego pomysłu, surfując maniacko po Internecie w poszukiwaniu cen domów i pracy sekretarki, jak zwykle niepotrzebnie wrywając się przed szereg. Natomiast entuzjazm Pana Żabojada szybko wygasł i nie trzeba było długo czekać, żeby ze wszystkiego zaczął się wycofywać.

- Chodzi o to, że gdybym przyjął pracę *en province*, musiałbym się pogodzić z myślą o zrezygnowaniu z kariery - usprawiedliwiał się zeszłego wieczoru, siadając obok na brzegu łóżka, przy moim biurku. - A chyba nie jestem na to gotowy. W każdym razie przez najbliższe lata...

- Przez najbliższe lata? - wrzasnęłam, odwracając się do niego od komputera; łyzy frustracji zapiekły mnie w oczach. - Cóż, naprawdę mam nadzieję, że ta twoja „kariera” będzie tego warta. Bo jak dotąd harujesz od rana do nocy i niewiele z tego wynika... - Z

powrotem odwróciłam się do monitora, wypełnionego zdjęciami dwujęzycznych szkół położonych w pięknych parkach, nad którymi śliniłam się przez ostatnie pół godziny; pornografia dla mam. - Nie powinieneś rozbudzać we mnie nadziei, jeśli nie mówisz serio, to nie w porządku! - Zamknęłam okienko emfatycznym kliknięciem myszy.

Mój związek z Panem Żabojadem wszedł w impas: nie umieliśmy się dogadać, czy kontynuować nasze długie łowy na nowe mieszkanie, czy starać się o drugie dziecko, czy wyprowadzić się z miasta. Naciskałam na zmianę - jakąkolwiek zmianę - w płonnej nadziei, że nowy dom i nowe dziecko mogą być tym, czego nam trzeba. Pan Żabojad zaś okopał się na swoich pozycjach, używając pracy jako wymówki od podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Ta farsa mogła dalej trwać, ale podejrzewałam, że oboje jesteśmy jednakowo znużeni naszym związkiem. Unikaliśmy jednak jasnego postawienia sprawy z obawy, żeby nie wyrządzić nieodwracalnej szkody. Zamiast tego trzymaliśmy się niepisanego scenariusza - ja nalegałam, on się opierał - i wciąż tkwiliśmy u swego boku bez większego przekonania.

Na szczęście tego konkretnego wiosennego dnia miałam inne, weselsze rzeczy, na których mogłam skupić uwagę. Umówiłam się na lunch. Po raz pierwszy miałam się spotkać na żywo z koleżanką blogerką. Z wirtualną przyjaciółką, Amerykanką, którą znałam tylko z pseudonimu. Coquette miała stać się postacią, która chodzi, mówi i je - w przeciwieństwie do zbioru wymienianych e-maili. To była pewnego rodzaju randka w ciemno, coś, czego nie doświadczyłam, odkąd osiem lat temu poznałam Pana Żabojada albo przedtem Florence. I jeśli miałabym być ze sobą szczerą, włożyłam nowy płaszcz, żeby zrobić na niej odpowiednie wrażenie.

Tego ranka w pracy, kiedy biegałam palcami po klawiaturze, myślami byłam zupełnie gdzie indziej, a moje wzrastające podniecenie przeplatało się z napadami paniki. „Spotkanie kogoś, kto przedtem był anonimowy, prowadzi samo z siebie do »wolę książkę od filmu«,” napisała Coquette w ostatnim e-mailu, chociaż miała same dobre rzeczy do powiedzenia o innych blogerach, których poznała od czasu przyjazdu do Francji. Czy martwiłam się, że ją rozczaruję, że będę mniej interesująca niż *petite anglaise*? A może chodziło o to, że Coquette była dwudziestolatką przeżywającą swoje pierwsze zauroczenie Paryżem, i bałam się, że w porównaniu z nią wydam się stara i zrezygnowana, a jej młodzieńczy optymizm tylko podkreśli moje znużenie? Nacisnęłam pedał pod biurkiem,

przewijając taśmę do początku, ale niewiele mi to dało: byłam całkowicie rozkojarzona.

- Miałabyś ochotę wziąć lunch do Tuileries i posiedzieć trochę w słońcu? - spytała Amy, pojawiając się nagle u mojego boku.

Zdjęłam słuchawki z uszu i odwróciłam się do niej, zakłopotana, szukając jakiejś zgrabnej wymówki. Amy nie wiedziała o *petite anglaise* i nie chciałam się przyznawać, że idę spotkać się z kimś, kogo znam tylko z Internetu. Mnie samej zajęło dobrych parę miesięcy, żeby przekonać się do pomysłu spotkania z obcymi ludźmi z cyberprzestrzeni. Jak, na Boga, miałam się spodziewać, że ona to zrozumie?

- Prawdę mówiąc, yyyym... umówiłam się z dawną przyjaciółką... jeszcze z Anglii... która przyjechała na kilka dni w związku ze swoją pracą - powiedziałam, nie patrząc jej w oczy. - Nie widziałyśmy się od lat. Zaprosiła mnie na własny rachunek, inaczej wzięłabym cię ze sobą...

- Och, nie ma problemu. - Amy zrzedła mina. - Nie martw się o mnie. Na pewno macie mnóstwo spraw do obgadania. Mam książkę. Dam sobie radę.

Niedawno rozpadł się jej długoletni związek z francuskim chłopakiem i bardzo to przeżywała. Spadła na wadze, choć już i tak była szczupła, i miała podkrążone oczy, jakby znowu płakała w łazience. Parę razy zaprosiłam Amy do nas na kolację i nawet poznała Kijankę, która uwielbiała gości. Amy była najbliższą przyjaciółką, jaką tu miałam, i przykro było mi ją okłamywać. Przez chwilę czułam pokusę, żeby wyznać prawdę i powiedzieć jej o *petite anglaise*. Ale musiałam się spieszyć, żeby się nie spóźnić. Powiem jej później, zdecydowałam; na razie ta rewelacja musi poczekać.

Coquette i ja umówiłyśmy się w La Fermè na rue Saint Roch, kawiarni ze zdrową żywnością, w której kanapki były niewątpliwie zbyt drogie, ale o wiele bardziej urozmaicone niż bagietki z serem albo szynką lub z szynką i z serem, jakie proponowano przeważnie we wszystkich innych miejscach. Kiedy się zbliżałam - mając w uszach wycie syren, które zawsze testowano w południe w pierwszą środę każdego miesiąca - musiałam dokonać znacznego wysiłku, żeby rozluźnić zaciśniętą szczękę i przestać marszczyć brwi. Skręciwszy za róg i ominąwszy kolejkę do bankomatu wijącą się na chodniku, od razu wypatrzyłam Coquette, rozpoznając ją po kasztanowych lokach z fotografii na jej blogu. Sama nie umieściłam w sieci swojej fotografii, ale najwyraźniej wystarczył opis, jaki jej dałam: długie blond włosy i okulary w wyrazistych, czarnych oprawkach.

- A więc to ty jesteś *petite*! - krzyknęła i obie wykrzesaliśmy z siebie nerwowy uśmiech. - Nie jesteś wcale taka, jakby to powiedzieć, *petite*, jak myślałam.

- Możesz mówić do mnie Catherine, jeśli chcesz - wybąkałam, speszona tym, że pierwszy raz usłyszałam imię *petite* wypowiedziane na głos.

- A ja jestem Elisabeth - powiedziała Coquette. - Ale musisz mi wybaczyć, jeśli się pomyłę i zwrócę do ciebie per *petite*. Tak się przyzwyczaiłam do tego imienia, że niełatwo mi będzie przeprogramować mózg...

Pocałowałyśmy się nieco niezdarne w powietrzu i weszłyśmy do kawiarni. Z ulgą zauważyłam, że Elisabeth jest równie zdenerwowana jak ja, co poniekąd kłóciło się z pewnym siebie tonem, jakim Coquette przemawiała na blogu. Szybko wybrałam quiche i sałatkę, grzebiąc w portmonetce trzęsącymi się palcami. Przeczesałyśmy wnętrze w poszukiwaniu cichego kąta z wygodnymi fotelami, gdzie mogłybyśmy porozmawiać.

- Czy to nie dziwne, że się w ten sposób poznajemy? - zagaiłam, zdając sobie sprawę, że już mimo woli zmieniłam akcent, przyswajając sobie amerykańską wymowę samogłosek i intonację Elisabeth.

Zawsze byłam kimś w rodzaju lingwistycznego kameleona i nieświadomie adoptowałam sposób mówienia rozmówcy. Dzięki temu mój francuski akcent jest niemal nieskazitelny, ale czasami martwię się, że ludzie, których naśladowę, mogą powziąć podejrzenie, że ich przedrzeźniam.

- Zapewne nasze spotkanie jest trochę dziwne, ale miło mi cię poznać - odparła Elisabeth, polewając sosem vinaigrette swoje *mâche* i sałatkę z roquefortem. - Choć mam wrażenie, że już cię znam. Czytam twój blog od wielu miesięcy i cała moja rodzina w Stanach też.

- Przerwij mi, gdybym zaczęła opowiadać coś, co już znasz - zażartowałam, świadoma, że z mojego zapasu anegdotek wiele zostało już zużytych.

Czy nadal będziemy miały sobie coś do powiedzenia, czy też lunch upłynie pod znakiem niezręcznych chwil milczenia? Ale swoją następną kwestią Elisabeth rozviała moje obawy.

- Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię zapytać - westchnęła. - Nasze blogi tylko ślizgają się po powierzchni, ale o wielu sprawach nie mówimy albo napomykamy półgębkiem...

W ten sposób miałyśmy z głowy rozmówkę wstępną i od razu przeszłyśmy do sedna, wypytując się o to i tamto i wydając okrzyki nad wspólnotą doświadczeń, co dawało nadzieję na podwaliny pod przyjaźń. To się odbyło całkiem naturalnie: znałam Elisabeth zaledwie od paru minut, ale Coquette od dawna.

- Oczywiście, ja nie piszę o życiu osobistym tak szczerze jak ty - zamyśliła się Elisabeth, odkładając widelczyk po spałaszowaniu z apetytem kawałka sernika, co odróżniało ją od Francuzek wokół nas, delektujących się papierosami nad filiżaneczkami espresso. - Często jestem ciekawa, jak Pan Żabojad na to reaguje...

- Cóż, chyba niezbyt często mnie czyta, z tego, co wiem - powiedziałam ostrożnie. - Ale mam teorię, że widzi mój blog jako miejsce, gdzie mogę anonimowo dać upust emocjom, nie czyniąc nikomu krzywdy... Poza tym jest zadowolony, że mam jakieś zajęcie i mniej się go czepiam za późne powroty do domu. - Urwałam, zastanawiając się, czy to prawda, czy tylko staram się przekonać samą siebie. Pan Żabojad był człowiekiem małowównym: to, co naprawdę czuł, pozostawało zagadką. - I owszem, piszę rzeczy osobiste, ale też dużo zachowuję dla siebie. Postawiłam sobie pewną granicę. Decyduję, co zamieścić, a co nie. Ludzie dostają tylko krótkie migawki z naszego życia. Sami je sobie łączą i w rezultacie mają wrażenie, że znają prawdziwą mnie.

- A czy prawdziwa ja spełniłam twoje oczekiwania? - spytała żartobliwie Elisabeth, kiedy się żegnałyśmy. Godzinna przerwa na lunch minęła jak z bicza trzaśł; nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze mi się rozmawiało z kimś, kogo dopiero co poznałam. - Sądzisz, że mój głos na blogu pasuje do mojej twarzy?

- I tak, i nie - odparłam wymijająco, starając się przypomnieć sobie, czy miałam jakieś wcześniejsze wyobrażenie, jak będzie mówić czy jak się zachowywać.

Jeśli już, to odczułam ulgę, że jest taka normalna. Coquette była wygadana, dowcipna, zdecydowana w poglądach... a w rzeczywistości Elisabeth brakowało czasem słów albo nerwowo bawiła się włosami. Jednym słowem, pokrzepiła mnie na duchu, okazując się istotą ludzką. Nie śmiałam spytać, jak ona mnie znajduje, ale zaglądając później tego dnia na jej blog, z przyjemnością przeczytałam, że spotkanie z *petite* „zrobiło na niej wrażenie”.

Odpowiednio podbudowana, zapisałam się na *soirée* paryskich blogerów pod koniec miesiąca i namówiłam Elisabeth na to samo. Nadszedł czas, żeby oderwać się od monitora

i pozwolić *petite anglaise* rozpocząć życie towarzyskie.

* * *

- Naprawdę, naprawdę zależy mi, żebyś wrócił do domu wcześniej w przyszły wtorek...

Postawiłam tacę z serami i *charcuterie*, miseczką *cornichons* i z *demi-baguette* na stoliku do kawy przy kanapie, na której leżał Pan Żabojad. Za nim migotało niebo nad Paryżem; pomarańczowy blask zamglonych świateł przyćmiewał gwiazdy, które powinny być widoczne nad dachami domów. Uklękałam przy szklanym blacie i nalałam sobie szklaneczkę *bordeaux*, machając do niego pytająco butelką. Pan Żabojad potrząsnął przecząco głową i podniósł się do pozycji siedzącej, żeby coś zjeść.

- Przypomnij mi dlaczego? - Wziął nóż i zaczął odkrawać cienkie plasterki z bloku *comte*, układając je sobie na pieczywie.

- Przecież wyjaśniałam ci to wczoraj! - Odstawiłam z brzękiem szklanek. - Czy ty nigdy nie słuchasz ani słowa z tego, co mówię?

- Mówisz bez przerwy - odparował Pan Żabojad. - W jaki sposób mam to wszystko spamiętać?

Winię swoich rodziców za mój słowotok. Jako nastolatkę wzięli mnie do irlandzkiego zamku, żebym mogła pocałować Blarney Stone - legendarny Kamień Elokwencji.

Wieczorami, kiedy Pan Żabojad wracał z pracy, byłam wygłodniała rozmowy z kimś dorosłym i miałam mu milion rzeczy do powiedzenia, w tym wiele dotyczących blogu. Niestety, jego jedynym życzeniem był święty spokój i często błagał mnie, żebym wreszcie przestała trajkotać, bo „głowa mu pęka”.

- Jak już mówiłam, umówiliśmy się na spotkanie paryskich blogerów, *Paris bloguetil*, pamiętasz? To w czternastej *arrondissement*, więc zajmie mi całe wieki, żeby tam dojechać metrem. Miałam nadzieję, że się postarasz i będziesz w domu przed siódmą.

Aż się skręciłam, słysząc swój błagalny ton: nienawidziłam o cokolwiek się dopraszać. Siódma była powiedziana na wyrost, bo przy pewnej dozie optymizmu mogłam liczyć jedynie na to, że Pan Żabojad pojawi się koło ósmej, a ja wskoczę w taksówkę i za bardzo się nie spóźnię.

- Wtorek... nie wiem... mam spotkanie w czwartek, do którego muszę się

przygotować... Zastanowię się... - Zawiesił głos, widząc chmury gradowe kłębiące się nad naszymi głowami.

- To dla mnie ważne. - Byłam już zirytowana. - Nie prosiłam cię, żebyś został z dzieckiem od czasu tego babskiego spotkania miesiąc temu.

Zupełnie niepotrzebnie przypominałam, że przy tej okazji wrócił do domu tak późno, że musiałam prosić przyjaciółkę, aby zamówiła mi główne danie, i zjawiłam się na miejscu, kiedy sos pieprzowy zaczął zastygać na moim steku.

- Przepraszam cię już za to sto razy. Ile razy masz zamiar mi to wypominać?

- Przykro mi - powiedziała, choć wcale nie było mi przykro. - Po prostu mam dość tego, że to zawsze ja muszę się dostosowywać. Jeśli ty chcesz zobaczyć się z przyjaciółmi po pracy, po prostu wsiadasz na swoją vespę i jedziesz. Zapomniałam już, co znaczy słowo „spontaniczność”. Zawsze muszę planować wszystko z góry, prosić cię o pozwolenie i nawet wtedy nie mogę być pewna, że coś ci nie wypadnie w ostatniej chwili i nie zepsuje mi planów. A kiedy już gdzieś idę, to muszę najpierw zwijać się jak w ukropie, przygotowując się do wyjścia między nakarmieniem małej, kąpielą i przeczytaniem bajki, po czym jestem tak zmęczona, że nie mam siły być towarzyską...

Pan Żabojad wzruszył ramionami. Słyszał już to wszystko setki razy.

- Przepraszam... - powiedział łagodnie, nie chcąc mnie bardziej rozjuszać - ale obawiam się, że przyszły wtorek może być trudny. Będę lepiej wiedział za parę dni...

- Jeśli nie mogę na ciebie liczyć, muszę zamówić babysitterkę - oświadczyłam ze złością, dając wyraźnie do zrozumienia, że to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. - Zapewne potrzebuje nowej torebki.

Maryline, studentka, którą znalazłam, dając ogłoszenie na tablicy w lokalnej *boulangerie*, zawsze była tak odstawiona, gdy wparowywała do naszego mieszkania, że czułam się przy niej jak kopciuszek. Na początku nie rozstawała się z torebką od Diora, ohydztwem z ogromną dyndającą literką „D” i zadrukowanym w logo firmy płóciennym wierzchem. Ale ostatnim razem, kiedy ją zamówiliśmy na jeden z nielicznych weekendów, gdy wybieraliśmy się do kina, zjawiła się, wymachując pikowaną białą kopertą Chanel, którą bez wątplenia - chcąc nie chcąc - współfinansowaliśmy.

- Oczywiście będę musiała jej zapłacić oraz dać na taksówkę w obie strony, więc ta przyjemność będzie cholernie kosztowna - dodałam.

- Zapłacę i za nią, i za taksówki, *t'inquiètes pas* - powiedział Pan Żabojad znużonym głosem, widząc możliwość wykupienia się i zakończenia rozmowy.

- Dzięki - burknęłam. - Zadzwoń do niej jutro. Dla twojego własnego dobra mam nadzieję, że będzie wolna.

Wycofałam się do sypialni, nacisnęłam pierwszy lepszy klawisz na klawiaturze i patrzyłam, jak monitor budzi się do życia. Z pewnym wahaniem zaczęłam pisać tekst o tym, jaka jestem sfrustrowana zakończoną właśnie wymianą zdań. „Macierzyństwo podcięło mi skrzydła, ale bycie ojcem niczego praktycznie nie zmieniło w życiu Pana Żabojada. Dlaczego *liberté, égalité i fraternité* tak mało znaczą, kiedy przychodzi wspólnie wychowywać dziecko? Czasami czuję się, tak, jakby Paryż zaciskał się wokół mnie, a nasze mieszkanie stopniowo zamieniało się w więzienie. Więc coś dziwnego, że przez komputer chcę wypełznąć na świat, uciec autostradą informacyjną, kiedy moja córka już śpi?”.

Po raz pierwszy usiadłam do pisania blogu, gdy moje emocje były jeszcze tak świeże, że niemal czułam smak goryczy na ustach i nie mogłam zatamować potoku słów, które we mnie wezbrały. Wyrzucenie ich z siebie było kojące, ale kiedy rzeka w końcu wyschła i zawisła myszą nad „publikuj”, nagle zmieniłam zdanie i przycisnęłam „usuń”. Przemówił mój wewnętrzny cenzor: w szczycie rozgorączkownia zbyt łatwo napisać rzeczy, których potem nie da się cofnąć. Bałam się przekroczyć niewidzialną linię; zanim się zorientuję, zacznę dzielić się z czytelnikami uczuciami, których nie ośmielałam się wypowiedzieć na głos nawet mojemu partnerowi.

Wyłączyłam komputer, rozebrałam się i zgasłam światło. Kiedy Pan Żabojad wsunął się obok mnie do łóżka, już dawno mocno spałam, jak zwykle. Dzieliliśmy to samo mieszkanie, ale często czułam się tak, jakbyśmy żyli w różnych strefach czasowych.

6.

Persona

- *C'est un poisson, ça!*

Kijanka podniosła zabawkę do kąpiel, pomarańczową plastikową rybkę, z której można było pryskać strumykiem wody, chociaż, dzięki Bogu, nie opanowała jeszcze sztuki użycia jej jako broni.

- Tak, skarbie, to ryba.

Pochyliłam się nad zaparowanym lustrem w łazience, żeby wytuszczać rzęsy, co nawet w najlepszych warunkach było delikatną operacją dla osoby krótkowzrocznej. Właśnie wzięłam szybki prysznic w wannie razem z Kijanką, ku jej zachwytowi - uwielbiała wspólne kąpiele - a teraz robiłam ostatnie kobiece sztuczki ze swoim makijażem, choć nie wybrałam jeszcze stroju wyjściowego, mimo że Maryline miała przyjść lada chwila. Wieczór, jak dotąd, był nieco męczący. Kijanka rozsmarowała sobie kolację na twarzy, a kiedy poszłam przygotować jej kąpiel, zrzuciła miseczkę z deserem na podłogę i zapryskała hojnie parkiet i ścianę jabłkowym *compôte*. Kiedy wytarłam wszystko gąbką, chwyciłam jej protestujące, wrywające się ciało i na siłę ją rozebrałam, po czym bezceremonialnie wpakowałam do wanny, gdzie wyla przez całe pięć minut, dopóki się do niej nie przyłączyłam.

Patrząc teraz, jak najspokojniej w świecie bawi się zabawkami, z buzią otoczoną mokrymi loczkami, nikt by nie podejrzewał, że taki z niej diabełek. Pospiesznie skończyłam się malować, ubrałam się w spodnie i top bez rękawów - jedno i drugie w bezpiecznej, wyszczuplającej czerni - i wyciągnęłam Kijankę z wody, otaczając ją ramionami i obsypując pocałunkami. Miała w sobie coś tak rozkosznego, wręcz do zjedzenia. Nigdy nie przestawało mnie zdumiewać, że moja córka może mieć nade mną taką władzę. Wystarczyło, żeby się przytuliła albo uśmiechnęła tym swoim promiennym uśmiechem, a byłam całkowicie rozbrojona, wybacząc jej natychmiast wszystkie napady złości.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, nawet nie spojrzałam przez judasza; znajomy duszący zapach perfum jak zwykle zwiastował przybycie Maryline.

- *Bonsoir!* - powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to ciepło i przyjaźnie, choć w duszy przeklinałam jej spóźnialstwo. Niewiele rzeczy frustruje bardziej, niż bieganie w kółko jak kurczak z obciętą głową, żeby zdążyć na czas, a potem być zmuszonym do czekania. - *Vous allez bien?* - Głupio było zwracać się per formalne „vous” do babysitterki, na dodatek przeszło dziesięć lat młodszej, ale coś mnie w niej onieśmiało, więc tak mówiłam.

- *Bien, merci.* - Maryline wkroczyła do środka, górując nade mną w swoich szpilkach; jej twarz była upudrowana i wymalowana o wiele umiejętniej niż moja.

- *Merci d'être venue, en tout cas...*

Taksówka nabijała mi dodatkowe euro na dole, jednak trudno było po prostu wcisnąć jej Kijankę i wybiec. Chwila nieszczerzej wymiany uprzejmości była najpierw *de rigueur*. Na szczęście ubrana już w piżamę Kijanka tak się podnieciła na widok „Ma-Liin”, że chwyciła ją za rękę i zaczęła domagać się bajki, zanim jeszcze nieszczęsna dziewczyna zdążyła zdjąć żakiet. Skorzystałam z okazji, żeby szybko uciec - uściskałam małą, musnęłam wargami jej mokre, pachnące szamponem włosy i wsunęłam buty na nogi. W głębi duszy miałam nadzieję, że moja córka da Maryline niezły wycisk. Niech choć raz ta wypindrzona dziewczucha zarobi na swoją designerską torebkę.

- Jej ojciec będzie w domu przede mną! - krzyknęłam przez ramię, chwytając w przelocie płaszcz z wieszaka. - Telefony komórkowe jak zawsze są w notesie przy telefonie, i proszę się poczęstować biskwitami i czymś do picia... *Faites comme chez vous.*

Przypomniało mi się, jak sama dorabiałam sobie babysittingiem jako nastolatka w miasteczku w Yorkshire, gdzie dorastałam. Internet nie był jeszcze w powszechnym użyciu, więc surfowałam po półkach z książkami, dybiąc na zakazane tytuły. W jednym domu znalazłam wystrzępiony poradnik Dr. Aleksa Comforta, w innym powieści D.H. Lawrence'a; cała moja edukacja seksualna pochodziła z cudzych książek. Biorąc pod uwagę własne doświadczenia, wolałam nie myśleć, co robi Maryline, kiedy nie ma mnie w domu. Komputer był przeważnie włączony i jakoś nie miałam przekonania, że naprawdę używa go do odrabiania lekcji. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, że może prowadzić własny blog...

Moja *taxi bleu* stała zaparkowana za rogiem i taksometr wybił już dziesięć euro, zanim zdążyłam wsiąść i podać swoje nazwisko. Kierowca, który mocno pachniał potem i

papierosami, nie był zbyt rozmowny, co w zupełności mi odpowiadało. W radiu zawodziła kolejna z tych Francuzek, które śpiewają ballady w stylu Celine Dion, i po zapięciu pasa pozwoliłam się ukoić muzyce, a ucisk w żołądku trochę mi zelżał.

Chciałam cieszyć się rozkosznym smakiem wolności, równie rzadkim jak smak błyszcząca na moich wargach, ale fakt pozostawał faktem, że - z wyjątkiem Elisabeth vel Coquette - taksówkarz wiozł mnie w stronę lokalu pełnego obcych ludzi. Sto albo nawet więcej osób zapisało się na to spotkanie, i myśl o przeciskaniu się przez tłum w poszukiwaniu przyjaciółki była co najmniej deprymująca.

Ciekawe, co przyniesie ten wieczór, zastanawiałam się, obracając nerwowo pierścienek na środkowym palcu lewej ręki. Moimi czytelnikami byli głównie Brytyjczycy i Amerykanie, więc czy ktokolwiek ze zgromadzonych tam Francuzów będzie w ogóle coś wiedział o *petite anglaise*? Może nie - i w tym przypadku mogę się nie martwić, czy stanę na wysokości zadania i sprostam wyobrażeniom, jak powinnam wyglądać i jak się zachowywać. Ale jeśli tak, to co? Powinnam być sobą, czy też starać się być bardziej jak *petite*? Zapewne na wstępie nie obejdzie się bez drinka - albo i dwóch - żeby nabrać pewności siebie i szyku, których nie brakowało mojemu *alter ego*.

Nasza jazda przez *Paris by night* była widowiskowa: taksówka dała nura w tunel na północ od Les Hailes, jeden z tych krętych, wijących się i szybkich skrótów, które zawsze przypominały mi o Dianie i Dodim, a później wynurzyła się nagle przy Samarytanach i zatrzymała na światłach; przed nami wznosił się Pont Neuf, a wzdłuż rzeki ciągnęły się alkowy dla zakochanych.

Syciłam oczy widokiem, patrzyłam na szereg podświetlonych mostów po obu stronach, na iglice Notre Dame na lewo, na majestatyczne budynki po obu brzegach, ginące w oddali. Naszyjnik świateł, które je iluminowały, był podwojony odbiciem w nieprzeniknionych wodach rzeki. Niepostrzeżenie pod mostem pod nami przepłynął *bateau-mouche*; jego obecność zdradziły okrzyki młodzieżowych turystów, zachwyconych echem własnych głosów.

Zawsze uważałam, że Paryż jest najbardziej urzekający o zmierzchu: jego niedoskonałości ginęły wówczas w półmroku, a spatyniałe piękno podkreślały ciepłe aureole sprytnie rozmieszczonych świateł. Poczulałam przyspieszone bicie pulsu i nagły przyływ uczucia dla mojego domu, a także dla tego miasta, które tak rzadko miałam

okazję podziwiać.

Kiedy ostami raz byłam na Lewym Brzegu? Rok temu? Dwa? Czy to możliwe, że nie przekroczyłam Sekwany, odkąd urodziła się Kijanka? Podczas gdy niegdyś oglądałam Paryż przez szerokokątną soczewkę, podziwiając każdy detal i chełpiąc się, że niemal każdą ulicę przebyłam pieszo, teraz moje Miasto Świąteł zredukowało się do paru zdjęć z polaroidu: biuro, mieszkanie, park, metro. Wszystko w promieniu nie dalszym, niż umożliwiał to spacer z wózkiem albo szybki lunch w przerwie; reszta leżała poza zasięgiem, nie istniała już w moim codziennym, ograniczonym świecie. Paryż skurczył się i wpasował w mój nowy styl życia: można było w nim mieszkać, a jednak w tym samym czasie bardzo za nim tęsknić.

Cel mojej podróży leżał poza centrum i samo dotarcie tam zajęło przeszło dwadzieścia minut. Jechaliśmy rue de Rennes aż do wieży Montparnasse, potem zaś taksówka skręciła z głównej drogi i przedzierała się przez sieć małych uliczek w głąb czternastej *arrondissement*, aż w końcu zatrzymała się przed l'Entrepot, w pobliżu Pernety. Lokal wyglądał tak, jakby kiedyś służył za magazyn, co sugerowała sama nazwa i, zgodnie z pionowymi czerwonymi bannerami, które wisiały nad wejściem, mieściły się tu teraz kino, restauracja i bar. Zapłaciłam taksówkarzowi - z nerwów zatrzasnęłam za sobą drzwi trochę za mocno - i przez chwilę stałam niepewnie na chodniku, zaglądając przez szklane drzwi do słabo oświetlonego, zadymionego wnętrza. W środku kłębił się już tłum - w końcu byłam spóźniona - i na pierwszy rzut oka trudno było sprawdzić, czy Elisabeth już jest. Zadzwoiłabym do niej, gdybym nie przeczytała poprzedniego dnia na jej blogu, że zgubiła telefon. Pozostawało mi tylko wziąć głęboki oddech i dać nura do środka.

Stałam przy drzwiach i kiedy oczy przywykły mi do półmroku, zaczęłam na próżno rozglądać się za przyjaciółką. Sala była ogromna, ale miała tylko kilka stolików, zatem większość zebranych - a była ich chyba co najmniej setka - stała pomiędzy mną a barem. Niektórzy w ciasnych grupkach, inni sami albo w parach, wyraźnie speszeni. Przeważnie Francuzi i w ogromnej większości mężczyźni. Ich niepisanym obowiązkowym strojem zdawały się być dzinsy i czarny T-shirt.

Miałam już iść do baru, kiedy wypatrzyłam stolik na lewo od wejścia. Dwóch facetów - na oko organizatorów - konsultowało przy nim jakąś listę i rozdawało plakietki identyfikacyjne. Podeszłam i mruknęłam niemal niedosłyszalne *bonsoir* do tego jakby

bardziej przystępnego, który był wysoki, miał ciemne kręcone włosy i czarne oprawki okularów, podobne do moich.

- *Bonsoir. C'est quoi le nom de ton blog?*

- *Petite anglaise* - powiedziałam nieśmiało. - Pewno go pan nie zna, jest po angielsku...

- *Ach, c'est toi la petite anglaise?* - wykrzyknął, wyraźnie ciesząc się z naszego spotkania.

Przestąpiłam niepewnie z nogi na nogę.

- Chłopcy! - zawołał do dwóch przyjaciół, kręcących się obok ze szklankami piwa - chodźcie poznać *petite anglaise!*

Moja zdumiona ręka została uściśnięta z energicznym entuzjazmem.

- Mam na imię Nathan - dodał - i oczywiście wiem o twoim blogu. Kiedy wspomniałaś na nim o tym spotkaniu, setki ludzi kliknęło na twój link do naszej strony. Masz imponującą liczbę czytelników!

Nathan był mi wdzięczny, to jasne, ale wydawało mi się, że jest w tym coś więcej. Z nagłym przypływem dumy zobaczyłam, że traktuje mnie jak jakąś osobistość.

- Uuu... aaa... dziękuję. - Zacerwieniłam się z zażenowania pod spojrzeniem kilku par oczu; nie opanowałam jeszcze sztuki naturalnego przyjmowania komplementów. - Mógłbyś mi powiedzieć na podstawie tej listy, czy *Coquette* już przyszła? - Przypięłam identyfikator z nickiem. Nie mogłam już teraz ukryć swojego *alter ego*. - Mam się tu z nią spotkać. To jedyna osoba, którą znam osobiście.

- Ależ tak, już jest. Trudno tu przeoczyć dziewczynę, jest ich jak na lekarstwo - zażartował Nathan. - Niedawno widziałem ją przy barze.

Niewiele mi to pomoże, skwitowałam to cierpko w myśli, zważywszy na to, że bar miał przynajmniej dziesięć metrów długości. Obiecałam wrócić później na pogawędkę i zaczęłam sobie torować drogę przez tłum. Elisabeth, kiedy ją wypatrzyłam, była pogrążona w rozmowie z wysokim, brodatym mężczyzną. Siedziała tyłem i to on pierwszy mnie zauważył.

- Kto dziś wieczorem opiekuje się Kijanką? - spytał, jakbyśmy się znali od lat.

Przez chwilę patrzyłam na niego w osłupieniu, aż wskazał moją plaketkę gestem wyjaśnienia. Na wzmiankę o Kijance Elisabeth odwróciła się gwałtownie.

- O, jesteś wreszcie! - powiedziała z wyraźną ulgą. - Cieszę się, że cię widzę! To jest Mathieu - dodała, przypominając sobie dobre maniery. - Czyta nas obie i czasem zostawia komentarze.

- Rozumiem... - powiedziałam, otrząsając się z szoku i nadstawiając policzki do obligatoryjnych *bises*. - Cześć, Mathieu. Miło mi cię poznać... Wzięłam na dziś wieczór babysitterkę. Pan Żabojad, to znaczy... mój partner, pracuje do późna.

Kiedy wypowiedziałam na głos słowa „Pan Żabojad”, poczułam się bardzo dziwnie, ale nie fair byłoby podawać jego prawdziwe imię kompletnie obcym ludziom. Zwłaszcza ludziom, którzy nie znali nawet mojego imienia. Ale Mathieu o nic więcej nie wypytywał i zaczęłam się rozluźniać, akceptując jego propozycję, że postawi mi drinka. Przyszedł z przyjacielem, Stephanem, który nie omieszkiał natychmiast mi oznajmić, że nie czyta mojego bloga dla zasady, bo jest na różowym tle.

- Nie na różowym! - zaprotestowałam ostro. - W każdym razie nie takim, jak u lalki Barbie! To brudny róż, z odcieniem cappuccino. Wybrałam te kolory, żeby oddać nastrój zachodu słońca nad dachami...

- Tylko żartowałem - uśmiechnął się Stephan - nie musisz się denerwować. Widzę, że podchodzisz do swojego bloga bardzo serio.

- To chyba nieuniknione - wybąkałam, zdając sobie sprawę, że to on ma rację. - Wiem, że to głupie, ale poczułam się trochę tak, jakbyś skrytykował mój strój albo coś w tym rodzaju.

Pod koniec wieczoru chwiałam się radośnie i zagadywałam każdego, kto chciał mnie słuchać. Straciłam rachubę wypitych drinków i rachubę nieznanym, z którymi rozmawiałam, a którym nie były obce różne detale z mojego życia.

Kiedy już otrząsnęłam się z oszołomienia, że ludzie mnie znają, czyli *petite* - albo tak im się wydaje - cudownie było znaleźć się w tak zróżnicowanym towarzystwie. Kiedy rozmawiałam z koleżankami z pracy, zwykle schodziło na sprawy biurowe; kiedy spotykałam się z innymi matkami, rozmawiałyśmy o dzieciach i rozstęпах albo lamentowałyśmy, że nasi partnerzy za mało nam pomagają. Natomiast jedyne, co mnie łączyło z tą grupą osób, to jakaś forma obecności w Internecie. Choć raz nie grałam roli sekretarki, matki ani towarzyszk życia. Na ten wieczór wszelkie reguły zostały zawieszane i czułam się jak nowo narodzona, jak przemieniona. Kilka drinków dodało mi

pewności siebie, dowcipu, elegancji. Jakbym naprawdę była *petite anglaise*. Przejęcie jej tożsamości okazało się o wiele łatwiejsze, niż sądziłam.

* * *

- *Maryline, mais tu es toujours là?* - wykrzyknęłam, podnosząc wzrok znad zegarka i znów patrząc na godzinę.

Była trzecia nad ranem, kiedy w końcu dotarłam taksówką do domu. Kręciło mi się w głowie od nierozsądnej mieszanki piwa i wina, i byłam pewna, że znajdę Pana Żabojada pochrapującego w łóżku, po Maryline zaś zostanie tylko unoszący się w powietrzu zapach jej perfum. Starając się zachować pozory trzeźwości, zaczęłam ją przeproszać o wiele za wylewnie i w środku tych przeprosin zdałam sobie sprawę, że przeszłam z „vous” do familiarnego „tu”. Nie miałam nawet przy sobie dość gotówki, żeby jej zapłacić; ostatnie euro wręczyłam taksówkarzowi. Pan Żabojad obiecał wziąć to na siebie i nie przyszło mi nawet do głowy, że o tej porze będzie jeszcze pracować.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby tym razem wziąć tylko czek? - spytałam pokornie. - A może zaczekasz jeszcze pięć minut, a ja zejść na dół do bankomatu?

- *Ça ne m'arrange pas vraiment, mais bon, juste pour cette fois* - odparła niezadowolona.

Wygrzebałam z torebki książeczkę czekową i z nadmierną starannością wypisałam czek, zaokrąglając sumę, żeby wynagrodzić jej „sprawienie kłopotu”. Maryline bez słowa podziękowania zgarnęła swoją torebkę i płaszcz, odwróciła się na pięcie i wyszła. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zrzuciłam buty i ostrożnie uchyliłam drzwi do sypialni Kijanki. Modląc się, żeby zawiasy nie zaskrzypiały, wślizgnęłam się do środka, żeby popatrzeć na moją córeczkę pogrążoną we śnie. Przciskała łokciem ulubioną szmacianą lalkę i leżała na brzuchu, z jedną nogą zgiętą, a drugą wyprostowaną, naśladowując moją ulubioną pozę. Miała zapchany nosek i lekko posapywała przy oddychaniu. Kiedy się pochyliłam, dostrzegłam ruch gałek ocznych pod jej powiekami; zastanawiałam się, czy śni o dzisiejszym dniu, z nadzieją, że nie pamięta momentów, kiedy krzyczałam na nią ze zniecierpliwieniem.

Przeszłam na palcach do własnej sypialni, zrzuciłam z siebie ubranie wprost na podłogę i zgasiłam światło przy łóżku. Pokój kołysał się i huśtał, jakbym była na morzu, co nie wróżyło dobrze na następny dzień, a moje włosy pachniały, jakbym wypaliła całą

paczkę papierosów. Nie zauważyłam mrugania automatycznej sekretarki i aż do rana nie wysłuchałam zmęczonych przeprosin Pana Żabojada. Ale kiedy zapadłam w głęboki sen bez żadnych snów, na mojej twarzy był błogi uśmieszek.

d T.24 Tc

wystąpił z dość bezczelną prośbą, żebym wspomniała o zespole muzycznym jego przyjaciela na blogu w zamian za bilet na występ. Nigdy niczego takiego nie robiłam i wyglądało to trochę na sprzedawanie się, ale odłożyłam skrupuły na bok i zdecydowałam się spełnić jego prośbę. James zamierzał w przyszłym miesiącu przyjechać z grupą znajomych do Paryża na ten koncert, więc dawało mi to okazję, żeby go poznać. Jednakże ten e-mail, który znalazł się w mojej skrzynce parę dni później, oznaczał przełom w naszej nawiązującej się wirtualnej przyjaźni. Po raz pierwszy przekroczyliśmy granicę przekomarzania się. Nagle, z jakiegoś powodu, postanowił się przede mną otworzyć.

Urywki tego listu, a także następnych, uparcie tkwiły mi w głowie i czytałam je kilkakrotnie, nie mogąc się doczekać, żeby wreszcie poznać ich autora. Przeżył dramat; mówił o wielkich uczuciach i palącym pożądaniu. Jego słowa mnie fascynowały, a jednocześnie niepokoiły. Kiedy zagłębiałam się w własną przeszłość, „porywy namiętności i burze z piorunami”, które udawało mi się wygrzebać i przyszpilić, były tak odległe, jakby dotyczyły kogoś innego. W grę wchodził co najwyżej mój związek z Yannem, pierwszym francuskim chłopakiem.

Był namiętny, ale krótkotrwały, zniszczony przez zazdrość, porwany na strzępy przez dzikie awantury. Skończył się jednak dziesięć lat temu, to była już prehistoria.

W porównaniu z tym Pan Żabojad i ja byliśmy parą gołąbków. Naszym burzom nie towarzyszyły błyskawice. Po prostu od chwili, kiedy się poznaliśmy, czuliśmy się jak bratnie dusze. Pasowaliśmy do siebie jak para znoszonych, wygodnych kapci. Umiał mnie rozśmieszyć. Umiał słuchać - tak dobrze, że każdy prędzej czy później mu się zwierzał - i rozumiał mnie lepiej niż ktokolwiek przedtem. Pamiętam, jak leżałam na jego ekologicznym materacu ze zgrzebnej bawełny tej nocy, kiedy staliśmy się kimś więcej niż przyjaciółmi. Było to nasze trzecie, może czwarte spotkanie. W tle grał cicho Portishead, a Pan Żabojad miał na sobie jedwabście miękką, welurową bluzę, która z upływem lat tak się wytarła, że musiała być relegowana na dno szafy, ale on wciąż nie pozwalał jej wyrzucić.

Nasza pierwsza wspólna noc była delikatna: nie pamiętam fajerwerków, ale pamiętam, że czułam się pełna spokoju, jakbym znała go pół życia. Nie mieliśmy wzlotów i upadków, i z upływem lat sama siebie przekonałam, że tak jest lepiej, że to daje nam siłę, by razem iść przez życie, podczas gdy inne, bardziej wybuchowe związki są skazane na

kłeskę.

Ale listy Jamesa zasiały we mnie ziarno wątpliwości. Jakie kuszące możliwości leżą za granicami mojej wygodnej strefy? Czy życie ma do zaoferowania coś więcej? Czy Pan Żabojad i ja nie staliśmy się zbyt obojętni, zbyt letni? James podsumował moje rozterki w sposób, który kazał mi zadać sobie pytanie, czy nie zgodziłam się na mniej, niż mi się należy. „Czy cofnąłbym czas? - napisał. - Nie. Nie sądzę. Jednobarwne zadowolenie czy roller-coaster w technicolorze? Nie ma porównania, prawda?”.

Pomyślałam, że mój związek jest jak welurowa bluza Pana Żabojada: tak samo sprany, spłowiwały, ale wygodny - znoszony, na wpół zapomniany na dnie szafy.

* * *

Jadąc parę dni później do pracy, zasłuchana w muzykę płynącą z mojego nowego iPod'a, podskoczyłam na siedzeniu na dźwięk dzwonka ostrzegawczego, że drzwi zaraz się zamkną. Gdybym ocknęła się chwilę później, nie zdążyłabym wysiąść. Tymczasem przejście zagradzała para młodych ludzi w namiętym uścisku. Ona wyglądała ekscentrycznie - może studiowała *beaux arts* - miała ciemne, jedwabiste pukle zwinięte na czubku głowy i spięte ołówkiem. On był ubrany w dzinsy i blezer, a twarz zasłaniała mu długa grzywka. Coś w jego sylwetce, włosach przypomniało mi mojego dawnego chłopaka z czasów studenckich. Stali z zamkniętymi oczami i blokowali drzwi, nie widząc świata dokoła.

Chrząknęłam głośno, a kiedy jednocześnie się odsunęli, nie przestając się jednak obejmować, w ostatniej chwili wyskoczyłam na peron. Później, kiedy relacjonowałam ten epizod na blogu, rozpisałam się o tęsknocie, jaką to we mnie obudziło, lamentując nad faktem, że nie pamiętam, kiedy byłam w kogoś tak zapatrzona, że widziałam tylko jego - i guzik mnie obchodziło, co inni myślą. Tęskniłam za młodszą, bardziej żarliwą sobą, która wszystko przeżywała znacznie intensywniej. Czy taki rodzaj uczuć jest niemożliwy po ośmiu latach związku, czy może też być inaczej? Zamieściłam post w czasie przerwy na lunch i zatytułowałam go: „Half-life”, tak jak nazywała się piosenka, której słuchałam na iPodzie. To wszystko brzmiało jak zaszyfrowana odpowiedź na e-maile Jamesa, chociaż przyznałam to sama przed sobą dużo później.

„Przynajmniej od godziny staram się bez powodzenia wyrazić uczucia, jakie wzbudził we mnie twój tekst - skomentował Jim w Rennes później tego dnia, jak zwykle

nie tracąc czasu. - Jest słodko-gorzki, bez dwóch zdań".

* * *

Tydzień przed koncertem, Joanne, rodaczka w moim wieku, z którą spotkałam się parę razy wraz z Kijanką, przysłała mi intrygujący e-mail, który otworzyłam w pracy.

„Czyżbym dzięki swoim zdolnościom Sherlocka Holmesa i wędrowaniu po Internecie odkryła następną zagadkę? - napisała. - Czy *Randka tygodnia* na Expatice to nie kto inny niż wierny wielbiciel *petite anglaise*, Jim w Rennes?”.

W gorączkowym pośpiechu, żeby kliknąć na link, który mi podała, omal nie przewróciłam plastikowego kubka ze stygnącą kawą i nie ochrzcilałam klawiatury. Wyglądało na to, że moja przyjaciółka - ciekawe, co robiła na portalu randkowym? - ma rację. Charakterystyka odpowiadała informacjom, jakie miałam: wiek, stan cywilny, zawód. I były fotografie. Trzy fotografie. Powiększyłam pierwszą, czując, że dłoń na myszy mi się poci.

Twarz, która na mnie spojrzała, należała do mężczyzny, który musiał przeżyć więcej ode mnie: była znękana, ale zacięta, zdeterminowana. Sfotografowana w ostrym i bezlitosnym świetle; nie poszedł na żadne ustępstwa na rzecz próżności. Ciemnoniebieskie oczy patrzyły prosto w obiektyw, na ustach nie było uśmiechu. Zarost na policzkach i brodzie nadawał mu szorstki wygląd, co mi się podobało. Miał szerokie i muskularne ramiona, choć był szczupły. Jednak wracałam wzrokiem do jego oczu, zastanawiając się, co myślał, kiedy robiono mu zdjęcie i kto je robił.

„Miałaś rację! - odpisałam Joanne, kiedy doszłam do siebie. - To on! Jestem pewna! Idziemy razem na występ grupy muzycznej w przyszłym tygodniu, kiedy będzie w Paryżu. Tylko jako przyjaciele, oczywiście. Zaprosił nawet Pana Żabojada, chociaż nie mam najmniejszego zamiaru go wziąć; poza tym i tak musi raz dla odmiany zostać z dzieckiem. Nie wiem dlaczego, ale mam teraz dziwne uczucie, że to randka, jakbym była niewierna Panu Żabojadowi przez samo oglądanie tych zdjęć...”.

„Można powiedzieć, że przyda mu się jakaś konkurencja - odpisała Joanne. - Trochę nim potrząśnie. Nauczy się bardziej cię doceniać”.

„Wie, że idę na koncert - odpowiedziałam szybko. - I wie, że idę z jednym z moich czytelników, nie stosowałam żadnych wybiegów. Trochę się tylko zdziwił, że chcę zobaczyć zespół, o którym nigdy nie słyszał, ale to była cała jego reakcja. Ale muszę

przyznać, że nie byłam do końca szczerą: sugerowałam, że James przyjdzie z dziewczyną, a jestem niemal pewna, że nie".

Usłyszałam kroki szefa na schodach i szybko skończyłam naszą pogawędkę. Jednak kiedy zapakowałam tego wieczoru Kijankę do łóżka, nie mogłam się powstrzymać, żeby znów nie spojrzeć na zdjęcia. Rzucone mimochodem słowa Joanne, wciąż brzmiały mi w uszach. „Wierny wielbiciel *petite anglaise*, Jim...".

* * *

Przed koncertem przejrzałam niemal całą szafę. Chciałam wyglądać atrakcyjnie, ale nie jak wystrojona lala. Chociaż nie szłam na randkę, jednak był to wieczór na mieście, a przyjemnie czasem mieć okazję, żeby się wyszykować, powiedziałam sobie, jakby na usprawiedliwienie. W nieskończoność rozważałam, czy włożyć szkła kontaktowe, czy okulary; eleganckie buty czy moje ulubione adidasy.

W końcu stanęłam przed lustrem i przyjrzałam się sobie krytycznie. Związałam włosy w coś w rodzaju koka, co wyszczuplało mi twarz i odsłaniało długą szyję, ale kilku pasemkom pozwoliłam się wymknąć, żeby ogólny efekt był zmiękczony, nie nazbyt surowy. Oszczędnie użyłam podkładu, pamiętając, że ostatnio raczej podkreśla moje wady, niż je ukrywa, gromadząc się w zmarszczkach śmiechu wokół ust albo w malutkich zmarszczkach w kącikach oczu. Ubrana w dzinsy, wycięty beżowy T-shirt i ulubiony dopasowany żakiet czułam się sexy, ale miałam nadzieję, że nie wyglądam tak, jakbym się zbyt o to starała.

Chwyciłam torebkę i klucze, rzuciłam ostatnie spojrzenie w lustro, westchnęłam i puściłam się w dół po schodach, zbyt niecierpliwa, żeby czekać na windę. Pan Żabojad miał wkrótce wrócić do domu z Kijanką i chociaż nie robiłam sekretu z tego, gdzie idę i z kim, jakoś nie miałam ochoty spotkać się z nim po drodze.

8.

Rozdroże

Maszerując avenue Simon Bolivar, dokonałam szybkiej kalkulacji. Prędzej dojdą na miejsce pieszo, niż dojadą metrem, uznałam, bo musiałabym przesiąść się z linii 11 na linię 2. Kiedy z przyspieszonym biciem serca zesłam ze wzgórza i znalazłam się na rue de Belleville, jak zawsze uderzył mnie widok niespodziewanie wyłaniającej się z oddali wieży Eiffla.

Na bulwarze de Belleville na przestrzeni kilkuset metrów zderzało się kilka kontynentów. Najpierw były szyldy pisane po mandaryńsku, z francuskim tłumaczeniem pod spodem. Mijałam chińskie restauracje, supermarkety, salony fryzjerskie i stragany z tanimi plastikowymi ozdóbkami. Ale kiedy szłam w kierunku Couronnes, zerkając co chwilę na zegarek, szybko znalazłam się pośród knajpek tunezyjskich, serwujących *tajines* i *couscous*, pośród *épiceries orientales* z oknami wystawowymi pełnymi pachnących, lepkich piramid z daktyli i fig, pośród piekarni sprzedających żydowskie pieczywo i ciasta. W powietrzu unosił się gwar jak na wieży Babel - miałam wrażenie, że słyszę wszystkie języki oprócz francuskiego.

Nic nie jadłam przed wyjściem z domu - nie miałam na to czasu, a poza tym nerwy i tak odebrały mi apetyt - i teraz napłynęła mi ślinka do ust, kiedy poczułam zapach kebabu, który obracał się na rożnie, ociekając tłuszczem, a potem smakowity aromat kurczaków u muzułmańskiego rzeźnika; miały brązową, chrupką skórkę opieczoną do perfekcji.

Ulice były zaśmiecone i brudne, sprzątane rzadziej niż te w *beaux quartiers* i bez wątpienia traktowane z mniejszym i ibly

czekających na przyjaciół przed najazdem na tutejsze bary. To było terytorium „bobo”, przystań rozchełstanych elegantów, gdzie sposób ubierania się był formą sztuki.

Obok mnie przy chodniku zahamował z piskiem opon samochód, a kiedy wystraszona podniosłam głowę, jakiś mężczyzna na siedzeniu pasażera, połyskując zdumiewająco białymi zębami na tle ciemnej skóry, krzyknął coś przez otwarte okno. Jego słowa zostały zagłuszone zniecierpliwionym klaksonem kierowcy z tyłu, ale gest mówił sam za siebie. Czy miałabym ochotę zabrać się z nim na przejażdżkę? Potrząsnęłam przecząco głową i uśmiechnęłam się, przypominając sobie, jak James opisał na Expatice swój ideał dziewczyny: „powinna być błyskotliwie inteligentna, w głębi serca romantyczna, mieć poczucie humoru i wygląd, który zatrzymuje ruch uliczny”.

Telefon Jamesa dzwonił i dzwonił, ale kiedy już zaczynałam wpadać w rozpacz, usłyszałam nieznany głos na tle głośnej muzyki i rozmów.

- Halo? Catherine? Gdzie jesteś? Zaraz idziemy na tyły.

Spodobał mi się jego głos: pewny siebie, ciepły i niewątpliwie należący do Anglika, choć z ledwo słyszalnym akcentem. Obraz, który powoli dojrzywał w mojej głowie, zbudowany najpierw na słowach, potem podparty fotografiami, teraz miał dźwięk: stopniowo odkrywałam Jamesa. Skąd wiedział, że to ja? Zgadł? Czy miał już mój numer zapisany w telefonie? A jeśli tak, to co mu się pokazywało na wyświetlaczu: „Catherine” czy „petite”?

- Cześć - powiedziałam o wiele pewniej, niż się czułam. - Będę za dwie minuty, możecie jeszcze chwilę poczekać? Wolałabym spotkać się w barze. Przed estradą może być ciemno i gęsto od dymu papierosowego. Nie mówiąc o tym, że głośno.

- Nie ma sprawy, poczekamy.

- Zatem do zobaczenia za chwilę. Wypatruj mnie, dobrze? Nienawidzę wchodzić do takich miejsc sama...

Pomaszerowałam ze zdwojoną energią przed siebie, bicie serca w moich uszach zagłuszało odgłos kroków na chodniku. Café Chabron, która miała teraz na tyłach miejsce na koncerty, zwane Nouveau Casino, nie była tam, gdzie się spodziewałam. Zatrzymałam się zafrasowana. Czyżby leżała dalej? Czy może w pośpiechu ją minęłam? Podobne jak dwie krople wody kafejki i knajpki wyrastały jak grzyby po deszczu wzdłuż całej rue Oberkampf, co nie pomagało, i zwykle przybywałam tu od Parmentier, z drugiego końca ulicy, jak przy okazji pierwszego spotkania z Panem Żabojadem. Na szczęście kilka

kroków dalej dostrzegłam znajomą bordową markizę.

Zdenerwowana przystanąłam przed sklepem obok, sprawdziłam makijaż i poprawiłam włosy. Rwał mi się oddech. Za chwilę miałam wyjść z bloga i wkroczyć do życia Jamesa; nadeszła chwila prawdy. To było coś zupełnie innego niż lunch z Coquette czy *soirée* z blogerami, gdzie miałam tylko nadzieję nawiązać nowe przyjaźnie. Z Jamesem sprawa przedstawiała się inaczej. W ostatnich tygodniach pozwoliłam sobie dopuścić myśl, że między nami może się coś wydarzyć, jeśli równie spodoba mi się w świecie realnym jak w wirtualnym. Czy to tylko nieszkodliwa fantazja? Testowanie własnych uczuć do Pana Żabojada i granic, do jakich jestem zdolna się posunąć? Czy też było w tym coś więcej? Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Odetchnęłam głęboko i zebrałam siły, by pchnąć ciężkie drzwi.

Okrągły drewniany stół, drugi od okna, przy którym Pan Żabojad i ja spotkaliśmy się osiem lat temu, nadal stał w tym samym miejscu. Para dwudziestolatków siedziała niedbale na tych samych krzesłach co my przedtem, popijając wino i trącając się zalotnie stopami. Patrzyłam na nich krótką chwilę nawiedzona przez duchy z przeszłości. Odcisnęliśmy na tym miejscu ślad, który tylko ja widziałam: odbicie Sarah, młodszej mnie i Pana Żabojada, który stał tu, gdzie ja teraz stałam, kiedy podniosłam wzrok i nasze oczy się spotkały. Podeszedł do nas z nieśmiałym uśmiechem, pocałował nas obie w policzek - czy tylko mi się zdawało, że mnie jakby mocniej? - i odwiesił swoją budrysówkę na oparcie krzesła, przez co zaplątała się w nią kelnerka, przychodząc z następną kolejką.

Ale dzisiejszy wieczór nie miał być wspominkowy, więc wróciłam do tu i teraz i zaczęłam się przepychać przez tłum oblegający długi miedziany bar. Nadśluchiwałam języka angielskiego, biorąc uszy za przewodnika. Konwersacja grupki ludzi na samym końcu sali, przy stoliku kelnerek, brzmiała obiecująco. Tyłem do mnie stał mężczyzna o szerokich barach, pogrążony w rozmowie ze szczupłą blondynką, która widząc moją niepewną minę, uśmiechnęła się i powiedziała coś, czego nie dosłyszałam.

James był wysoki - o wiele wyższy niż się spodziewałam - i miał krótsze włosy niż na zdjęciach, ale czułam, że to on. Miał na sobie dzinsy i brązową sztruksową marynarkę; wyczułam lekki, ale przyjemny zapach płynu po goleniu. Kiedy odwrócił się z ostrożnym uśmiechem i jego ciemnoniebieskie oczy napotkały moje pytające spojrzenie, wiedziałam, że go znalazłam. Był w każdym calu tak atrakcyjny, jak to sobie obiecywałam i gdy

skrzyżowaliśmy wzrok, powietrze między nami zaiskrzyło. Zatrzymałam się w pół kroku, skamieniała, jak łania złapana w światło reflektorów.

- Masz... masz krótsze włosy niż na fotografii - wypaliłam, kiedy odzyskałam mowę i natychmiast ugryzłam się w język, żałując, że nie mogę nacisnąć „stop” i „cofnij”, a potem znów zacząć.

W jednym krótkim zdaniu udało mi się zdradzić, że oglądałam jego zdjęcia na portalu randkowym i zasugerować, że godzinami się w nie wpatrywałam. Ale James z uśmiechem zignorował mój komentarz i przejął kontrolę nad sytuacją.

- *Petite anglaise*. Catherine. Tak się cieszę, że przyszłaś... I że wreszcie mogę poznać dziewczynę kryjącą się za blogiem. Ale wszystko po kolei, najpierw powiedz, czego chciałabyś się napić?

Przedstawił mnie krótko swoim przyjaciółkom - członkom zespołu i ich świcie, których imiona natychmiast zapomniałam - i przedarliśmy się do baru, przyzywając barmana. James sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął garść monet. - Czym się trujesz?

- Poproszę piwo - odparłam z wdzięcznością - to mi ukoji nerwy. Zawsze łatwiej mi rozmawiać z kimś obcym z drinkiem w rękę. - Staralam się sprawiać wrażenie, że moje zdenerwowanie nie ma nic wspólnego z nim, tylko z ogólną sytuacją.

- Może to dziwne - powiedział wolno James - ale ja wcale nie czuję się tak, jakbym spotykał się z kimś obcym. Tyle o tobie wiem z bloga. Nie znam tylko twojej twarzy.

Spuściłam głowę, nie mogąc znieść ciężaru jego spojrzenia. Desperacko chciałam wiedzieć, czy sprostałam jego oczekiwaniom. Ale kiedy barman przyjął zamówienie, James ograniczył się do przyjacielskiej pogawędki.

- Fajny jest ten bar. Te freski na ścianach są niezwykle.

- Freski?

Spojrzałam na miejsce, które wskazywał, wysoko na ścianie naprzeciwko baru. Nad ogromnymi lustrami i wielkimi przegubowymi lampami, które zwisały zygzakiem nad stołami, rzeczywiście były freski. Namalowani na nich mężczyźni w cylindrach eskortowali kobiety w krynolinach na sztywnych halkach.

- Wyobraź sobie, że nigdy dotąd tego nie zauważyłam! - wykrzyknęłam zdumiona. - A byłam tu dziesiątki razy...

Rozmawialiśmy o jego jeździe samochodem do Paryża, o mojej pracy i o zespole,

który mieliśmy właśnie zobaczyć, jednak przez cały czas starannie unikałam wzmianki o Panu Żabojadzie. Podczas gdy moje usta poruszały się mechanicznie, ciało rozkoszowało się dawno zapomnianym uczuciem, że ktoś mnie fizycznie pociąga. Zmysły miałam wyostrzone; piwo było lepsze i zimniejsze na języku, i pokryłam się gęsią skórką, kiedy musnął mnie rękawem sztruksowej marynarki - małe jasne włoski na moim ramieniu stanęły na baczność. Nie miałam pojęcia, czy on czuje to samo co ja, ale wtedy do szczęścia wystarczył mi już sam żywy dowód na to, że wciąż jestem zdolna do takich reakcji. Moje emocje od dawna leżały w uśpieniu, bulgocząc pod powierzchnią i czekając na stosowny moment, aby wybuchnąć.

Ze szklankami w ręku przeszliśmy do Nouveau Casino przez wejście, które leżało mniej więcej w tym miejscu, gdzie dawniej łaźnia turecka. Prostokątne, podobne do magazynu pomieszczenie, z estradą, drugim barem i półpięciem dostępnym po wąskich, spiralnych schodkach, powoli się zapełniało. Eve, blondynka, którą widziałam wcześniej, stała już przy prawej ścianie dość blisko sceny, i przedarliśmy się przez tłum, żeby do niej dotrzeć. Podniosłam szklankę do ust i ze zdumieniem odkryłam, że jest niemal pusta. Ze zdenerwowania zbyt szybko ją opróżniłam. Eve wysączyła swoje resztki piwa i zaproponowała, żebyśmy wróciły obie do baru po następną rundkę, a James przytrzyma nam miejsce. Skinęłam na zgodę, wyciągnęłam rękę po jego szklankę i nasze palce się spotkały. Kiedy odchodziłyśmy, dłoń mnie mrowiła i zastanawiałam się, czy aby sobie nie wmawiam, że patrzy za mną tak, że aż pali mnie tył głowy.

- Był bardzo podekscytowany spotkaniem z tobą - powiedziała konfidencjonalnym tonem Eve, kiedy czekałyśmy na obsługę, tym samym natychmiast ustawiając się w roli sprzymierzeńca, podczas gdy każda Francuzka raczej trzymałaby się na dystans, oceniając, czy nie stanowię dla niej zagrożenia. - Śmieszna sprawa z tym Internetem, poznaje się ludzi od środka na zewnątrz, koresponduje się z kimś, zanim się go pozna. Nie wiem, czy ja bym tak umiała...

- Rzeczywiście, to się może wydawać dziwne - przyznałam - ale jak dotąd wszyscy, których osobiście poznałam, okazali się bardzo mili i nie było wśród nich jakichś świrów. Poza tym coś mi mówiło, że James i ja znajdziemy wspólny język. Czasem takie rzeczy po prostu się wie.

Na jej twarzy pojawił się chytry uśmieszek i miałam wrażenie, że wie więcej, niż chce powiedzieć. Czy James jej o mnie opowiadał? Korciło mnie, żeby spytać, ale się powstrzymałam, żeby się nie zachować jak przejęta nastolatka.

- Podobno też masz córkę? - zmieniła temat Eve. - I jest mniej więcej w tym samym wieku co moja?

Córka Eve, Maisy, jak się okazało, była tylko o kilka miesięcy młodsza od Kijanki. Przez chwilę rozmawiałyśmy o dzieciach, choć marzyłam, żeby z powrotem skierować rozmowę na Jamesa. Ale tymczasem przygaszono światła i na scenę wbiegł zespół przy entuzjastycznym aplauzie widowni. Wzięłyśmy drinki i wróciłyśmy do naszej bazy.

Wokalistą zespołu - tria z Manchesteru - był John, chłopak Eve. Kiedy znalazłyśmy się obok Jamesa, zabrzmiała jego pierwsza piosenka. Śpiewał miękko o uczuciu do kobiety, którą kocha mimo jej wielu wad, zdumiony siłą jej miłości do niego. Zerknęłam na Eve, czując się tak, jakbym podsłuchiwała prywatną rozmowę. Odgadła moje myśli i pochyliła się ku mnie.

- Te piosenki są w porządku, ale tych dawnych, o jego poprzedniej dziewczynie, po prostu nie da się słuchać - powiedziała mi scenicznym szeptem do ucha.

James spojrzał na nas pytająco - zapewne ciekaw, czy rozmawiamy o nim - nasze spojrzenia się skrzyżowały i zakleszczyły z taką siłą, że niemal się skuliłam. Odwróciłam wzrok na scenę, wdzięczna za kłęby dymu z suchego lodu i papierosów. W tym półmroku moje zarumienione policzki nie zostaną zauważone.

Parę drinków później, kiedy koncert się skończył, przenieśliśmy się z powrotem do baru, gdzie usiadłam sam na sam z Jamesem w boksie obitym wytartą brązową skórą. Eve i John spędzali pożegnalny wieczór przy barze; zespół wybierał się na koncerty do Niemiec. Zauważyłam, że musi im być ciężko żyć wciąż osobno - Eve sama wychowuje córkę, a John całe tygodnie spędza w trasie.

- To jest niełatwe, oczywiście - zgodził się James, podchwytyjąc spojrzenie Eve nad ramieniem Johna i wysyłając jej szeroki uśmiech. - Często widuję się z nią i Maisy, rzeczywiście dokuczają jej samotność. Ale wiedziała, w co się pakuje, kiedy do niego wróciła. Teraz stanowią całkiem udaną parę. Jak się na nich patrzy, to od razu widać, że są w sobie po uszy zakochani.

Nagle mnie olśniło.

- To ona jest tą kobietą, o której mi pisałeś, prawda? Tą, z którą miałeś romans, kiedy żona cię zostawiła?

- Tak - przyznał James. - To ona. Nie chciałem ci mówić, póki jej nie poznasz i nie wyrobisz sobie własnej opinii. To już stare dzieje, ale nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Skinęłam głową, pamiętając, jak trzymała mu dłoń na ramieniu, kiedy weszłam, i starając się zdusić ukłucie zazdrości. Złapałam się na tym, że wpatruję się w jego ręce: o długich palcach, delikatne, ale silne. Jakie by to było uczucie, gdyby ujął mnie pod brodę albo pogładził lekko po udzie? Może któreś z tych pragnień odbiło się na mojej twarzy, bo właśnie ten moment wybrał, żeby wypowiedzieć słowa, które przewróciły mój świat do góry nogami.

- Przez cały wieczór starałem się trzymać pod kontrolą, z poczucia przyzwoitości i z szacunku dla faktu, że jesteś w związku - odezwał się zduszonym głosem, jakby dużo go to kosztowało. - Bardzo przepraszam, ale nie mogę tego nie powiedzieć, po prostu nie mogę.

Podniosłam wzrok znad jego rąk, które zwinęły się w pięści; zaparło mi dech w piersiach.

- Mów dalej - wyszeptałam, żałując, że tyle wypiałam.

Wolałabym mieć jasną głowę, żeby zapisać w pamięci tę chwilę i móc ją później bez końca odtwarzać. Wyłączyłam muzykę i gwar ludzi wokół nas, słyszałam tylko jego.

- Odkąd zacząłem czytać blog *petite anglaise*, poczułem dziwny pociąg do dziewczyny, która go pisała - wyznał, najwyraźniej starannie dobierając słowa. - Widywałem się wtedy z pewną Francuzką, ale nie potrafiłem się zaangażować. Nie mogłem przestać myśleć o tobie. Mimo że byłaś w Paryżu, i to z kimś innym. Mimo że nie miałem pojęcia, jak wyglądasz... - Parsknął nerwowym śmiechem, zdając sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi, ale mu nie przerywałam. - A potem weszłaś do tego baru - ciągnął - i... no cóż, wiem, że to banał, ale co mi tam... po prostu przepadłem z kretesem, kiedy cię zobaczyłem.

Zamilkł i spojrzał na mnie pytająco, jego monolog się urwał, a wypowiedziane właśnie słowa zawisły między nami w powietrzu.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć... - Mój mózg starał się przetworzyć tę

nieoczekiwaną informację, a oczy znów uciekły przed jego uporczywym spojrzeniem.

Czy James naprawdę wyznał, że zakochał się w *petite anglaise*, jeszcze zanim mnie poznał? To było albo kompletne wariactwo, albo najbardziej romantyczna historia, o jakiej w życiu słyszałam. A więc nie tylko ja marzyłam w sekrecie, że kiedy się spotkamy, to coś między nami zaiskrzy. Nasza wymiana korespondencji, na pozór niewinna, zaczęła teraz wyglądać jak skomplikowany rytuał godowy, wiodący nas wolno acz nieubłaganie do punktu, w którym właśnie się znaleźliśmy. Ale fakt pozostawał faktem: James wiedział o mnie - albo o *petite anglaise* - znacznie więcej niż ja o nim.

- Cat-riin?

Znowu znalazłam się w barze; chcąc zidentyfikować właściciela głosu, odwróciłam się tak gwałtownie, że aż strzyknęło mi w karku i skrzywiłam się z bólu. Benoit, bliski przyjaciel Pana Żabojada, stał przy drzwiach, jakby już wychodził, kiedy mnie dostrzegł. Jak długo mnie obserwował? Co widział? Nie kryłam przed Panem Żabojadem prawdy, gdzie się wybieram i z kim, jednak i tak czułam się, jakby Benoit złapał mnie na gorącym uczynku, *en flagrant délit*. Wstałam, uśmiechnęłam się i przyzwałam go ruchem ręki, żeby czym prędzej zapobiec ewentualnemu nieporozumieniu.

- Przyszłam na koncert - wyjaśniłam, całując go w oba policzki. - Jestem tu z grupą angielskich przyjaciół...

Wskazałam na Jamesa, ale także na członków zespołu przy barze, żeby podkreślić, że on i ja nie jesteśmy sami. Benoit skinął głową, ledwo zerknąwszy na mojego towarzysza.

- *Et est-ce que monsieur travaille toujours autant?* - powiedział, pytając o Pana Żabojada. - Prawie w ogóle go nie widuję.

- Ja też - odparłam kwaśno, przepełniona goryczą, której nie umiałam ukryć. - Wiesz, jak to jest... Ale wspomnę mu o naszym spotkaniu. Musisz przyjść do nas któregoś dnia na kolację.

- *Avec grand plaisir.* - Benoit cmoknął mnie znowu i pożegnał się.

Kiedy wyszedł, opadłam na krzesło, ugniatając kark czubkami palców.

- Przepraszam, nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem - odezwał się James ponuro. - I to jeszcze w miejscu publicznym. Zrobiłem z siebie kompletnego idiotę i nie zdziwiłbym się, gdybyś była zła...

- Nie, nie - zaprzeczyłam szybko. - Nie jestem zła. Tylko trochę zszokowana, to wszystko. Po prostu mnie zaskoczyłeś. To znaczy twoje słowa padły znienacka, nawet jeśli miałam nadzieję... - Nie dokończyłam. Na co właściwie miałam nadzieję? Czy sama umiałam sobie na to odpowiedzieć? - Potrzebuję trochę czasu, żeby przetrwać to, co powiedziałaś... I na dokładkę akurat teraz musiał się napatoczyć ktoś, kto zna mojego chłopaka.

- Pójdę do baru i dam ci chwilę spokoju. - W oczach Jamesa nadal była troska. - Ale proszę cię, zrozum, ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to komplikować ci życie. Zważywszy na moje własne doświadczenia, sam nie mogę uwierzyć, że sugeruję to, co sugeruję...

- Może tym razem przynieś coś bezalkoholowego? - zaproponowałam, kiedy wstał i znów zaczął grzebać po kieszeniach. - Oboje wypiliśmy trochę za dużo, nie sądzisz? Pora przystopować.

Z całą pewnością powinnam zachować resztki rozsądku. Zamknęłam oczy, żeby nie wpatrywać się w kosmyki włosów wijące się na karku oddalającego się Jamesa. Byłam upojona. Przerażona. Podekscytowana, że on chce mnie tak samo, jak ja jego. Spanikowana na myśl, co będzie dalej.

Przez całe tygodnie dawałam się uwodzić jego słowom, wolno, lecz skutecznie, snułam nadzieje, a nawet marzenia, że coś nas połączy. Jednak mimo wszystko nie byłam przygotowana na taką chemię między nami. Od pierwszej chwili poczułam do niego pociąg, który rósł w miarę upływu wieczoru. Całe moje ciało - od czubków palców u nóg do cebulek włosów - drżało z niecierpliwości; byłam jak napięta struna, która zaraz pęknie. Niepokoiła mnie siła tych uczuć, bałam się, że jestem o włos od kapitulacji. Jak mogłam spokojnie i racjonalnie myśleć, kiedy cały wysiłek koncentrowałam na samokontroli?

Otworzyłam oczy i wbiłam pusty wzrok w drewniany zegar zwisający z sufitu, który musiał się zatrzymać lata temu, bo nie mogła być przecież piąta nad ranem. Gdy jednak zerknęłam na swój zegarek, okazało się, że spóźniłam się na ostatnie metro o dobre pół godziny. Jakim cudem zrobiło się tak późno? James wrócił z dwiema szklankami coca-coli z lodem. Usłyszałam swój głos, który mówił, że naprawdę muszę już iść i prosił, żeby odprowadził mnie na postój taksówek.

- Oczywiście. Jeśli sobie tego życzysz - odparł ze smutkiem, zostawiając nietkniętą colę i wyciągając rękę, żeby pomóc mi wstać.

- Cudownie było was poznać - powiedziałam do Eve i Johna, kiedy zmierzaliśmy do wyjścia - ale na mnie najwyższa pora.

Zobaczyłam, jak Eve i James wymienili porozumiewawcze spojrzenie i teraz byłam już pewna, że od początku wszystko wiedziała.

- Trzymaj się! - Eve pocałowała mnie w policzek. - Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy...

Kiedy szliśmy w kierunku najbliższego skrzyżowania, objęłam Jamesa w pasie i wsunęłam mu rękę pod T-shirt; jego skóra była gorąca i gładka pod moimi palcami. Zadrżał i spojrzał na mnie pytająco. Cóż miałam powiedzieć? Nie potrafiłam wytłumaczyć, co robię i dlaczego. Nie doczekawszy się odpowiedzi, sam delikatnie otoczył mnie ramieniem.

Na rogu rue Oberkampf i avenue Parmentier przystanęliśmy. James przyciągnął mnie bliżej. Przyłgnęłam do niego, jakbym tonęła. Po części dlatego, że nie chciałam go puścić, ale także dlatego, że użyłam naszej bliskości jak tarczy, przyciskając twarz do jego piersi, żeby się ukryć.

- Jesteś taka urocza, jest w tobie coś tak bezbronego - szepnął mi we włosy. - Chciałbym cię chronić, opiekować się tobą...

- Mam wrażenie, że nie tylko tego byś chciał - zażartowałam, czując zdradziecki wzgórek w jego dzinsach.

- Mogę cię pocałować? - Puścił mnie nagle, ujmując mój podbródek i zmuszając, żebym spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie możesz - zaprotestowałam. - Jestem za bardzo pijana, za bardzo skołowana...

Miałam wysuszone usta, kręciło mi się w głowie. Nagle ogarnął mnie strach, że zapomniałam, jak się całuje i odbiera pocałunki.

Cofnęłam się, machnęłam na przejeżdżającą taksówkę i patrzyłam, jak zatrzymuje się z piskiem opon po przeciwnej stronie ulicy. Przez kilka sekund naprawdę nie wiedziałam, czy chcę wskoczyć do niej sama, czy też pociągnąć ze sobą Jamesa. Nie zastanawiałam się, jak to przyjmie ani jak nazajutrz wytłumaczę swoją nieobecność Panu

Żabojadowi. To były drobne szczegóły, całkiem nieważne; w tym momencie nie byłam w stanie myśleć o niczym innym tylko o tym, czego ja chcę.

Taksówkarz nacisnął niecierpliwie klakson i przebiegłam przez ulicę. Zająłam tylne siedzenie sama i z głuchym trzaskiem zamknęłam za sobą drzwi, nie czekając, aż się rozmyślę. Pamiętam, jak pomyślałam: nie w ten sposób. Cokolwiek było między nami, mogło zostać tylko zbrukane i spospolitowane pijackim zbliżeniem na pierwszym spotkaniu. Kiedy samochód odjeżdżał, obejrzałam się na niewyraźną sylwetkę na rogu ulicy - James nadal stał tam, gdzie go zostawiłam, unosząc rękę w cichym pożegnaniu. Myśl, że mogę go nigdy więcej nie zobaczyć i nigdy się nie dowiedzieć, jak to jest być przez niego całowaną, była niewyobrażalnie okrutna.

Znalazłam się na rozdrożu. Przed sobą miałam dwie drogi, rysowały się przede mną na mapie dwie wersje przyszłości. Ale kiedy wskakiwałam do taksówki, wiedziałam, że nie podjęłam żadnej decyzji. To był tylko unik, ucieczka przestraszonego dziecka.

9. *Poczucie winy*

Nazajutrz nie byłam w stanie iść do pracy, złożona niemocą po potężnej dawce alkoholu zapijanego piwem. Podczas gdy pełen urazy Pan Żabojad krzątał się po mieszkaniu, rezygnując z porannej kąpieli, żeby dać Kijance śniadanie i odprowadzić ją do *taty*, wtuliłam zdradziecką twarz w chłodną poszewkę poduszki, modląc się, żeby mieszanina przerażenia i euforii, jaka mnie ogarnęła od momentu, gdy otworzyłam oczy, została wzięta za zwykłego kaca.

Kiedy Pan Żabojad w końcu trzasnął drzwiami, wierciłam się i kręciłam na łóżku, wykończona, ale zbyt podniecona, aby zasnąć. Nie trzeba było długo czekać, żebym znalazła się przed komputerem nad e-mailem do Jamesa, dając ujście słowom, które rozsadzały mi głowę. Nie mogłam ich zamieścić na blogu, a musiałam upuścić sobie powietrza.

„Mam pisarską blokadę - zwierzyłam mu się. - Jedyne rzeczy, o jakich chciałabym pisać, nie wchodzą w rachubę, a dziś po prostu nie interesuje mnie żadne ple-ple. Gnębi

mnie straszne uczucie, że będę żałować tego odjazdu taksówką do końca życia. Wszystko musi być lepsze od »co by było, gdyby...«. Mimo że zachowałam się jak wzór cnoty, czułam się jak potwór, gdy rano Kijanka pogłaskała mnie po policzku i przytuliła buzię".

Ledwo nacisnęłam „wyślij", na mój telefon przyszła wiadomość głosowa, że samochód Jamesa się zepsuł. Zostawia go w warsztacie w Paryżu i wraca z Eve do Rennes pociągiem. Bateria jego komórki jest na wyczerpaniu. Bardzo mu przykro, ale w najbliższym czasie nie będzie z nim kontaktu.

Krażyłam po mieszkaniu w stanie nerwowego podniecenia, naładowana adrenaliną, chociaż chwilowo nie brałam pod uwagę żadnych radykalnych rozwiązań. Miałam mętlik w głowie, ręce mi drżały, serce waliło jak młot. Czułam się, jakby całe moje ciało było nastawione na „fast forward".

Nie pozostawało mi nic, tylko czekać, zatem na nowo przeczytałam wszystkie jego e-maile i moje odpowiedzi, i godzinami wpatrywałam się w jego fotografie. Zdanie po zdaniu wracałam myślami do rozmów z poprzedniego wieczoru. Zamykając oczy, przyzywałam wspomnienie zapachu jego wody kolońskiej, naporu jego ciała i ciepłej, gładkiej skóry pod moją dłońią. Napisałam krótki post na temat koncertu, nie wspominając o spotkaniu z Jamesem, tylko skupiając się na rozmowie z Eve o piosenkach Johna.

Odpowiedź od Jamesa nadeszła dużo później, kiedy Kijanka po długich bojach leżała wreszcie w łóżku. Wyczuła moją słabość i wykorzystała to bezlitośnie: każdy sto razy przećwiczony gest wieczornego rytuału zamienił się w próbę sił. W końcu kąpiel trochę ją spacyfikowała i przytuliła się do mnie na czas bajki, delikatnie przeczesując mi włosy paluszkami. Ta demonstracja uczuć była jeszcze trudniejsza do zniesienia. Połknęłam łzy gromadzące się w oczach, nie chcąc żeby nie zaniepokoiła się na ich widok.

Chęć skontaktowania się z Jamesem wyglądała na akt zdrady wobec Kijanki. Ogień, z którym igrałam, mógł nie tylko osmalić Pana Żabojada, ale spalić do cna świat mojej córki, pozostawiając po naszym życiu rodzinnym kupkę popiołu. Samo rozpatrywanie czegoś takiego robiło ze mnie oszustkę w naszym domu - byłam niegodna miana matki.

„Mam Ci tyle rzeczy do powiedzenia, że nie starczyłoby czasu do trzeciej środy października (mniej więcej) - napisał James późnym wieczorem. - Ale muszę wiedzieć, że chcesz to słyszeć... Dotyczą głównie »co by było, gdyby...«. Można jeszcze zacząć od nowa i zobaczyć, co by było, gdyby... Ale do tego potrzebne jest hasło. Nie jesteś

potworem. W życiu, to co proste, potrafi stać się piekielnie skomplikowane, a to, co najtrudniejsze, staje się łatwe, bo nie zostawia wyboru. Zadałaś sobie pytanie, to wszystko. Napisz, co o tym myślisz".

Co myślałam? Tylko tyle, że to nie może tak się skończyć. Pragnęłam Jamesa każdą komórką ciała. Gdybym mogła w jednej chwili wszystko rzucić i wskoczyć do najbliższego pociągu do Bretanii, zrobiłabym to bez wahania. Musiałam się przekonać, czy to on tak mnie bez reszty porwał i oczarował, czy tylko kusząca perspektywa romantycznej przygody. Zepsuty samochód, po który musiał wkrótce wrócić, jawił mi się jako narzędzie przeznaczenia. Dostanę drugą szansę, żeby zacząć od nowa, zdusić chęć ucieczki, zobaczyć „co by było, gdyby". I wiedziałam, że z tej szansy skorzystam.

Tymczasem nie pozostawało mi nic innego, jak zachowywać pozory. I czekać.

* * *

- Jakoś inaczej dzisiaj wyglądasz... Chociaż nie potrafię sprecyzować, na czym to polega - powiedział mój szef, stając nade mną z plikiem papierów.

Spojrzałam na niego zwięzonymi oczami, starając się ocenić, czy ma na myśli „inaczej" w złym czy w dobrym znaczeniu tego słowa. Już byłam o kilka kilo lżejsza, trzydzieści sześć godzin po spotkaniu Jamesa. Miałam zaczerwienione policzki, moje całe ciało płonęło, a ręce tak mi się pociły, że co chwilę musiałam dyskretnie wycierać je w spodnie. Jeśli chodzi o jakość mojej pracy, to na niczym nie mogłam się na dłużej skoncentrować. Zaczynałam jedno, przerywałam w połowie, zaczynałam drugie i nigdy nie kończyłam pierwszego. Ciekawe, które z tych symptomów zauważył?

- Boję się, że mogę mieć gorączkę - próbowałam się zaasekurować z nadzieją, że wzbudzę współczucie i stępię ostrze ewentualnej krytyki. - Chyba jeszcze nie całkiem doszłam do siebie po tym wczorajszym... yhm... zatruciu. Może pójde nastawić czajnik? Ma pan ochotę na filiżankę herbaty?

- Tak, czemu nie? - odparł, spoglądając na zegarek. - Ale najpierw bądź tak dobra i idź na górę przygotować wideokonferencję George'a w sali konferencyjnej, dobrze? Nie ma dzisiaj administratora sieci, a jego sekretarka wyszła, więc George będzie trochę zagubiony...

Na swoim blogu nazywałam George'a „szefem starej szkoły". Był o kilka lat starszy od wspólnika, dla którego pracowałam, i należał do świata prywatnych szkół i klubów

dżentelmenów. Nie czuł się zbyt pewnie w świecie współczesnej technologii. Sam fakt, że nawet wysoko wykwalifikowane sekretarki upierał się nazywać „maszynistkami”, doskonale go charakteryzował, jeśli o mnie chodzi.

Udałam się do sali konferencyjnej, przytaskałam monitor i kamerę internetową spod ściany na główny stół, uważając, żeby nie zaplątać się w sznury ciągnące się po podłodze, i wykręciłam numer administratora sieci w Londynie, używając głośnomówiącego telefonu na środku stołu. Sprzęt był nowy i nigdy wcześniej sama go nie uruchamiałam.

- Cześć, Pete, mówi Catherine z Paryża. Mógłbyś mi pomóc ustawić wideokonferencję? Wszystko jest podłączone i zapalone, ale mój monitor jest czarny.

- Poczekaj chwilkę, pójdę do sali posiedzeń na drugim końcu i przetestujemy połączenie - odparł Pete.

Bębniłam palcami po stole, drżąc z niecierpliwości, żeby wrócić do swojego komputera i sprawdzić, czy nie czeka na mnie nowa poczta.

- W porządku - powiedział zadyszany chwilę później - możemy zaczynać. Najpierw naciśnij środkowy przycisk z przodu monitora, potem znajdź pilota...

Zrobiłam, co kazał, i ekran ożył. Zobaczyłam łysiejącego faceta w T-shircie i dżinsach - zapewne Pete'a - i fragment sali posiedzeń. Nigdy nie byłam w londyńskim biurze, a z Pete'em rozmawiałam tylko przez telefon, zatem przyglądałam się jednemu i drugiemu z prawdziwym zainteresowaniem.

- Widzę cię - powiedziałam. - Ale czy ty mnie widzisz?

- Nie, widzę tylko marmurowy kominek i lustro, musisz zmienić kąt ustawienia kamery i nastawić ostrość. Jeśli naciśniesz „poliekran” na pilocie, będziesz widziała to samo co ja. To nam ułatwi zadanie.

Skierowałam kamerę w stronę krzesła, na którym miał siedzieć George, nachyliłam ją, i sięgnęłam po pilota.

- To mi się podoba! - krzyknął Pete.

Spojrzałam na ekran i aż jęknęłam. Pochylona nisko nad stołem przy montowaniu sprzętu przesyłałam do Londynu obraz mojego głęboko wyciętego dekoltu. Z nerwowym chichotem wyprostowałam się i usunęłam z pola widzenia kamery. George przyszedł chwilę później i dziękowałam Bogu, że nie był świadkiem tego, jak zrobiłam z siebie widowisko.

Opisałam ten epizod na blogu, zachwycona, że dostał mi się tak smakowity kąsek. Ponadto temat był całkiem bezpieczny i pozwolił mi na chwilę odwrócić myśli od rozpamiętywania, czy słusznie zgodziłam się na ponowne spotkanie z Jamesem. Anekdota miała w sobie taki potencjał komizmu i slapstickowy urok, że zdecydowałam się trochę ją ubarwić, nawet jeśli to znaczyło mijanie się z prawdą. Bez cienia skruchy ubarwiłam całe wydarzenie, dodając lekki flirt z Pete'em, obecność George'a przy moim boku i widownię złożoną z londyńskich współników na drugim końcu. Trzęsłam się ze śmiechu, kiedy to pisałam. Miałam wrażenie, że moi czytelnicy docenią ten kawałek.

Zaraz potem wysłałam e-mail do Jamesa, wyznając, co się naprawdę zdarzyło i, ujawniając, na co sobie pozwalałam w pogoni za dobrym postem. Nie był już anonimowym czytelnikiem jak inni; chciałam, żeby zrozumiał różnicę między blogiem a moim prawdziwym życiem i uświadomił sobie, że dziennik pisany dla odbiorców niekoniecznie jest odbiciem prawdy. Spotkaliśmy się dzięki *petite anglaise*, ale czytanie bloga nie mogło zastąpić znajomości z Catherine - z lalkarką, która ukryta za sceną pociąga za sznurki, przekraczając niekiedy granice między fikcją a rzeczywistością.

Parę dni wcześniej przeznaczyłabym tego e-maila dla Pana Żabojada, mimo że prawdopodobieństwo, aby przeczytał ten post, było niewielkie. W pewnym sensie z każdym nowym tekstem, z każdym listem do Jamesa po cichu przenosiłam swoją lojalność gdzie indziej.

Już byłam niewierna Panu Żabojadowi. W myślach, co się liczy najbardziej.

10.

Podstęp

Przez wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy nie zdradziłam Pana Żabojada. Jeszcze kilka dni wcześniej spiskowanie za jego plecami i sekretne randki z innym byłyby dla mnie nie do pomyślenia. Teraz nagle potrafiłam zracjonalizować i usprawiedliwić zachowanie, które potępiałam; mówiłam sobie, że błędem byłoby nie pójść krok dalej, nie sprawdzić „co by było, gdyby...”, że jestem to sobie winna.

Nie tylko nigdy nie zdradzałam, ale i nigdy nie byłam uwodziona - otwarcie czy skrycie - w dobie elektroniki. Zasady podrywania zmieniły się i przez następne dwa lub trzy dni musiałam odbyć przyspieszony kurs oszukiwania. Moja skrzynka odbiorcza była zasypana listami od Jamesa, musiałam zatem mieć się na baczności i zmienić hasło oraz zamykać pocztę za każdym razem, kiedy odchodziłam od komputera. Wyłączyłam dzwonek telefonu, żeby strumień SMS-ów nadchodził bezgłośnie. Przedtem prawie nie korzystałam z komórki, która leżała uspijona na dnie mojej torebki, zbierając kurz, z wyczerpaną baterią, bezużyteczna w razie potrzeby. Teraz jej pamięć była wypełniona staccatem wiadomości tekstowych: krótkich, zwięzłych i bogatych w podteksty.

Jakiś rok temu, kiedy angielskie tabloidy zrobiły wrzawę wokół wymiany SMS-ów między słynnym piłkarzem a jego rzekomą kochanką, byłam rozdarta między niesmakiem a brakiem zrozumienia. Dopiero teraz pojęłam siłę kilku sylab, kilku intymnych słów, które mogły dosięgnąć mnie wszędzie o każdej porze, budząc podniecający dreszczyk. Gdziekolwiek szłam, słowa Jamesa szły za mną. Czułam, jak jeżą mi się włoski na karku, i ciągle walczyłam z chęcią, żeby nie obejrzeć się za siebie. Zupełnie jakby śledził każdy mój ruch z jakiegoś niewidzialnego punktu obserwacyjnego. Myślał o mnie, byłam tego pewna. Czułam na sobie ciężar jego uwagi.

- Jesteś jakaś podenerwowana, czy tylko mi się wydaje? - spytała Amy, kiedy wyłoniłam się z damskiej toalety w biurze, ściskając w garści telefon komórkowy.

Siedziałam tam na podłodze, chłodząc gołe nogi na gładkich marmurowych płytkach i flirtując z Jamesem. „Obudziłem się, myśląc o twoich oczach, ustach, skórze - napisał. - Chciałbym porozmawiać z tobą przez telefon i usłyszeć twój głos”. Zamknęłam

oczy i zadrżałam, kiedy wyobraziłam sobie, jak jego ręce wędrują po moim ciele.

„Nie mogę się doczekać - odpowiedziałam. - Ale dzwonienie jest zbyt niebezpieczne...”. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin moje umiejętności SMS-owania wzrosły dziesięciokrotnie, chociaż podczas pisania wciąż patrzyłam na kciuk. I kiedy odczytałam, co napisałam - lub raczej co słownik zdecydował, że chciałam napisać - wydałam zduszony okrzyk i upuściłam telefon, jakby mnie parzył. „Ale grzeszenie jest zbyt niebezpieczne” głosiła wiadomość. Nie wysłałam jej, z płonącymi policzkami wybiegłam z toalety i wpadłam prosto na Amy.

- Och! Nie... tak... Jestem trochę zestresowana, wiesz, nawał roboty... - Spojrzałam na kubek w jej ręce. - Właśnie chciałam zrobić sobie herbatę.

- Przed chwilą zagotowałam wodę, powinno jeszcze dla ciebie wystarczyć. Muszę wracać do pracy, bo nie wyjdę stąd do północy.

Miałam wielką ochotę opowiedzieć Amy o wszystkim; cóż to byłaby za ulga móc rzucić ciężar z serca i komuś się zwierzyć. Ale bałam się, że wyleje mi kubek zimnej wody na głowę i, co gorsza, wyperswaduje ponowne spotkanie z Jamesem. Zaledwie tydzień temu żaliła mi się, że ma powody podejrzewać, że jej były chłopak zdradzał ją, jeszcze kiedy byli razem. Pomstowała na niego, przeklinała go za niewierność i podstęp, jakie stosował, a ja w pełni się z nią zgadzałam. Gdyby się dowiedziała, co teraz knuję, byłabym nie lepsza w jej oczach. Uznałam, że wolę sama borykać się z poczuciem winy, niż narażać się na potępienie przyjaciółki.

* * *

Po pracy próbowałam znaleźć ukojenie w codziennej rutynie z Kijanką: dom, kolacja, kąpiel, bajka, łóżko. Pozwalało mi to działać mechanicznie, nawet gdybym nieodpowiedzialnie błędziła myślami gdzie indziej. Zakazałam sobie sprawdzać telefon czy e-mail w obecności córki, ale to tylko pogłębiało moje poczucie winy za poganianie jej, żeby wreszcie poszła spać i dała mi w spokoju przeczytać słowa Jamesa. Byłam rozkojarzona, poirytowana i na granicy wybuchu, gdyby, Boże broń, postanowiła ze mną walczyć.

- *Non, pas fait caca dans la couche!* - zaprotestowała, wyrrywając mi się i uciekając z plastikowej maty do przewijania, która leżała na podłodze w jej sypialni.

Mówiła oczywiście nieprawdę: węch mnie nie mylił. Powinnam się uśmiechnąć,

chwycić ją w pól i łaskotkami, pośród chichotów, skłonić do posłuszeństwa, tymczasem krzyknęłam na nią ostro i szorstkim ruchem bez pardonu rzuciłam na matę. Kijanka wydała zdumiony okrzyk oburzenia.

- Owszem, zrobiłaś kupę i mama musi ci zmienić pieluszkę! - wrzasnęłam.

Córeczka spojrzała na mnie dziwnie, jakby starała się zrozumieć, co wstąpiło w jej matkę. Zamknęłam na chwilę oczy, próbując się opanować. Byłam jak napięta do granic struna. Co będzie, jeśli ta struna pęknie? Wymierzę jej klapsa, zostawiając gniewny, czerwony odcisk dłoni na jej mleczonej skórze, czy też wybuchnę histerycznym płaczem? Nawet gdybym zdołała wziąć się w garść, Kijanka nigdy nie pozostawała obojętna na moje nastroje, i teraz także musiała wyczuć, że dzieje się coś złego. Zdrada, którą knułam, jeszcze nie nastąpiła, a ona już z tego powodu cierpiała.

Kiedy w końcu położyłam ja spać, obsypując gradem przeprasających pocałunków, miałam ochotę schować się do mysiej dziury. Siedziałam skulona przed ekranem komputera, potem zaś wzięłam gorącą kąpiel i leżałam w wannie tak długo, aż wystygła woda i pomarszczyły mi się czubki palców. Pan Żabojad po powrocie drzemał błogo przed telewizorem, zupełnie nieświadomy, co się ze mną dzieje. Kiedy nasz kontakt był nieuchronny, jedzenie z nim kolacji lub wymiana paru zdań stawało się prawdziwą katorgą. Zachowywałam się sztucznie, nienaturalnie, jak nie w swojej skórze; poruszałam się jak automat, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej, tymczasem Pan Żabojad niczego nie zauważył. Czy naprawdę byłam dla niego aż tak niewidzialna? Czyżby nie czuł, że każde ściętno mam napięte, a każdy mój ruch przypomina spazm? Czy skoro milczałam jak nigdy, dławiona poczuciem winy, uważał, że spędzamy miły i spokojny wieczór?

Zbliżający się weekend napawał mnie przerażeniem. Jak zdołam bawić się w szczęśliwą rodzinę pod okiem Pana Żabojada i Kijanki, kiedy moim jedynym pragnieniem było zwinąć się w kłębek pod kołdrą, zamknąć oczy i oddać się fantazjom rozgrywającym się pod moimi powiekami?

* * *

- Naprawdę kiepsko się czuję - jęknęłam umiarkowanym głosem, podając Kijance śniadanie w sobotę rano. Był to ten sam głos, którego używałam w czasach licealnych, żeby oszukać matkę, kiedy z jakichś powodów nie chciałam iść do szkoły. - Chyba muszę się na chwilę położyć. Przepraszam.

Pan Żabojad rzucił mi spanikowane spojrzenie znad gazety. Miał właśnie wziąć jedną ze swoich słynnych długich kąpiel. Bez litości burzyłam jego przyzwyczajenia.

- A ja to co? - spytał oburzony. - Jestem naprawdę zmęczony, miałem ciężki tydzień w pracy...

- Włącz telewizję - poradziłam.

Mimo własnej hipokryzji poczułam, że narasta we mnie słuszny gniew. Ostatecznie on chyba też ma jakieś rodzicielskie obowiązki, tak czy nie? Wytarłam Kijance kąciuki ust śliniaczkiem, wyjęłam ją z wysokiego krzeselka i posadziłam mu na kolanach.

- A jak ci się wydaje, jak ja sobie radzę, kiedy ty musisz pracować w weekendy? - rzuciłam przez ramię. - Albo jak wracasz o czwartej nad ranem po balandze z kolegami i rano jesteś tak skacowany, że nie możesz wstać?

Zatrasnęłam za sobą drzwi sypialni, zanim zdążył mi przypomnieć, że to ja wtoczyłam się do domu dobrze po północy we wtorek po koncercie.

Z naszego łóżka - jego wezglowie było odseparowane tylko cienką wewnętrzną ścianką od kanapy, na której siedzieli Kijanka i Pan Żabojad - słyszałam, jak moja córeczka papie po francusku, zachwycona, że ma tatusia tylko dla siebie. Kanapa skrzypnęła - Pan Żabojad zaklął, zmagając się z osłonką na wideo, która miała zapobiec wtykaniu tam kredek przez dzieci - i rozległ się dziecinny świergot Teletubisiów.

W regularnych odstępach sięgałam drżącą ręką po komórkę, którą miałam w torebce przy łóżku, i sprawdzałam, czy nie ma wiadomości od Jamesa. Przychodziły o wiele za rzadko. Pracował nad renowacją wiejskiego domu razem z Eve - jego partnerką w interesach - gdzieś na głębokiej bretońskiej prowincji, gdzie masztów telefonicznych było jak na lekarstwo. Czułam się, jakbym tonęła: bez jego słów nie miałam się czego uchwycić.

Symulowanie choroby nie było specjalnie trudne; czarne smugi pod oczami świadczyły, że nie zmrużyłam oka przez kilka nocy. Filiżanka kawy wystarczała, żebym trzęsła się jak alkoholik w delirium tremens. Po cichu cieszyłam się, że straciłam na wadze, co było produktem ubocznym życia w nerwach - ubrania zaczynały na mnie wisieć i poprzedniego dnia po raz pierwszy od trzech lat wcisnęłam się w spodnie sprzed Kijanki - ale miałam też mniej przyjemne objawy. Pot zostawiał mi gryzące obwódki pod pachami; żołądek boleśnie się kurczył. Kiedy godzinę później Teletubisie na wideo

skończyły się i pojawił się nieco skonfundowany Pan Żabojad, sam musiał przyznać, że nie wyglądam zbyt dobrze.

- Przyniosłem ci herbatę - powiedział, stawiając kubek na rogu biurka przy łóżku. - Doszłaś do siebie?

- Nie, niestety, czuję się naprawdę okropnie, jakbym złapała jakieś choróbko - odparłam słabym głosem, opierając się na łokciu i podnosząc do ust kubek z anemiczną herbatą.

W ciągu ośmiu lat, jakie spędziliśmy razem, Pan Żabojad jakoś nigdy nie nauczył się parzyć przyzwoitej herbaty dla swojej *petite anglaise*.

- No cóż, trudno, w takim razie pójdziemy na spacer do parku i zostawimy cię na chwilę w spokoju - zdecydował niechętnie. - Może jak wrócimy, będziesz się lepiej czuła.

- Świetny pomysł. - Wykrzesalam z siebie nikły uśmiech.

Chyba wolałabym, żeby był mniej miły; wyrzuty sumienia, które wcześniej przyćmiła złość, znów zaczęły mnie nieprzyjemnie uwierać. Ale w tym samym czasie już wybiegłam myślą naprzód, snując chytry plan. Jeśli będę mieć całe mieszkanie dla siebie, to może zadzwonię do Jamesa? Nie słyszałam jego głosu, odkąd wskoczyłam do tej taksówki i zostawiłam go na ulicy. Napisałam mu, że dzwonienie jest zbyt ryzykowne - wolałam trzymać się tej wersji - ale nagle boleśnie zapragnęłam go usłyszeć.

- Nie lubię chodzić do parku sam - wyznał Pan Żabojad. - Ludzie jakoś dziwnie na mnie patrzą. Z pewnością uważają, że jestem *papa du dimanche*.

Zdałam sobie sprawę, że sama nie jestem bez winy i obrzucam samotnych ojców współczującym wzrokiem, choć przecież nic nie wiedziałam o ich życiu osobistym. Dlaczego tak jest, że widząc ojca z dzieckiem, od razu zakładamy, że to „niedzielny ojciec”? Kiedy ja brałam Kijankę na spacer albo na zakupy, nikt z góry nie przesądzał, że jestem samotną matką.

- Powinieneś to wykorzystać - zażartowałam. - Założę się, że będziesz miał powodzenie u kobiet...

Ironia sytuacji i fakt, że Pan Żabojad może rzeczywiście zostać tatusiem na weekend, nie umknęły mojej uwagi i byłam zarówno zdumiona, jak i przerażona, że potrafię sobie z tego dowcipkować.

- Idziemy do parku? - spytała Kijanka, wpadając do sypialni. Nadal była w piżamie.

- Idziesz z tatusiem. Mama nie czuje się dobrze...

Kijanka wetknęła mi pod kołdrę swoją ulubioną szmacianą lalkę i przyłożyła chłodną łapkę do mojego rozpalonego policzka. Już współczucie Pana Żabojada było dla mnie trudne do przełknięcia, ale współczucie mojej córeczki wydawało się nie do zniesienia. Nie zasługiwałam na to, żeby się nade mną rozczulać. Byłam wilkiem w owczej skórze, potworem knującym zdradę za plecami jej ojca.

Kiedy usłyszałam, że zamknęły się za nimi drzwi windy, odczekałam jeszcze z zapartym tchem, czy nie wrócą po zapomniane wiaderko lub łopatkę, po czym jednym susem wyskoczyłam z łóżka i chodząc tam i z powrotem po skrzypiącej podłodze, wybrałam numer. Po chwili denerwującej ciszy rozległo się piknięcie, potem parę dzwonek i w końcu James odebrał.

- A więc jednak! Zadzwońska - ucieszył się dość powściągliwie. Jego głos był jak balsam na moją duszę: normalny, spokojny, pewny siebie. - Wszystko w porządku?

- Tak i nie - odparłam, sama dość rozedrgana. - Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Musiałam udawać, że jestem chora, żeby choć na chwilę zostać sama. Poszli do parku beze mnie. Po prostu nie byłam w stanie bawić się w szczęśliwą rodzinę, cała ta gra pozorów jest zbyt trudna...

James westchnął.

- Dałbym wiele, żebyśmy nie musieli się ukrywać. Czuję się okropnie, że przeze mnie przez to wszystko przechodzisz, że musisz kłamać. Kto jak kto, ale ja znam ten koszmar.

Umilkł i domyśliłam się, że rozpamiętuje swój własny rozwód. Wiedział, co to znaczy być zdradzonym, oszukiwanym, a teraz sam patrzył, jak stawiam Pana Żabojada w podobnej sytuacji, nadużywając jego zaufania i mydląc mu oczy.

- Nie rób sobie wyrzutów - powiedziałam już znacznie spokojniej, ukojona dźwiękiem jego głosu. - To mój problem. Do niczego mnie nie zmuszasz. Nie jestem szczęśliwa w moim związku i od dawna nie byłam. Spiskowanie za plecami nie sprawia mi przyjemności, ale nie ma innego sposobu, zanim będę pewna. Albo tak pewna, jak mogę być.

- A więc nie zmieniałaś zdania? Co do przyszłego tygodnia?

James musiał się spodziewać, że chcę wszystko odwołać, i obawiał się tych słów od

chwili, kiedy podniósł słuchawkę.

- Nie, nie zmieniałam zdania. Muszę się z tobą spotkać. Nie mogę w nieskończoność chodzić jak we śnie. Boję się, że będę sobie wyrzucać, że coś przegapiłam, i żałować tego do końca życia...

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął. - Mechanik przysięga, że samochód będzie gotów najdalej w czwartek. Więc mógłbym przyjechać pociągiem w środę, zanoć w hotelu i wrócić w czwartek po południu. Nie chcę być nachalny, ale jakbyś mogła wyrwać się na parę chwil z domu albo z pracy...

Wiele nad tym rozmyślałam i kwestia, jak to zrobić, spędzała mi sen z powiek. Niewierność była rzeczą logistycznie skomplikowaną dla pracującej matki, której dzień był precyzyjnie zaplanowany od rana do nocy. Oczywiście hotel będzie najlepszy. Musieliśmy się spotkać sam na sam, z dala od wścibskich spojrzeń i niespodziewanych przeszkód, na neutralnym gruncie. Staralam się nie myśleć, że będzie tam łóżko i cały ten plan jest nieco dwuznaczny.

- Udam nagłą niedyspozycję - powiedziałam. - Mój szef nie będzie zachwycony, że wychodzę, ale niewiele na to poradzi. A na wieczór wynajmę babysitterkę i powiem, że jestem zaproszona na imprezę do któregoś z blogerów. Jak zwykle najpierw będę musiała popędzić do niani, ale i tak spędzimy dobrych kilka godzin razem...

James gwizdnął.

- Masz wszystko opracowane, co? Hotel zostaw mnie. Czy coś w pobliżu Bastylli pozwoli ci łatwo dojechać, a jednocześnie będzie na tyle daleko od domu, żebyś miała komfort psychiczny?

- Jak najbardziej.

Bastylija leżała na znajomym terytorium, blisko mojego pierwszego mieszkania i na linii metra do niani. Trudno o lepszą lokalizację. Co za ulga: wreszcie coś zostało ustalone; wreszcie było wiadomo, kiedy i gdzie się spotkamy.

- Jesteś pewna, że robisz to pierwszy raz?

Ton Jamesa sugerował, że żartuje. Ale wówczas zadałam sobie pytanie, czy możliwe jest zaufanie w związku od początku zbudowanym na oszustwie.

- Muszę mieć wrodzony talent... - Roześmiałam się nerwowo i czym prędzej zmieniałam temat. - Porozmawiajmy o czymś mniej dramatycznym, dobrze? Opowiedz, co

robicie z Eve przy tym domu.

Straciłam poczucie czasu, kiedy rozmawialiśmy; byłam jak nowo narodzona. Nasze wypieszczone e-maile przypominały niekiedy prawdziwe cacka i czasem martwiłam się, czy przypadkiem nie dajemy się ponieść słowom, nie zakochujemy się we własnej twórczości. Przez telefon rozmawialiśmy o rzeczach prozaicznych i ta normalność podziałała na mnie kojąco. Nie była to jednak zdawkowa konwersacja - gawędziliśmy, jakbyśmy znali się od lat. Podobał mi się sposób jego myślenia, wyważone odpowiedzi na każde pytanie.

- Naprawdę się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś, Cath - powiedział z emfazą. - Cudownie jest usłyszeć twój głos. Tak się cieszę, że następnego dnia nie obudziłaś się z decyzją, żeby zapomnieć o całym epizodzie.

- Nigdy nie mogłabym... O mój Boże, wrócili!

Dobiegł mnie zgrzyt klucza w zamku. Byłam tak zaabsorbowana rozmową z Jamesem, że nie usłyszałam zatrzymującej się windy ani kroków na podeście. Teraz drzwi już się otwierały.

Zastygłam z telefonem w garści, zastanawiając się, co robić. Nie miałam czasu wrócić do sypialni. Musiałam zostać na kanapie i stawić czoło sytuacji.

- Muszę kończyć, mamó, oni już są - rzuciłam lekko i rozłączyłam się, zanim Kijanka, która wbiegła pierwsza, zdążyła mnie dopaść z błaganem, by porozmawiać z babcią.

- Jakoś szybko wróciliście, co się stało? - spytałam Pana Żabojada, który pojawił się w ślad za nią.

- Trzeba jej zmienić pieluszkę... A więc wstałaś? *Ça va mieux?* - W jego głosie była nadzieja. - Bo jeśli czujesz się lepiej, to wskoczę na skuter i pojedę załatwić parę spraw.

Dawna ja rzuciłaby cierpką uwagę na temat wymigiwania się od pomocy i zostawiania mnie, całkiem dosłownie, z dzieckiem na rękach. Dzisiaj ugryzłam się w język. Choć raz rodzicielska sztafeta - przekazywanie sobie Kijanki niczym pałeczki z rąk do rąk - w zupełności mi odpowiadała.

- Jasne, jedź - powiedziałam i nie uszła mojej uwagi jego zdumiona, zadowolona mina. - Nie musisz się spieszyć.

Zastanawiałam się później, czy nietypowa dla mnie postawa *laissez-faire* nie

uruchomiła dzwonek alarmowy w jego głowie. Ale jeśli nawet podejrzewał, że coś jest nie w porządku, z całą pewnością niczego po sobie nie pokazał.

11.

Alibi

Kiedy w środę James zadzwonił na moją komórkę, omal wszystkiego nie zawałam.

Zgodnie z moim pieczołowicie uknutym planem, który od czasu naszej rozmowy w zeszłym tygodniu został udoskonalony, miałam odebrać telefon i udawać, że rozmawiam z *tatą*, trzymając się z góry ustalonego scenariusza. Mój głos miał się zmienić z przyjacielskiego na zatroskany, żeby wszyscy wokół słyszeli, że wynikł nagły problem opieki nad dzieckiem, co pozwalałoby mi wyjść wcześniej z pracy bez konieczności udawania choroby. Czego nie wzięłam pod uwagę, to nerwowego chichotu, narastającego mi w gardle od chwili, gdy usłyszałam głos Jamesa. Nie umiałam ukryć radości i uśmiechu ani też przybrać odpowiednio zatroskanej miny. Na szczęście drzwi do szefa były zamknięte, a pracownicy z sąsiednich stanowisk wyszli już na lunch, toteż nie musiałam odgrywać swojej roli przed widownią.

- Już wychodzę - szepnęłam. - Pewno będę w hotelu przed tobą, więc zaczekam w recepcji.

Przez chwilę siedziałam jeszcze za biurkiem z telefonem przy uchu, żeby uspokoić bicie serca. James dzwonił ze stacji Montparnasse. Był w Paryżu. To działo się naprawdę: nadszedł czas, żeby rzucić się w ogień.

Podniosłam się z telefonem przy uchu, pomaszerowałam do gabinetu mojego szefa, zapukałam i wsadziłam głowę przez drzwi. Wyglądało na to, że daje reprimendę jakiemuś nowicjuszowi i powietrze skrzyło się od iskier. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie zniecierpliwiony.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałam szybko - ale zadzwoniła moja niania, że się rozchorowała. Niestety, muszę wziąć od niej córkę i sama się nią zająć dziś po południu...

Kąćki moich ust już unosiły się zdradziecko. Należało się szybko ulotnić, zanim

uśmiech rozjaśni mi twarz.

- Cóż, jeśli naprawdę nie ma innego wyjścia, to zapewne muszę cię zwolnić - burknął szef, nie kryjąc irytacji.

Czułam, że gniew chwyta mnie za gardło. Sam miał małe dzieci, więc powinien wykazać więcej zrozumienia dla mojej trudnej sytuacji - prawdziwej czy wymyślonej.

- Przykro mi - powiedziałam głosem, który wcale o tym nie świadczył. - Nic nie poradzę, na dokładkę jej ojciec jest teraz w Londynie, więc nie mogę na niego liczyć. - Jeszcze jedno małe kłamstewko nie robiło różnicy. - Zadzwoń rano i dam znać, czy niania czuje się lepiej; jeśli nie, spróbuję wynająć babysitterkę...

Szef westchnął i wrócił do poprzedniego zajęcia - zostałam odprawiona. Zamknęłam drzwi nieco zbyt mocno, wprawiając szybę w drżenie. Czym prędzej zebrałam swoje rzeczy i uciekłam. Szef bezwiednie poszedł mi na rękę swoją arogancją. Z jego pomocą doskonale odegrałam rolę wzburzonej matki.

Wolna jak ptak zbiegłam po schodach do metra, modląc się, żeby nie spotkać nikogo ze znajomych Pana Żabojada. *Tata* miała przykazane dzwonić tylko na komórkę, żeby przypadkiem nie wsypać mnie niewczesnym telefonem do biura. Natomiast jeśli chodzi o Pana Żabojada, nie przygotowałam sobie żadnego alibi. Prawdopodobieństwo, że się na kogoś natknę, było znikome, lecz z drugiej strony, czy spodziewałam się wpaść na Benoit w Café Chabron?

Spocony tłum pasażerów z godzin szczytu ustąpił teraz miejsca turystom, emerytom i kobietom w ciąży, więc nie było tłoku. Usiadłam obok starszej kobiety z rzednącymi, farbowanymi na czarno włosami i jaskrawymi plamami różu na grubo upudrowanych policzkach i wyjęłam puder, żeby nieco poprawić mój - miałam nadzieję subtelniejszy - makijaż.

Parę dni wcześniej, gdy poszłyśmy z Amy do pobliskiego supermarketu Monoprix uzupełnić zapasy zupy z puszki i pieczywa w biurowej kuchni, bąknęłam, że muszę kupić rajstopy i wypchnęłam ją samą do działu spożywczego na dole. Kiedy zniknęła mi z oczu, udałam się ukradkiem do działu bielizny. Jedyny w miarę seksowny komplet, jaki posiadałam, otrzymałam od Pana Żabojada w prezencie pod choinkę, więc nie wchodził w rachubę na randkę z Jamesem. Po długich wahaniach i wybrzydzeniu na ceny wybrałam w końcu granatowy stanik i majtki ozdobione niebieską kokardką, a potem skierowałam się

niepewnie do działu z męskimi kosmetykami w poszukiwaniu pakieciku prezerwatyw. Nie kupowałam ich od przeszło ośmiu lat i wiele marek było mi nieznanymi. Hansaplast? - mruknęłam pod nosem. Przecież to chyba ta sama firma, która robi samoprzylepne plastry?

Pakiecik, który wybrałam, wypalał mi teraz dziurę w torebce, a ja po raz pierwszy od miesięcy miałam na sobie dopasowany komplet bielizny pod biurowym kostiumem. Ale nie było mi dane czuć się jak bogini, bo cały czas wyrzucałam sobie, że nie byłam dość przezorna, aby zdjąć ze stanika drapiącą metkę.

Hotel Saint Louis Bastille nie leżał tak blisko Bastylli, jak sugerowała to nazwa, raczej bliżej Republique, przy stacji metra Oberkampf. Wąski budynek wciśnięty między dwa stateczne apartamentowce na boulevard Richard Lenoir błyszczał czystością, niewątpliwie po niedawnym *ravalement*, i wcale nie wyglądał obskurnie. Na środku bulwaru, nad kanałem Saint Martin, który dyskretnie biegł pod ziemią, wygrzewali się na zalanych słońcem ławkach starzy mężczyźni; pod platanami harcowały wróble, obok zaś spacerowały nianie, pchając w wózkach swoje pociechy. Dla wszystkich tych ludzi był to dzień jak co dzień. Co do mnie, czułam się dziwnie oderwana od otoczenia. Widziałam samą siebie, jak przystaję przed zebra naprzeciwko hotelu, zupełnie jakbym patrzyła na to świdrującymi oczami ptaka, który przysiadł wysoko na drzewie. Podczas gdy ja starałam się wcielić w rolę, którą dotąd widziałam tylko na filmach - paryżanki wdającej się w potajemny romans - *petite anglaise* już układała w głowie post na swój blog, notując w pamięci wszystkie szczegóły i zastanawiając się, jak można opisać to wydarzenie. Bez niej nie byłoby mnie tutaj. A przede wszystkim nie poznałabym Jamesa. Ale czy za tym nie kryło się coś więcej? Czy w ogóle dopuściłabym myśl o wpakowaniu się w taką sytuację, dopóki ona się nie pojawiła?

Kiedy stałam na przejściu, naszło mnie wspomnienie właścicielki mojego pierwszego mieszkania z rue de la Roquette. Kiedy co miesiąc pojawiała się po gotówkę, zawsze miała na sobie eleganckie - choć narzucone w nieładzie - stroje, jakby właśnie wstała z pomiętej pościeli łóżka w pobliskim hotelu. Nieład nie był mi obcy, gorzej było z elegancją. Nawet w tej chwili ledwo się powstrzymałam, żeby ukradkiem nie sprawdzić, czy czekając na światła, nie spociłam się z nerwów pod pachami.

Recepcja hotelowa mieściła się w dużym, wyłożonym marmurem pomieszczeniu;

za ladą w rogu siedział nieskazitelnie ubrany i dość zniewieściały mężczyzna.

- *Bonjour mademoiselle* - powitał mnie, kiedy niepewnie zatrzymałam się w progu.

- *Je peux vous aider?*

- Eee... tak... nie, właściwie nie, czekam na mojego narzeczonego. Ma tu rezerwację. Siadę sobie tu gdzieś po prostu...

Osunęłam się na krzesło w stylu Ludwika któregoś tam wybite wzorzystą tapicerką i wygodniejsze na oko niż w rzeczywistości. Wbiłam wzrok w buty i odsuwając paznokciem palca wskazującego zarastającą skórę kciuka, zaczęłam się zastanawiać, czy od razu po mnie widać, że wymknęłam się z pracy na popołudniową schadzkę z kochankiem. Z drugiej strony dla personelu hotelowego to żadna nowość. Dla mnie to trzęsienie ziemi, ale niewierność jest czymś banalnym, na porządku dziennym. Zapewne w tym właśnie momencie setki ludzi jęczą i wzdychają w hotelach w całym mieście.

Dostrzegając kątem oka jakiś ruch, podniosłam wzrok znad butów i oto stał w drzwiach - postawny, wysoki, z podniszczoną torbą podróżną na ramieniu. Poczzerwieniały z gorąca po podróży metrem, z kropelkami potu nad górną wargą. Był gładko wygolony i wymuskany - nigdy go takim nie widziałam - i przez chwilę się zawahałam, zastanawiając się, co ja tu robię i dlaczego spotykam się z tym obcym człowiekiem. A potem uśmiechnął się; poznałam sztruksową marynarkę z poprzedniego tygodnia, którą zarzucił na prawą rękę, i od razu znów stał się mi bliski.

- Cześć - wykrztusiłam. - A więc dotarłeś.

Nie bardzo wiedziałam, jak go powitać - zwłaszcza na oczach innych - wstałam więc sztywno i podeszłam do niego do lady recepcyjnej.

- Przywitamy się jak należy za małą chwilę - powiedział, szukając w kieszeni paszportu i karty kredytowej, podczas gdy stałam u jego boku na uginających się nogach; kręciło mi się w głowie i żałowałam, że nie zdążyłam zjeść lunchu.

A potem nagle byliśmy wolni, weszliśmy do lustrzanej windy i w końcu znaleźliśmy się sami.

Niewiele pamiętam z tamtego popołudnia, moja pamięć jest jak prześwietlona rolka filmu; zostało tylko kilka wybranych fragmentów. Może umysł dla komfortu psychicznego wymazuje z pamięci momenty ekstremalnej przyjemności czy bólu? Obrazy, które zostały mi w oczach, są rozmazane, jakbym stała za blisko jednego z

ogromnych płócien Moneta w Oranżerii i nie widziała całości, zbyt skupiona na pojedynczych pociągnięciach pędzlem.

Wiem, że leżeliśmy twarzą w twarz, w ubraniach, na białej pościeli, rozmawiając przyciszonym głosem przez godzinę, może dwie. Królewskie łóżko zajmowało trzy czwarte wyłożonego wykładziną pokoju, zostawiając tylko wąskie przejście wokół; nie było miejsca, gdzie można by usiąść. Wiem, że poczułam przemożną ulgę, kiedy z mojego ciała wreszcie opadło napięcie i zaczęłam się rozluźniać, aż zwiotczałam w jego ramionach, wyczerpana po długich nieprzespanych nocach. Poczucie winy, które nosiłam w sobie, marząc o tej chwili, pozostawiłam tymczasowo za drzwiami pokoju hotelowego.

- Możesz się zdrzemnąć, jeśli chcesz - szepnął James. - Wystarczy mi, że mam cię przy sobie.

- Będę miała mnóstwo czasu na spanie, kiedy wyjedziesz - odparłam, potrząsając głową. - Teraz żal mi każdej sekundy.

Wiem, że zwlekaliśmy z pocałunkiem do ostatniego momentu, kiedy wybiła godzina pójścia po Kijankę. Oparty na łokciu, pochylił ku mnie twarz z pytaniem w oczach, którego, tym razem, nie musiał artykułować. Byłam wzruszona jego cierpliwością, faktem, że niczego z góry nie przesądzał. Oto leżeliśmy wyciągnięci na hotelowym łóżku, a on nadal prosił mnie o zgodę, obchodził się ze mną jak z jajkiem, rozumiał moją potrzebę dyktowania tempa.

Uśmiechnęłam się, prawie niedostrzegalnie skinęłam głową, objęłam go ręką za szyję i zanurzyłam palce w kędziorkach włosów na karku, do czego tak tęskniłam tydzień temu w barze. Byłam gotowa. Nadszedł czas. Przyciągnęłam go do siebie.

Tyle nadziei i marzeń prowadziło do tej chwili: tydzień wyczekiwania, ekscytacji, fantazjowania. Pocałunek, którego odmówiłam mu na ulicy po koncercie, miałby smak piwa i niefrasobliwości. Mógłby łatwo być niezdarny, byle jaki, rozczarowujący. Odroczone, był naładowany emocjonalnym znaczeniem. Nie tonał w alkoholowych oparach. Nie był ani jednorazowy, ani impulsywny - był przemyślany, wiążący. Rozdygotana, bez tchu, z mrówkami na wargach musiałam przyznać, że był wart czekania.

- Nie wierzę, że już muszę iść - jęknęłam, kiedy po paru minutach zapikał mi zegarek. Nie mogłam sobie darować, że nie pocałowałam go wcześniej.

- Mamy mnóstwo czasu - uspokoił mnie, przykładając mi palec do ust. - Nie ma

pośpiechu. Kupię wino i możemy zacząć w tym miejscu, gdzie skończyliśmy.

Zjechałam sama do recepcji, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Wkrótce wrócę. Ale najpierw musiałam odebrać Kijankę, nakarmić ją, wykapać i przygotować przed oddaniem w ręce Maryline. Dzięki Bogu, że Pan Żabojad nie mógł z nią zostać. Jak mogłabym spojrzeć mu w oczy z pocałunkiem Jamesa nadal palącym mi wargi? Następane godziny były najdłuższe w moim życiu - ekstaza przeplatała się z torturą - ale w nagrodę miałam zostać z Jamesem aż do późnej nocy.

Kiedy przyszła Maryline, jak zawsze nieznośnie spóźniona, z niepokojem spostrzegłam, że jakoś dziwnie mi się przygląda. Czy to możliwe, że intuicyjnie wyczuła coś, co przeoczył Pan Żabojad? Zauważyła, że wyjątkowo starannie przygotowałam się do samotnego wyjścia na wieczór? A może poczucie winy, które zepchnęłam na dno, wypłynęło teraz w postaci paranoicznej podejrzliwości? Mniejsza o to, pomyślałam; z ulgą zamknęłam za sobą drzwi i zjeżdżając na dół, przyłożyłam płonący policzek do chłodnego lustra w windzie.

Recepcjonista w hotelu poznał mnie od razu, mimo że miałam na sobie wizytowy strój i jaskrawy makijaż, zgodnie z alibi, jakie podałam Panu Żabojadowi, że idę na imprezę. Ruchem ręki skierował mnie na górę i zapukałam cicho do pokoju Jamesa. Kiedy nie odpowiedział natychmiast, ogarnęła mnie panika. Czyżby stchórzył i wziął nogi za pas? Ale nie, otworzył mi z mokrymi włosami i szklanką czerwonego wina w ręce.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałam nieśmiało. - Najważniejsze, że jestem.
- Weszłam, zamykając za sobą cicho drzwi.

Nadeszła północ, zanim położyliśmy się nadzy między wykrochmalonymi białymi prześcieradłami i poczułam na sobie jego ciężar, jego gładkie i gorące ciało.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - szepnął. - Bo dzisiaj niczego nie musimy. Mogę poczekać...

Tym razem to ja przyłożyłam mu palec do ust i potrząsnęłam głową; moja ręka powędrowała niżej, nie zostawiając żadnych wątpliwości, co do moich niecznych intencji.

- Płaczesz! - powiedział później, głaszcząc mnie po policzku i ocierając mi łzy palcem.

Milczałam jak zaklęta. Chciałam się nasycić na wpół zapomnianym uczuciem jedności ze swoim ciałem, jego potęgą, świadomością, że jest pożądane. Cienką

warstewką potu na mojej skórze, mojej i jego. Drobnymi dreszczykami, które jeszcze mną wstrząsały.

- Nie jestem smutna - odezwałam się w końcu omdlewającym, nieswoim głosem. -
Po prostu zapomniałam, jak to jest, jak to może być.

Byliśmy ze sobą idealnie zgrani; każdy ruch był czystą rozkoszą. Radości z odkrywania nowego terenu towarzyszyła bliskość i niespodziewana zgodność.

- Zapomniałaś? Jak to zapomniałaś? - Popatrzył na mnie zdumiony. - Jak długo to trwa?

Wtuliłam twarz w jego ramię, nagle zawstydzona śladem swoich zębów, odcisniętych równym półksiężycem na jego skórze.

- Za długo. Tak długo, że zapomniałam, po co mam ciało.

- Nie rozumiem - powiedział z niedowierzaniem. - Dlaczego?

Jak miałam mu to wytłumaczyć? Cokolwiek to jest, co sprawia, że czyjś dotyk budzi w nas pożądanie, Pan Żabojad i ja straciliśmy to dawno temu. Przy rzadkich okazjach, kiedy któreś z nas próbowało coś zainicjować, jego dotyk nie tyle mnie podniecał, ile irytował albo łaskotał, i musiałam się pilnować, żeby nie strącić jego ręki jak uprzykrzonej muchy. On wymigiwał się zmęczeniem, ja brakiem nastroju, aż w końcu oboje daliśmy za wygraną. Poważna rozmowa oznaczałaby przyznanie się do tego, że mamy problem, więc zbywaliśmy to słabymi żartami. Pamiętam nawet, jak wzniosłam toast za rok w celibacie. Wyglądało na to, że nie ma dla nas powrotu. To nie była niczyja wina. Ale coś ważnego zostało na zawsze stracone.

Dawniej, będąc wśród przyjaciół, wypatrywałam, na próżno, sygnałów, że życie seksualne innych ludzi też się wypaliło, i zastanawiałam się, czy to normalna kolej rzeczy, że każdy związek z czasem staje się letni. A teraz, kiedy moje uśpione zmysły znowu się obudziły, zaczęłam podejrzewać, że nie wystarczy mi już przyjacielski uścisk i okazjonalne cmoknięcie w usta.

Na dźwięk mojej komórki dzwoniącej w torebce wzdrygnęłam się jak porażona prądem. Maryline? Wskoczyłam z łóżka i przykucnęłam nago na podłodze, przewracając w pośpiechu torebkę do góry nogami i wysypując całą jej zawartość na wykładzinę. Ale wyświetlacz pokazał, że to Pan Żabojad; zapewne paliły go uszy. Musiałam odebrać jego telefon z potem innego mężczyzny schnącym mi na skórze. Nie mogłam go zignorować.

To mogło być coś ważnego.

- Czy coś się stało? - spytałam najspokojniej, jak umiałam.

Policzki mi płonęły, ręce się trzęsły. Żeby tylko Kijanka się nie rozchorowała, modliłam się. Żebym tylko nie musiała teraz wychodzić. Głos w słuchawce był krystalicznie czysty, zupełnie jakby Pan Żabojad znajdował się tuż obok w pokoju. Bałam się, że może jakoś instynktownie wyczuł, że jestem naga; że wie, co się święci.

- Nie. Maryline właśnie wyszła. Chciałem tylko wiedzieć, kiedy wrócisz.

- Ach tak, rozumiem. - Odetchnęłam z ulgą. - Jeszcze nie wiem. Za jakieś parę godzin.

- Gdzie jesteś? - zaniepokoił się nagle. - Jakaś wyjątkowo cicha ta impreza.

Zakrztusiłam się, zbiełały mi kostki rąk zaciśniętych na telefonie.

- Och, to raczej kolacja z grupką przyjaciół - odparłam z nadzieją, że zabrzmiałoby to wiarygodnie. - Poza tym przeniosłam się z komórką do sypialni.

- Aha... - mruknął. Czy tylko mi się zdawało, że dosłyszałam nutę wątpliwości? - No cóż, wobec tego do zobaczenia.

- Nie czekaj na mnie - dodałam szybko. - Mogę wrócić późno. To na razie.

Odłożyłam telefon na podłogę i ukryłam twarz w dłoniach, siedząc bez ruchu.

- Czy dobrze zgaduję, kto dzwonił? - spytał ostrożnie James. Bez słowa skinęłam głową. - Co za niefortunny moment! - Zaprosił mnie gestem do łóżka. - Już w porządku?

Wtuliłam się w niego, ramiona mi drżały.

- Nienawidzę kłamać! - załkałam. - Nie nadaję się do takich rzeczy.

- Dałbym wszystko, żeby cię od tego uchronić - szepnął mi James we włosy. - Musisz mieć trochę czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Nie będę cię naciskać. Jeśli uznasz, że nie tego chcesz, zniknę i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Choć naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że serce podpowie ci coś innego. Ale uszanuję każdą twoją decyzję.

Nad ranem wyrwałam się z jego ramion, wzięłam prysznic, wybiegłam w noc i złapałam taksówkę. Kiedy wsuwałam się do łóżka obok Pana Żabojada, dziękując niebiosom, że głęboko śpi, skóra nadal mnie mrowiła i miałam przyspieszony oddech. Leżałam sztywno, bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami, rozpamiętując bez końca ostatnie dwanaście godzin. Kiedy zadzwonił budzik, byłam pewna, że spałam tylko kilka

minut.

- Przyjęcie się udało? - spytał sennie Pan Żabojad, podnosząc się niechętnie do pozycji siedzącej.

- Było nie najgorzej.

Zdusiłam ziewnięcie i przewróciłam się na drugi bok, żeby nie widział mojej twarzy. Tym razem byłam zadowolona z jego codziennej rutyny: im dłużej będzie moczyć się w wannie, tym krócej będę musiała unikać jego wzroku. Kijanka obudziła się w wyjątkowo dobrym humorze i nasze poranne przygotowania poszły stosunkowo gładko. Jak tylko za Panem Żabojadem zamknęły się drzwi, zadzwoniłam do mojego szefa.

- Przyjdę w porze lunchu - powiedziałam, już widząc jego zirytowaną minę i starając się przybrać zatroskany ton. - Czekam na babysitterkę, ale ona jest wolna dopiero od południa.

- Cóż, lepsze to niż nic - odparł z przesadnie głębokim westchnieniem.

- W razie potrzeby proszę dzwonić na komórkę - dorzuciłam, zdumiona własną dalekowzrocznością. - Mogę być w parku.

Kiedy odwiozłam Kijankę do opiekunki, zostały mi już tylko dwie godziny z Jamesem do końca doby hotelowej, po której musiał zwolnić pokój. W południe, za nic nie chcąc się rozstawać, zaproponowałam, żebyśmy poszli gdzieś razem na lunch. Uczepiłam się jego ręki jak zadurzona nastolatka, porzuciwszy wszelkie środki ostrożności, i przez jakiś czas krążyliśmy bez celu, nie mogąc się skupić na tak przyziemnym zadaniu jak wybór restauracji. W końcu wstąpiliśmy do niepozornej kawiarenki na boulevard Beaumarchais i zamówiliśmy dwa *croques madames*. O tak wczesnej porze w środku było niewielu klientów. Kiedy czekaliśmy na zapiekane sandwicze, ścisnęłam kurczowo jego dłoń na laminowanym blacie z kolorowymi tekturowymi podkładkami.

Pierwszy raz jadłam w obecności Jamesa i wydało mi się to czynnością bardziej intymną niż zrzucenie ubrania. Czułam suchość w gardle i przełykanie sprawiało mi trudność. Pokroiłam tosta na małe kawałeczki i wpychałam je sobie z oporami do ust, nabrzmiętych i spuchniętych od jego pocałunków. Mówiliśmy niewiele; koncentrowałam się głównie na walce z falą rozpacz, która stopniowo zaczynała mnie ogarniać. Zaraz zostanę sama, jedynie z poczuciem winy do towarzystwa. Odsunęłam talerz z

niedojeżdżonym sandwiczem.

- Nie zniosę tego dłużej. Nie chcę przedłużać tej agonii - powiedziałam. - Powinnam już iść.

Na szczycie betonowych schodów wiodących do metra James ujął moją twarz w dłonie. Pozwoliłam mu się pocałować prosto w usta, na oczach wszystkich.

- Wiem, że to dla ciebie trudniejsze niż dla mnie - powiedział, odsuwając mi włosy z oczu - ale bądź silna. Zadzwoń po powrocie do domu, jeśli będziesz mieć wolne pole.

Kiwnęłam głową i pożegnałam go długim, głodnym spojrzeniem, po czym odwróciłam się i zeszłam na dół, trzymając się mocno poręczy. Jakaś przesądna obawa nie pozwoliła mi się obejrzeć, jakby jedno spojrzenie za siebie mogło obrócić go w kamień.

W wagonie metra wyjęłam iPoda z torebki i wybrałam piosenkę zdolną wyrazić moje emocje: *Gorecki*, grupy Lamb. Tekst nabrał dla mnie nagle specjalnego znaczenia i łyż - łyż szczęścia - popłynęły mi po policzkach. Wbiłam wzrok w swoje odbicie w szybie stukającej po szynach kolejki; dusza rwała mi się, żeby pobiec ciemnym tunelem do miejsca, w którym on stoi. Słowa, które tłukły mi się po głowie, aż się prosiły, żeby je uwolnić.

Kiedy wchodziłam do jasno oświetlonej lustrzanej windy w moim biurowcu, w kieszeni zawibrował mi telefon.

„Widzę pod powiekami każdy szczegół twojej twarzy. Nie warto otwierać oczu”.

Wystukałam odpowiedź, kiedy winda wiozła mnie w górę, i nacisnęłam „wyślij” w chwili, gdy drzwi otworzyły się bezgłośnie.

„Jedź ostrożnie, najlepiej z otwartymi oczami”.

Zwierzenia

Parę minut później Amy znalazła mnie w kuchni. Mój szef jeszcze nie wrócił z lunchu, a byłam zbyt podniecona, żeby usiedzieć za biurkiem mimo piętującego się niepokojąco stosu papierów na mojej tacce odbiorczej. Omijając ekspres do kawy szerokim łukiem - kofeina tylko bardziej mnie pobudzi - nastawiłam czajnik i zaczęłam grzebać w zapasach w poszukiwaniu herbaty ziołowej.

- Catherine! - wykrzyknęła Amy. - Nie wiedziałam, że przyszłaś!... Rozumiem, że twoja niania poczuła się lepiej?

Wyciągnęłam głowę z szafki, czując, że płoną mi policzki. Nadszedł czas, żeby wyznać prawdę i wypić piwo, którego nawarzyłam. Poza tym, jeśli będę to chwilę dłużej trzymać tylko dla siebie, to pękne.

- Nie chodziło o nianię - wyznałam. - Poznałam mężczyznę, który naprawdę, naprawdę zawrócił mi w głowie. Był przejazdem w Paryżu i musiałam wymyślić jakąś historyjkę, żeby móc się z nim spotkać.

- Poznałaś mężczyznę? Jak? Gdzie?

Amy nie mogła wyjść ze zdumienia, a już najbardziej dziwił ją fakt, że znalazłam na to czas. Jeśli zdarzało nam się widywać poza pracą, to tylko u mnie w domu, kiedy Kijanka poszła spać. Nic nie wiedziała o moim blogu ani o rozkwitającym obok życiu towarzyskim. To wszystko wymagało dłuższych wyjaśnień.

- O Boże, nawet nie wiem, od czego zacząć - westchnęłam, starannie unikając jej wzroku. - To naprawdę długa historia...

Z klatki schodowej doleciał znajomy głos i wiedziałam, że reszta spowiedzi musi poczekać; lada chwila w kuchni zjawi się mój szef, żeby zaparzyć sobie kawę.

- Cholera, muszę wziąć się do pracy - zakląłam, pokazując na drzwi. - Zostawił mi całą robotę z czasu, kiedy mnie nie było. Można by pomyśleć, że w tym biurze jestem jedyną sekretarką, która potrafi przepisać list.

- No to może wybierzemy się gdzieś jutro na lunch? - zaproponowała Amy. - Będziemy same i wszystko mi opowiesz. A tymczasem radzę ci porządnie się wyspać.

Wyglądasz jak cień.

Przy biurku włożyłam słuchawki i puściłam dyktafon wdzięczna losowi za mechaniczne zadanie, które pozwalało mi wyłączyć się ze świata i działać niejako automatycznie. Szef nie wspomniał słowem o mojej nieobecności, ale też nie potraktował mnie ulgowo i musiałam nadrobić wszystkie zaległości. Jednak o czwartej, kiedy zniknął w sali konferencyjnej, mogłam wreszcie odetchnąć. Zastygłam na krześle jak w transie, wbiłam niewidzący wzrok w okno i gładziłam się czubkami palców po obojczyku. Moja skóra była miększa, gładsza, bardziej wrażliwa; już nie jak koperta, którą ledwo zauważałam. Odkąd James po raz pierwszy mnie dotknął, moje ciało zaczęło pulsować życiem, obudził się w nim każdy nerw. Czułam się jak instrument, który został nastrojony po długim czasie nieużywania.

Sczytując potem listy, które przepisałam na komputerze, zobaczyłam, że aż roją się od błędów i literówek, które szybko poprawiłam przed wydrukowaniem ich na firmowym papierze i daniem szefowi do podpisania. Najbardziej rażący błąd - w liście do klienta - był również znamieny. „Proszę podpisać i datować dokumenty i zwrócić je w stosownym trybie” - musiał powiedzieć mój szef do dyktafonu, co było standardowym zakończeniem pisma towarzyszącego zwrotowi podatku. Ale ponieważ błędziłam myślami gdzie indziej, moje palce stukające w klawiaturę, jakby z własnej woli napisały: „w seksownym trybie”.

* * *

- A więc, czy dobrze rozumiem? Poznałaś Jamesa przez swoją stronę internetową, ale spotkałaś się z nim dopiero w zeszłym tygodniu? - Amy patrzyła na mnie oczami jak spodki.

Zarezerwowała nam stół we włoskiej restauracji zwanej Barlotti, jednej z wielu przy Place du Marché Saint Honoré, nastawionych głównie na obsługę urzędników z przezroczystego biurowca stojącego na środku wybrukowanego skweru. Mijając go, jak zawsze podziwiałam szklaną strukturę, która odbijała stare budynki wokół i stanowiła ich dopełnienie: lubiłam widok tej pokojowej koegzystencji starego i nowego Paryża.

- O kurczę, tu jest bar sałatkowy pod nazwą Cuisine et Confidences - wykrzyknęłam parę kroków dalej. - Wcześniej go nie widziałam! Właściwie to powinnyśmy zjeść tutaj...

Nigdy nie byłam też w Barlotti i kiedy kelner poprowadził nas do stolika i przestrzeń nagle otworzyła się na wielką skąpaną w naturalnym świetle salę z wysokim

sufitem, byłam przyjemnie zaskoczona. Ale kiedy zajęłyśmy miejsca, już nie zwracałam uwagi na otoczenie. Z talerzem pomidorów z mozzarellą przed sobą zaczęłam relacjonować wydarzenia ostatnich miesięcy.

- Wiem, że to się może wydawać dziwne - przyznałam - ale odkąd zaczęłam prowadzić mój dziennik internetowy, nawiązałam mnóstwo przyjaźni. Głównie z kobietami, innymi cudzoziemkami, które piszą o tym, jak im się mieszka w Paryżu. - Wzięłam kawałek chleba i podniosłam do ust, po czym zmieniłam zdanie i odłożyłam go z powrotem. - Nigdy nie miałam na myśli niczego innego niż wirtualne przyjaźnie, a już ani przez sekundę nie wyobrażałam sobie, że spotkam jakiegoś mężczyznę, ale James od początku mnie intrygował. Najpierw przez dłuższy czas zostawiał na moim blogu naprawdę interesujące komentarze... potem zaczął przysyłać e-maile. Umówiliśmy się w charakterze przyjaciół... a może tylko się oszukiwaliśmy... ale od pierwszej chwili coś między nami zaiskrzyło. To był jeden z tych rzadkich momentów *coup de foudre*, rozumiesz... - Zaczerwieniłam się i umilkłam, mając przed oczami obrazy z poprzedniego dnia w hotelu.

- Ciekawa rzecz... - powiedziała Amy wolno. - Nie znam cię zbyt dobrze, choć ostatnio coraz lepiej, a twojego narzeczonego nie znam prawie wcale, ale zawsze miałam wrażenie, że czujesz się samotna. Zwłaszcza odkąd wróciłaś do pracy po urlopie macierzyńskim. A tego wieczoru, kiedy oboje przyszliście do mnie na drinka i widziałam go pierwszy i ostatni raz, pomyślałam sobie, że nie wyglądacie jak zakochana para...

- Bo nie jesteśmy już zakochaną parą. - Potrząsnęłam głową ze smutkiem. - Raczej parą przyjaciół albo współlokatorów. Chyba każdy długoletni związek się tak kończy. Nie mam prawa oczekiwać niczego więcej. Choć, prawdę mówiąc, dzwonek alarmowy dzwonił już dawno, zanim jeszcze zdecydowaliśmy się na dziecko. Nie żałuję tej decyzji, chciałam tego dziecka, zawsze uważałam, że on będzie fantastycznym ojcem, a nasza córeczka to ósmy cud świata, jest dla mnie wszystkim... ale często myślę, że to jedyna więź, jaka nas łączy. My już nawet wcale... no wiesz...

- W ogóle? - Amy była równie zaszokowana jak James.

- I właśnie dlatego boję się, że sytuacja zaczyna wymykać mi się z rąk. Jestem taka wygłodniała, taka zdesperowana... Cudownie jest poczuć się po tak długim czasie wyróżnioną, upragnioną, pożądaną, ale to musi przyćmiewać mi jasność widzenia. Skąd

mogę wiedzieć, że chcę akurat Jamesa, a nie, że chcę, aby ktokolwiek mnie pragnął?

Oczy Amy się zaszklily. Zapewne powiedziałam coś, co przypomniało jej byłego chłopaka, długie przemowy, jakie wygłaszał, kiedy próbował wyjaśnić przyczyny swojego odejścia po sześciu latach wspólnego życia. Nagle poczułam się straszną egoistką, że właśnie ją wybrałam sobie na powierniczkę. Niełatwo jej było tego słuchać.

- Związek z nim może być ryzykowny - zgodziła się. - Zwłaszcza jeśli chcesz postawić wszystko na jedną kartę w momencie, kiedy jesteś taka złaknięta uczuć, kiedy od tak dawna nikt nie okazywał ci zainteresowania... A co, jeśli to wszystko okaże się jednym wielkim błędem? Poza tym, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, że wyprowadzisz się i rozdzielisz swoją małą z ojcem?

- Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że zostanę z nim tylko dla dobra dziecka - powiedziała zdumiona, jak stanowczo to zabrzmiało, jak nieodwołalnie. - Może jestem samolubna, ale nie wierzę, żeby utrzymywanie tej sytuacji na dłuższą metę komukolwiek z nas wyszło na dobre. Nie wiem, czy James i ja mamy przed sobą jakąś przyszłość, ale nie jestem w stanie nadal grać tej farsy. Muszę wyznać prawdę. Nie będę więcej kluczyć i kłamać. Ten jeden raz mi wystarczył.

Pozwoliłam kelnerowi, który pojawił się bezgłośnie u mojego boku, zabrać nietknięty talerz. Nie było sensu udawać, że mam zamiar coś zjeść: lunch był tylko pretekstem do rozmowy. Od tygodnia żywiłam się miętową herbatą i adrenaliną, i jeszcze jakoś trzymałam się na nogach.

- Jeśli podjęłaś już decyzję, to zastanów się, czy nie lepiej wyłączyć z tego Jamesa, przynajmniej na razie - zasugerowała Amy. - Może powiedz, że chcesz chwilowej separacji.

- Nie wspominając, że jest ktoś inny? - Mięłam nerwowo serwetkę, niemal żałując, że nie palę i nie mam co zrobić z rękami. - Boże. Sama sobie nie wierzę. Jak mam mu to powiedzieć? Kocham go, ale nie w ten sposób.

- Cóż, może on czuje to samo. Może to będzie łatwiejsze, niż myślisz...

Nie miałam zielonego pojęcia, jak zareaguje Pan Żabojad. W sferze uczuć potrafił być zdumiewająco nieprzenikniony. Ja dawałam ujście emocjom na blogu, on był człowiekiem zamkniętym, małomównym, bardziej słuchaczem niż gawędziarzem. Może rzeczywiście poczuje ulgę? Instykt mówił mi, że będzie zdruzgotany, ale może jednak

okaże się, że Amy miała rację? Rzecz jasna, mogłam sprawdzić to tylko w jeden sposób.

- Zrobię to jeszcze dziś wieczorem - oświadczyłam z nagłą determinacją i poprosiłam wzrokiem kelnera o rachunek. - Jest piątek, będę miała cały weekend, żeby się z tym uporać. Nie mogę dłużej zwlekać, chociaż ledwo żyję ze strachu.

- Przemyśl to sobie jeszcze dziś po południu - poradziła Amy, odsuwając krzesło i biorąc torebkę. - Wciąż trudno jest mi uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się z powodu Internetu. I nie mogę się doczekać, żeby zerknąć na ten twój blog.

- Nie znajdziesz na nim nic z bieżących wydarzeń - powiedziałam szybko. - W tym tygodniu niewiele pisałam. Ostatni post był o tym, że widziałam w metrze, jak jakiś chłopak pocałował dłoń swojej dziewczyny, zaciśniętą na drążku przy wyjściu, a potem zorientował się, że wybrał nie tę rękę... Ujęłam to w taki sposób, jakby zdarzyło się to dopiero wczoraj, ale tak naprawdę byłam tego świadkiem dawno temu.

W drodze powrotnej do biura zastanawiałam się, czy przytoczenie tej właśnie anegdotki sprzed lat nie kryło w sobie głębszego znaczenia.

Zadawałam sobie mnóstwo niewygodnych pytań na temat moich motywacji - jako blogerka byłam zapatrzona we własny pepek - ale rzadko znajdowałam satysfakcjonujące odpowiedzi.

13.

Szok

Siedziałam przy łóżku Kijanki i wkładałam jej piżamę, kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Ona też to usłyszała, wyrwała się z moich ramion i z piskiem pobiegła do drzwi, aby powitać Pana Żabojada: „Tatus, tatus, tatus!”. Szumiało mi w uszach, krew odpłynęła mi z twarzy. Uchwyciłam się komody i wstałam.

- Przyszedłeś w samą porę na bajkę! - powiedziałam, zmuszając usta do uśmiechu, kiedy wychodziłam na korytarz. - Jakim cudem jesteś tak wcześnie?

- Miałem spotkanie na mieście, a kiedy się skończyło, nie mogłem znieść myśli o powrocie do biura - wyjaśnił Pan Żabojad, porywając Kijankę w ramiona. - Ale uprzedzam - dodał - że dzisiaj mogę mieć jeszcze trochę roboty, jeśli udostępnisz mi komputer.

Wczesny powrót Pana Żabojada miał swoje wady i zalety. Zostały mi oszczędzone męki oczekiwania, które narastałyby z każdym tyknięciem zegarka. Ale z drugiej strony marzyłam, żeby zadzwonić do Jamesa. Zwalczyłam tę chęć, kiedy wracałam do domu z Kijanką, kiedy dawałam jej kolację, kiedy pluskała się w wannie, ale planowałam porozmawiać z nim, jak tylko ją uśpię. Chciałam usłyszeć jego głos zapewniający mnie, że jestem silna, że sobie poradzę, że postępuję słusznie. Teraz było za późno - zostałam zostawiona sama sobie.

Podczas gdy Pan Żabojad czytał Kijance, miotałam się po mieszkaniu jak lew w klatce. Nerwy odmawiały mi posłuszeństwa. Z hukiem wrzuciłam klocki Lego do plastikowego pojemnika, zamknęłam z trzaskiem składne wysokie krzeselko, poprawiłam poduszki na kanapie, wałąc w nie pięściami z większą siłą, niż było to konieczne. W końcu znieruchomiałam przed kominkiem w sypialni, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Mój trupi wygląd w pełni odpowiadał mojemu samopoczuciu. Żołądek podchodził mi do gardła i czułam mdłości.

Po południu przepowiedziałam sobie w myślach swoją przemowę najpierw w biurze, potem w metrze w drodze do domu. A nawet w trakcie kąpieli Kijanki, błogo nieświadomej zdrady, jaką knuję. Wszystko to było oczywiście bez sensu, bo wiedziałam,

że zapomnę języka w gębie, jak tylko staniemy twarzą w twarz. Najważniejsze momenty naszego życia rzadko są wyczelowane do perfekcji.

Skoro nie mogłam porozmawiać z Jamesem, to może znajdę jego list w skrzynce? Otworzyłam pocztę i, na szczęście, czekał na mnie e-mail. „Tak bardzo za tobą tęsknię - napisał w czasie, kiedy wracałam przez park z Kijanką. - Czuję się, jakby trzęsienie ziemi wyrwało dziurę w mojej drodze przez życie, dziurę, której bez ciebie nie mogę obejść ani przekroczyć. Rozumiem, że dopiero podejmujesz decyzję i nie chcesz dziś zadzwonić, ale proszę, proszę, proszę, daj mi jakoś znać, że wszystko okay”.

- Pora na przytulanki, mamó! - krzyknęła Kijanka, zanim zdążyłam odpisać.

- Już idę! - odkrzyknęłam, zamykając pocztę.

Przez chwilę stałam w drzwiach jej pokoju, patrząc, jak moja córeczka obejmuje Pana Żabojada i obsypuje go pocałunkami. Serce ciążyło mi jak kamień; myśl, że po raz ostatni mówimy jej razem „dobranoc”, była nie do zniesienia.

Utuliłam zasypiającą Kijankę obłożoną pluszakami, zostawiłam uchylone drzwi, tak jak lubiła, i poszłam za Panem Żabojadem do naszej sypialni znajdującej się w najdalszym punkcie od pokoju Kijanki. Stał przy kominku, w miejscu, w którym ja stałam jeszcze przed paroma minutami; w rękę miał paczkę papierosów i klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, odwrócił się z wyrazem niepokoju na twarzy. Zamknięcie drzwi oznaczało tylko jedno. I bez wątplenia szykował się na awanturę.

Przeszłam obok biurka z komputerem i usiadłam po swojej stronie łóżka. Wsparłam się plecami o wezglowie i zasłoniłam, jak tarczą, kolanami, które podciągnęłam pod brodę. Wbiłam wzrok w centkowaną fioletową kape, nie śmiąc spojrzeć Panu Żabojadowi w oczy. Łóżko zaskrzypiało, kiedy przysiadł bokiem po drugiej stronie, kładąc kolana na kołdrze i nie zdejmując butów.

- Nie wiem... nie wiem, jak to powiedzieć - odezwałam się niepewnym głosem, ze spuszczonej oczami. - Ale wydaje mi się, że nie jesteśmy już razem szczęśliwi. Każde z nas chce czego innego. Ciągłe się kłócimy. Nie dotykamy się... A kiedy się nie kłócimy, to prawie nie rozmawiamy. Dużo o tym myślałam i chcę, żebyśmy spróbowali zamieszkać osobno.

Łzy podeszły mi do oczu, przełknęłam je z trudem i zmusiłam się, żeby podnieść

głowę, ciężką jak u noworodka. Chciałam zobaczyć jego twarz, zobaczyć efekt moich słów.

Rysy Pana Żabojada zastygły w masce szoku. Mimo że w naszym związku od dawna źle się działo, najwyraźniej nie brał pod uwagę takiego obrotu sprawy. Ogłuszony, patrzył na mnie pustym wzrokiem, jakby nie rozumiał, co mówię, choć przemawiałam w moim ojczystym języku.

- Nie jesteśmy już w sobie zakochani, prawda? - kontynuowałam, błagając go oczami, żeby przyznał mi rację. - Sądziłam, że mogę z tym żyć, ale chyba jednak nie mogę. Dobro naszej córki nie jest wystarczającym powodem, żebyśmy byli razem.

Mój monolog się wyczerpał, zamilkłam, czekając, żeby Pan Żabojad się odezwał. Choćbym nie wiem jak starannie dobierała słowa, nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że uczestniczę w byle jak skleconej operze mydlanej, wygłaszając jeden banał za drugim.

Ośłupienie zniknęło z twarzy Pana Żabojada. Jego usta, niemal niedostrzegalnie zadrżały, a oczy, twarde jak kamień, zwięzły się nagle.

- Spotkałeś kogoś, tak? - powiedział z niezachwianą pewnością.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Jak mogłam być taka głupia, żeby sądzić, że uda mi się wyłączyć z tego Jamesa? Nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, że coś lub ktoś spowodowało kryzys. Musiał istnieć jakiś mechanizm, który dał powód do wybuchu, jakiś katalizator i Pan Żabojad bezbłędnie to wyczuł.

- Jest ktoś - wyznałam, widząc kątem oka, jak twarz Pana Żabojada ściąga się w nieprzyjemny uśmieszek. - I właśnie dlatego to mówię, masz rację. - Przygryzłam wargę. - Ale myślę, że oboje od dłuższego czasu wiedzieliśmy, co wisi w powietrzu.

- A więc tak. Położyłaś na nas krzyżyk.

Pan Żabojad odsunął się ode mnie jak najdalej, jakbym była zadżumiona. Omal nie spadł z łóżka, siadając na samym brzeżku. Ukrył twarz w dłoniach; patrzyłam na jego rzednące włosy, łysiejącą czaszkę, bijącą z niego bezradność. Zastanawiałam się, czy się rozplacze - po raz pierwszy w życiu - i byłam ciekawa, jak to zabrzmi. Ale kiedy podniósł głowę, jego twarz była sucha.

- Jak mogę żyć bez mojej córeczki? - Miał głuchy głos, jakby nie wierzył sam sobie. - Dlaczego to musiało się przydarzyć właśnie mnie? - Podźwignął się z trudem, chwycił paczkę papierosów i odsunął się jeszcze dalej, w kierunku drzwi. - Wychodzę. Muszę stąd

wyść. Muszę zostać sam. Bez ciebie.

Patrzyłam na wgniecenie, które zostawił na łóżku, i nie odezwałam się słowem, żeby go zatrzymać. Usłyszałam skrzypnięcie drzwi, usłyszałam, jak cicho szedł przez salon, wrócił i zatrzymał się w drzwiach sypialni, żeby rzucić z goryczą ostatnie słowo:

- Możesz sobie teraz zadzwonić do swojego nowego chłopaka. Przekaż mu dobrą nowinę.

Czułam się jak uderzona obuchem. Miałam zamiar zadzwonić do Jamesa, oczywiście, ale teraz straciłam na to ochotę. Nie to, żebyśmy mieli celebrować zwycięstwo, ale zdawanie Jamesowi sprawozdania wydało mi się nagle jakieś niestosowne. Dzisiejsza rozmowa była sprawą między mną a Panem Żabojadem, powiedziałam sobie, kiedy drzwi się zatrzasnęły. James może poczekać.

Kijanka nadal nie spała. Słyszałam, jak podśpiewuje pod nosem. Spojrzałam z niedowierzaniem na zegarek: upłynęło mniej niż dziesięć minut, odkąd położyliśmy ją do łóżka. W czasie, który wystarczał na kupienie bagietki na rogu lub wypalenie papierosa na balkonie, pogrzebałam osiem lat naszego życia i skazałam naszą córkę na dzieciństwo spędzone między rozdzielonymi rodzicami. Przygwożdżona do łóżka słuchałam słodkiego głosu mojej córeczki. Byłam odrętwiała, znieczulona. Wszystkie członki ciążyły mi jak ołów. Teraz, kiedy to się stało, nie wiedziałam, co robić dalej.

Gdyby Pan Żabojad rozplakał się albo zaczął krzyczeć, wpadł w szal, walnął w jakiś mebel - lub nawet we mnie - byłoby mi łatwiej. Chyba oczekiwałam burzy z piorunami; czułam, że na to zasłużyłam. W końcu zdobyłam się na oświadczenie, że chcę zakończyć pusty związek, wyznałam, że podjęłam tę decyzję z pomocą kogoś trzeciego, że jest ktoś inny - a cała ta dramatyczna scena rozegrała się bez podniesienia głosu. Patrzyłam, jak Pan Żabojad cierpi na myśl, że zostanie rozdzielony z córeczką, i tym ostrzej uzmysłowiłam sobie, że ani jednym słowem nie wyraził żalu na temat rozstania ze mną.

Wyprysnęłam nagle jak rozwinięta sprężyna, zerwałam się z łóżka i wybiegłam przez otwarte drzwi na balkon, szukając wzrokiem Pana Żabojada.

A ja?! - chciałam krzyknąć melodramatycznie w głąb ulicy. - Mnie też tracisz!

Ale jego nie było już nigdzie widać. Bramy parku były zamknięte, większość pobliskich witryn zasłaniały żaluzje. Tylko sklepik z koszerным sushi i z bajglami, który z dnia na dzień wyrósł naprzeciwko czerwono-czarnym szkaradzieństwem w miejscu mojej

dawnej pralni chemicznej, wciąż był otwarty, czekając na klientów. Oparłam się łokciami o żeliwną balustradę, masując palcami skronie. Nacisnęłam pulsujące żyłki, żeby zmniejszyć ból. Za dachami powoli zachodziło słońce, błyszcząc na metalowych okapnikach kominów, niebo zaś miało niemal identyczny kolor jak na obrazku na moim blogu.

Od dawna podejrzewałam, że Pan Żabojad i ja jesteśmy razem tylko z przyzwyczajenia, że utrzymujemy nasz związek dla dobra Kijanki i tkwimy ze sobą z czystej inercji. Zatem właściwie nie powinno mnie zdziwić, że w momencie wzburzonych emocji dostałam tylko wielką pustkę. Ale jakaś cząstka mnie czuła się głęboko oszukana. Nasze rozstanie było jednym wielkim antydramedem. Chciałam być gorzko opłakiwana. Chciałam, żeby o mnie walczono. Chciałam, żeby rozpaczano nad moim odejściem. Choć troszkę.

Chciałam poczuć, że jestem kimś, z kim warto było być.

* * *

Pan Żabojad nie wracał przez całe godziny. Przez jakiś czas nie byłam w stanie nic robić, skuliłam się na łóżku i wtuliłam twarz w poduszkę. Nie mogłam myśleć o rozmowie z kimkolwiek - choć wiedziałam, że powinnam zadzwonić do matki i szybko przekazać jej najnowszą wiadomość - ale powoli zaczęła we mnie kiełkować myśl, żeby najpierw zwierzyć się na blogu i bez większego oporu poddałam się tej chęci. Więc kiedy Pan Żabojad wędrował sobie po ulicach, napisałam post. W istocie był to list do niego: przeprosiny i pożegnalne memorandum dla naszego związku.

Kiedyś wędrowałam do tego baru w twojej laickiej niebieskiej bryle, spodobała mi się od pierwszego wjrzenia. Pamiętam, jak po naszym drugim spotkaniu delikatnie pocałowałam mnie w policzek i zapakowałaś do taksówki. Pamiętam, jak poszłam śmyła jakiś film do kina obok twojego domu żeby mieć pretekst do odwiedzin. Pamiętam, jak słuchali śmyPortishead, leżąc na łóżku w moim maleńkim *chambre de bonne* z nierówną podłogą a ja wylała tylko twoje szaroniebieskie oczy.

Pamiętam radość na twojej twarzy kiedy powiedziałam, że będziemy mieli dziecko. Pamiętam, jak trzymałam cię mocno kiedy walczyłam z bólami porodowymi. Pamiętam, jak patrzyłam, skamieniała i bezradna, kiedy po raz pierwszy wpatrywałaś Kijankę.

Pamiętam, jak staliśmy nieskończoną ilość razy nad jej łóżkiem, zachwycając się naszą córeczką i zastanawiając się, jakim cudem sproszczyła śmiała się tak idealną istotę.

Czy jest się ogłuszoną, ale dziwnie spokojną w środku. Chce mi się płakać, ale przede wszystkim jestem odrętwiała. Bardzo mi przykro i bardzo przepraszam, że do tego doszło. Ale wiem, bez najmniejszego cienia wątpliwości, że podjęłam właściwą decyzję.

Otwieranie duszy na blogu i wymyślanie z powietrza *mots justes*, które miały usprawiedliwić moje kontrowersyjne postępowanie, trochę mnie wyczerpało, ale też przyniosło mi satysfakcję. Jednakże wyjście na forum publiczne z czymś tak świeżym, z taką „wiadomością z ostatniej chwili”, było krokiem milowym w mojej działalności i nie chciałam podejmować go pochopnie. Sam fakt, że poczułam się zmuszona napisać taki tekst, kazał mi się zastanowić, do jakich granic blogowanie stało się dla mnie koniecznością. Im bardziej dramatyczne momenty przeżywałam, tym większą czułam potrzebę ubierania ich w słowa i przelewania moich skłębionych myśli i emocji w gładkie zdania. Nie żeby moi czytelnicy byli przypadkową zbieraniną, oczywiście; nie pisałam tylko dla siebie. Może nie byłam jeszcze gotowa, żeby to przyznać - nawet sama przed sobą - ale gorsza częśćka mnie sekretnie pragnęła zobaczyć, jaki oddźwięk moje enigmatyczne stwierdzenia przyniosą w Internecie.

Postanowiłam, że najpierw zadzwonię do matki, a potem, zanim nacisnę klawisz „publikuj”, raz jeszcze przeczytam spokojnie to, co napisałam,

* * *

Kiedy Pan Żabojad zdecydował się w końcu wrócić ze swojej wędrówki po ulicach, śmiertelnie blady i cuchnący nikotyną, zapadł między nami gęsty mrok spokoju. Omawialiśmy szczegóły naszego rozstania przyciszonymi, bezbarwnymi głosami. Zgodziliśmy się, że dla dobra Kijanki zrobimy wszystko, żeby cała rzecz odbyła się jak najspokojniej i najkulturalniej. Może nigdy nie będzie pamiętać czasów, kiedy mamusia i tatuś mieszkali pod jednym dachem, ale gdyby pamiętała, nie chcielibyśmy, żeby jej ostatnie wspomnienia życia rodzinnego miały cechować wrogość, niechęć i awantury.

- Muszę się rozejrzeć za jakimś nowym mieszkaniem - powiedział Pan Żabojad. - Gdzieś w pobliżu. Ty powinnaś zostać tutaj, nawet jeśli to będzie trochę drogie na twoją kieszeń. Trzeba dać naszej córce poczucie stabilności.

Skinęłam głowa, robiąc w głowie szybkie obliczenia. Będzie mi ciężko, ale dam sobie radę. Po prostu muszę. Teraz najwygodniej było skupić się na rzeczach praktycznych i czułam wielką ulgę, że Pan Żabojad nie wypytywał o nowego mężczyznę w moim życiu ani nawet o to, jak się poznaliśmy. Kiedy przyszedł czas, żeby kłaść się spać, Pan Żabojad zniknął w sypialni Kijanki i wyłonił się z zapasową kołdrą i poduszką. Zaczął ścielić sobie łóżko na *chaise longue* pod łukowym oknem.

- Naprawdę nie musisz tego robić - powiedziałam, patrząc na sofę. - Chyba że sam tego chcesz. Nie mamy zasłon, okno nie jest nawet podwójnie szklone... I jak wytłumaczymy to rano? - Mówiłam o Kijance, która często gramoliła się o świcie do naszego łóżka na pieszczoszki i pocałunki.

- Zapewne masz rację.

Zerwał prześcieradło z kanapy i odrzucił na podłogę razem ze zmierzwioną pościelą. Wyszedł na zewnątrz, pozornie na ostatniego papierosa, a ja szybko rozebrałam się i umyłam zęby, żeby zejść mu z drogi po powrocie. Kiedy w końcu wsunął się obok mnie do łóżka, miałam zamknięte oczy i równy oddech, udając, że śpię. Zsunęłam się na sam brzeżek, a on instynktownie zrobił to samo po swojej stronie.

Żadne z nas prawie nie spało tej nocy, oboje wierciliśmy się i kręciliśmy bez końca. Ale jakby za milczącym porozumieniem nie próbowaliśmy rozmawiać i ani razu nie położyliśmy się twarzą do siebie.

14.

Osąd

„Cath, tak się cieszę, że się odezwałaś dziś rano - napisał James. - Wiem, że czujesz się po części odrętwiała, a po części obolała. I wyobrażam sobie, że nie całkiem wierzysz w to, co się dzieje. Żeby coś tak niesłychanego zdarzyło się w ciągu zaledwie dziesięciu dni! Ale nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien, jak kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem. I po raz drugi...”.

Następnego dnia Pan Żabojad wstał przede mną, z chmurną miną. Wziął długą kąpiel, podczas gdy Kijanka oglądała wideo, a ja w piżamie surfowałam po Internecie. Oprócz wiadomości od Jamesa był długi e-mail od mojej matki - oferującej się zapłacić za nasz lot do Anglii, gdybym zechciała wyrwać się tam z Kijanką na kilka dni - oraz pytanie Amy, jak sobie poradziłam. Ale najbardziej zdumiała mnie liczba listów w skrzynce od zupełnie obcych ludzi.

Poprzedniego wieczoru, kiedy po rozmowie z matką wróciłam do komputera i nacisnęłam „publikuj”, po raz pierwszy w życiu wyłączyłam funkcję „skomentuj”. Ogłaszanie tak dramatycznej wiadomości na cały świat to jedna rzecz, a pozwalanie, aby inni to oceniali, to całkiem inna. Ale wielu ludzi było tak poruszonych moimi słowami, że wysłali mi słowa wsparcia e-mailem, często poprzedzając je nieśmiałym usprawiedliwieniem.

„Nie jestem tego rodzaju osobą, która pisze komentarze na blogach i trochę mi głupio korzystać z prywatnej poczty...” - zaczynał się jeden z listów. „Po raz pierwszy w życiu poczułem empatię dla innego internauty, którego nie znam i zapewne nigdy nie poznam...” - zaczynał się inny. „Chociaż cię nigdy nie widziałam - pisał ktoś trzeci - czuję się, jakbyśmy były przyjaciółkami”.

Niektóre listy pochodziły od innych blogerów, którzy byli mi bliscy, chociaż się nigdy nie spotkaliśmy. „Właśnie przeczytałem... i nie wiem, co powiedzieć. Ale... no wiesz, xx”, napisał dość enigmatycznie Jonny Billericay. „Twój post brzmi złowieszczo”, napisała Lucy Pepper. „Mam nadzieję, że jest okay?”. Była nawet wiadomość od Anny Red Boat, której blog tak podziwiałam, zanim zdecydowałam się założyć własny.

„Wszystko w porządku, skarbie? - spytała. - Doskonale piszesz, kiedy jesteś smutna”.

Korespondenci dawali rady, zapraszali do siebie, gdybym chciała od wszystkiego uciec, a jedna dziewczyna zaoferowała się nawet przysłać mi paczkę z zestawem typowej angielskiej żywności, na brak której narzekałam. Ludzie wykazywali szczerą troskę o naszą przyszłość: jak się okazało, z czasem polubili Kijankę, Pana Żabojada i *petite anglaise*. Ale chociaż te listy do głębi mnie wzruszyły, czułam również palący wstyd. Nie zasługiwałam na te wylewne wyrazy cyberwspółczucia. Ofiarą był Pan Żabojad i mimo że nie wspomniałam jak dotąd prawdziwego powodu naszego rozstania, moi czytelnicy robili założenia z góry oparte na żalośnie niekompletnym obrazie. Jakby zareagowali, pytałam siebie trwożliwie, gdyby znali całą prawdę?

Sprawdzałam właśnie liczbę wejść na moją stronę, kiedy Pan Żabojad wkroczył do sypialni. Był już ubrany i w marynarce, w prawej ręce dyndał mu kask motocyklowy.

- Co to niby ma być? - spytał, patrząc na postrzępione słupki zieleni i czerwieni na monitorze, po czym nachylił się, żeby obejrzeć wykres z bliska.

- *Quoi?* Masz tych wszystkich dodatkowych czytelników od wczoraj?

Poczułam, że się czerwienię.

- Nie, skąd. Myślę, że to ci sami co zawsze, ale sprawdzają po kilka razy dziennie, żeby zobaczyć, czy jest coś nowego.

- Jak to coś nowego? Chcesz powiedzieć, że już wiedzą... o nas? - Przysiadł na brzegu łóżka, na jego twarzy malowało się głębokie oburzenie. - Co, do cholery, napisałaś?

- Nie martw się - powiedziałam szybko. Nagle zobaczyłam to jego oczami i zdałam sobie sprawę, jak niezrozumiała musiała być dla niego moja decyzja. - To bardzo oszczędny tekst. Właściwie mam nadzieję, że ci się spodoba, kiedy już zmusisz się, żeby go przeczytać. Napisałam to dla ciebie...

- Streszczasz nasze życie w czymś w rodzaju opery mydlanej i spodziewasz się, że to zaaprobuje? - Pan Żabojad potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Wychodzę wieczorem z przyjaciółmi - powiedział, podnosząc się na nogi i starając się trzymać jak najdalej ode mnie i mojego komputera. - Nie wiem, kiedy wrócę. Ale proszę cię, dobrze pomyśl, zanim znów coś napiszesz.

Chociaż w ciągu następnych dni Pan Żabojad i ja staraliśmy się zachowywać normalnie w obecności Kijanki, nasza córka w jakiś podświadomy sposób zdawała się wyczuwać, że dzieje się coś złego.

Wiedziałam z opowieści jej opiekunki, że przechodzi przez fazę matczyną - opiekuje się najmłodszymi podopiecznymi *taty* i z pasją wozi lalki w wózeczkach - ale czy nie było w tym czegoś więcej? Czy nie odbierała niewidzialnych wibracji z domu, intuicyjnie odgadując, że oboje rodzice potrzebują dodatkowych przytulań i pocałunków?

- *Mon petit canard* - powiedziała do mnie czule, kiedy zmieniałam jej pieluszkę.

Wyciągnęła rączkę i gładziła mnie po policzku, aż pod wpływem tego gestu, który miał być tkliwy i byłby, gdyby tylko jej paznokcie nie wymagały natychmiastowego przycięcia, oczy napełniły mi się łzami.

- *Allez, mange!* - zachęcała mnie, kiedy tępo mieszałam płatki śniadaniowe na talerzu, nie mogąc wykrzesać z siebie żadnego entuzjazmu dla jedzenia.

Płatki smakowały jak wióry, ale zmusiłam się do przełknięcia dwóch łyżek, pomna tego, że należy dawać dobry przykład.

Pewnego ranka przed wyjściem do pracy, pochyliłam się w korytarzu, żeby zawiązać Kijance sznurówki. Pan Żabojad klęczał obok, pakując służbowe papiery do swojej brzuchatej teczki. Nagle mała chwyciła mnie za ramię i przyciągnęła do niego.

- *Donne bisou* tatusiowi! - zażądała, patrząc na mnie szerokimi, poważnymi oczami.

Spojrzałam bezradnie na Pana Żabojada, zastanawiając się, co robić. Odkąd oznajmiłam mu swoją decyzję, nie mieliśmy najmniejszego fizycznego kontaktu. Doszło do tego, że rano w kuchni powiedziałam „przepraszam”, kiedy niechcący musnęłam go rąbkiem rękawa szlafroka. Ale teraz, pod czujnym wzrokiem Kijanki, posłusznie cmoknęłam go w policzek. Na szczęście Pan Żabojad się nie skrzywił.

Prośba Kijanki nie mogła trafić na gorszy moment, a jej wysiłki na gorszy grunt. Zamówiłam na ten wieczór Maryline i chociaż nie powiedziałam tego jasno Panu Żabojadowi, z całą pewnością domyślał się, że idę spotkać się z tajemniczym mężczyzną w moim życiu, kimkolwiek on jest.

- Niestety, nie będzie mnie wieczorem w domu - rzuciłam, kiedy rozstawaliśmy się przed naszym apartamentowcem. Zostawiłam to na ostatnią chwilę: czysty akt

tchórzostwa.

- Rozumiem - powiedział Pan Żabojad beznamiętnie. - Cóż, chyba nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

Zastanawiałam się długo i dogłębnie, co jest gorsze: zostać poza domem na całą noc, czy wykraść sobie parę godzin z Jamesem, a potem wślizgnąć się do łóżka obok Pana Żabojada, z niewidzialnymi odciskami pocałunków innego mężczyzny na skórze. Skoro wyznałam całą prawdę, to chyba po to, żeby nie musieć go teraz okłamywać? Ale nie chciałam też zbyt obnosić się ze swoim nowym związkiem.

- Przykro mi - wymamrotałam. - Wiem, że to dla ciebie okropne.

Ale Pan Żabojad już odwrócił się na pięcie.

Tym razem nalegałam, że to ja wynajmę hotel. Nasze plany były ustalane w ostatniej chwili, w czasie trwania turnieju tenisowego Rolanda Garrosa, więc byliśmy zmuszeni zadowolić się podrzędnym hotelikiem przy Strasbourg Saint Denis, blisko hinduskich restauracyjek na Passage Brady, z których dochodził ostry zapach curry. Obskurny pokój z taną szarą wykładziną nie miał wielu zalet oprócz widoku z szóstego piętra, ale James i ja mieliśmy to w nosie. Kiedy otworzył drzwi, owinięty ręcznikiem, z kropelkami wody na torsie, nie znalazłam żadnych argumentów, żeby kazać mu się ubrać.

- O Boże, tak za tobą tęskniłem! - jęknął, kiedy wpadłam mu w ramiona, wdychając zapach mydła i dezodorantu na jego skórze.

Przyłożyłam mu palec do ust. Nie słów teraz pragnęłam. Chciałam, żeby ziemia się pode mną zatrzęsła. Chciałam uciszyć zamęt w głowie i skoncentrować się tylko na odczuwaniu. Cofnęłam się o krok, rozpięłam sukienkę i zrzuciłam ją na podłogę.

Później szeptaaliśmy w półmroku, podczas gdy James obwodził czubkami palców rysy mojej twarzy, jakby chciał zapamiętać ją dotykiem. Wyznałam mu najintymniejsze sekrety, których dotąd z nikim nie dzieliłam. Jego obecność działała na mnie jak katalizator, kazała mi porzucić wszelki wstyd, niczego nie ukrywać. Desperacko pragnęłam dać mu wgląd w to, czego *petite anglaise* nie ujawniła na swoim blogu, i świadomie wkroczyć na nieznane, niepisane terytorium.

- Nigdy do nikogo niczego takiego nie czułem - szepnął, wodząc kółka palcem wskazującym wokół mojej brodawki. - Chciałbym wybudować ci dom gołymi rękami i przenieść cię przez próg. Chciałbym gotować ci co wieczór i przynosić co rano herbatę do

łóżka. Chciałbym czytać z tobą gazety przed kominkiem, sącząc szklaneczkę wina. Chciałbym wozić cię na plażę i leżeć obok ciebie w słońcu. Może nie jestem wojownikiem, ale pragnę opiekować się tobą, najlepiej jak potrafię...

Gdybym była kotem, tobym zamruczała. Było coś urzekającego w kombinacji naszych temperamentów i jego chęci, żeby wziąć mnie pod skrzydła i rozpieszczać. James był tym wszystkim, o czym marzyłam. Tym wszystkim, czym Pan Żabojad nie był.

* * *

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego - powiedział Pan Żabojad, kiedy zasiadł przy stoliku do kawy, żeby zjeść swój zwykły wieczorny posiłek złożony z *charcuterie*, sera i pieczywa - że nie ma nic łatwiejszego dla tego twojego nowego kochasia, tego faceta, który czyta wszystkie twoje narzekania od niewiadomo ilu miesięcy, niż powiedzieć ci to, co tylko chcesz usłyszeć. - Wyłowił *cornichon* ze słoika i przygwoździł go widelcem z nadmierną gwałtownością. - Może wykorzysta każdą twoją słabość, każdą *faillie* w naszym związku i obrócić to na swoją korzyść...

- Nie sądzę, żeby to miało miejsce w tym przypadku - powiedziałam defensywnie, przystając nad nim w drodze do sypialni z kubkiem herbaty w ręce. - On jest, jaki jest i tak się składa, że akurat zupełnie inny niż ty...

Najpierw Pan Żabojad nie chciał niczego wiedzieć, ale potem powoli - co było do przewidzenia - pojawiły się pytania i teraz zaczął składać fragmenty łamigłówek. Wiedział, że James jest ode mnie kilka lat starszy, że jest Anglikiem, jest rozwiedziony, ma swoje dzieci. Wiedział, że poznaliśmy się poprzez *petite anglaise*. Wiedział, że James mieszka w Bretanii i nie ma ochoty przenieść się do Paryża. Wychodziłam ze skóry, żeby go przekonać, że nie ma mowy o tym, abym w najbliższym czasie zabrała Kijankę i opuściła Paryż, i żeby go upewnić, że James nigdy nie będzie sobie uzurpować praw do roli jej ojca. W końcu on także widział, jak inny mężczyzna wprowadza się do jego domu, żeby żyć z jego żoną i dziećmi, ale mógł być tylko obserwatorem. Nikt lepiej od niego nie zrozumie naszej sytuacji. James z całą pewnością będzie respektował uczucia Pana Żabojada.

- Cóż, nie mów, że cię nie ostrzegałem - odparł Pan Żabojad.

Wyskubał miękki środek bagietki, rozsypał okruszki na tacy i wsunął mięksiz do ust. Szczęka mu zazgrzytała, kiedy żuł, i na ten dźwięk musiałam zacisnąć zęby.

powinno pomóc ci eksplodować, biorąc jeszcze pod uwagę twoją wyrazistą osobowość".

Inni przyjaciele na blogu robili, co mogli, żeby dodać szczyptę humoru i przytępić żądło negatywnych komentarzy, za co byłam im głęboko wdzięczna.

„Uważam za oburzające - napisał najwyraźniej żartobliwie Tim - że w ogóle mogłaś rozważyć przejście do następnej fazy życia bez skonsultowania się z nami. Znam swoje prawa".

To był zaledwie czubek góry lodowej. E-maile - od tych wspierających po potępiające, aż do jednomyślnie obraźliwych - zapchały moją skrzynkę odbiorczą. Każdy, kto czytał o mojej sytuacji, zdawał się oceniać ją poprzez pryzmat własnych doświadczeń. Ci, którzy nigdy nie czuli pokusy zdrady, byli oburzeni i skorzy do potępienia; ci, którzy sami zostali rogaczami, widzieli we mnie wcielenie zła. Natomiast ci, którzy przeszli przez to samo co ja, zachęcali, żebym szła za głosem serca.

Takie mieszane reakcje spotykały mnie nie tylko w sieci. Kolega biurowy w wyraźny sposób wiercił się na krześle, kiedy pewnego dnia podczas lunchu dałam przed nim wyraz swoim emocjom. Czy niespokojnym okiem przyglądał się własnej sytuacji i zastanawiał, czy jego związek jest całkiem bezpieczny? Może pomyślał, że moje zachowanie jest w jakiś sposób *contagious* i rozpad mojego związku spowoduje coś w rodzaju efektu domina?

- Dobry Boże, ci twoi komentatorzy przechodzą sami siebie, czyż nie? - spytała mnie matka przez telefon później tego samego wieczoru.

Wysłałam porozmawiać na balkon, chociaż byłam pewna, że Pan Żabojad słucha muzyki przez słuchawki.

Reakcja moich rodziców zdumiała mnie. Zawsze zwierzałam się matce, która lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że od jakiegoś czasu jestem nieszczęśliwa, ale i tak martwiłam się, że uzna, iż raczej powinnam się postarać naprawić mój związek z Panem Żabojadem, aniżeli go zrywać. Ale kiedy doszło co do czego, wcale nie kwestionowała mojego wyboru. Bała się tylko, że w przypadku Jamesa skoczyłam na głęboką wodę, że wszystko dzieje się za szybko. I że może spotkać mnie ogromne rozczarowanie.

- Z tego, co mówisz, wydaje się, że to uroczy człowiek - powtarzała, kiedy rozpływałam się nad Jamesem przez telefon - i nie mogę się doczekać, żeby go poznać. Ale bądź ostrożna. To wszystko brzmi za dobrze, żeby było prawdą. W końcu jego żona

też rozwiodła się z nim nie bez powodu. Nikt nie jest doskonały...

- To nie była jego wina tylko jej... - warknęłam. - Ale to nie znaczy, że nie będzie doskonały dla mnie.

Jej pesymizm doprowadzał mnie do furii, nawet jeśli zdawałam sobie sprawę, że jest tylko matką, która chce mnie chronić.

- Nie zrozum mnie źle - dodała szybko. - Cieszę się z twojego szczęścia, naprawdę, ale to nie będzie łatwe. On mieszka w Bretanii, ty w Paryżu, oboje macie własne dzieci. I wątpię, czy będzie w stanie pomagać ci finansowo. Sama mówiłaś, że praca z tłumaczeń nie pozwala mu żyć na odpowiednim poziomie...

- Wiem, mamó, wiem. Wolny zawód we Francji jest rzeczą trudną, trzeba płacić tyle podatków, że ciężko jest utrzymać się na powierzchni. A on ma jeszcze na głowie alimenty. Ale pieniądze to nie wszystko, prawda? Chcę dać nam szansę. A po życiu z pracoholikiem, którego nigdy nie było w domu, wolę mieć mniej pieniędzy, a więcej uwagi od partnera.

Wracając do sypialni, usłyszałam, że moja komórka wibruje w torebce.

Niewątpliwie wiadomość na dobranoc od Jamesa. Usiadłam na brzegu łóżka i odebrałam.

„Myślę, że cię kocham”.

Zaparło mi dech w piersi. Znaliśmy się z Jamesem od zaledwie trzech tygodni. Napisaliśmy do siebie setki e-maili, rozmawialiśmy w nieskończoność przez telefon, ale spędziliśmy ze sobą mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Te słowa mnie nie zdziwiły - ostatnim razem w drugim hotelu jego oczy mówiły same za siebie - ale chociaż moje rodzące się uczucie rosło i dojrzewało z każdym dniem, przeradzając się w coś poza zauroczeniem i pożądaniem fizycznym, nie mogłam odpowiedzieć Jamesowi tym samym, jeszcze nie.

„Kocham” to słowo, którego nadużywałam w ciągu ostatnich lat, pozbawiając je wagi i dewaluując poprzez mechaniczne powtarzanie z czystego przyzwyczajenia lub by przekonać samą siebie do czegoś, od czego byłam daleka. Chciałam poczekać do czasu, aż to słowo znów odzyska swoje znaczenie. I kiedy je powiem, zrobię to bezpośrednio.

W środku nocy, kiedy Pan Żabojad spał u mojego boku, naszła mnie, nie po raz pierwszy, niemiła myśl. Na własne oczy widziałam, że w telefonie Jamesa mój numer był zapisany jako *petite anglaise*. Czy to naprawdę we mnie James się zakochał, czy też w

mojej osobowości z bloga?

Nie byłam nawet pewna, gdzie się jedna kończy, a druga zaczyna, więc jakie, biedak, miał szanse?

15. *W nawiasie*

Minęły całe trzy tygodnie, zanim znów zobaczyłam Jamesa.

W międzyczasie, chociaż wymienialiśmy e-maile i komentarze na blogu przez cały dzień i spędzaliśmy całe wieczory, wisząc na telefonie, kiedy Pan Żabojad zostawał do późna w pracy albo wychodził, to mi po prostu nie wystarczało. Chciałam spędzać czas przy Jamesie, chciałam mieć pewność, że to mnie chce.

- Posłuchaj, w tej chwili brakuje mi kasy, ale jeśli chcesz, żebym przyjechał do Paryża, jeśli chcesz, żebyśmy się spotkali w hotelu, to przyjadę - powiedział mi przez telefon pewnego wieczoru.

- To kusząca propozycja - odparłam i mimo woli ciarki przeszły mi po plecach na wspomnienie ostatniej nocy, którą spędziliśmy razem. Niewątpliwie hotel niósł ze sobą coś zabronionego, nielegalnego, co samo w sobie było nęcące. - Ale tak naprawdę chcę robić rzeczy normalne. Iść na spacer do parku. Ugotować razem kolację. Przytulić się na kanapie przed telewizorem. Zasnąć w twoich ramionach. Chcę zobaczyć, gdzie mieszkasz, żebym, kiedy jesteśmy osobno, mogła sobie ciebie wyobrażać...

- Ja chcę tego samego - odpowiedział z całą mocą. - I zrobimy to wszystko, kiedy do mnie przyjedziesz. Musimy tylko być cierpliwi. Baw się dobrze podczas weekendu w Anglii ze swoimi rodzicami. Ciesz się czasem danym ci ze swoją córką. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, z pewnością uznamy, że warto było czekać.

Ale teraz, po poznaniu Jamesa, życie w Paryżu wydawało mi się jeszcze bardziej bezsensowne i puste, a codzienna rutyna - *métro-boulot-dodo* - nieznośnie dusząca. Praca była nużącą koniecznością; mieszkanie, które nadal dzieliłam z Panem Żabojadem - więzieniem z pięknym widokiem. Jego twarz była pierwszą rzeczą, jaką widziałam każdego ranka, namacalnym dowodem bólu, który sprawiłam mu swoją decyzją.

Nastawiłam się na przeczekanie i - pełna poczucia winy oraz frustracji - cały czas bałam się, że eksploduję.

* * *

- Wiesz, jak już odważyłam ci się zwierzyć, to byłam pewna, że będziesz mnie odwozić od tego romansu - powiedziałam do Amy, kiedy położyłyśmy brązowe papierowe torebki z lunchem na kuchennym stole i wyciągnęły dwa stołki spod okna. - Zważywszy na twoje złe doświadczenia i tak dalej.

- Tak sobie myślę - odparła Amy - że najpierw trochę cię potępiałam. I martwiłam się o ciebie. - Uśmiechnęłam się na to „najpierw”, wyczuwając, że zaraz nastąpi „ale”. I nie myliłam się. - Ale ostatnio tak promieniejesz, wyglądasz... tak inaczej. Nie potrafię nie cieszyć się z twojego szczęścia. I wiem, że nie traktujesz tego lekko, że gryzą cię wyrzuty sumienia, że starasz się sprawić wszystkim jak najmniej bólu. No i jeszcze jedno - wskazała na kawałek ciasta, który rozpakowywałam. - Widzę, że zaczynasz o siebie dbać...

- Chciałabym, żeby moje ciało choć trochę się uspokoiło - westchnęłam, patrząc, jak przenosi zawartość swojego pojemnika z sałatą na porcelanowy talerz. - Szczerze mówiąc, to można by pomyśleć, że na śniadanie jadłam amfetaminę, bo całe rano jak oszalała zgrzytałam zębami. Mam nadzieję, że moje samopoczucie wreszcie się poprawi, kiedy to całe czekanie minie.

- Czekanie jest dobrą rzeczą. - Amy przeszła przez kuchnię do zlewozmywaka, wzięła czysty widelec i wytarła go w papierowy ręcznik. - Tak jest zdrowiej. Może to i dobrze, że James nie mieszka w Paryżu.

- Chodzi ci o to, że ci dwaj mężczyźni w moim życiu nigdy się spotkają? - Wgryzłam się w moją cytrynową tartę. Była kwaśno-słodka, a ciasto aż rozplęwało się na języku. Ale mimo delikatnego smaku czułam wióry w gardle i z trudem ją przełknęłam. Musiałam się zmusić, żeby wziąć następny kęs. Właśnie w ten sposób w ciągu ostatnich tygodni straciłam dobrych parę kilo.

- No tak, oczywiście, ale myślałam raczej o tym, że życie na dystans nie pozwala nam zbyt szybko i zbyt poważnie się angażować. To może i dobrze... - Amy usiadła na stołku obok mnie. Dopiero wtedy zauważyłam, że płoną jej policzki.

- Poczekaj no... - powiedziałam, wpatrując się w nią uważnie. - Czyżbym coś

przeoczyła? Czy kogoś spotkałaś? Tak, prawda? Dlaczego, do cholery, nic mi nie powiedziałaś?

- No więc to wszystko zdarzyło się bardzo niedawno. - Amy unikała mojego wzroku. - Ale wiąże z tym duże nadzieje. Coś wisi w powietrzu. Spotkałam kogoś podczas tego weekendu. Przyjaciela mojego przyjaciela. Chociaż, niestety, mieszka w Londynie.

- To fantastycznie! - Teraz, kiedy już mi powiedziała, zastanawiałam się, czemu dotąd niczego nie zauważyłam. Jej zaróżowionych policzków, niezwykłego ożywienia. - Opowiedz wszystko ze szczegółami! Kim on jest? Czym się zajmuje? Kiedy znów go zobaczysz?

- Prawdę mówiąc - odparła, urywając dla bardziej dramatycznego efektu - mam się z nim spotkać podczas tego samego weekendu, kiedy ty jedziesz do Jamesa.

- Coś niesłychanego! Powinnyśmy to uczcić! - Spojrzałam na zegarek. - Może wyskoczmy na zakupy, kiedy skończymy jeść? Moja najlepsza przyjaciółka będzie potrzebować nowej bielizny!

Kiedy pół godziny później ramię w ramię przeglądałyśmy metki z cenami w butik *Princesse Tam Tam* na *Monoprix*, dawno nie czułam się tak zrelaksowana i beztroska. Poczucie winy, które szło za mną jak cień, odkąd oznajmiłam swoją decyzję Panu *Żabojadowi*, opuściło mnie, przynajmniej na chwilę. Przez kilka minut udawałam, że moje życie jest równie nieskomplikowane jak życie Amy i że moje decyzje są równe wolne od reperkusji jak jej.

* * *

Kiedy nadszedł ten długo wyczekiwany dzień, przebiegłam pędem niekończące się, wyłożone białymi kafelkami korytarze stacji metra *Montparnasse*, co chwilę zerkając na zegarek. Jeśli się pospieszę, może uda mi się wpaść na główną stację, żeby złapać wcześniejszy pociąg, co było warte paru kropli potu. Ale nawet kiedy przepychałam się przez tłum, nie mogłam przestać myśleć o Panu *Żabojadzie*. Zapewne odbiera teraz *Kijankę* od *taty*, z którą zamieni parę słów i wróci przez park przerażony perspektywą pierwszego samodzielnego weekendu z dzieckiem. Nie mogłam zapomnieć, że moje szczęście - to odurzające poczucie wolności i lekkości, euforia, że mogę zrzucić z siebie obowiązki rodzicielskie choć na dzień lub dwa - ma swoją cenę. Wybór między prawem do szczęścia a *Kijanką* i Panem *Żabojadem* był jak balansowanie na linie.

Wbiegłam po schodach, które prowadziły do pulsującego serca stacji, i przystanąłam, żeby się rozejrzeć. Nie byłam tu od lat. Lepiej znałam Gare de Lyon, skąd jeździłam pociągiem do rodziców Pana Żabojada. Wyjście na zachód na Montparnasse roilo się od weekendowiczów z plecakami i podróżnymi z laptopami. Wspięłam się po dwa stopnie naraz po schodach ruchomych i ominęłam kolejki podróżnych czekających na swoje bilety przed żółtymi dozownikami SNCF. Na zegarze zwisającym z sufitu widniała osiemnasta czterdzieści pięć. Przepychając się łokciami, powinnam wywalczyć sobie w ostatniej chwili drogę na peron. Zatrzymałam się tylko, żeby skasować bilet w kasowniku na ścianie, poprawiłam plecak na ramionach i z determinacją rzuciłam się przed siebie.

Kiedy TGV zatrzymał się na stacji, zajęłam miejsce w pociągu, zamknęłam oczy i czerwona z wysiłku próbowałam złapać oddech. Wyobrażałam sobie, jak James chodzi po swoim wysprzątanym mieszkaniu, wybiera świeżo wyprasowaną koszulę i odkorkowuje butelkę wina, żeby pooddychało. Sprzątał zawzięcie przez cały dzień, w każdym razie tak mnie zapewniał w e-mailach, i wyglądało na to, że chce zrobić na mnie wrażenie. Gdybym tylko mogła powstrzymać potok myśli, skupić się na Jamesie, naszym pierwszym weekendzie razem i przestać myśleć o tym, co zostawiłam za sobą. Jednak było to bezowocne; za nic nie mogłam odpędzić od siebie nieszczęsnego obrazu Pana Żabojada. Wyobrażałam sobie, jak zastanawia się, co dać Kijance na kolację; zapomina, że powinna umyć zęby przed snem, jak bezradnie skulony zasypia na sofie. Słusznie czy niesłusznie, podejrzewałam, że upłynie trochę czasu, zanim będę umiała czerpać przyjemność z nowego związku bez ubocznego efektu winy.

Trzy godziny później pociąg zaczął zwalniać, dojeżdżając do stacji Rennes. Wyrzałam przez kwadratowe okno w drzwiach, ale zobaczyłam tylko blade odbicie okrągłookiego upiora. Wstrzymałam oddech, żeby nie wdychać stęchłego zapachu z chemicznej toalety, przebrałam się z uniformu biurowego, poprawiłam makijaż, starając się utrzymać równowagę przy metalowej umywalce, kiedy pociąg kiwał się pijacko z boku na bok. Chciałam wyglądać jak modelka, kiedy wyjdę na peron i wpadnę w ramiona Jamesa. Ale teraz byłam tak zamroczona, tak podekscytowana, że bałam się, że spadnę ze stopni, jak tylko drzwi pociągu się otworzą, i runę głową w dół, zanim James zdąży mnie złapać.

Z głośnym piskiem hamulców pociąg w końcu zatrzymał się, sekundy później

hydrauliczny mechanizm wydał syk i drzwi się otworzyły. Wyszłam pewnym krokiem i z głośnym biciem serca rozejrzałam się za Jamesem. Na pierwszy rzut oka Rennes niczym nie różniło się od niezliczonych innych francuskich stacji, jakie widziałam; peron był ani ładny, ani brzydki - po prostu betonowy i funkcjonalny. Jamesa nigdzie nie było widać i zaczęłam zmierzać do wyjścia, popychana przez tłum, szukając komórki w kieszeni. Nagle dojrzałam znajomą sztruksową marynarkę. Chwilę później jego ramiona zamknęły się wokół mnie i znajomy zapach płynu po goleniu i ciepłej skóry wypełnił mi nozdrza. Torba wyleciała mi z rąk.

- Chodźmy do domu - powiedział James pośpiesznie, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

Do domu, pomyślałam, zdając sobie sprawę, że w chwili, kiedy się dotknęliśmy, opadło ze mnie napięcie trzech tygodni. Do domu, to mi się podoba.

Mieszkanie Jamesa, chociaż skromnie urządzone, było rzeczywiście idealnie wysprzątane. Bliźniak w szeregówce, z otwartą przestrzenią na parterze i sypialnią wydzieloną tylko grubą zasłoną. W kuchni stał rząd białych szafek ze zlewem i barek śniadaniowy na środku salonu z wazonem świeżych kwiatów. Strome schody - właściwie przypominające drabinę - prowadziły z drugiego końca pokoju na wyższą kondygnację służącą mu za pracownię. Na podłodze leżały dwa podwójne materace pod drewnianymi krokiewkami. Tu spały jego córki, kiedy przyjeżdżały do niego co drugi weekend. Mieszkanie było mniej więcej tej samej wielkości co moje w Paryżu, choć w całkiem innym stylu.

Kiedy zesłam ze schodów, zastanawiałam się, gdzie mogłaby spać Kijanka, gdybym któregoś dnia zdecydowała się tu przyjechać wraz z nią. Jakby czytając w moich myślach, James pokazał mi maleńki pokoik za drzwiami, które początkowo brałam za drzwi szafy.

- Używam tego jako składzika - wyjaśnił - ale, prawdę mówiąc, dziewczynki lubiły tu spać, kiedy były małe. Myślałem o tym, żeby pożyczyć rozkładane łóżko od Eve. Jest tu nawet małe okienko, jak widzisz, więc nie jest zbyt klaustrofobicznie.

- Naprawdę pomyślałeś o wszystkim, prawda? - Objęłam go w pasie, wsuwając myszujące palce pod pasek jego dżinsów. - Chociaż... - dodałam, unosząc brwi - nie jestem pewna, czy obchód twojej sypialni do końca spełnił moje oczekiwania. Nie obejrzałam jeszcze dokładnie twojego łóżka...

Godziny później leżeliśmy nadzy, w zmiętej pościeli, przytuleni namiętnie całą powierzchnią ciała, patrząc sobie głęboko w oczy. Wokół paliły się tuziny świeczek rozstawionych, gdzie się tylko dało. Migotały w podmuchu wiatru z otwartego okna, gdy zimny powiew chłodził nasze gołe ciała. Kiedy James się poruszył i nasze kontury jakby się zatarły, przylgnęłam do niego, wbiłam się paznokciami, przyciągnęłam go bliżej, stapiając nas znów w jedność. Walczyłam z chęcią, żeby zamknąć oczy, chciałam widzieć jego minę, chciałam widzieć moją twarz odbitą w jego źrenicach. Kiedy ogarnęła mnie fala rozkoszy i wstrząsnęła mną gwałtownie, to mimo że miałam otwarte oczy, moja wizja była zaćmiona, zostawiając czarne plamki między każdym fragmentem.

* * *

- Poczekaj, muszę znaleźć okulary przeciwsłoneczne. - Sięgnęłam do przepastnej lnianej torby na ramieniu, mrugając niewidzącymi oczami w oślepiającym świetle dnia.

Była niedziela rano - pierwszy dzień, kiedy wyszliśmy z mieszkania Jamesa - i owładnęło mną to oszalamiające uczucie dezorientacji, kiedy wychodzi się z kina po popołudniowym seansie i człowiek wynurza się, zdumiony, że widzi na zewnątrz światło dzienne. Świat nadal istnieje. Ludzie krzątają się wokół swoich spraw jak gdyby nigdy nie - kupują pieczywo, chodzą do kościoła w swoich najlepszych ubraniach, wyprowadzają psy na spacer. A jednak wcale nie czułam się normalnie. Nogi miałam jak z waty, w uszach mi szumiało. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin nie wychodziliśmy z Jamesem z łóżka i po raz pierwszy w życiu rozumiałam historie miłosne o namiętnych kochankach, którzy spędzali całe dnie w hotelach, ani na chwilę nie wynurzając się z pokoi.

James wyciągnął rękę.

- Chodź, pokażę ci coś innego niż cztery ściany mojego mieszkania. Przyda nam się trochę świeżego powietrza.

- Skoro tak twierdzisz... - Uczepiłam się jego uczynnej dłoni i wyruszyliśmy na zwiedzanie głównych ulic.

Rennes przypominało mi nieco Rouen. Prowincjonalne miasto leżące godzinę drogi od wybrzeża, było mniej więcej tej samej wielkości i miało podobną architekturę. Stare miasto było labiryntem wąskich uliczek i wybrukowanych skwerów; całe rzędy średniowiecznych domów z belkowanymi frontami.

Pozwalając Jamesowi objąć rolę przewodnika, wkrótce straciłam orientację. Sądząc po sklepach, które mijaliśmy - Jacadi, Roche Bobois, butik z edukacyjnymi zabawkami z drewna - tutejsi mieszkańcy byli zamożnymi ludźmi. Zatrzymaliśmy się w *crêperie* na rue Saint Georges, żeby coś przekąsić i rzuciłam się wygłodniała na zapiekankę *complète* wypełnioną pieczarkami, szynką i serem i zwieńczoną jajkiem z rozpluwającym się żółtkiem. Był to jedyny posiłek najbliższy angielskiemu śniadaniu, jaki mogłam znaleźć, i po tak intensywnym weekendzie musiałam się jakoś wzmocnić. Apetyt mi wracał i stopniowo przestawałam się wstydzic jeść przy Jamesie.

- Naprawdę się cieszę, że nigdy dotąd nie byłam w Rennes - zauważyłam, kiedy wyszliśmy z restauracji. - To zdrowiej zaczynać nowy rozdział życia od czystej strony, prawda?

W przeciwieństwie do Paryża, gdzie wszyscy - łącznie ze mną - zawsze patrzyli na zegarki, biegnąc gdzieś spóźnieni, w Rennes ludzie chodzili wolnym krokiem, a sklepy odwracały tabliczki na drzwiach z *ouvert* do *fermé* w porze lunchu. Samo powietrze, które wdychałam do płuc, też wydawało się czystsze. Paryż był skażony negatywnymi emocjami, które wisiały nad moim mieszkaniem niczym złowrogie chmury na chwilę przed ulewą. Dla mnie ten weekend w Rennes był *parenthèse enchantée*, odskocznią w nieskalany, idylliczny, paralelny świat.

- A więc podoba ci się tu? - spytał ostrożnie James. Między słowami słyszałam pytanie, którego nie zadał wprost.

Czy wyobrażam sobie, że pewnego dnia mogłabym zamieszkać tu z nim, w Rennes?

- Bardzo mi się podoba - odpowiedziałam entuzjastycznie. - Czuję się tak zrelaksowana. Tu jest tak spokojnie... Chciałabym móc tu zostać...

Dolna warga mi zadrżała, byłam bliska łez. Na samą myśl, że muszę wsiąść do TGV, które z szybkością błyskawicy powiezie mnie z powrotem do Paryża - do pracy i do Pana Żabojada - ścisnął mi się żołądek. Czy naprawdę muszę zamknąć na sobie kajdanki i wracać do tego wszystkiego? Tylko myśl o zobaczeniu Kijanki trzymała mnie na nogach.

- Możemy wrócić jeszcze na chwilę do ciebie? - spytałam błagalnie. - Chcę, żebyś mnie przytulił, żebyś mnie ukoił, aż do czasu, kiedy będę musiała iść na stację...

- Moja kochana, jesteś nienasycona - odparł James, unosząc brwi.

Podziękowałam mu w duchu za rozproszenie moich lęków. Był idealny przez cały

weekend, pod każdym względem.

* * *

W pociągu, w drodze powrotnej, nagle ogarnął mnie chłód późnego lata. Kichnęłam i zatrzęsłam się z zimna, rozgrzewając ręce papierowym kubkiem z liptonem rozrzedzonym chudym mlekiem, co było żalospną namiastką herbaty serwowaną przez tutejszą kolej. Miniony weekend wydawał mi się już przebrzmiałym snem, oddalając się z każdym kilometrem. Kiedy pociąg wjechał na stację Montparnasse, pękała mi głowa. Siedziałam w ostatnim wagonie i przejście przez cały peron do wyjścia trwało dla mnie wieczność. Nie mogłam znieść myśli o publicznym transporcie, ruszyłam zatem korytarzem prowadzącym do podziemnego postoju taksówek, ale kiedy zobaczyłam długość kolejki, czym prędzej uciekłam do metra.

Zanim godzinę później przekręciłam klucz w zamku, zawahałam się w progu. Dzisiaj nastąpiła odwrotność ról i to Pan Żabojad dawał naszej córce kolację, kąpał ją i czytał jej bajki przed snem. Kijanka już spała i to ja przychodziłam do domu za późno na pocałunek na dobranoc. Coraz bardziej zaczynało mi ciec z nosa i jak tylko weszłam do środka, pobiegłam po papierową chusteczkę do łazienki. Podchwyciłam swoje odbicie w lustrze i przyjrzałam się sobie uważniej. Nikt by nie zgadł, że przez większość weekendu byłam w siódmym niebie, pomyślałam z goryczą, patz

skronie.

- Mam dobrą i złą wiadomość. Ta pierwsza to to, że znalazłem mieszkanie naprzeciwko - dorzucił Pan Żabojad, nadal mówiąc do mnie z kanapy poprzez ściankę działową. - Naprawdę dość ładne. Trochę drogie, ale nie szkodzi.

- A ta zła?

- Będzie wolne dopiero za miesiąc, nie wcześniej niż od początku lipca.

Mina mi zrzędała i byłem zadowolona, że Pan Żabojad nie mógł mnie widzieć. Jeszcze jeden miesiąc w czyścucu? Jeszcze jeden miesiąc tego niełatwego rozejmu? Moje milczenie musiało być znaczące.

- Przepraszam - dodał. - Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby się mnie pozbyć. Ale nic więcej nie mogę zrobić.

Nad ranem obudziłam się na odgłos kaszlu w łazience, miejsce w łóżku obok było puste. Tym razem wątpiłam, żeby powodem było wcześniejsze wyjście do pracy. Tego dnia Pan Żabojad miał podpisać umowę wynajmu nowego mieszkania; fakt, że się wyprowadza, nagle stał się realny. Na dźwięk jego pokasływania wyrzuty sumienia zamglily mi oczy. Łatwo było powtarzać w kółko banały typu: „Nie możemy iść naprzód, póki wciąż żyjemy pod tym samym dachem”, ale trudniej mi było uzmysłowić sobie, do czego go zmuszam.

Skupiałam się na codziennych obowiązkach, odsuwając od siebie horror, przez który musi przechodzić Pan Żabojad na myśl o budzeniu się każdego ranka sam jak palec w pustym mieszkaniu, w którym jego córka będzie tylko gościem. *Zamiast* zamartwiać się o niego, zajęłam się robieniem swoistej inwentaryzacji. Wkrótce będę miała łóżko, ale bez materaca. Kablową telewizję, ale bez telewizora. Czułam głęboką ulgę, patrząc na to z pewnej perspektywy, że komputer jest mój, podobnie jak sprzęt grający i półka z książkami. Za chwilę tam, gdzie przedtem stały rozmaite meble, będzie pusto i mieszkanie zacznie się wydawało za duże, przynajmniej na początku. Ciekawe, na której z dwóch kanap będę wołała siadać? Którą stronę łóżka wybiorę, kiedy w końcu zacznę spać sama?

Jedyny przedmiot, którego losu nie potrafiliśmy uzgodnić, to rower stacjonarny od dawna stojący bezużytecznie w kącie naszej sypialni. Po urodzeniu Kijanki przez całe tygodnie ściszałam błagalnie ramię Pana Żabojada, domagając się, żeby pomógł mi znaleźć jakiś sposób na pozbycie się tłuszczu pociążowego, który tkwił uparcie na

moim brzuchu i biodrach.

W końcu Pan Żabojad się poddał, a rower oczywiście stał nieużywany. Na siodełku piętrzył się stos rzeczy do prasowania, a kiedy już na ten sprzęt patrzyłam, to głównie po to, aby odczytać temperaturę na konsoli. Jeśli chodzi o Pana Żabojada, nigdy go nie użył, ani razu.

Jak widać, żadne z nas nie było specjalnie przywiązane do tego roweru, jednak właśnie to on stał się zarzewiem naszej walki, ogniskiem wzajemnej złości i niechęci. Trudno by znaleźć bardziej idealny, wręcz podręcznikowy przykład wyparcia prawdziwego problemu. O wiele bezpieczniej było wdawać się w spory na temat przyszłości przedmiotów martwych niż rozmawiać o sprawach, które nas dręczyły.

16. *Rodziny*

Chodziłam na palcach wokół Pana Żabojada, wciąż żyjąc z nim w stanie zawieszenia, choć na *petite anglaise* już puściłam farbę na temat mojego nowego związku. Odkrywałam niewiele szczegółów, tożsamość mężczyzny, którego nazwałam „Kochankiem”, nadal pozostawała sekretem.

Ale w tym wszystkim było też coś jeszcze: racjonowanie mojej historii podtrzymywało ciekawość czytelników. Potrzeba, żeby ich kusić, żeby jak najdłużej ściągać ich uwagę, była nieodparta. Kiedy w końcu pewnego dnia wyznałam, że poznałam Kochanka dzięki komentarzom na blogu, zaczął się wyścig, żeby go odkryć. Kilkunastu komentatorów - łącznie z Jimem w Rennes - natychmiast padło ofiarą podejrzeń. Debata trwała w najlepsze, ożywiając się za każdym razem, kiedy wrzucałam następny mały szczegół, a James trwał w konspiracyjnej ciszy, od czasu do czasu pojawiając się tylko po to, żeby odsunąć od siebie podejrzania. Komentatorzy, którzy zostali mylnie oskarżeni, weszli w grę i przy coraz to innej okazji łapałam się na tym, że kiedy mój szef nie patrzy, to uśmiecham się lub nawet śmieję w głos przy przeglądaniu komentarzy.

„Nowina (bolesna): mocno roztrzęsiony, załamany i rozgoryczony Parkin Pig niniejszym wydaje ze smutkiem formalne zaprzeczenie, jakoby to on miał romans z

tajemniczą *petite anglaise*. Słyszano, jak westchnął »Zawsze można sobie pomarzyć...«.

„Czy to ja? - zastanawiał się Andre. - Byłem dobry?”.

Nie miałam skrupułów, żeby się w ten sposób bawić z moimi czytelnikami, ale martwiłam się, że nie wykazuję dostatecznej wrażliwości w stosunku do Pana Żabojada, kiedy pozwalałam na takie komentarze. Usprawiedliwiałam się tym, że w przeszłości nigdy nie śledził mojego bloga i nie miałam powodu sądzić, że teraz jest inaczej. W gruncie rzeczy to, co czuł do *petite anglaise* lub choćby mnie samej, nadal pozostawało tajemnicą, której strzegł bardziej zazdrośnie niż ja tożsamości Jamesa.

W realnym życiu, poza Internetem, miałam inne problemy, zbyt prywatne, by dzielić się nimi na blogu.

- Naprawdę martwię się na myśl o przyszłym weekendzie - wyznałam Jamesowi przez telefon na kilka dni przed moją kolejną wizytą; chodziłam tam i z powrotem po balkonie, starając się zagłuszyć uliczny hałas. - Nie o moją córkę, ona lubi wszystkich, których spotyka, a ty będziesz dla niej tylko „przyjacielem mamusi”. Ale z twoimi córkami to co innego.

Amanda i Carrie, osiem i dziesięć lat, wchodziły w trudny wiek i chwilowo było to dla mnie nieznane terytorium. Miałam nadzieję, że je polubię. I że one mnie polubią. Jeśli miałam się związać z Jamesem, powinnam być w dobrych stosunkach z jego dziećmi. Nie żebym widziały się w roli macochy. Byłam o parę lat młodsza od ich matki i mocno wątpiłam, czy mogę zostać dla nich autorytetem. Najlepiej by było, żeby widziały we mnie przyjaciółkę i sprzymierzeńca. Ale co, jeśli im się nie spodobam? Jaki to będzie miało wpływ na moje życie z Jamesem?

- Przestań się zamartwiać, skarbie - uspokajał mnie James. - Wszystko będzie dobrze. Amanda powiedziała, że nie może się doczekać, żeby cię poznać. Widzą, że jestem szczęśliwy, i obie się z tego cieszą. Naprawdę.

- Skoro tak uważasz - westchnęłam. - Ale wolałabym mieć to już za sobą. Znasz mnie... lub przynajmniej zaczynasz poznawać... zawsze się martwię. To umiem najlepiej.

- Daj spokój - powiedział stanowczo. - I nie chodzi o to, że bagatelizuję sprawę. To ważne i masz prawo się przejmować, ale robienie z siebie kłęбка nerwów nikomu nie pomoże. Dasz sobie radę. Wszyscy damy sobie radę. Sama się przekonasz.

Odwróciłam się, widząc kątem oka jakiś ruch, i zobaczyłam Pana Żabojada, który

przypalał w kuchni papierosa od palnika gazowego. Ciekawe, czy przysłuchiwał się mojej rozmowie? Weszłam do środka, naciskając na chwilę guzik odcinający mnie od Jamesa.

- Możemy się zamienić miejscami, jeśli chcesz - zaproponowałam. - Ty sobie pójdziesz na balkon z papierosem, a ja odbiorę telefon w sypialni.

Pan Żabojad kiwnął głową z pokerowym wyrazem twarzy jak zawsze.

- Przepraszam - powiedziałam do Jamesa, zamykając za sobą drzwi. - Jest mi teraz trochę niezręcznie rozmawiać. Muszę kończyć. To zbyt okrutne, żeby gawędzić sobie z tobą przy nim. Wyślę ci jutro e-mail z pracy.

Odłożyłam telefon na łóżko i wyszłam cicho na balkon przy sypialni. Nie widziałam stąd Pana Żabojada - łukowe okno naszego salonu wystawało nad ścianą frontową i łamało linię budynku - ale czułam zapach jego papierosa i gdybym tylko trochę się wychyliła, dojrzałabym jego ramię spoczywające na balustradzie. Czy, wciągając dym do płuc, patrzył na prawo, w kierunku parku i budynku, w którym miał wkrótce zamieszkać? Czasami chciałabym znaleźć się w jego głowie i odczytać jego myśli, tak jak tysiące nieznanych mi ludzi czytało moje.

* * *

Następnego ranka Pan Żabojad i ja wkradliśmy się do pokoju Kijanki, żeby obudzić ją wcześniej niż zwykle. Odgarnęłam jej włosy z czoła, pieszcząc palcami jej jedwabistą skórę, i zaczęłam cichutko śpiewać. Pan Żabojad stał obok mnie z nieodgadnioną miną.

- Sto lat, sto lat...

Kijanka wyduła wargi, nie otwierając oczu, i przewróciła się na drugi bok twarzą do ściany. Nie dałam się oszukać. Widziałam, jak zdradziecko zadrgały jej kąciki ust: udawała tylko, że śpi.

- Sto lat, sto lat... - kontynuowałam i tym razem dołączył się do mnie niepewny głos Pana Żabojada.

- *Non!* - mruknęła Kijanka. - Teraz jestem zajęta spaniem...

Rzuciłam rozbawione spojrzenie Panu Żabojadowi.

- To wielka szkoda - powiedziałam z chytrym uśmiechem. - Jeśli jesteś zajęta spaniem, to komu mamy dać te wszystkie prezenty?

Na wzmiankę o prezentach Kijanka, jak było do przewidzenia, natychmiast się poderwała i ledwo zdążyłam podnieść głowę, o włos unikając uderzenia w szczękę.

- Mnie! - wrzasnęła. - Moje prezenty! Bo mam już dwa lata! - Podniosła w górę złożone w L palec wskazujący i kciuk, coś, czego musiała nauczyć ją *tata*.

- *Joyeux anniversaire, ma puce* - powiedział Pan Żabojad.

Cofnęłam się o krok i pozwoliłam mu wyciągnąć naszą solenizantkę z łóżka. Pierwszy poranny uścisk był zawsze najmiłszy. Kijanka była ciepła, rozespana i najbardziej rozczulająca.

Poprzedniego wieczoru Pan Żabojad i ja zasypaliśmy salon dziesiątkami kolorowych balonów różnych wielkości i kształtów, podobnie jak na jej pierwsze urodziny. Kijanka na ich widok zaklaskała w rączki, wyrwała się z ramion ojca i pobiegła, wzbijając balony, po swój główny prezent, czerwono-żółty rowerek na trzech kółkach, który przykryliśmy kocem. Obok leżał gotowy do rozpakowania stos małych prezentów, które przybyły pocztą od członków rodziny. Tego wieczoru, po pracy, wniosę specjalnie udekorowany torcik urodzinowy, który parę tygodni temu przywiozłam z Anglii i przemyślałam sprytnie w walizce; miały być świeczki i życzenia. Pośród balonów podskakujących pod kołami rowerka pstrykałam zdjęcia, upamiętniając ten słodko-gorzki dzień dla potomności.

Wydrukowałam fotografię, którą zrobił nam Pan Żabojad, wyciągając przed siebie rękę z aparatem. Siedzieliśmy w trójkę na kanapie, Kijanka rozpromieniona pośrodku, my oboje, robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechnięci ustami, ale nie oczami. Do albumu, który kompilowałam od urodzenia naszej córki, dodawałam jej fotografie urodzinowe, jedną po drugiej, aż doszłam do ostatniej strony. Właśnie tam umieściłam to zdjęcie naszej trójki, ostatnie zdjęcie razem pod wspólnym dachem.

Kiedy skończyłam, przerzuciłam kartki do samego początku i mój wzrok padł na zdjęcie, kiedy mająca tydzień Kijanka spoczywa w ramionach Pana Żabojada na naszym łóżku - oboje głęboko śpią i mają niemal identyczne twarze. Wyglądali tak niewinnie, tak spokojnie. Żadne z nas nie podejrzewało wtedy, co nas czeka dwa lata później. Ze ściśniętym sercem zamknęłam album, przytuliłam go na chwilę do piersi i odstawiłam na półkę.

* * *

- Bawię się tym! - wykrzyknęła Kijanka, kiedy na próżno próbowałam jej wyrwać moją szminkę ze ściśniętych paluszków.

Na szczęście szminka nadal miała przykrywkę na swoim miejscu. Zdjęłam okulary, położyłam je przewidująco poza zasięgiem rączek Kijanki, i zajęłam się nakładaniem tuszu, trzymając malutkie lusterko w jednej ręce i opierając się drugim łokciem na rozłożonym stoliku kolejowym, żeby utrzymać równowagę. Nasze rzeczy - mój makijaż i zabawki Kijanki - były rozrzucone na całym blacie przewidzianym dla czterech osób, a naprzeciwko siedziała starsza francuska dama, czytając jakiś magazyn. Ostatnie dwie godziny spędziłam, wypatrując przez okno owiec i krów, czytając książeczki dla dzieci i rysując rozmaite obrazki. Mimo narastającej fali paniki na myśl o spotkaniu z Amandą i Carrie, znalazłam w sobie pokłady matczynej cierpliwości, o które się nawet nie podejrzewałam. Na tym polegał urok macierzyństwa i odgrywanie roli „idealnej matki” przed widownią.

Nie żebym na co dzień uważała się za złą matkę. Ale zdawałam sobie sprawę, że jestem lepsza, kiedy mogę się przed kimś pochwalić. Bez względu na to, czy moja widownia zwracała akurat na mnie uwagę czy nie, bardziej zajmowałam się córką, o wiele chętniej próbowałam uczyć ją nowych słów albo kierować energią na rozśmieszanie jej, kiedy była szansa, że ktoś nas obserwuje.

Byłam dumna z rysunków Kijanki, z jej rozkwitającej dwujęzyczności, z jej blond loczków i brzoskwińowej cery. Kiedy co parę minut schylałam się pod stół, żeby podnieść kolejną zrzuconą kredkę, nawet nie wzdychałam. Stanowiłyśmy idealny tandem. Za każdym razem, kiedy starsza pani spoglądała znad swojego magazynu i uśmiechała się do Kijanki, pławiłam się w glorii cudownej matki.

Ale teraz naprawdę potrzebowałam tej szminki. Pociąg zatrzymywał się w Rennes za parę minut. Miałam nadzieję, że Kijanka uzna paluszek czekoladowy za dostateczną re-kompensatę.

Tym razem trudniej mi było wdzięcznie wyskoczyć z pociągu z ciężką weekendową torbą na jednym ramieniu, składanym wózkiem na drugim, jednocześnie trzymając Kijankę za rączkę i pomagając jej zejść ze stopni. Włosy spadły mi na oczy, radość ze spotkania z Jamesem przyćmiewał strach przed spotkaniem z jego córkami.

Wypatrzyłam go natychmiast, czekającego na peronie w towarzystwie dwóch jasnowłosych dziewczynek, które, na pierwszy rzut oka, były zadziwiająco podobne do ojca. Zdusiłam w sobie chęć, żeby rzucić mu się w ramiona, zadowolając się nikłym

uśmiechem i ciepłym - choć wstrzemięźliwym - cmoknięciem go w policzek. Przez cały weekend będą nas śledzić trzy pary dziecięcych oczu. Będziemy musieli odpowiednio się zachowywać.

- Miałyście dobrą podróż? - spytał James, biorąc ciężką torbę z moich ramion, podczas gdy rozkładałam wózek, naciskając zamykający mechanizm prawą nogą. - A kim jest ta mała dziewczynka, która z tobą przyjechała?

- Przywitaj się, kochanie - zaczęłam, kiedy Kijanka przywarła do moich nóg, doskonale odgrywając scenę nieśmiałości. - To przyjaciel mamusi, James.

- A to moje córki, Amanda i Carrie - powiedział James, adresując swoje słowa do Kijanki.

Byłam mu wdzięczna, że sam je przedstawił - nie miałam pojęcia, która jest która, i nie chciałam od razu zrobić złego kroku, myśląc ich imiona. Co, jeśli ta wyższa jest jednak młodsza? W rzeczywistości wysoka, chuda dziewczynka w okularach w eleganckiej metalowej oprawce okazała się być Carrie, starszą z dwójki; Amanda była niższa, pulchniejsza i ogólnie wydawała się dostępniejsza. Obie dziewczynki urodziły się we Francji i spędziły całe życie w Bretanii, ale moim zdaniem były typowymi Angielkami.

- Cześć - przywitałam się, całując je po kolei w policzek. - Miło mi was poznać.

Stałyśmy przez chwilę, mierząc się wzrokiem z nerwowymi uśmiechami, aż w końcu odwróciłam się do Kijanki, żeby skłonić ją do wejścia do wózka.

- Wskakuj - powiedziałam przymilnie. - Do domu Jamesa jest spory kawałek drogi.

Kijanka potrząsnęła przecząco głową i po jej zaciętej minie widziałam, że jeśli będę nalegać, z całą pewnością nastąpi atak złości.

Piękny początek naszego weekendu, pomyślałam ponuro, i to kiedy tak dobrze się zachowywała w pociągu.

W końcu to Amanda uratowała sytuację. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, chwyciła Kijankę za rękę i pociągnęła wzdłuż peronu, pochylając głowę i szepecząc jej coś do ucha. Podchwyciłam spojrzenie Jamesa i uśmiechnęłam się; poszliśmy za nimi, Carrie trzymała się ręki ojca, a ja zamykałam pochód, pchając pusty wózek. Każdy, kto nas widział, musiał uznać, że jesteśmy zwykłą rodziną.

Uśmiełabym się do łez, gdyby parę tygodni temu ktoś mi powiedział, że wpakuję się w poważny związek z rozwiedzionym, starszym ode mnie mężczyzną, który ma własne

dzieci i bagaż emocjonalny o wiele cięższy niż moja torba weekendowa, dyndająca mu teraz na ramieniu. W teorii wyglądało to na kompletną głupotę. Ale w praktyce? Cóż, może zachorowałam na ostry przypadek patrzenia przez różowe okulary, ale w tym momencie, na peronie w Rennes, wszystko wydawało się możliwe.

Następnego dnia dziewczynki i ja załadowałyśmy po brzezi bagażnik Jamesa naszymi kostiumami kąpielowymi, parasolkami plażowymi i koszem na piknik, a on przytwierdził na środku tylnego siedzenia dodatkowe krzeselko dla dziecka, które pożyczył od Eve. Wybieraliśmy się do Saint Briac sur Mer, małego nadbrzeżnego miasteczka niedaleko Saint Malo, trochę ponad godzinę drogi na północny zachód od Rennes. Mając w perspektywie plażę, czułam się trochę jak na wakacjach. Gdybyśmy przeniosły się z Kijanką do Bretanii, nic by nie stało na przeszkodzie, żeby zgodnie z ochotą jeździć nad morze co drugi weekend. Mogłabym nawet znów usiąść za kółkiem - coś, czego nie robiłam, odkąd zdałam egzamin na prawo jazdy jeszcze w Anglii, wolałam już nie pamiętać, ile lat temu - i nauczyć się prowadzić po francuskiej stronie drogi, która to perspektywa napełniała mnie zarówno podnieceniem, jak i lękiem.

Nie wiedzieć czemu, kiedy mknęłam po autostradzie na siedzeniu pasażera, a wiatr rozwiewał mi włosy przez otwarte okno, poczułam się jak ktoś dorosły. Z Panem Żabojadem często miałam wrażenie, że tylko bawimy się w dorosłych, tymczasem James był realnym, prawdziwym mężczyzną. Z półuśmiechem na ustach słuchałam, jak zmienia się ton jego głosu, kiedy zwraca się do córek. Było jasne, że dziewczynki go uwielbiają. Poprzedniego wieczoru z rozbawieniem zauważyłam, jak walczą między sobą, która ma przy nim usiąść na maleńkiej sofie. I byłam zdumiona, choć i wzruszona, że nadal znika na poddaszu, żeby poczytać im przed snem. Najpierw poznałam go jako kochanka, potem jako przyjaciela. Teraz odkrywałam inną cechę jego charakteru i bardzo mi się podobała. Im bardziej trójwymiarowy się stawał, tym był dla mnie atrakcyjniejszy. Miałam nadzieję, że kiedy ujrzał mnie w roli matki - w przeciwieństwie do *petite anglaise* czy kochanki - także poczuł to samo.

Spod zmrużonych powiek obserwowałam go, kiedy prowadził: patrzyłam, jak pewnie trzymał kierownicę, na jego gładkie, opalone nogi w szortach. Pragnęłam ich dotknąć i pogłodzić. Ale nie w obecności dzieci, jak uzgodniłyśmy. W końcu, praktycznie rzecz biorąc, nadal dzieliłam łóżko z ojcem Kijanki. Niemniej było to nieznośne uczucie,

że muszę czekać do nocy, aż będziemy mogli spędzić trochę cennego czasu razem, a nawet wtedy nie będę mogła dać się ponieść rozkoszy jak dawniej, tylko wciskać głowę w poduszkę, pamiętając o dzieciach śpiących tuż obok nas, w sypialni przedzielonej od salonu cienką zasłoną.

Dzień był upalny, niezwykle gorący nawet jak na czerwiec, i kiedy dojechaliśmy do celu, słońce zdążyło już bezlitośnie spalić plażę. Piasek ranił mi gołe stopy i poruszałam się najszybciej jak mogłam, z Kijanką w ramionach, wydając okrzyki bólu, jakbym stąpała po rozżarzonych węglach. Kiedy wreszcie rozłożyliśmy swój obóz, osłaniając się wielkim parasolem, wbiegliśmy do morza, żeby się ochłodzić. Ale chociaż woda wyglądała zachęcająco, okazało się, że jest brutalnie, lodowato zimna.

- Boże! Zaraz zamarznę! - zaprotestowałam, szczękając zębami i trzymając kurczowo rękę Kijanki, kiedy fale podbiegły jej do kolan.

- A czego się spodziewałaś? - odkrzyknął James, wchodząc o wiele głębiej za swoimi córkami, które były już po szyję w wodzie i zaczynały pływać. - Jesteśmy w kanale La Manche nie w Morzu Śródziemnym!

Kijanka chciała się pluskać, ale dno było wysłane ostrymi kamieniami, a ja nie pomyślałam, żeby kupić jej jakieś plażowe sandaalki. Wkrótce wyciągnęłam ją, przy jej protestach, z powrotem pod parasol, gdzie nałożyłam jej świeżą warstwę kremu ochronnego i apatycznie zbudowałam z nią zamek z piasku, podczas gdy James igrał sobie z córkami w falach.

Skryta za okularami słonecznymi patrzyłam z marsmem na czole, jak się bawią - James udawał, że jest potworem morskim, i nurkował pod wodę, łapiąc je za łydki ku ich niekłamanej radości. Nagle poczułam się bardziej jak rozkapryszone dziecko niż jak osoba dorosła. Wyjazd nad morze był w teorii fantastycznym pomysłem, ale teraz nie byłam już tego taka pewna. Różnica wieku między naszymi dziećmi była za duża, żebyśmy mogli robić te same rzeczy. A smętne i samotne siedzenie na boku wcale mi nie odpowiadało. Przyjechałam tu, żeby być z Jamesem i jego dziećmi, a nie po to, żeby być obserwatorem.

- Zapomniałam, jaka to katorga przebywać na plaży z małym dzieckiem - powiedziała cierpko, kiedy James rzucił się obok mnie na ręcznik, uśmiechając się szeroko i spryskując nas deszczem miłych kropelek.

Carrie i Amanda zainteresowały się pobliską sadzawką w skałach. Kijanka,

znudzona budowaniem zamków, teraz jak buldożer zajęła się ich burzeniem. Tarzając się po ziemi, zanim krem zdążył wsiąknąć w jej skórę, cała okryła się grubą warstwą lepkiego piasku.

- Źle się bawisz? - spytał James, szczerze zdziwiony. - Byłem tak zajęty dziewczynkami, że nie pomyślałem...

- Och, nie... To znaczy tak. To znaczy wszystko w porządku. Naprawdę - mówiłam z większym przekonaniem, niż czułam. - To piękna plaża i wycieczka była świetnym pomysłem. - Wydobyłam muszelkę z ręki Kijanki, w chwili kiedy wkładała ją sobie do ust, i przygotowałam się na wrzask protestu. - Ale chciałabym kiedyś przyjechać tutaj tylko z tobą. Odpocząć, zjeść owoce morza...

- Zrobimy to - zapewnił mnie z uśmiechem. - We dwójkę będzie nam cudownie. I koniecznie włoż to bikini.

Zarumieniłam się. Przy kilogramach, które straciłam, zdołałam wepchnąć się w bikini sprzed Kijanki, którego nie nosiłam od lat. Ale James już na mnie nie patrzył, jego oczy były przykute do dwóch odległych sylwetek córek, grzebiących u podnóża skał. Wyglądało na to, że Carrie coś złapała i właśnie z dumą wymachiwała koszykiem. James był na dyżurze, podobnie jak ja. Mogłam co najwyżej liczyć na połowę jego uwagi.

Znosiliśmy dzielnie upał, jak długo się dało, żując kanapki pod parasolem w przyjacielskim milczeniu i podziwiając małego, ale ruchliwego kraba, którego pokazała nam Carrie, zanim wypuściła go z powrotem do morza. Ale w końcu daliśmy za wygraną, zwinęliśmy piknik i postanowiliśmy wracać. James pomógł mi splukać piasek z Kijanki - wyrywającej się nam rękami i nogami - pod zimnym prysznicem zamontowanym w kamiennej ścianie przy wejściu na plażę. Żeby ją udobruchać, obiecałam jej lody. Skierowaliśmy się do budki z lodami i z niepokojem zajrzałam do portmonetki, czy starczy mi pieniędzy na całą piątkę.

Amanda i Carrie szły dziarsko, plotąc trzy po trzy; z naturalną swobodą objęły ramionami Jamesa, biorąc go w swoje posiadanie. Kijanka i ja wlokłyśmy się z tyłu, dystans między nami ciągle się powiększał, jako że uparła się iść żółwim krokiem, a moja twarz coraz bardziej się wydłużała. Irytowało mnie, że muszę dzielić się Jamesem, choć ledwo co się poznaliśmy; frustrowało, że muszę wtapiać się w tło. Nie mogłam odzalaować, że nie jesteśmy sami, jak podczas pierwszego weekendu. Rozumiałam, że poświęca uwagę

córkom - spotykali się co drugi tydzień, zatem każda minuta była cenna - i doceniałam, że stara się nie wchodzić w drogę mnie i Kijance. Ale nic nie mogłam poradzić na to, że czułam się odstawiona na boczny tor.

Jakby czytał w moich myślach, odwrócił się i spytał Kijankę:

- Chciałabyś, żebym przewiózł cię na barana? Mama ci pozwoli?

- Och, to będzie dla niej wielka frajda! - odparłam, nagle zawstydzona własnym egoizmem.

James posadził sobie Kijankę na ramionach, a ona zapiszczała z radości, patrząc z góry na świat. Przyspieszyłam kroku i zrównałam się Amandą i Carrie, zdeterminowana, żeby bardziej się postarać.

W drodze powrotnej do Rennes dzieci były spokojne i wyczerpane odurzającą kombinacją upału i wysiłku fizycznego. Poklepałam Jamesa lekko po ramieniu i pokazałam palcem tylne lusterko. Głowa Kijanki spoczywała na bocznym oparciu jej krzeselka, z ust ciekła jej cienka strużka śliny, natomiast Amanda i Carrie drzemały niezbyt wygodnie, z głowami przytulonymi do okien. Miałam wrażenie, że mimo odgłosu silnika słyszę lekkie pochrapywanie, aczkolwiek trudno mi było odkryć winowajczynię.

James podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się.

- Mówiłem ci, że nie ma się o co martwić, prawda? - powiedział scenicznym szeptem.

Kiwnęłam głową i z pewnym wahaniem położyłam mu rękę na udzie, a ponieważ na razie nie było świadków, zostawiłam ją tam na chwilę.

Wiedziałam, że następny post, który zamieszcze na blogu, będzie się składał z takich właśnie momentów, pomijając na boku małostkowe uczucie zazdrości, jakiego zaznałam na plaży, i niegodne życzenia, żebyśmy byli bez dzieci. Jeśli nawet moja szklanka była do połowy pusta, szklanka *petite anglaise* będzie do połowy pełna. Niezbyt długo to trwało, pomyślałam z rozzaleniem, ta chęć Jamesa, żeby poznać prawdziwą mnie, ze wszystkimi wadami i zaletami.

Nie minęły nawet dwa miesiące naszej znajomości, a już cenzurowałam w myślach naszą historię.

17.

Canicule

Nigdy nie byłam miłośniczką letnich miesięcy w Paryżu.

Wiosną, skąpane w bladym słońcu budynki z piaskowca nad Sekwaną nabierają kremowego odcienia. Na gołych gałęziach pokazują się delikatne listki i plamki kolorów - różne odcienie różu, wiśni i żółci. Niebo jest kapryśne: od głębokiego lazuru do wypranej szarości; małe zwiewne obłoczki przepędzają ciężkie, nabrzmiałe deszczem chmury. Wiosenne słońce bawi się w chowanego. Gładzi skórę, ale jej nie spala; nie niesie zagrożenia.

Jednak w lecie, kiedy temperatura rośnie, mój duch upada. Zbieram siły na nadejście *la canicule*.

W fali upału białe słońce oślepia i pali. Przytłaczający całun skażonego powietrza dławi miasto, rozluźniając morderczy uścisk tylko na kilka krótkich godzin przed świtem. W nocy przy otwartych oknach ryk motocykli zatrzymujących się na światłach budził mnie z niespokojnego snu. Na pierwszy pomruk zbliżającej się śmieciarki z jękiem zwlekałam się z łóżka i zamykałam okna, zanim szum przerodził się w grzmot. Za zamkniętymi oknami sypialnia stawała się sauną, a wilgotną ciszę przerywało tylko brzęczenie komarów.

Kijanka urodziła się w czerwcu i pierwsze lato w jej życiu, które zbiegło się z rekordową *canicule*, było męką. Od południa do północy słońce z całą mocą świeciło w nasze okna, a jego promienie rozgrzewały do czerwoności ściany budynku. Na posadzce balkonu można było smażyć jajka, a balustrada mogła służyć za żelazo do wypalania. Geranium w oknie całkiem wyblakło, a jego spalone listki chrzęściły na podłodze pod nogami.

W półmroku, za zamkniętymi żaluzjami, apatycznie oglądałam jeden wypożyczony film za drugim, podczas gdy maleńka Kijanka drzemała na kanapie obok mnie w samej pieluszcze, z rączkami odrzuconymi nad głowę. Obok nas kręcił się elektryczny wentylator, mieląc zgęstniałe jak zupa powietrze, ale nie dając prawdziwej ulgi. Kiedy się dotykałyśmy, pot zlepił nas jak klej. Brałyśmy chłodzące kąpiele i obserwowałam ją z

nowo narodzoną matczyną troską, bojąc się, że się przegrzeje i odwodni.

Tego lata od upałów umarło tysiące starych ludzi, podczas gdy dzieci i wnuki bawiły na południu, na wakacjach, nieświadome tego, w jak trudnej sytuacji znaleźli się ich najbliżsi. W kostnicach w Paryżu zalegały niezidentyfikowane ciała; był to narodowy skandal.

Nie miałam niczego równie złowrogiego na sumieniu, ale i tak przepełniało mnie poczucie winy. Nie wyrzucałam sobie, że liczę dni do końca urlopu macierzyńskiego, lecz nie mogłam się doczekać powrotu do klimatyzowanego biura, przystani chłodu w Mieście Upału. Męczyła mnie nie tylko wysoka temperatura: brak mi było towarzystwa dorosłych. Pogawędek, pikantnych plotek, omawiania oper mydlanych przy lunchu. Każdego ranka, kiedy Pan Żabojad wychodził do pracy, byłam chora z zazdrości. Zrezygnował z prawa do urlopu ojcowskiego, twierdząc, że nie może sobie pozwolić nawet na miesiąc wolnego, bo jest zavalony pracą. Czułam się opuszczona, zostawiona sama sobie, pozbawiona pomocy, odcięta od przyjaciół i rodziny, przetrzymywana jako zakładniczka przez upał.

Pierwsze lato Kijanki upłynęło w zaduchu żaru i mojego niezadowolenia. Nawet kiedy w końcu minęło, nie mogłam pozbyć się uczucia, że dom stał się dla mnie więzieniem. Moje życie zostało nieodwracalnie zmienione przez jej przyjście na świat, podczas gdy życie Pana Żabojada w ogóle się nie zmieniło.

Niezwykły jak na tę porę roku upał podczas naszej wycieczki na plażę tuż przed jej drugimi urodzinami zwiastował powrót *la canicule*. Któregoś dnia w następnym tygodniu Pan Żabojad, Kijanka i ja przedzieraliśmy się niemrawo przez gęste wieczorne powietrze. Czułam się spalona jak liście mojego geranium. Zwariowany dzień w pracy, obrzydliwy zapach potu w metrze w drodze do domu, bieg do supermarketu wraz z Kijanką, żeby zapełnić naszą lodówkę na tydzień naprzód: wszystkie te rzeczy wyssały ze mnie energię. Moje baterie niemal się wyczerpały.

Kijanka, która zdecydowanie odmówiła rozstania się ze swoją lalką Dorą, doprowadzała mnie do wściekłości, wyrywając się z żelaznego uścisku na przejściu dla pieszych. Zawsze była uparta jak muł - i, bez wątpienia, zmęczona - ale zaczynała przejawiać typowo podręcznikowe „złe” zachowanie, przy każdej okazji kwestionując mój autorytet. Słowa *non* i „nie” pojawiały się z alarmującą regularnością, zakończone niemal słyszalnym wykrzyknikiem. Zwalczałam pokusę, żeby na nią wrzasnąć, ale nasze

dzisiejsze sprawunki były ważne i nie chciałam żadnych łez ani napadów złości.

- Mama musi cię trzymać za rękę, skarbie - powiedziałam, nie podnosząc głosu. - Na ulicy są samochody, to bardzo niebezpieczne.

- *Non! Veux pas!*

Westchnęłam i wzięłam ją na ręce, choć wyrywała się z wściekłością i kopała mnie, nie chcąc dać się ujarzmić.

Kiedy światła się zmieniły, Pan Żabojad wyszedł nam naprzeciw z kartonem bibelotów, z których większość wyrzuciłabym na śmietnik. Pogwizdywał sobie beztrąsko, co w obecnej sytuacji wydawało mi się raczej niestosowne i wprawiło mnie w niepokój. Oto za chwilę mieliśmy po raz pierwszy zobaczyć jego nowe mieszkanie i wyobrażałam sobie tę scenę jako ponury kondukt pogrzebowy. Nie powinien być radosny i szczęśliwy. Mogłam się chyba spodziewać, że przy tej okazji wykaże choć odrobinę powagi.

- Idziemy zobaczyć nowy dom tatusia - wytłumaczyłam Kijance, stawiając ją u stóp schodów, które wiodły z chodnika do holu wejściowego apartamentowca.

Jego *dèux pièces* znajdowało się na szczycie jednego z najbardziej nowoczesnych budynków wychodzących na park. *Un immeuble de grand standing* w języku pośredników nieruchomości, co w przełożeniu na angielski oznaczało mnóstwo marmurowych kafelków i złożonych wykończeń. Naprzeciwko tablicy z guzikami domofonów na parterze tabliczka obwieszczała obecność konsjerżki. Byłam pod wrażeniem: jak dotąd wszystko zdawało się bardzo *chic*.

Kiedy weszliśmy do wyłożonej lustrami windy - dwa razy większej od jej biednego odpowiednika w tym, co wkrótce będzie nazywane „domem mamusi” - zerknęłam na Pana Żabojada, który już nie gwizdał. Miał nieprzeniknioną minę i nie śmiałam spytać, o czym myśli. Z powrotem skoncentrowałam się na naszej córce i przemówiłam do niej z wymuszoną wesołością, której wcale nie czułam.

- Czasem będziesz mieszkać z tatusiem w domu tatusia, a czasem z mamusią w domu mamusi - wyjaśniłam, kiedy winda zatrzymała się na ósmym piętrze. Miałam nadzieję, że rozumie moje słowa, ale nie sposób było tego stwierdzić. - Będziesz miała dwie sypialnie, dwa łóżka, dwa nocniczki... Czy to nie cudownie?

Kijanka popatrzyła na mnie ponuro, ale nic nie odpowiedziała. Zdecydowałam się zakończyć tę przemowę. Była zbyt teoretyczna: musiała zobaczyć nowe mieszkanie taty

własnymi oczami, żeby stało się dla niej realne. Podejrzywałam, że nie tylko ona.

Pan Żabojad odstawił pudło i zaczął mocować się z nieznanym zamkiem. Drzwi otworzyły się szeroko na dobrze naoliwionych zawiasach i po kolei weszliśmy do środka.

- Co za cudo! - wykrzyknęłam zdumiona.

Główny pokój był przestronny i jasny, a kiedy Pan Żabojad otworzył okna, owionął nas litościwy powiew z kilku stron. Znajdowaliśmy się wysoko nad sąsiednimi zabudowaniami i widok z okien, z których każde miało własny balkon, obejmował trzy strony budynku. Ale główną atrakcją był widok z salonu: mieliśmy Paryż u stóp.

- No, no... - powiedziałam, idąc na największy balkon. Dachy ciągnęły się aż po horyzont. - Myślałam, że widok z naszego mieszkania jest czymś wyjątkowym, ale ten go przebija.

- Tak, nie jest zły ten mój widok, *n'est-ce pas?* - odparł Pan Żabojad, zapalając papierosa i opierając się dumnie o balustradę.

Kijanka spoglądała przez pręty między nami, wodząc oczami za przelatującym samolotem, który zostawiał za sobą zwiewny biały pas na wczesnowieczornym niebie.

Spędziłam kilka chwil, wyszukując charakterystyczne obiekty, z ich iglicami i kopułami wystającymi nad dachówkami budynków mieszkalnych: kopuła Panteonu, iglice Notre Dame, jaskrawe kolory centrum Pompidou, odległa wieża Montparnasse. To była większa, lepsza, bardziej panoramiczna wersja mojego własnego ukochanego widoku. Nawet wieża Eiffla była stąd widoczna. Z naprzeciwka widzieliśmy tylko odbłask jej światła: budynek, w którym miał zamieszkać Pan Żabojad, zasłaniał ją.

Pan Żabojad zgasił papierosa, a ja poczułam, jak rozluźniają mi się zaciśnięte szczęki. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo bałam się tej wizyty, dopóki moje tłumione napięcie nie zaczęło opadać. Wyobrażałam sobie obskurną dziurę z odpadającym tynkiem i smętnego Pana Żabojada, który melancholijnie je kolację przed mrugającym ekranem telewizora. Scena, kiedy przyjmuje przyjaciół w nowym kawalerskim apartamencie, a zadowolona Kijanka bawi się w salonie, gdzie jej zabawki leżą rozrzucone na jasnym parkiecie, natychmiast zmniejszyła moje poczucie winy.

Niechętnie oderwaliśmy oczy od widoku i poszliśmy za nią do sypialni, której okno wychodziło na róg parku. Balkon leżał nad czubkami drzew po tej stronie budynku i kiedy wychyliłam się mocno na prawo, mogłam nawet dostrzec łukowe okno mojego salonu.

- Gdybym zamontował tu sobie statyw - powiedział Pan Żabojad z chytrym uśmiechem - mógłbym dokładnie obserwować, co robisz.

Żartował oczywiście, ale choć ceniłam sobie jego zdolność do dowcipkowania w takiej chwili, w głowie zadźwięczały mi dzwonki alarmowe. Zmrużyłam oczy, wpatrując się w przechodniów na dole. Czy można rozpoznać ludzi z takiej wysokości? Każdego ranka będę przechodziła po przeciwległym chodniku, dobrze widoczna z wózkiem dziecięcym, idąc do domu *taty*. Czy Pan Żabojad będzie się torturować, obserwując nas? Czy będę czuła mrowienie na karku?

Zaczynało mi świtać, że to sąsiedztwo, aczkolwiek bezcenne z punktu widzenia dzielenia czasu z Kijanką, może być również problematyczne. Nie bardzo podobała mi się myśl, że wejdę do pobliskiej piekarni z Jamesem i spotkam tam Pana Żabojada, stojącego w kolejce po bagietkę. A co, jeśli zobaczę go z nową dziewczyną, kiedy zegnają się na schodach przed budynkiem? Ale było już za późno, żeby zgłaszać jakieś zastrzeżenia. Dobre strony przeważały nad złymi i tak czy owak umowę miał już podpisaną.

- Sprawię ci nowe łóżko, które postawimy tam w rogu - powiedział Pan Żabojad do Kijanki, odwracając się tyłem do okna.

W przyszłym tygodniu planował wyprawę do Ikei, żeby wyposażyć nowe mieszkanie. Kiedy wszystko będzie na swoim miejscu, w końcu się wyprowadzi.

- Kupisz zasłony do tego pokoju? - spytałam, niemal natychmiast żałując tych słów.

Musiałam się nauczyć trzymać język za zębami i powstrzymywać od udzielania mu rad. W końcu było to tylko jego gniazdko, nie nasze. To samo dotyczyło całej reszty jego życia. Czas się pohamować i pozwolić mu robić to, na co ma ochotę.

- Nie będę potrzebował zasłon, bo na zewnątrz są żaluzje. - Chwycił drażek i zademonstrował mi mechanizm.

Drewniane żaluzje opadły jak powieki i staliśmy chwilę, mrugając oczami w ciemności, zanim Pan Żabojad wolno je podniósł.

Kijanka zachichotała.

- *Maintenant, j'ai deux* sypialnie! - krzyknęła, klaszcząc z radością w dłonie.

Spojrzałam zdumiona na Pana Żabojada: moje niezdarne tłumaczenia w windzie i jego teraz, nie okazały się stratą czasu. Zadbaliśmy o to, żeby położyć nacisk na wszystko, co Kijanka dostanie, w przeciwieństwie do tego, co ma stracić, i nasza strategia zdawała

się przynosić rezultaty; wyglądało na to, że ten nowy układ nie budzi jej niepokoju.

- A może obejrzymy sobie resztę mieszkania? - zasugerowałam.

Kijanka odebrała to jako sygnał, żeby pomaszerować korytarzem i spenetrować otoczenie.

- Zdaje się, że bardzo dobrze to przyjęła - szepnęłam do Pana Żabojada.

Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy - mruknął z krzywym uśmiechem, pozbawionym ciepła. - Czas pokaże.

Duma z pięknego widoku i żarty w sypialni ustąpiły teraz miejsca nowej emocji. Ale cokolwiek czułam, byłam ostatnią osobą, która mogła mu dać pocieszenie, więc trzymałam język za zębami i poszłam z nim za córką.

Kiedy wróciliśmy do domu i położyliśmy Kijankę spać, powlokłam się przez salon, niosąc całe naręczce prania. Pan Żabojad wyciągnął się na kanapie, z pilotem w zasięgu ręki. Połowa zawartości lodówki leżała na tacy na stoliku do kawy w charakterze jego cowieczornego pikniku. Pozornie nic się nie zmieniło. Wiedliśmy osobne życia pod tym samym dachem jak zawsze: każde z nas jadło jakiś posiłek, ja pisałam bloga, on oglądał telewizję lub pracował na laptopie. Nie protestowałam, kiedy zostawiał po sobie naczynia w zlewie albo wracał późno, zionąc alkoholem. Nie było sensu szukać w tych dniach punktów zapalnych i dawałam Panu Żabojadowi więcej luzu niż kiedykolwiek dotąd. Okres przeczekiwania był niemal skończony.

Rzucając górę skłębionych ubrań na łóżko, zaczęłam rozstawiać białą plastikową suszarkę przy oknie.

- Coś ci upadło - zauważył Pan Żabojad.

Nie usłyszałam skrzypu podłogi i odwróciłam się gwałtownie na jego niespodziewaną uwagę wygłoszoną nad moją głową. Suszarka, jeszcze niezabezpieczona, złożyła się i upadła z trzaskiem. Wyciągnęłam rękę po zgubioną skarpetkę - czy cokolwiek to było - ale nie zrobił kroku w moim kierunku, więc z westchnieniem obeszałam łóżko.

- Nigdy ich przedtem nie widziałem, są nowe? - spytał Pan Żabojad beznamiętnie, otwierając dłoń, żeby pokazać moje granatowe majtki z jasnoniebieską wstążeczką.

- Tak, są nowe - przyznałam, czerwieniąc się.

Dlaczego ze wszystkich rzeczy musiałam upuścić właśnie te majtki? To było

równoznaczne z rzucając mu w twarz mojego nowego życia seksualnego; z szydzeniem z faktu, że kupuję nową bieliznę dla przyjemności innego mężczyzny. Nie żeby Pan Żabojad nie wiedział, co jest grane, ale taki jaskrawy sygnał był niepotrzebnym okrucieństwem.

- Nigdy dotąd nie kupowałaś takich rzeczy - powiedział Pan Żabojad i skrzyżował ręce na piersi. Rzeczony majtki nadal dyndały mu u małego palca.

Mimo woli zastanawiałam się, czy czerpie satysfakcję z mojego skrępowania. Jego oczy miały kamienny odcień szarości.

- No cóż, ty zawsze wolałaś bawełnę - zaripostowałam, podejmując walkę z suszarką, żeby uniknąć jego oskarżającego spojrzenia.

Pan Żabojad wyszedł z pokoju, nie mówiąc już ani słowa, a ja drżącymi rękami zabrałam się do rozwieszania prania. Kiedy w końcu się odwróciłam, zobaczyłam granatowe majtki wiszące na prawym rogu mojego monitora.

* * *

- To musi być dla ciebie straszne, że ciągle mieszkacie razem i nie możesz się doczekać, żeby się wyprowadził - powiedział James ze współczuciem. - Ale dla niego to też niełatwe. Kiedyś byłem w podobnym położeniu, pamiętasz? Jak moja żona ze mną zerwała, doskonale wiedziałem, że nie może się doczekać, żebym się wyprowadził i dał miejsce jej nowemu ukochanemu. Teraz myślę, że zwlekałem z tym o wiele za długo. Nie widziałem powodu, żeby ułatwiać jej życie.

Byłam ciekawa, czy Pan Żabojad też rozmyślnie odwleka przeprowadzkę. W końcu zerwaliśmy ze sobą sześć tygodni temu. Ale żeby oddać mu sprawiedliwość, biorąc pod uwagę paryski rynek mieszkaniowy, naprawdę nieźle sobie poradził, że tak szybko znalazł mieszkanie.

- Wydaje mi się, że i ty nie miałaś łatwego życia - powiedziałam ostrożnie. - Przez to, że tak przy niej tkwiłaś.

- No cóż, pewno masz rację - przyznał James. - Ale nie myślałem wtedy racjonalnie.

Była sobota wieczór i siedzieliśmy w małej restauracyjce w Rennes. Na ścianach w kolorze ochry wisiały sombrero; w tle grała pogodna ludowa muzyka - wszystko to zupełnie nie szło w parze z naszym nastrojem. Kiedy weszliśmy, zauważyłam, że właściciel dobrze go zna, i nie mogłam nie zadać sobie pytania, z kim jeszcze James tu

przychodził przez ostatnie lata? Z byłą żoną? Z Eve? Zapraǳnęłam znaleźć się w jego mieszkaniu. Najlepiej dogadywaliśmy się za zamkniętymi drzwiami, w pozycji horyzontalnej.

- Tak czy owak, dość już tych ubolewań i utyskiwań - stwierdził James, odwracając rozmowę od Pana Żabojada.

Przecież przyjechałam do Rennes, żeby zostawić zmartwienia za sobą, a nie żeby je roztrząsać i psuć nam weekend. James wsunął rękę do kieszeni marynarki.

- Z przyjemniejszych rzeczy, mam coś dla ciebie.

Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, jak zareaguję, jeśli wyjmie pierścioneł. Ale nie dał mi aksamitnego puzderka, tylko pobrzękujący pęk kluczy.

- Chcę, żebyś je miała. Od tej pory moje mieszkanie jest twoim mieszkaniem. Jeśli kiedyś będziesz miała ochotę uciec z Paryża, zawsze jesteś tu mile widziana.

- Dziękuję - wybąkałam, zaciskając pięść wokół mojego prezentu. Zawahałam się, czy zdradzić, czego się spodziewałam, kiedy jego ręka powędrowała do kieszeni, i postanowiłam dać nura na głęboką wodę. - Przez chwilę myślałam, że chcesz mi dać pierścioneł zaręczynowy...

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana? - powiedział wolno, ujmując moją dłoń, nadal zaciśniętą wokół kluczy, i podnosząc ją do ust. - To prawda, że bardzo chciałbym cię poślubić pewnego dnia... - dodał, patrząc mi prosto w oczy. - To znaczy, jeśli mnie zechcesz.

Zapało mi dech. Ściśle rzecz biorąc, nie można było tego nazwać oświadczenia, zważywszy na tryb warunkowy, ale po raz pierwszy w życiu jakiś mężczyzna brał pod uwagę to, że kiedyś się ze mną ożeni. Poczułam dreszczyk emocji. Wszystkie te argumenty, które wytaczałam na swoim blogu przeciwko niechęci Pana Żabojada do stałego związku, wydały mi się teraz żalosne i chybione. Miał całkowitą rację: pragmatyzm to nie najlepsza podstawa do takiej decyzji. Ale po cichu założyłam, że skoro James już raz się rozwiódł, to śluby małżeńskie nie będą miały dla niego aż takiego znaczenia. Najwyraźniej się myliłam.

Tej nocy, kiedy leżeliśmy zaspokojeni i szczęśliwi w skłębionej pościeli, powiedziałam w końcu słowa, przed którymi dotychczas się powstrzymywałam.

- Kocham cię - szepnęłam. - I dobrze mi z tobą.

Nazajutrz metro ze stacji Montparnasse było wypakowane tłumem sklejonych ze sobą, skąpo ubranych ciał, i powietrze cuchnęło potem. Przesiadki wymagały całych godzin chodzenia po korytarzach i przejściach, a temperatura była jak w piekarniku. Kiedy w końcu wydostałam się na avenue Simon Bolivar, wciągnęłam w płuca gorące powietrze przesycone zapachem spalin. Usłyszałam znajomy szum ruchu ulicznego, a w oddali zawodzenie karetek pogotowia: były to dźwięki zaadoptowanego przeze mnie miasta.

W pociągu przez całą podróż powrotną byłam bliska łez. Z każdą kolejną wizytą coraz trudniej mi było żegnać się z Jamesem. Czułam się jak po amputacji; jakbym zostawiała część siebie w jego rękach.

Otworzyłam ciężkie drzwi i podniosłam klapkę naszej skrzynki na listy, żeby sprawdzić pocztę. Kiedy czekałam, aż winda ze zgrzytem zatrzyma się na dole, szukałam w kieszeni kluczy. Były cięższe niż zwykle, ważyły więcej z pękiem kluczy Jamesa. Gdyby tylko winda mogła mnie dowieźć, jak powinna, do jego drzwi zamiast moich, za którymi czekało mnie puste, upiornie ciche mieszkanie. Pan Żabojad wziął Kijankę do swoich rodziców na długi weekend i mieli wrócić dopiero następnego dnia.

Kiedy weszłam, zrzuciłam torbę z ramienia; z hukiem wylądowała na parkiecie, a ja poszłam do kuchni po szklankę wody. Byłam krańcowo przygnębiona i nawet widok z okna mnie nie pocieszył. Paryż zaczął mi symbolizować wszystko, co chciałam zmienić w moim życiu, wszystko, co chciałam za sobą zostawić. Ten proces zaczął się na długo przedtem, zanim spotkałam Jamesa - praca, ciąża i macierzyństwo stopniowo zmieniły moją relację z tym miastem - a teraz zdawał się nieodwracalny.

Osunęłam się po ścianie kuchni i wyciągnęłam nogi na chłodnych czerwonych kafelkach w odcieniu *tomette*. Zgięłam się w pół, zamknęłam oczy i uciekłam we wspomnienia weekendu w Rennes, marząc, żeby znaleźć się daleko, daleko stąd.

Przeprowadzka

- Catherine! - zawołał w następny wtorek mój szef, rzucając teczkę na biurko. - Dlaczego nie przypomniałaś mi, że wcześniej rano mam spotkanie? Przez ciebie się spóźniłem.

Westchnęłam. Była dopiero dziesiąta i już zdążyłam mu się narazić. Zastanawiałam się, czy wspomnieć, że bardzo drogi gadżet, który nosi cały czas przy sobie, ma również kalendarz, gdyby zechciał go otworzyć, ale uznałam, że lepiej nie zadrażniać stosunków.

- Przepraszam - powiedziałam z wyraźnym brakiem skruchy. - Na przyszłość postaram się przypominać o spotkaniach poprzedniego wieczoru, jeśli to konieczne...

- Po prostu mam wrażenie, że przestałaś dbać o mnie jak dawniej - poskarżył się z nadąsaną miną.

Przewróciłam oczami za jego plecami. Coraz lepiej widziałam podobieństwo między pracą sekretarki a opiekowaniem się wymagającym, często nieracjonalnym dzieckiem.

Ostatnio szef przyjął wobec mnie wrogą postawę i zachowywał się w sposób, który trudno mi było wytłumaczyć. Widywałam to przedtem w stosunku do innych kolegów, ale mnie zawsze zdawał się chronić jakiś immunitet. Jednak teraz nagle nic go nie zadowalało, krytykował mnie na każdym kroku i później w ciągu dnia nie po raz pierwszy Amy znalazła mnie w kuchni tonącą w potoku łez.

- Nie wiem, jak długo to wytrzymam - łkałam, biorąc papierową chusteczkę, którą mi podała. - Wszystko, co robię, jest źle.

Przycisnęłam czoło do chłodnej szyby i patrzyłam na turystów i zakupowiczów tłoczących się na avenue de l'Opéra poniżej; najchętniej zgarnęłabym swoje rzeczy i przyłączyła się do nich bez jednego spojrzenia za siebie.

- No cóż, przecież w każdej chwili znajdziesz inną pracę, jeśli zechcesz, prawda? - zauważyła rezolutnie Amy. - Chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Po prostu nie rozumiem, skąd ta nagła zmiana wiatru. Do tej pory świetnie się dogadywaliście.

Napełniła czajnik i zapaliła gaz. Przez wszystkie te lata, które spędziłyśmy we

Francji, pewne zasady nigdy się nie zmieniły. Współczucie podaje się z herbatą. Żaden inny napój nie pasuje.

- Ja też tego nie pojmuję. - Potrząsnęłam głową ze smutkiem. - To znaczy, on wie co nieco o moich ostatnich perturbacjach w sprawach osobistych, ale nie sądzę, żeby to jakoś negatywnie wpływało na moją pracę. A jeśli nawet, to można by się chyba spodziewać, że da mi taryfę ulgową, a nie będzie dokręcać śrubę? Jasne, zawsze wchodziłam na mój blog, kiedy nie miałam pilnej roboty, żeby przeczytać komentarze i nawet napisać to i owo, ale teraz prawie tego nie robię. Zamieszczam o połowę mniej postów niż kiedyś, głównie z obawy, że on to odkryje i będzie afera. Cały problem w tym, że cokolwiek wywołało ten kryzys, jestem teraz tak zdenerwowana, że naprawdę zaczynam popełniać błędy. To staje się samospełniającą się przepowiednią.

Wytarłam głośno nos i spojrzałam na odbicie swojej zapuchniętej, czerwonej od łez twarzy w drzwiczkach mikrofalówki, usytuowanej na odpowiedniej wysokości, żeby posłużyć za lustro. Co za koszmar. Nie mogłam w tym stanie wrócić do biurka.

- Chodzi o to - ciągnęłam - że teraz nie chcę zmieniać pracy, skoro planuję zostać w Paryżu najwyżej jeszcze rok, zanim przeniosę się do Jamesa. - Amy jako jedyna w biurze знаła moje plany, a już z pewnością nie mój szef. - Przynajmniej ta jedna rzecz w moim życiu powinna pozostać taka, jak była. Tyle innych się zmieniło.

- Cóż, sama zobaczysz, jak się sprawy potoczą - odparła Amy. - Ale nie baw się w ofiarę i nie pozwalaj, żeby to trwało za długo. Masz inne opcje. A jeśli będziesz ciągle zestresowana i przygnębiona, to na twojej Kijance też się to odbije.

Uśmiechnęłam się do niej przez łzy. Amy regularnie czytała mój blog, odkąd się jej zwierzyłam, ale poczułam się dziwnie, kiedy usłyszałam imię „Kijanka” wymówione na głos.

- Jak zauważyłam, raczej unikasz pisania o biurze? - Amy uniosła brwi.

- Jasne! Inni blogerzy zostali wyrzuceni na bruk za o wiele mniejsze sprawki, wolę zatem nie ryzykować. Nie żeby ktoś z pracy kiedykolwiek miał trafić na mój blog, ale lepiej nie kusić losu.

Wytarłam jeszcze raz oczy kawałkiem papierowego kuchennego ręcznika i rozpuściłam kok, żeby zasłonić się włosami.

- Chyba powinnam już wracać za biurko - powiedziałam niechętnie, uzbrajając się

w kubek herbaty, który podała mi Amy.

Jej słowa chodziły za mną przez resztę dnia. Czy naprawdę odgrywałam ofiarę? Może gdzieś w głębi serca czułam, że po rozbiciu rodziny zasługuję na karę?

* * *

- Nie przeczę, że może ci być teraz ciężko - powiedział tego wieczoru Pan Żabojad - jednak wygląda mi na to, że szukasz problemów, żeby wyjechać z Paryża raczej szybciej niż później.

- Nie. Wcale nie - zaprzeczyłam z oburzeniem.

Kiedy zastał mnie na kanapie zwiniętą w kłębek, był pełen zrozumienia. Ale nasza rozmowa szybko zesłała na drażliwy temat mojej ewentualnej przeprowadzki do Bretanii.

- Wiem, że nie mogę ci niczego zabronić - dodał szorstko - ale jeśli zamieszkasz z moją córką u niego, to w ogóle nie będę jej widywał.

- Co ty opowiadasz! Będę przyjeżdżać z nią do Paryża, a ty zawsze możesz nas odwiedzić w Rennes. Ale nie o tym w tej chwili mówimy. - Byłam kłębkiem nerwów. Za każdym razem, kiedy podnosiliśmy tę sprawę, nasz kruchy rozejm się rozpadał i trzeba było czasu, żeby go posklejać. - Mówiłam ci, że do przyszłego roku nie zamierzam podejmować żadnych decyzji. Po prostu kłopoty z szefem w tej chwili mnie wykańczają, ale moje plany się nie zmieniły. I nie zmienią...

- Skoro tak twierdzisz... - mruknął Pan Żabojad bez przekonania. - Wiesz, kłopoty między nami to jedno, ale bardzo trudno mi zaakceptować fakt, że jakiś obcy facet będzie na co dzień przebywać z moją córką i zajmie moje miejsce. Nie mogę sobie wyobrazić, że moja dziewczynka będzie setki kilometrów stąd.

Zauważyłam, że ciągle powtarza „moja córka”, „moja dziewczynka”. Oboje mieliśmy tendencję do używania słowa „moja” zamiast „nasza”, podświadomie podkreślając nasze osobne prawa do Kijanki. Rozumiałam jego punkt widzenia - oczywiście - ale cóż mogłam odpowiedzieć? Że nigdy nie wyjadę z Paryża, póki on tu mieszka? Że wyrzeknę się prawa do szczęścia, jeśli to będzie oznaczało przeprowadzkę do innego miasta? Pozostawała mi nadzieja, że z czasem Pan Żabojad przywyknie do tej myśli; oboje przywyknjemy. Ale na razie bezpieczniej było omijać ten temat i chować głowę w piasek, żeby utrzymać nasze kruche przymierze. Żadne moje słowa nie mogły osłodzić takiej gorzkiej pigułki.

* * *

W dniu, kiedy Pan Żabojad w końcu przeprowadzał się na drugą stronę ulicy, Kijanka i ja zrobiłyśmy sobie piknik w Buttes Chaumont, żeby dla jego wygody usunąć mu się z drogi na kilka godzin.

Rozłożyłyśmy koce i talerze z jedzeniem na wyblakłej trawie w cieniu wysokich jaworów. W odpowiedzi na moje zaproszenie na *petite anglaise* przyszło kilkanaście osób. Po moim pierwszym *soirée* z Coquette nabrałam pewności siebie, postanowiłam zatem pójść krok dalej i zorganizować spotkanie dla blogerów, którzy - podobnie jak ja - mieszkają w Paryżu i chcą uchylić trochę ze swojej anonimowości i pokazać się w realu. A uczciwie mówiąc, to wybieranie listy zaproszonych osób i omawianie planów pozwalało mi oderwać się myślą od kłopotów w życiu osobistym, więc moje motywy nie były takie znowu altruistyczne. Zgłosili się głównie emigranci, z czego w dużej mierze kobiety, bo miały po raz pierwszy okazję poznać mnie i osławioną Kijankę, która pławiła się w blasku popularności, raczyła co lepszymi kąskami z pikniku i była zachwycona, że jest w centrum uwagi.

Mimo idealnej pogody - ciepłej, choć niezbyt upalnej - i wysiłku, jaki niektórzy piknikowicze włożyli w przygotowanie przekąsek, byłam rozdrażniona i rozkojarzona; moje myśli nieustannie wracały do tego, co dzieje się w domu. Nie tylko Pan Żabojad z kilkoma przyjaciółmi prznosił meble i pudła na drugą stronę ulicy, ale czekałam również na telefon od dostawcy nowego materaca. Pan Żabojad zabrał swój i zaprosił Kijankę na pierwszą noc w nowym mieszkaniu, a James miał spędzić tę noc ze mną. Musiał właśnie teraz wybierać się na pociąg i wkrótce będzie pędzić do Paryża. W głowie mi szumiało i niewiele słyszałam z rozmów toczących się obok; nie byłam zdolna grać roli doskonałej gospodyni ani martwić się, czy dorastam do oczekiwań *petite anglaise*.

Tak czy owak, czułam się na straconej pozycji. Większość obecnych czytało regularnie mój blog. Wiedzieli o zerwaniu z Panem Żabojadem, o jego reakcji, o napięciu z ostatnich miesięcy, kiedy czekałam, aż się wyprowadzi, o moich wizytach w Bretanii, z Kijanką i bez niej. Nie miałam ochoty odpowiadać na intymne pytania obcych ludzi, którzy czuli się upoważnieni, żeby wyciskać ze mnie informacje, których szczeniłam na blogu, ale nie umiałam się przeciwstawić ani przyznać, że sama niewiele wiem o ich życiu. Powinnam była odrobić pracę domową i przeczytać wcześniej wszystkie blogi, ale

po prostu doba miała za mało godzin. I tak *quiche* na piknik piekłam do północy.

Kiedy wstałam i zebrałam swoje rzeczy - cała w nerwach, co z materacem - podeszły do mnie dwie kobiety z dziećmi w wieku Kijanki. Siedziały przedtem gdzieś na obrzeżu i nie miałam głowy, żeby zastanawiać się, kim są.

- Cześć, *petite*, jestem Caroline, a to Louise. - W głosie Caroline pobrzmiwały resztki manchesterskiego akcentu; miała przyjemną, szczerą twarz i parę piegów na zadartym nosie.

- Ach tak, przypominam sobie twój e-mail. Obie raczej czytacie blogi, ale nie prowadzicie własnych, prawda?

- Tak. Zostawiałam u ciebie komentarze pod różnymi nickami. Najczęściej jako Mancunian Lass.

Zaskoczona wydałam radosny okrzyk.

- Mancunian Lass? Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Och, jaka szkoda, że wcześniej nie wiedziałam, że tu jesteś!

Była jedną z moich regularnych czytelniczek, a w ostatnich miesiącach zostawiła co najmniej tyle komentarzy, ile kiedyś James. Parę dni temu zamieściła niemal esej, w którym zebrała wszystkie dostępne informacje i doszła do wniosku, że Kochanek - jak nadal nazywałam go na blogu - to nikt inny jak Jim w Rennes, skutecznie go demaskując, i chociaż ani ja, ani James niczego nie potwierdziliśmy ani nie zaprzeczyliśmy, jego anonimowość została naruszona.

- Przy okazji, twoje podejrzenia były słuszne, Sherlocku - dodałam z porozumiewawczym mrugnięciem.

Louise i Caroline, jak się okazało, były przyjaciółkami, które mieszkały w Paryżu jeszcze dłużej ode mnie. Obie miały dzieci z francuskimi partnerami. Caroline zaczęła śledzić „przygody” *petite anglaise* za radą przyjaciółki, chociaż nie czytały przedtem żadnego bloga. Teraz wyznały, że są uzależnione i plotkują na temat moich anegdotek, ilekroć się spotkają.

- Kiedy napisałaś, że rozstajesz się z Panem Żabojadem, Caro natychmiast do mnie zadzwoniła - uśmiechnęła się Louise. - Wiedziała, że mój Internet się zepsuł. I dyskutowaliśmy bez końca przez telefon o twoim życiu osobistym. To trochę pokręcone, jak o tym pomyśleć. Uszy musiały ci płonąć.

Rzeczywiście nieco mnie zbiło z tropu, kiedy wyobraziłam sobie, że ludzie rozmawiają o moich przejściach tak samo jak znajome z biura rozwodzą się nad zawłościami losu bohaterek oper mydlanych. Przez chwilę zabrakło mi słów. Otrzymywałam czasem takie e-maile, ale nikt jeszcze nie powiedział mi tego wprost.

- Może spotkamy się któregoś dnia razem z dziećmi? - zasugerowałam, odzyskawszy rezon i specjalnie zmieniając temat. - Teraz naprawdę muszę już iść, ale z przyjemnością pogadam z wami przy innej okazji...

Zgodziłyśmy się wstępnie na następne spotkanie, z dziećmi lub bez, i opuściłam piknik w szampańskim humorze.

- Rozmawiały o *petite anglaise* przez telefon - szepnęłam do siebie, idąc przez park z Kijanką za rękę. - Czy to nie jest niesamowite?

* * *

- *Bonjour, madame!* - powiedziała nowa konsjerżka Pana Żabojada, kiedy weszłam do jego budynku parę godzin później.

W jej pozdrowieniu kryło się ledwo zawołowane pytanie. Byłam kimś nowym na tym terytorium i oczekiwała, że podam, jeśli nie cel przybycia, to przynajmniej tożsamość.

Drobna kobietka z pomarszczoną twarzą i zaniedbanymi, ciemnymi włosami ściągniętymi ciasno do tyłu szylkretową klamrą, miała zarzuconą na plecy dresową bluzę w kwiatki. Wysłała nas ruchem ręki na górę, jak tylko zobaczyła wystającą z torby piżamę Kijanki i jej ubrania na następny dzień, po czym podsadziła ją, żeby nacisnęła guzik domofonu do mieszkania Pana Żabojada. Byłam pewna, że pojemnik ze śmieciami, który trzymała w prawej ręce, to tylko pretekst, aby opuścić swój kantorek i lepiej nam się przyjrzeć.

- *Bonjour, madame* - powiedziałam uprzejmie - *J'emmène ma fille chez son papa.* - Urwałam; nie bardzo wiedziałam, co dodać, i chciałam tylko, żeby Pan Żabojad jak najszybciej nas wpuścił. Jak mam się przedstawić? Ile informacji będzie w sam raz? - Mieszkam tu obok - dodałam, pozwalając jej wyciągnąć własne wnioski i czując pełen dezaprobaty wzrok na plecach, kiedy wchodziłyśmy do windy.

Pan Żabojad powitał nas u drzwi i porwał Kijankę w ramiona, obsypując ją pocałunkami, ale nie zaprosił mnie do środka. Jego przedpokój był zawałony pustymi kartonami i instrukcjami, jak zmontować meble; najwyraźniej był tym zaabsorbowany.

Posadził sobie Kijankę na prawym biodrze, sięgnął do kieszeni džinsów i podał mi lewą ręką zestaw kluczy do naszego dawnego wspólnego mieszkania.

- Nie, nie, zatrzymaj je - powiedziałam szybko, nie wykonując żadnego ruchu, żeby je odebrać. - Wolę, żebyś miał zapasowe klucze na wszelki wypadek.

Kiwnął głową i zdjął mi torbę z rzeczami Kijanki z ramienia.

- No dobrze, to na razie.

Ucałowałam Kijankę w policzek i spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, czy James jest już blisko.

- Spodziewasz się kogoś dziś wieczór? - spytał Pan Żabojad ze złośliwym uśmiechem.

- Mam się spotkać z przyjaciółmi - odpowiedziałam z całym spokojem, zdecydowana nie dać się podpuścić pod czujnym okiem Kijanki.

Odwróciłam się do wyjścia i podniosłam rękę, machając im na pożegnanie. Choć ucałowałam córkę, Pana Żabojada nie ośmieliłam się dotknąć. A więc stało się. Naprawdę się rozstaliśmy.

W domu zdążyłam wziąć szybki prysznic i przebrać się, kiedy nadeszła wiadomość od Jamesa: „Czy pole jest wolne? Mogę się pokazać?”.

Przywarłam okiem do judasza i otworzyłam drzwi, jak tylko usłyszałam, że winda zatrzymuje się na piątym piętrze. James był zaczerwieniony i zmęczony po podróży metrem, którego nie cierpiał, jego krótkie włosy były mokre i krople potu ściekały mu po czole. Z ramienia zwisał mu wysłużony plecak z paskiem nadgryzionym przez psa Eve. Rzuciłam mu się w ramiona, nie dbając o to, że jego uścisk jest nieco lepki.

- A więc? - spytał James, kiedy wreszcie go puściłam i powiodłam za rękę korytarzem do salonu. - Jak udał się piknik? I czy dostarczono ci nowy materac?

- Było fajnie, chociaż sama błędziłam myślami gdzie indziej - wyznałam. - Co do materaca... Niestety, z tym gorzej. Facet z firmy dostawczej zadzwonił, że ma zły rozmiar. Więc dzisiejszą noc będziemy musieli spędzić na kanapie.

- To nie koniec świata - powiedział, gładząc palcami moje nastroszone brwi tym samym gestem, co niegdyś Pan Żabojad, kiedy chciał odgonić grymas z mojej twarzy. - Nie ma powodu do takiej marsowej miny.

- Och wiem, to głupie - przyznałam zachmurzona. - Ale tak bardzo chciałam, żeby

nasza pierwsza noc tutaj była idealna.

- Będzie. Zobaczysz. Jednak teraz przede wszystkim muszę wziąć prysznic.

Zrzucił plecak na podłogę i zdjął T-shirt, wycierając nim czoło.

- Wszystko w swoim czasie - zgodziłam się, skupiając wzrok na kropelkach potu w zagłębieniu nad jego górną wargą. - Ale chcę ci pokazać zobaczyć mój widok. Niebo jest trochę zamglone przez całe to zanieczyszczenie powietrza, ale chyba i tak ci się spodoba.

- Obrazek z twojego bloga! - wykrzyknął i uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Kiedy sobie pomyślę, że patrzyłem na ten widok przez całe miesiące, jeszcze na długo zanim się poznaliśmy... A teraz tu jestem, z tobą, i widzę te dachy własnymi oczami! To jak *déjà vu*...

- Nie ma już powrotu - ostrzegłam. - Nie teraz, kiedy tu wszedłeś. - Rozpięłam mu dzinsy i wsunęłam ręce do środka, zaciskając dłonie na jego pośladkach. - A jeśli chodzi o ten prysznic - szepnęłam - to obawiam się, że będzie musiał poczekać...

Kiedy w końcu się obudziliśmy, późnym rankiem, umieraliśmy z głodu. Lodówka była pusta, więc pomknęliśmy do Franprix po zaopatrzenie. Pomimo łuszczących się ścian i ogólnego wrażenia zaniedbania, byłam przywiązana do mojego lokalnego supermarketu. Należało zachować czujność, bo żywność bywała bliska przeterminowania, a kupowanie szampana i w ogóle alkoholu wymagało znalezienia osoby posiadającej klucz do zamkniętej szafki przy drzwiach, ale za to Kijanka była ulubienicą wszystkich kasjerek, które obdarowywały ją darmowymi lizakami, jak tylko kierownik nie patrzył. Dzisiaj jednak Kijanka była po drugiej stronie ulicy, niby blisko, a jednak poza zasięgiem.

Kiedy chodziliśmy między półkami, wkładając do koszyka jajka, pieczywo i świeże mleko, wciąż niespokojnie zerkałam przez ramię. Bałam się, żeby James i Pan Żabojad nie natknęli się na siebie, i żałowałam, że nie poszliśmy po zakupy gdzieś indziej. W końcu ten ostatni przeniósł się tylko o kilkaset metrów dalej i to nadal był jego najbliższy sklep.

Odetchnęłam, kiedy bez problemów dotarliśmy do kasy. Kasjerka w czerwonym mundurku obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem, że jestem bez córki z jakimś obcym mężczyzną u boku, ale nic nie powiedziała. Szukałam portfela, a James pakował zakupy, gdy nagle, zaniepokojony, klepnął mnie w ramię.

- Czy to nie oni? - spytał cicho, wskazując na wejście, gdzie w świetle dnia rysowała się sylwetka Kijanki.

- O Boże! Tak! Masz rację!

Zanurkowałam szybko za jego szerokie plecy, kryjąc się przed wzrokiem córki. Pan Żabojad nie miał pojęcia, jak James wygląda, ale ona tak. Ścisnęło mnie w dołku z przerażenia, że zaraz wykrzyknie jego imię i podbiegnie go uściskać.

Minęło parę pełnych grozy sekund, zanim pole zostało oczyszczone. Pan Żabojad i Kijanka przeszli przez metalowy kołowrotek parę metrów od nas i weszli w głąb sklepu, gdzie zniknęli za półkami. Odetchnęłam z ulgą. Byłam o włos od zdemaskowania. Kasjerka, która obserwowała tę scenę z nieukrywającym zainteresowaniem, zignorowała moją wyciągniętą rękę i wysypała mi resztę na metalowy kontuar, bez zwyczajowego uśmiechu. Jakby w mgnieniu oka wszystko zrozumiała i chciała dać wyraz swojej dezaprobacie.

- Widziałeś, jak ta kobieta na mnie patrzyła? - jęknęłam, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

James potrząsnął głową.

- Pakowałem zakupy - wyjaśnił. - Ale jestem pewien, że coś ci się przywidziało.

- Nie sędzę - odparłam i skuliłam się, kiedy skręcaliśmy za róg i mijaliśmy warzywniak.

Wyglądało na to, że zarówno w świecie wirtualnym, jak i realnym muszę przywyknąć do surowego osądu obcych ludzi.

Miesiąc miodowy

Utrzymujące się napięcie w pracy, przez które siedziałam na samym brzeżku mojego ergonomicznego krzesła, zniechęcało mnie do blogowania przy biurku. Ale to nie był jedyny powód, dla którego tego lata rzadziej zamieszczałam posty na *petite anglaise*. Teraz, kiedy Pan Żabojad się wyprowadził i nasze rozstanie nie było już żadną nowiną, całą sprawę zaczynał przysypywać kurz i nikt się tym już nie ekscytował.

A tymczasem moi wierni czytelnicy mieli nienasycony apetyt na wiadomości, które szokują lub budzą dreszczyk; odwiedzali *petite anglaise* dla jazdy na emocjonującym rollercoasterze. Moje życie stało się dla innych rozrywką, zaspokajało ich potrzebę przygody, bezpiecznie ukrytej za monitorem. Kiedy nie dostarczałam tej przygody, komentarze zaroily się od wyrazów niezadowolenia. Czym ci ludzie żyli?

„Narysowałam sobie wykres graficzny - napisała Germain. - Na jednej osi jest liczba postów *petite* na tydzień. Na drugiej daty. Odkąd pojawił się Kochanek, wyraźnie widać spadek postów. Wolałam, kiedy go nie było”.

Takie komentarze zmuszały mnie do przyznania się przed sobą, że dla niektórych jestem tylko dostawcą codziennej porcji plotek, nie zaś żywą osobą z krwi i kości, która zasługuje na odrobinę szczęścia i spokoju. Ale w międzyczasie moje życie się zmieniło i czerpałam głęboką ulgę z faktu, że mogę oddychać pełną piersią i znajdować przyjemność poza siecią. Zamieszczałam posty jakieś piętnaście razy w miesiącu - połowę tego co zwykle - ale słupki oglądalności nie spadały, więc dlaczego nie dać sobie trochę luzu?

Miałam jednak kilka tekstów, które trzymałam w zapasie z szacunku dla uczuć Pana Żabojada. Teraz, kiedy minęło kilka miesięcy i wydarzenia nie były tak świeże, pozwoliłam sobie opisać moje spotkanie z Jamesem w hotelu Saint Louis. Nie pisałam o seksie - *petite anglaise* była na to o wiele zbyt wstydliwa - ale przyznałam, że spotkaliśmy się w hotelu, podczas gdy powinnam być w pracy i podczas gdy nadal byłam w związku z ojcem Kijanki. Napisałam ten post jako dar dla Jamesa - podobnie jak ten o zerwaniu adresowałam do Pana Żabojada - przelewając na papier swoje głębokie emocje, żeby utrwalić je w pamięci i nie dać im ulec zapomnieniu. W głębi ducha, kiedy naciskałam

„publikuj”, wiedziałam, że spowoduję burzę i wysypie się lawina komentarzy.

„Czy naprawdę musimy to wiedzieć? - Teresa jako pierwsza wyraziła potępienie. - Nie sądzisz, że niektórych rzeczy nie wywleka się na światło dzienne? To są bardzo osobiste sprawy, które roztrząsas, i sama skręcałabym się z zażenowania, gdyby to mnie dotyczyło... Kiedy raz wyślesz coś do cyberprzestrzeni, nie ma już odwrotu”.

Nie czekając, aż inni komentatorzy pośpieszą w mojej obronie, jak mieli to w zwyczaju, uznałam, że powinnam sama odpowiedzieć na tę krytykę. To prawda, że ciągle przekraczałam wyznaczone granice, zapewne zapominając, że tekst napisany dla mnie albo dla Jamesa może być przez trzecią stronę uznany za zbyt intymną informację.

„Czemu piszę takie posty? - zamyśliła się *petite anglaise* w odpowiedzi. - Chyba nawet sama tego nie wiem. Żeby utrwalić pewne rzeczy w pamięci. Żeby ćwiczyć się w pisaniu. Żeby ubarwić sobie życie. Jako listy adresowane do kogoś. Jako terapię. Jako sposób na pozbycie się winy. Co za różnica dlaczego, skoro nikomu nie przynosi to szkody?”. Przypomniałam sobie nagle o koncercie, na którym James i ja po raz pierwszy się spotkaliśmy, i moim poczuciu, że wtykam nos w prywatne życie Eve, kiedy John śpiewał o ich związku. Teraz James był dla mnie źródłem inspiracji i tysiące ludzi słuchało, co mam o nim do powiedzenia.

„Ostatecznie to, czy *petite* chce dyskutować o swoim życiu miłosnym, czy o cenie gruszek w Prowansji, jest wyłącznie jej sprawą - wzięła mnie w obronę Fifi. - Nie zapominajmy, że jesteśmy tu tylko gośćmi. Zdejmijcie buty na progu i bądźcie uprzejmi, kiedy się żegnacie!”.

- Czasami zastanawiam się, czy dalej kontynuować blog - powiedziałam do Jamesa przez telefon tego wieczoru. - Nie umiem nikogo zadowolić. Albo nie piszę dość często, albo piszę zbyt osobiście. Wiem, że nie powinnam tym się przejmować, ale nie potrafię.

- Pamiętam te dni, zanim cię poznałem, kiedy otwierałem twoją stronę za każdym razem, gdy robiłem sobie przerwę na herbatę. - James wrócił do czasów, kiedy był tylko jednym z anonimowych czytelników, nie zaś postacią z własną osobowością. - Ale nie martw się takimi bzdurami. Pisz, co tylko chcesz. W końcu to twój blog.

- Widziałeś komentarz Caroline?

- Caroline?

- Mancunian Lass, przepraszam. Dziewczyny, którą spotkałam na pikniku.

Domyśliła się, że ten post o hotelu był zaadresowany do ciebie, i zażartowała, że kręci nas ekshibicjonizm. Niemal jakbyśmy uprawiali seks w miejscu publicznym. Może ma trochę racji...

- Bardzo lubię twój blog - zapewnił mnie James - i czuję się mile połączony, kiedy piszesz o mnie, ale przecież nie wchodzisz w intymne szczegóły... Jeśli ktoś nie chce tego czytać, bo uważa, że wkracza w nasze życie osobiste, to nikt go do tego nie zmusza. I pamiętaj, nie jesteś tym ludziom nic winna. Byłoby szkoda, gdybyś przestała pisać - w każdym razie ja bym żałował - ale gdybyś zdecydowała się to kontynuować, to zrób to tylko dla własnej satysfakcji. Nie dlatego, że czujesz się zobowiązana albo pod presją, albo nie możesz wyzwolić się z niewygodnego przyzwyczajenia...

Miał rację, oczywiście, jednak nie byłam pewna, czy jestem w stanie się wyzwolić, nawet jeśli czułam, że może powinnam.

- Nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz. - Zmieniłam temat na bardziej nas dotyczący. - W gruncie rzeczy znam cię dopiero dwa miesiące, ale jeśli policzyć godziny, które spędziliśmy razem, to wyjdzie tego tak niewiele...

Zbliżały się wakacje letnie i na czas urlopu *taty* Kijanka miała zostać u rodziców Pana Żabojada. Oznaczało to, że James mógł zamieszkać u mnie w Paryżu na całe dwa tygodnie. Za nic nie chciałam, żeby spał ze mną w jej obecności. Potrzebowała czasu, żeby przyzwycząić się do nowej sytuacji: dla niej dodatkowa poduszka na łóżku wciąż była „poduszką tatusia”. Nie należało przyspieszać pewnych spraw.

- Trzymaj się tej myśli - powiedział James, a tęsknota w jego głosie przeszła mi ciarkami po plecach. - Ja tymczasem sporządzę listę nieprzyzwoitych rzeczy, które ci zrobię, jak już dojadę...

* * *

James miał na sobie najmniej przeze mnie lubianą parę džinsów: była źle skrojona i miała centkowany wzorek podobny do tego, jaki sama nosiłam na spodniach w latach osiemdziesiątych. Zrobiło mi się głupio, że jestem nielojalna i próżna, dopuszczając do siebie takie krytyczne myśli, kiedy metro zatrzymało się na stacji Bonne Nouvelle. Przecież nie w jego ubraniach się zakochałam i zawsze pierwsza głosiłam, że nie szata zdoła człowieka. Ale tak bardzo chciałam, aby zrobił dobre wrażenie. Mieliśmy spotkać się w barze z Caroline i Louise, a potem przenieść do pobliskiej hinduskiej knajpki na

kolację. Widziałam się już z nimi obiema po pamiętnym pikniku, ale po raz pierwszy miałam przedstawić Jamesa komuś z przyjaciół. Tego dnia w pracy dostałam pełen ekscytacji e-mail od Louise: „Nie mogę się doczekać, żeby poznać Jimma z Rennes!”.

Caroline siedziała już przy małym okrągłym stoliku w pierwszej salce De La Ville café, nad świeczką migoczącą w czerwonym pojemniczku. Do baru po jednej stronie wiodły dwa rzędy stopni, a po drugiej była restauracja. Nad barem wisiały ogromne lustra, które odbijały złotą mozaikę na suficie. Wieść głosiła, że w budynku mieścił się niegdyś wysokiej klasy burdel, co tylko wzmagало popularność lokalu.

Klientela była podobna do tej z Chabron: *branché*, *bobo*, przedstawiciele paryskiej bohemy. Po drugiej stronie ulicy, obok kina Rex, kusilo kilka nocnych klubów, w których regularnie bywałam w czasach sprzed Kijanki. Cudownie było odwiedzić ulubione stare miejsca; teraz, bez dziecka, mamusia wreszcie mogła się zabawić!

- Caroline-Mancunian Lass poznaj Jamesa-Jima z Rennes - powiedziałam, po czym usiadłam przy stoliku i skinęłam na przechodzącego kelnera. - Caroline zajmuje się tłumaczeniami, podobnie jak ty - dodałam, żeby podrzucić im jakiś wspólny temat, który nie będzie polegać wyłącznie na *petite anglaise*, nawet jeśli to dzięki niej siedzieliśmy tu teraz razem.

Kiedy James i Caroline gaworzyli o swojej pracy, popijałam piwo i starałam się uspokoić motylki w brzuchu. Byłam zdenerwowana i wykraczało to poza zwykły niepokój, czy sprostam oczekiwaniom innych lub czy mój chłopak spodoba się koleżankom. *Petite anglaise* postawiła Jamesa na piedestale. Był jej komentatorem w lśniącej zbroi, mężczyzną, którym od samego początku była zauroczona i w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Ustawiłam poprzeczkę tak wysoko, że łatwo było rozczarować kibiców.

- Przepraszam, że się spóźniłam... - Louise wpadła jak burza; wyglądała cudownie w wysokich do kolan botkach i minispódnicy. Wprawiała mnie w podziw tym, że potrafi pogodzić macierzyństwo z prowadzeniem znanej szkoły językowej. - James, jak sądzę - powiedziała i ucałowała go w oba policzki. - Kurczę, to jest takie ekscytujące! Jakbym poznawała kogoś sławnego!

Kiedy James poszedł do toalety, przygotowałam się na werdykt, który musiał niewątpliwie nastąpić.

- Jest uroczy, Catherine - zapewniła mi nie Caroline, jak tylko zniknął nam z oczu. - I wygląda o wiele młodziej, niż się spodziewałam.

- Mam teorię, że rozwiedzeni mężczyźni przechodzą przez drugą fazę wczesnej młodości - powiedziałam z uśmiechem ulgi. - Widziałam zdjęcia Jamesa sprzed kilku lat i teraz zdecydowanie wygląda młodziej. - Spojrzałam pytająco na Louise. Chyba ma coś do powiedzenia?

- Mmm... Muszę przyznać, że trochę inaczej go sobie wyobrażałam - wycedziła. - Choć z drugiej strony nie bardzo wiem, co sobie wyobrażałam... Czy James bardzo się różni od Pana Żabojada? To znaczy, fizycznie?

- Są do siebie zupełnie niepodobni. Jak dzień i noc - odparłam. - Jeden ciemny, wysoki i barczysty, drugi drobny, bladawy i jasnowłosy. Powinnam wam wreszcie powiedzieć jego prawdziwe imię, to naprawdę głupio, że ciągle nazywamy go Panem Żabojadem...

Podniosłam oczy i zobaczyłam Jamesa, jak idzie do nas przez salę. Przez ułamek sekundy spojrzałam na niego chłodnym wzrokiem kogoś obcego. Czy gdybym minęła go na ulicy, bez lawiny e-maili i elektronicznych flirtów, to w ogóle przyszłoby mi do głowy za nim się obejrzeć? Do jakiego stopnia pozwoliłam się uwieść nieodparcie romantycznej otoczce i zakochać w czytelniku, który wielbił *petite anglaise*, zanim jeszcze zobaczył jej twarz?

- Może wypijemy jeszcze jednego drinka, zanim przeniesiemy się do restauracji? - zaproponowałam radośnie, odganiając niewygodne myśli i gładząc ramię Jamesa, kiedy przy mnie usiadł.

Nie można oddzielić człowieka od okoliczności, w jakich się go poznało, powiedziałam sobie stanowczo. To by było bez sensu i niezdrowo, żebym miała roztrząsać moje własne motywy i analizować każdy impuls.

Skierowałam rozmowę na inny temat.

- Może opowiedzcie nam, jak to się stało, że zamieszkałyście w Paryżu - zwróciłam się do Caroline i Louise. - Obie wiecie o wiele więcej o mnie niż ja o was, i trzeba to wreszcie nadrobić.

* * *

W tym tygodniu, z Jamesem u boku, unosiłam się nad ziemią. Wszystkie fochy

mojego szefa spływały po mnie jak po kacze. Myślałam tylko o Jamesie, siedzącym przy moim stole z głową nad laptopem i kubkiem kawy pod ręką, i żadna kostyczna uwaga nie była w stanie mnie dotknąć. Jego bliskość łagodziła także głuchy ból powodowany nieobecnością Kijanki. Jeszcze nigdy nie byliśmy rozdzielone na całe dwa tygodnie i z każdym dniem coraz bardziej trawiła mnie tęsknota.

Brakowało mi jej marudzenia przy porannym wstawaniu. Brakowało mi rozczesywania palcami jej złotych loczków i patrzenia, jak zwijają się z powrotem, gdy tylko podniosę rękę. Jej napady złości zbladły w mojej pamięci, dobre chwile wyparły te gorsze. Kiedy była ze mną, często nie mogłam się doczekać, żeby poszła spać. Ale kiedy zostałam sama, widok każdej jasnowłosej główki dziecka na ulicy odbierał mi dech w piersiach. Nie dało się ukryć, że miałam w sercu dziurę.

- *Allô?* - powiedziałam niepewnie.

Chcąc usłyszeć jej głos, w końcu zdobyłam się na odwagę, żeby zadzwonić do moich „teściów” czy „niedoszłych teściów”, czy jakkolwiek miałam nazywać po francusku dziadków mojej córki.

To miał być mój pierwszy kontakt z *beaux-parents*, odkąd Pan Żabojad się wyprowadził, więc byłam napięta jak struna. Może mnie nienawidzili za rozbicie domu ich syna? Ile wiedzieli lub podejrzewali z tego, co naprawdę zaszło? Ta nowina musiała być dla nich strasznym szokiem. W przeszłości, kiedy ich odwiedzaliśmy, zawsze zawieszaliśmy nasze kłótnie na kołku i klajstrowaliśmy pęknięcia, prezentując zjednoczony front.

Telefon odebrała Kijanka. Przynajmniej założyłam, że to moja córka. Jej głos - zniekształcony przez zakłócenia na linii - brzmiał jak małej obcej Francuzeczki.

- *Allô? Maman? Regarde! Un bobo!*

Pokazywała mi siniaka czy jakąś ranę do telefonu, przekonana, że mogę równie dobrze widzieć jak słyszeć. Nastąpiła jakaś przepychanka, po czym matka Pana Żabojada przejęła słuchawkę.

- To tylko małe zadrapanie na kolanie - wyjaśniła pośpiesznie. - Biegła tak szybko, że się potknęła na *terrasse*. Wiesz, jak to jest...

- *Oui, oui, bien sûr...* - odparłam. - Nigdy się o nią nie martwię, kiedy zostaje z wami. Wiem, że jest w dobrych rękach.

Teraz, kiedy wyjęła telefon z rąk Kijanki, trzeba było przeprowadzić towarzyską rozmowę. Od dawna bałam się tej chwili. Tak dobrze się rozumiałyśmy na początku, moja *belle-mère* i ja. Była wulkanem energii, nieustannie w ruchu, niezdolna usiedzieć w miejscu. Jej królestwem była kuchnia i choć sama jadła jak ptaszek, czerpała wielką przyjemność z tuczenia mnie. Na spotkaniach rodzinnych wskazywała mnie jako rzadki i cudowny przykład młodej kobiety, która lubi zjeść i nigdy nie odmawia dokładki. Ale kiedy nasze stosunki z Panem Żabojadem ostygły, mój entuzjazm do odwiedzania jego rodziców również wygasł. Na ostatniej wizycie poskarżyłam się na ból głowy i schroniłam z książką w dzieciennym pokoju Pana Żabojada.

- *Vous allez bien?* - spytałam ostrożnie. Nie zawsze byłam konsekwentna w zwracaniu się do jego rodziców uprzejmym *vous*, czasem po paru kieliszkach wina wymykało mi się *tu*, ale tym razem przysięgłam sobie traktować ją w białych rękawiczkach. Nasze relacje uległy subtelnej zmianie i nie było sensu dokładać do tego gramatycznych nieporozumień.

- *Ravie de voir notre petite-fille* - odpowiedziała dyplomatycznie. - *Et vous?*

Wyćwiczona odpowiedź, której się nauczyłam w szkole, brzmiała: *très bien merci*, i te słowa wypłynęły mi wesolutko z ust, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Palnęłam się w czoło. Nie miałam pojęcia, czy moja *belle-mère* wie o istnieniu Jamesa, a już z pewnością nie wiedziała, że teraz jest ze mną, kiedy jej syn liże rany naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Ale choćby dla przyzwoitości powinnam przytłumić radość w głosie.

- *Bon, je vais vous repasser votre fille* - odpowiedziała sztywno.

Poczuła się obrażona, czy podobnie jak ja chciała ograniczyć rozmowę do minimum?

- *Maman?*

- Tak, to ja. Co porabiasz, kochanie? Dobrze się bawisz?

Odpowiedziała po francusku i chociaż zdołałam wyłowić słowa: „basen” i „dzwony”, reszta zginęła w szumie. Postanowiłam zmienić taktykę.

- Może zaśpiewasz mi piosenkę? - zaproponowałam. - Po angielsku?

Moja córka uwielbiała każdą okazję, żeby się popisać. Zostałam uraczona dość wierną interpretacją francuskiej kołyskanki *Une Souris Verte*, w której zielona myszka, chwycona za ogon i zanurzona najpierw w oleju, a potem w wodzie, jakimś cudem

zamienia się w ślimaka. Łzy zebrały mi się w oczach na dźwięk jej dziecięcego głosu.

Kiedy Kijanka odśpiewała piosenkę, straciła zainteresowanie dalszą rozmową i zostawiła mnie *belle-mère* do wymamrotania letnich pożegnań. Z westchnieniem odłożyłam słuchawkę i poszłam poszukać Jamesa. Jego laptop leżał otwarty na moim stole jadalnym, ubrania kłębiły się w nieładzie w walizce na podłodze sypialni, a książka, którą czytał - jedna z moich - leżała rozłożona na kanapie, grzbietem do góry.

Znalazłam Jamesa nad kuchenką, szykującego spaghetti bolognese. Objęłam go w pasie i przytuliłam się do jego pleców, czubek mojej głowy ledwo sięgał mu ramion.

- Wszystko dobrze? Jak ci poszło?

Widział, jak chodzę wcześniej po mieszkaniu od ściany do ściany, i to on mnie namówił, żebym ukoїła nerwy i zadzwoniła do Kijanki.

- Nie wiem w końcu, czy dobrze zrobiłam, że z nią porozmawiałam - powiedziałam smętnie. - Może lepiej było dać sobie spokój. Mówiła jak mała Francuzeczka. Jakby w jakimś sensie była mniej moja.

James odłożył drewnianą łyżkę, odwrócił się do mnie i ujął moją twarz w dłonie.

- Wiem, że taka długa rozłaka jest dla ciebie niełatwa, ale to ci dobrze robi. Ostatnio wiele się w twoim życiu zdarzyło.

- Masz rację - uśmiechnęłam się ze smutkiem.

Gdyby Kijanka nie wyjechała, James nie mógłby tu ze mną być. Te dwa tygodnie to najdłuższy okres, jaki spędziliśmy razem. Zaczynaliśmy wdrażać się w rutynę przyjemnego zacisza domowego: gotowaliśmy, oglądaliśmy filmy, czytaliśmy sobie, siedząc razem. Kiedy wylegiwałam się w wannie, on gasił światło i zapalał świece, a potem bez słowa wiódł mnie do łóżka.

Było cudownie, ale dręczyło mnie poczucie, że to wszystko jest tymczasowe, sztuczne. Żyliśmy w próżni, a za chwilę trzeba będzie wrócić do rzeczywistości z jej codziennymi obowiązkami. Pojedziemy na weekend do Bretanii, żeby odwiedzić Eve i Johna, potem James spędzi dwa tygodnie w Rennes ze swoimi córkami, ja zaś wrócę do Paryża po Kijankę i polecę z nią do Anglii.

Choćbym sama przed sobą próbowała udawać, że to przedsmak mojego wspólnego życia z Jamesem, ten nasz miodowy miesiąc był tylko kolejnym *parenthèse enchantée*.

Eve miała *gîte* w pobliżu Saint-Malo, wiejski dom rozbudowany na szereg umeblowanych mieszkań, które w miesiącach letnich wynajmowała turystom. Kiedy James zatrzymał auto na żwirowym podjeździe, zacisnęłam mu rękę na ramieniu. To było pierwsze konkretne wejrzenie w jego codzienne życie z przyjaciółmi, zapragnęłam zatem chwilę posiedzieć w milczeniu i pomarzyć, jakby to było, gdybyśmy tu mieszkali.

- Cudownie was widzieć! - wykrzyknęła Eve, pojawiając się zza rogu domu z dwoma ziewającymi psami. - Wiedziałam, że się znów spotkamy! To takie ekscytujące!

Poszliśmy za nią na tyły, gdzie John przygotowywał grilla. Patrząc na Maisy - córkę Eve i Johna - biegającą na niepewnych nóżkach w ogrodzie, umorusaną od stóp do głów, ale opaloną i szczęśliwą, pomyślałam o wolności, jaką pewnego dnia będę mogła dać Kijance. Zabawa w Buttes Chaumont to nie to samo. Tam nawet na chwilę nie mogłam spuścić jej z oczu; równie dobrze mogła być na smyczy.

Kiedy mężczyźni wysączyli po butelce piwa, czekając, aż węgiel się rozżarzy, zaofiarowałam się, że pomogę Eve przygotować sałatki. Od naszego pierwszego spotkania w Chabron chciałam z nią pogadać, teoretycznie. Ale dzisiaj nie mogłam oprzeć się porównaniom. Była wyższa, szczuplejsza i miała jaśniejsze włosy niż ja; jej pełne piersi wypychały ciasny T-shirt. Czułam się przy niej jak połowa kobiety. To porównanie nie wypadało na moją korzyść.

- Jaka szkoda, że nasze córeczki nie mogą się dzisiaj razem pobawić - powiedziała Eve, oglądając się przez ramię.

Stała przy szerokim ceramicznym zlewie obok wielkiego otwartego kominka, Opłukując liście sałaty pod zimnym strumieniem wody. Kiedy się pochyliła, dostrzegłam maleńkie G-stringi pod wytartymi džinsami i w myślach od razu ujrzałam Jamesa, jak stoi za nią i wsuwa ręce w jej opadające spodnie.

- Och, przyjedziemy tu znów niedługo - rzuciłam beztrósco, ponownie kierując uwagę na ogórka, którego miałam pokroić. - Lato jeszcze nie minęło.

James pojawił się w drzwiach z przysypiającą Maisy w ramionach. Z nieco przesadną troską wszedł po schodach do jej sypialni i wrócił z pustymi rękami; po czym objął mnie w pasie i musnął ustami w kark.

- Coś byśmy zjedli! - krzyknął John z ogrodu. - I przynieście piwo!

- Nie dałyście nam zapracować na naszą kolację - zauważył żartobliwie James, biorąc jedną ręką tacę z kielbaskami i stekami, a drugą dwie zielone butelki.

Łyknęłam piwo i zaatakowałam pomidory. Tym razem wlepiłam oczy w stół.

Później tej nocy James i ja siedzieliśmy w ogromnym jacuzzi; moje pośladki spoczywały pomiędzy jego udami, niczym w gniazdku, a jego łydki mnie obejmowały. Z braku innych gości spaliśmy w najbardziej reprezentacyjnym apartamencie, w ogromnej, otwartej przestrzeni. Z wanny w alkowie, która służyła jako przyległa do apartamentu łazienka, widziałam łóżko z bogato zdobionym baldachimem i wykrochmaloną białą pościelą - nasz następny cel. Ciepła woda rozleniwiała mnie, położyłam głowę na ramieniu Jamesa. Jego ręce, które obejmowały moje piersi, ześlizgnęły się niżej.

Nagle przypomniałam sobie Pana Żabojada, jak kładł mi chłodne, pieszczotliwe dłonie na brzuchu, żeby poczuć pierwsze maleńkie ruchy pod moją skórą. Nazywał mnie *mon écrin* - byłam jego „szkatułką na biżuterię”. A Kijanka, w środku, była jego perłą.

- Sądziłem, że już nigdy nie będę chciał mieć dzieci - szepnął James, jakby czytał w moich myślach. - Ale z tobą, któregoś dnia, chciałbym mieć takie śliczne maleństwo...

Przykryłam dłońmi jego ręce, usta same ułożyły mi się w uśmiech. Pamiętałam jak przez mgłę, że kiedyś, jeszcze zanim poznałam Jamesa, w jednym z postów na *petite anglaise* wspomniałam coś o moim pragnieniu Kijanki numer dwa. Wszystko, nad czym Pan Żabojad się zastanawiał, James zdawał się chcieć spełnić w mig.

Nasz weekend był cudowny, wręcz niebiański. Taki mały kolorowy obrazek z wyśnionej przyszłości, szansa na spełnienie marzeń. I jeszcze ten apartament z jacuzzi. Jak lukier na torcie. Odczuwałam pełnię szczęścia.

20.

Rozdzwięk

- Cześć - powiedziałam do Jamesa, odetchnawszy z ulgą. - Gdzie się podziewałeś? Próbuję skontaktować się z tobą, odkąd wróciłam z pracy...

W tle słyszałam głosy dzieci i poszczekiwanie psów. Znałam odpowiedź na moje pytanie, zanim zdążył się odezwać, i od razu ścisnął mi się żołądek.

- Jestem u Eve - odparł, potwierdzając moje podejrzenia. - Przywiozłem Amandę i Carrie do Maisy. Eve czuje się taka samotna, jak nie ma Johna. A telefon komórkowy to zawsze loteria, kiedy jestem poza zasięgiem... Bardzo mi przykro...

Jak tylko te słowa padły z jego ust, ogarnęła mnie fala duszącej zazdrości. Zagryzłam wargi aż do krwi. To uczucie było irracjonalne, destrukcyjne i szkodliwe. Ale nic nie mogłam na to poradzić. Wakacje się skończyły i znowu byłam uwięziona w Paryżu z Kijanką, rozczulając się nad sobą. Tymczasem James i jego córki spędzali przyjemnie czas z inną kobietą. I to nie jakąś tam kobietą, tylko, cokolwiek by mówić, była dziewczyną Jamesa. Chociaż wieczór przy grillu był jakby ukoronowaniem naszego związku, ciągle nie mogłam pozbyć się obrazu Eve pochylającej nad zlewem i myśli, czy oczy Jamesa wędrowały nad moim ramieniem na pasek gołej skóry między jej džinsami a T-shirtem. Nigdy nie spotkałam kobiety, która czuła się tak pewna siebie i tak beztrąsko emanowała seksualnością.

Popełniłam także błąd, przeglądając wczesne e-maile, które James wysłał do *petite anglaise*, i czytając zwierzenia, które tak mnie do niego zbliżyły, zanim jeszcze go poznałam. To w ramionach Eve wylądował, kiedy jego małżeństwo się rozpadło; to ona leczyła jego rany i przywróciła go do życia. Ich wspólny dramat, intensywność uczuć, które opisywał, zaczęły mnie teraz niepokoić. Czy nasze przeżycia mogły temu dorównać? Spędziła z Jamesem całe trzy lata. Kiedy to czytałam, z zawiścią życzyłam sobie, żeby cały bagaż jego doświadczeń mieścił się w moim blogu i eksplodował jednym kontrolowanym tekstem.

- No dobrze, jesteś teraz, jak sądzę, zajęty, zatem to pewno nie najlepsza pora na rozmowę - wycodziłam rozczarowana.

Miałam za sobą kolejny ciężki dzień w pracy i chciałam tylko usłyszeć jego kojący głos. Tymczasem radosne dźwięki w tle doprowadzały mnie do szału. Widziałam przed sobą idealny obraz rodziny, całą piątkę zebraną wokół dużego kuchennego stołu Eve przy smacznym posiłku, i to było nie do zniesienia. Krnąbrne dziecko we mnie buntowało się przeciwko takiej niesprawiedliwości: James jest z Eve, a nie ze mną, Maisy zaś zajmuje miejsce Kijanki.

- Masz rację, prawdę mówiąc, jakaś mała osóbką próbuje teraz wspiąć mi się na nogę - oświadczył James, nieświadomy, że przekręca nóż wbity mi w serce.

Z pewnością wyłapał irytację w moim głosie, ale nie chciał przyjąć tego do wiadomości i wdawać się w bezsensowną sprzeczkę.

- To może porozmawiamy, kiedy Wrócisz do siebie? - zaproponowałam. - Będę do późna siedzieć przy komputerze...

- Hm... no cóż, chodzi o to, że zostajemy tutaj - mruknął przepaszająco. - Jest mnóstwo wolnych pokoi, a dziewczynki mają rano lekcję jazdy konnej...

Wściekłam się. Nie mogłam na to nie zareagować. Jak mógł zostawać na noc u swojej byłej kochanki, podczas nieobecności jej narzeczonego? Miałam gdzieś, czy jest to akurat dla nich wygodne. Wprawdzie nie podejrzewałam, że coś między nimi zajdzie, ale to po prostu nie było w porządku.

- Wobec tego życzę ci miłego wieczoru z twoją eks... - powiedziałam jadownicie. - Mam nadzieję, że twój nocleg u niej będzie wart poświęcenia naszego związku.

Trzasnęłam słuchawką, żeby nie dać mu ostatniego słowa, i natychmiast wybuchnęłam płaczem. Co ja najlepszego zrobiłam? Jeśli istniało coś takiego jak guzik „samodestrukcyjna”, to z pewnością go nacisnęłam. Klótnie na odległość to piekło: nie mogliśmy się potem pocałować ani pogodzić; nie mogłam zrobić mu filiżanki herbaty ani położyć ręki na ramieniu przepaszającym gestem. Pozostawało mi tylko czekać, aż James oddzwoni; byłam zbyt uparta i dumna, żeby sama wziąć za słuchawkę.

Kilka godzin później, załamana, że telefon milczy, postarałam się zagłuszyć zazdrość w jedyny znany mi sposób: pisząc o tym na blogu. Chciałam, żeby *petite anglaise* usprawiedliwiła się za mnie: miała o wiele lepszy dar wyrażania złożonych uczuć. James mógłby mnie przekonywać do utraty tchu, lecz irracjonalna zazdrość nie poddaje się logice ani rozsądkowi. Chciałam, by wiedział, że jestem boleśnie świadoma

niebezpieczeństwa, jakie nad nami zawisło. Razem, *petite anglaise* i ja, mogliśmy stawić mu czoło. Jeśli James naprawdę coś cenił w moim *alter ego* i mnie samej, to była to rozbijająca uczciwość.

Obnażyłam duszę, ale nie do końca; te najczarniejsze, najbrzydsze myśli zostawiłam dla siebie. Pisanie jak zawsze pomogło mi zebrać myśli i uzmysłowiłam sobie, że nie tyle bolała mnie bliska przyjaźń Jamesa z Eve, ile uczucie, jakim darzył jej córkę, którą znał od urodzenia. Był miły i przyjacielski dla Kijanki, ale gołym okiem było widać, że głęboko kocha Maisy. Zdawałam sobie sprawę, że to dopiero początek naszej znajomości, że miłość do dziecka - nawet własnego - rozwija się z czasem, ale bałam się, że moja córka nigdy nie będzie mu tak bliska, jak córka tamtej. Zżerało mnie to wewnątrz jak złośliwy guz.

Zatem prawda *petite anglaise* w tym przypadku nie była całą prawdą. „Nie jestem zazdrosna o jego terażniejszość - napisałam na blogu. - Mam problem z jego przeszłością”. Nie tylko nie wspomniałam, że nadal mnie dręczy obecność Eve, ale nawet wykreśliłam wzmiankę o Maisy z końcowego tekstu. I zdałam też sobie sprawę z tego, że muszę zmienić zasady teraz, kiedy mój kochanek wisi na każdym moim słowie. Szczerowość na blogu jako terapia to jedno, a drugie to szkody, jakie mogę wyrządzić, zdradzając za dużo. *Petite anglaise* nas połączyła, ale równie dobrze może nas rozdzielić.

Kiedy skończyłam pisać, postanowiłam zadzwonić do Amy. Było już po jedenastej, więc po paru dzwoneczkach zamierzałam odłożyć słuchawkę, ale miałam szczęście, bo zaraz odebrała.

- Cześć, co tam? - Była jakby zniechęcona czy zmęczona albo jedno i drugie.

- Przed chwilą pokłóciłam się z Jamesem - wyznałam. - Nie obudziłam cię? Nie przeszkadzam?

- Wiesz, właśnie kładłam się spać, więc może lepiej porozmawiajmy o tym jutro - odparła. - Chyba że najpierw przeczytam o wszystkim na blogu.

Jej słowa odebrały mi mowę. Były takie szorstkie. O co chodziło?

- Eee... no tak, jasne, to do jutra - wybąkałam. - Przepraszam, jeśli zadzwoniłam nie w porę.

Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam oskarżycielsko na telefon - dlaczego w ogóle przyszło mi do głowy gdzieś dzwonić? Tego wieczoru psułam wszystko, czego się

tknęłam.

* * *

Nazajutrz rano w biurze panował błogi spokój, bo mój szef był w podróży służbowej. Amy nie przyszła, wymawiając się chorobą, co dodatkowo pogorszyło mi samopoczucie po naszej wczorajszej niefortunnej wymianie zdań. Na mój SMS „zdrowiej szybko!” nie odpowiedziała. I chociaż pod moim blogiem w lawinowym tempie zbierały się komentarze, które mnie wspierały i wychwalały szczerą, z jaką poruszyłam drażliwy temat zazdrości, nadal nie było ani słowa od Jamesa. Nie mogąc dłużej znieść jego milczenia, zamknęłam się w łazience i zadzwoniłam na jego komórkę. Odebrał od razu, a mnie zalało uczucie ulgi, że w jego głosie nie ma tej nuty zniecierpliwienia, jaką słyszałam poprzedniego wieczoru.

- Cześć, ślicznotko. Złość ci przeszła?

- Trochę - przyznałam. - Zwierzyłam się na blogu i to mi pomogło.

- Podejrzewałem, że tak zrobisz. Nie miałem jeszcze czasu przeczytać, jestem w stajni. Jednak z grubsza wiem, o co chodzi.

- Nie jesteś na mnie zły?

- Nie. Naprawdę nie jestem. Ale wiesz, że nie masz się o co martwić, prawda? Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie prosić, żebym przestał widywać się z Eve. Co prawda jest moją byłą dziewczyną, ale także najlepszą przyjaciółką i przyznaję, że to niecodzienna sytuacja, ale tak już jest i nic na to nie poradzę.

- Nie jestem aż taką idiotką. Nigdy bym tego nie zażądała - oburzyłam się, choć taka myśl przemknęła mi przez głowę.

- Tak czy owak, możemy o tym porozmawiać, kiedy się zobaczymy z okazji twoich urodzin - obiecał, kładąc kres dyskusji. - I proszę cię, skoncentruj się na naszym spotkaniu, zamiast robić tragedię z niczego.

Pan Żabojad odbierał tego wieczoru Kijankę od niani, a ja nie miałam żadnych planów, postanowiłam zatem wpaść do Amy w drodze do domu. Mieszkała aż w Vincennes, na końcu linii metra numer jeden, więc nie miałam jej po drodze, i musiałam jechać na drugi koniec świata. Amy zachwycała się Vincennes, dla mnie jednak zawsze była to raczej wioska dla burżuazyjnych emerytów. Oby tylko nigdzie nie wyszła, pomyślałam, naciskając domofon przy furtce. Przebyłam kawał drogi, żeby dowiedzieć się,

dlaczego wczoraj tak mnie zbyła.

Kiedy Amy, w szlafroku, otworzyła mi drzwi wejściowe, na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Była blada i miała podkrążone oczy.

- Mam nadzieję, że nie wpadłam nie w porę - powiedziałam z wahaniem. - Ale nie wiedziałam, co się dzieje, i chciałam zobaczyć, jak się miewasz. Kiedy nie odpowiedziałas na mój SMS, zaczęłam się martwić...

- Och, to strasznie miło z twojej strony - odparła z bladym uśmiechem. - Zapewne zapomniałam naładować komórkę i tyle. Nic w tym dramatycznego. Wejdz, proszę. Nastawię czajnik.

Jeszcze zanim woda zaczęła się gotować, dowiedziałam się, że oprócz zaziębienia prawdziwym winowajcą był jej chłopak. Widywała się z Tomem nie dłużej niż ja z Jamesem, ale raz był czuły i namiętny, a innym razem zimny i odpychający. Jego zmienne nastroje doprowadzały ją do szału. Popijałam herbatę i milczałam, dając się jej wygadać. Kiedy wstała nalać drugą filiżankę, uznałam, że nadszedł czas, żeby poruszyć temat naszej wczorajszej rozmowy.

- Wczoraj przez telefon odniosłam wrażenie, że jesteś na mnie zła - zaczęłam ostrożnie.

- Może byłam nieco szorstka - przyznała Amy, wbijając wzrok w herbatę. Wyczułam, że chce powiedzieć coś ważnego. - Mam takie wrażenie - ciągnęła - że nasze rozmowy są ostatnio dosyć jednostronne. Nie wiem, czy to wina tego twojego blogu, ale stałaś się bardzo zajęta sobą. Jesteś mistrzynią w otwieraniu duszy, ale przy tym nie zwracasz większej uwagi na ludzi, których masz pod nosem, i na ich problemy... Wczoraj wieczorem po prostu nie byłam w nastroju, żeby cię wysłuchiwać. Mam własne kłopoty.

Zamilkłam, przetrawiając to oskarżenie. Poczułam, że się czerwienię; jej słowa bolały, ale nie były pozbawione racji. Czułam się winna postawionych zarzutów.

- Przepraszam, że jestem taką okropną przyjaciółką - powiedziałam, połykając łzy, które pojawiły się ni stąd, ni zowąd. - Masz rację, zdaję sobie z tego sprawę. Ostatnio byłam o wiele za bardzo skupiona na sobie. Zawsze tylko ja... ja... ja... Powinnam chyba pomyśleć o odłożeniu blogowania na jakiś czas...

- Parę razy, kiedy pisałaś o jakichś spotkaniach, miałam nadzieję, że mnie również zaprosisz - dodała Amy. - Na przykład na ten piknik. Czułam się odsunięta. A chętnie bym

przyszła.

- Szkoda, że nie wspomniałaś mi o tym - westchnęłam ze smutkiem. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że chciałabyś wziąć w nim udział. A skoro już o tym mowa, to zawsze trzymałam osobistych znajomych z dala od życia towarzyskiego *petite anglaise*, sama nie wiem dlaczego. Ale obiecuję, że następnym razem, kiedy będę coś organizować, dowiesz się o tym pierwsza.

Nie byłam do końca szczerą, bo miałam pewne podejrzenia, dlaczego staram się wykluczyć takich ludzi jak Amy - którzy znali mnie na długo przed *petite anglaise* - z kręgu znajomych z bloga. Całkiem możliwe, że przy blogerach zachowywałam się inaczej - byłam bardziej pewna siebie, wyluzowana - zauważyłaby to i natychmiast skomentowała. Nie bardzo chciałam, żeby te dwa światy się zderzały.

- Cieszę się - powiedziała Amy, najwyraźniej udobruchana. - Bylebym nie musiała sama zakładać bloga. Jakoś mi to nie leży...

21. *Urodziny*

Można by pomyśleć, że nad moim urodzinowym weekendem zawisła jakaś klątwa.

Najpierw szef odmówił mi wolnego w piątek, w dzień moich urodzin, co znaczyło, że musiałam późnym wieczorem jechać z Kijanką do Rennes, a ona o tej porze dawno już powinna być w łóżku. Padała z nóg, ale z determinacją walczyła z sennością, dając w kość wszystkim współpasażerom.

W końcu ułożyłam ją w rozkładanym łóżeczku w malutkiej pakamerze Jamesa, a on nalał mi dużą, powitalną szklankę wina. Przytuliłam się do niego na kanapie, zwijając się w kłębek.

- Wszystkiego najlepszego, moja piękna - powiedział, stukając się ze mną. - Byłaś dzielna, że przyjechałaś tak późno.

Wypiłam duży łyk wina i postawiłam szklankę na podłodze. Położyłam mu rękę na udzie i zaczęłam go pieścić przez gruby materiał dżinsów.

- Chociaż jestem wykończona, może dałoby się jakoś uratować moje urodziny...

I właśnie wtedy z sypialni Kijanki dobiegł atak kaszlu. Krzyknęłam przestraszona i zerwałam się na równe nogi, przewracając szklanę z winem. James już był przy jej drzwiach, wyciągnął małą z łóżka i włożył mi w ramiona. Znow zakaszłała i zdezorientowała otworzyła oczy, mrugając w jasnym świetle. Poklepałam ją niepewnie po plecach, spoglądając pytająco na Jamesa. Był rodzicem o wiele dłużej niż ja, miał zatem większe doświadczenie.

Zanim jednak James zdążył otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, Kijanka opróżniła zawartość żołądka na jego kanapę. Przyczyna jej niedyspozycji nagle stała się jasna. W pociągu napychała się cocktailowymi pomidorkami, których najwyraźniej nawet nie żuła. Maleńkie pomidorki dekorowały teraz całą kanapę, wiele z nich miało nawet nietkniętą skórę. Kijanka, przerażona własnym wyczynem, zaczęła wyc. Moja sukienka i włosy były spryskane czerwonymi drobinkami.

Urodzinowy seks nie wchodził już w rachubę.

* * *

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęłam, kiedy kelner zawiódł nas do śnieżnobiałej sali z kamienną podłogą i odkrytymi starymi belkami na suficie.

Był sobotni wieczór. Kijanka szybko doszła do siebie - czego niestety nie można było powiedzieć o kanapie Jamesa - a jedna z jego znajomych zaoferowała się zostać babysitterką.

James zrobił nam rezerwację w miejscowej francuskiej restauracji na spóźnioną kolację urodzinową. Sala była dyskretnie oświetlona, przy każdym stoliku migotała świeczka. Z kuchni dochodziły kuszące zapachy i ślinka sama napłynęła mi do ust. Rzut oka w menu, wypisane kredą na staroświeckim *ardoise*, potwierdził moje przypuszczenie, że był to dość drogi lokal. James naprawdę się postarał i miałam nadzieję, że może sobie na to pozwolić.

- Wybierz, co tylko chcesz - powiedział, widząc moje wahanie. - To specjalna okazja.

- Z przyjemnością - odparłam - ale tylko pod warunkiem, że zapłacę za babysitterkę. - Wyglądało na to, że James chce zaprotestować, ale mu nie pozwoliłam. - Solenizantka ma swoje przywileje - dodałam, dając mu jasno do zrozumienia, że nie przyjmę odmowy.

Wybrałam *fois gras* i potrawkę z sarniny, a on zdecydował się na bardziej

konwencjonalny stek z sosem pieprzowym.

- Od dawna nie jadłam nic tak typowo francuskiego - zauważyłam między jednym a drugim kęsem aksamitnej, rozpływającej mi się w ustach *foie gras*. - Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak brak mi było francuskiej kuchni.

Przez ostatnich parę miesięcy James i ja żyliśmy niczym w kokonie. Teraz wydobył na wierzch angielską stronę mojej natury. Zamiast croissantów, jadłam na śniadanie pełnoziarniste toasty z marmoladą pomarańczową, popijane dużym kubkiem herbaty, nie zaś filiżanką *café au lait*.

- Tak sobie pomyślałem, że może ci tego brakować. - James odłożył nóż i widelec i spojrzał mi głęboko w oczy.

- Nie chodzi o to, że nie doceniam twoich potraw - dodałam szybko. - Uwielbiam, jak dla mnie gotujesz, ale to prawda, że jemy ostatnio tak, jakbyśmy mieszkali w Anglii. Zapiekanki z mięsa i ziemniaków, kielbaski i puree. Bardzo to lubię, ale czasem brakuje mi francuskich dań...

- Cóż, zawsze się tak odżywiałem - powiedział James nieco defensywnie. - W końcu przez te wszystkie lata byłem żonaty z Angielką. Podczas gdy ty żyłaś z Francuzem...

Pojawił się kelner, uprzątnął brudne talerze po przekąsce i położył przed nami czyste sztucce na wykrochmalonym obrusie. Milczałam przez chwilę. W blasku świecy James wyglądał bardzo przystojnie. Był w mojej ulubionej koszuli i dżinsach, i miał lekki zarost, taki, jak lubiłam. Zadał sobie wiele trudu, zapraszając mnie tutaj i miałam nadzieję, że go nie uraziłam.

Ale, chcąc nie chcąc, nieświadomie zwrócił mi uwagę, że czegoś zabrakło w naszym związku: kwintesencji życia we Francji, co tak przyciągnęło mnie do Pana Żabojada.

Nie chodziło tylko o to, co jemy, oczywiście; to sięgało znacznie głębiej. Rozmawialiśmy wyłącznie po angielsku, podczas gdy co najmniej połowa naszych konwersacji z Panem Żabojadem odbywała się po francusku. U Jamesa oglądaliśmy angielską telewizję albo przeglądaliśmy angielskie pisma, wieczorami chodziliśmy na drinka do irlandzkiego pubu na Place du Parlement de Bretagne. Podczas weekendów James posuwał się nawet do gry w krykieta z drużyną miejscowych emigrantów. Kiedy się poznaliśmy, jego „angielskość” mnie pociągała. Mieliśmy wspólne kulturalne korzenie,

czytaliśmy te same książki i oglądaliśmy te same programy telewizyjne; to wszystko pozwalało iść nam na skróty, szybciej się poznać, od początku dawało nam łatwość porozumienia, ponad i poza *petite anglaise*. Ale teraz, kilka miesięcy później, nowość zaczynała powszednieć. Parę razy złapałam się na tym, że kurczę się wewnątrz, słysząc sztywną francuszczyznę Jamesa w sklepie czy przez telefon. Czy na dłuższą metę naprawdę chcę wieść we Francji życie Angielki?

Po kolacji poszliśmy, trzymając się za ręce, przez ciche, zamknięte dla ruchu kołowego ulice; moje ciało aż drżało z oczekiwania na myśl o tym, co nastąpi, kiedy odprawimy babysitterkę i zostaniemy w końcu sami. Niemniej nie mogłam otrząsnąć się z uczucia niepokoju, które ogarnęło mnie w restauracji. Mój wewnętrzny głos szeptał, że wiążąc się z Jamesem, z miejsca odrzucam najważniejszą przyczynę, dla jakiej zdecydowałam się zamieszkać we Francji.

* * *

- *Va voir James?* - spytała Kijanka, odwracając się do mnie w wózku, kiedy szliśmy przez park.

- Nie, skarbie - odparłam. - James już wrócił do Rennes.

Kijance zrzędała mina. Przez zeszły tydzień przywykła do jego obecności rankami i wieczorami. Kiedy wracałyśmy od *taty*, waliła piąstkami w drzwi, wyśpiewując jego imię, póki ich nie uchylił i nie popatrzył na nią przez szparkę. Każdego dnia odbywało się to samo przedstawienie i każdego dnia wywoływało jej radosny chichot. James całował i ścisnął Kijankę po wieczornej bajce, rano zaś córeczka wskakiwała mi do łóżka i mościła się między nami.

Kiedy na początku lipca Pan Żabojad się wyprowadził, pozwoliłam Jamesowi po raz pierwszy zostać na noc dopiero podczas nieobecności Kijanki. Tymczasem nadszedł wrzesień, od naszego spotkania minęły cztery miesiące. Nie mogłam bez końca trzymać na odległość mężczyzny, którego kochałam. Cały urok pracy Jamesa polegał na tym, że mógł tłumaczyć w domu - u siebie czy u mnie - i wracać do Rennes tylko na co drugi weekend z córkami. Nie widziałam żadnego powodu, dla którego mielibyśmy pozbawiać się możliwości spędzania cennego czasu razem. Nie mogliśmy żywić się tylko telefonami.

Pewnego wieczoru, wkrótce po moich urodzinach, odprowadziłam Kijankę na noc do Pana Żabojada i bardzo delikatnie próbowałam napomknąć mu o zbliżającej się

wizycie Jamesa.

- Chcesz mi powiedzieć, że on zamierza zostać z tobą na weekend? - spytał głosem pełnym złości i niedowierzania.

- Tak, i zostanie jeszcze przez kilka dni - dodałam łagodnie. - Posłuchaj, rozumiem, że nie budzi to twojego entuzjazmu, ale jeśli mam zbudować z nim jakiś związek, to musimy spędzić z sobą trochę czasu. Jemu łatwiej przyjechać do mnie, niż mnie jechać do niego...

Spuściłam oczy i zauważyłam kłęбки kurzu gromadzące się pod ścianami. Pan Żabojad nigdy nie palił się do sprzątanania. Ale to nie był odpowiedni moment, żeby mu to wypominać.

- Więc moja córka ma budzić się rano i widzieć głowę jakiegoś obcego człowieka na mojej poduszce - powiedział sucho.

To była czysta retoryka; kiedy Pan Żabojad się wyprowadził, kupiłam nową pościel jako symbol nowego życia.

- On nie jest obcym człowiekiem - zaripostowałam. - Jeździłam z Kijanką wiele razy do Rennes. I nie ma mowy, żeby miał zająć twoje miejsce. Nie zapominaj, że z jego własnymi córkami mieszka teraz inny mężczyzna i James jest bardzo wyczulony na takie sytuacje... Nie ma zamiaru zastępować jej tatusia, jest po prostu moim przyjacielem, który do mnie przyjechał.

Pan Żabojad kiwnął głową z ponurą i zrezygnowaną miną.

- Więc chcesz powiedzieć, że staracie się dbać o moje interesy - rzucił gorzko. - To bardzo miło z waszej strony.

- Nie bądź taki - jęknęłam, prosząc go oczami, żeby nie utrudniał sytuacji. Kijanka pobiegła już do pokoju, a żadne z nas na pewno nie chciało, by doszły ją jakieś ostre słowa. - Wiem, że to wszystko jest niełatwe, ale nie ma potrzeby mnożyć problemów...

Mój tydzień z Jamesem się skończył; on wrócił do Rennes, a ja do pracy, z której wyszłam mocno zdesperowana. Nie z powodu jego wyjazdu, ale z powodu obietnicy, jaką złożyłam Kijance, że zrobimy niespodziankę tatusiowi i zaskoczymy go tortem urodzinowym ze świeczkami. W niespełna dwa tygodnie po moich własnych urodzinach nadeszła kolej Pana Żabojada, który za niecałe pół godziny miał się zmaterializować, żeby wziąć Kijankę na weekend. Czy to z poczucia winy, czy dla jej przyjemności chciałam

jakoś uczcić tę okazję. Ale oczywiście zapomniałam, że nasza lokalna cukiernia jest obecnie w remoncie. Dochodziła już siódma i miałyśmy mocno ograniczone pole manewru.

Bez większego przekonania zajrzałam w witrynę chińskiej *traiteur* obok salonu fryzjerskiego. Spojrzały na mnie beznamiętnie *perles de coco* i migdałowe tarteletki, które niezbyt się nadawały do wetknięcia w nie świeczek. Pomknęłam przez ulicę do koszernego sklepu z sushi. Może sprzedawali ciasto czekoladowe? Ale nie, metalowe żaluzje były jak na złość opuszczone. Musiałam szybko coś wymyślić.

Z westchnieniem zaciągnęłam Kijankę z powrotem na stację benzynową, którą minęłyśmy pięć minut temu, z jej minimarketem 8 à Huit. Będzie nam musiało wystarczyć gotowe ciasto z pudełka. Wydawało się to czymś bliskim świętokradztwa w kraju, gdzie *pâtisseries* są na każdym rogu, ale nie miałam wyjścia. Należało tylko wierzyć, że Pan Żabojad będzie tak powalony moim gestem, że nie zwróci uwagi na całą resztę.

Zawahałam się przed zmęczonymi *madeleines*, *cake anglais* - bladym ciastem owocowym z glazurowanymi wiśniami, które nie przypominało niczego, co jadłam w Anglii - i torebkami z osobno zapakowanymi *fondants au chocolat*. W końcu wybrałyśmy ciastka czekoladowe z miękkim środkiem i pognałyśmy do domu, mając zaledwie parę minut na przygotowania.

Kiedy przyszedł Pan Żabojad, Kijanka wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu, żeby pochwalić się właśnie skończoną układanką, a ja wślizgnęłam się do kuchni po tacę. Ustawiłam trzy ciastka na paterze z biało-niebieskimi zwiniętymi w spiralę świeczkami, wetkniętymi pod pijackim kątem w środek każdego czekoladowego wybrzuszenia. Kiedy stanęłam w drzwiach, zobaczyłam, jak Pan Żabojad, stojąc tyłem do mnie, pośpiesznie rzuca z siebie płaszcz. Nie dosłyszał scenicznego szeptu córki, która nie mogła utrzymać języka za zębami:

- Tort urodzinowy!

- Zaśpiewaj życzenia - odszepnęłam i Kijanka zaczęła *Happy Birthday* po angielsku, tak jak przećwiczyłyśmy to w drodze do domu.

Pan Żabojad odwrócił się do mnie, najwyraźniej zdumiony, i na jego ustach po raz pierwszy od długiego czasu pojawił się prawdziwy, szeroki uśmiech, oczy zaś zaszkliły mu się tak, jakby zaszkliły łzami.

- Pomóc ci zdmuchnąć świeczki, tatusiu? - zaoferowała się wspaniałomyślnie Kijanka, kiedy postawiłam tacę na stoliku do kawy, po czym pochyliła głowę nad tańczącymi płomykami, o wiele za blisko.

- *Mais bien sûr, ma puce* - powiedział Pan Żabojad, przyklękając na wysokości ciastek. - Ale najpierw musimy policzyć: *un, deux, trois... soufflé!*

Kiedy z ciastek zostało tylko parę okruszków, wytarłam kąciki ust Kijanki papierową chusteczką i dałam nura do jej sypialni po torbę z jej rzeczami na noc. Później, kiedy winda z jęczącym zgrzytem wjeżdżała na piąte piętro, oparłam się o framugę drzwi i wciągnęłam głęboko w płuca smakowity zapach dochodzący na klatkę schodową z sąsiednich mieszkań. To zapach szczęśliwych rodzin, pomyślałam. Rodzin, które zasiadają razem do kolacji.

- Dziękuję, Cath - rzekł Pan Żabojad, wchodząc z Kijanką do windy. - *Ça m'a beaucoup touché...*

Kiedy drzwi windy zamknęły się za nimi, przez sekundę lub dwie moja wiara w słuszność własnych decyzji nieco się zachwiała. Zrobiło mi się żal, że nie dzieliliśmy takich momentów częściej; momentów, które z Jamesem nie mogą mieć takiej samej wagi. Bo choćbym nie wiem jak kochała Jamesa, Kijanka nigdy nie będzie jego córką.

22.

Pech

Wysokie jawory po obu stronach alei wiodącej do *taty* zaczęły tracić liście, wyściełając chodnik rdzawym dywanem czerwieni, złota i brązu, rozmywającym się pod nogami, kiedy mżył deszcz. Lato, z wszystkimi tragediami, stresami i chwilami idylli, było już za mną: nużąca rutyna *métro-boulot-dodo* wróciła na dobre.

Wraz z jesienią nadeszła też armia sprzątaczy ulicznych. Pracując na okrągło, i tak nie byli w stanie poradzić sobie z zalegającymi liśćmi i utrzymać alejek parkowych w czystości. Ich podejście do tej sprawy znacznie się różniło: stara szkoła wyposażona była w miotły i zielone plastikowe torby, podczas gdy inni używali ogrodowych dmuchaczy, umocowanych na plecach i huczących, i kierowali śmieci strumieniem powietrza do rynsztoków. Wielkie śmieciarki zaś snuły się leniwie wzdłuż ulic, a za nimi szły grupy ludzi zbierających do odkurzacza gnijące liście z krawężników, zmagając się z zaparkowanymi tam samochodami.

- Popatrz, mamó! Są kruche jak płatki kukurydziane! - wykrzyknęła Kijanka, kiedy złotobrazowe liście zachrupały pod jej butami.

Zanotowałam sobie w pamięci tę obserwację, żeby ją przytoczyć na blogu. Kijanka uparła się, żeby wyjść z wózka w połowie drogi do *taty* i w rezultacie szłyśmy nieznośnie wolno. Skrzywiłam się, patrząc na zegarek. Ale jeśli miałam do wyboru sarkastyczny komentarz szefa albo walkę z wrzeszczącą Kijanką, wbijaną na siłę do wózka, wolałam to pierwsze.

- Proszę cię, patrz pod nóżki - powiedziałam błagalnie.

Pokryty liśćmi chodnik nie był całkiem bezpieczny. Psy i gołębie nie wyjechały na wakacje, dowody ich istnienia były po prostu lepiej ukryte. I właśnie w tym momencie Kijanka zauważyła dmuchacz, który zbliżał się w naszym kierunku. Z całej siły uczepiła się mojej ręce, niemal miażdżąc mi palce, i przycisnęła twarz do mojego uda.

- *Regarde*, mamó! Suszarka!

- Nie martw się, skarbie. To tylko maszyna do sprzątania liści. Nie ma się czego bać.

Odsunęłam się na bok, jak najdalej od mężczyzny w zielonym uniformie. Kijanka wręcz irracjonalnie bała się suszarek do włosów.

Sprzątacznik miał dziobatą twarz i mocno pobrużdżone czoło nad krzaczastymi brwiami. Rycząca maszyna na jego plecach ostro pachniała benzyną, uszy osłaniały mu ochronne słuchawki. Kiedy nas mijał, kurtuazyjnie zgasił silnik. Odwdzięczyłam mu się ciepłym uśmiechem.

Ale ten uśmiech momentalnie zgasł, gdy tylko zobaczyłam, że facet wolno i z rozmysłem szacuje mnie wzrokiem od stóp do głów.

- *Ça va, ma biche?* - spytał z lubieżnym grymasem.

Dobry Boże! Chyba nie sądził, że mam zamiar z nim flirtować? Nie odpowiedziałam i z płonącymi policzkami pociągnęłam za sobą Kijanę, zmuszając ją do dotrzymania mi kroku.

Ale zaraz stanęłam jak wmurowana. Coś z całej siły dmuchnęło mi w tył głowy, niemal zwalając mnie z nóg.

- Auu! - wrzasnęłam, puszczając rękę Kijanę i odwracając się do winowajcy.

Czy to możliwe, żeby mnie zaatakował? Ale sprzątacznik już był odwrócony do nas tyłem, a jego maszyna warczała na cały głos, co zagłuszyło mój okrzyk.

Oprócz grupki strażaków w granatowych dresach, którzy uprawiali jogging w parku, w zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Uniosłam rękę do głowy i na czubkach palców poczułam krew.

- Co się stało, mamo? - spytała Kijanka, marszcząc czoło z troską.

Mój wzrok padł na kolczastą powłokę kasztana, która leżała nam pod nogami, i szybko powiedziałam:

- Kasztan spadł mi na głowę. - wyjaśniłam spokojnie. Właściwie powinnam być wdzięczna, że nie była to kupka gołębia, chociaż Francuzi twierdzą, że to przynosi szczęście. Natomiast kasztany przynoszą tylko ból, a potem leżą niechciane na chodnikach, bo nie ma francuskich gier z *matrons*, które by się zderzały ze sobą w pojedynku, aż ich twarde skorupki pękają.

- Daj, pocałuję ci *bobo* - powiedziała z macierzyńską troską Kijanka, zachwycona, że tym razem sama ma okazję zaopiekować się mamusią.

Przyklękłam na chodniku, trzymając się wózka, i pochyliłam głowę, żeby mogła

cmoknąć mnie we włosy.

Dzień nie zaczął się specjalnie obiecująco, ale obecność Kijanki jak zwykle koła każde zło.

- Chodź, kochanie - powiedziałam, podnosząc się na nogi. - Mamusia już czuje się lepiej.

Jednak kiedy spóźniona i zgrzana dotarłam wreszcie do pracy, wcale nie było lepiej. Szef dyktował jeden tekst po drugim jak opętany, pojawiając się co chwilę przy moim biurku, żeby położyć kolejną taśmę na piętrzącym się szczycie maszynopisów, które stażyści już wygenerowali. Za każdym razem, kiedy słyszałam charakterystyczny grzechot kasety wyciąganej z dyktafonu, zaciskałam zęby. Druga sekretarka na moim piętrze - wiecznie nadąsana Francuzka, która rzadko kiedy raczyła spojrzeć na mnie łaskawszym okiem - wzięła wolne z powodu choroby i - ku mej wściekłości - zostałam zupełnie sama z całym tym bałaganem. Naprawdę nie wiedziałam, w co mam włożyć ręce. Nie miałam nawet czasu wejść na mój blog, choć strasznie kusilo mnie, żeby opisać dramatyczną poranną podróż do biura, a lunch był tylko pięciominutową przerwą na pośpieszne łyknięcie kanapki.

Ledwo żyłam; zerknęłam na zegar i zmusiłam ręce do wzmożonego wysiłku. Na szczęście był piątek, a o szóstej zaczynał się weekend. Planowałam wyskoczyć z Amy na drinka, postarać się być lepszą przyjaciółką podczas tych nielicznych wolnych dni, kiedy nie wybierałam się do Rennes. Może nawet uda mi się podskoczyć do paru butików? Dzisiaj był dyżur Pana Żabojada i nie miałam zamiaru siedzieć do późna w pracy, choćbym nie wiem ile miała roboty.

- Wydrukowałaś załączniki do poczty?! - krzyknął szef z gabinetu, nie podnosząc nawet oczu znad biurka.

- Nie. Właśnie kończę pańskie listy, żeby zdążyły dojść na czas! - odkrzyknęłam wpatrzona w monitor. - Ale już drukuję. - Zerknęłam na swoją skrzynkę i odkryłam wiadomość od Pana Żabojada wysłaną godzinę temu. Otworzyłam ją czym prędzej, podczas kiedy drukarka ruszyła głośno do akcji.

„Jesteś w Paryżu podczas tego weekendu?”. Niewiele myśląc odpisałam twierdząco: „Tak, jestem. James będzie w Rennes”. Domyśliłam się, że Pan Żabojad chce uniknąć spotkania z rywalem. Kiedy w końcu, miesiące później, wyznałam mu, że omal nie

natknęliśmy się na siebie w markecie Franprix, wyraźnie pobladł. Nie miał najmniejszej ochoty poznawać Jamesa.

Ale prawdziwy powód jego pytania wyszedł na jaw pół godziny później, kiedy do mojej skrzynki trafił drugi e-mail: „Przepraszam, Cath, ale w ostatniej chwili okazało się, że jednak mam spotkanie, które przedtem miało być odwołane, i nie będę w stanie dotrzeć do *taty* przed szóstą trzydzieści. Mogłabyś pójść? Postaram się przyjść po Kijankę przed porą spania, a w najgorszym razie jutro rano”.

Jęknęłam głośno, rozglądając się ukradkiem po biurze, czy ktoś przypadkiem mnie nie słyszał. Mogłam się już pożegnać z moim spokojnym, bezdzielnym wieczorem. Podobnie było z jutrzejszym porannym *grasse matinée*, jak Francuzi z dezynwolturą nazywają wylegiwanie się. Zamiast tego będę musiała biec do *taty*, i odpowiadać na niekończące się pytania rozczarowanej Kijanki, dlaczego ojciec po nią nie przyszedł, tak jak obiecał. Będę musiała w ostatniej chwili odmówić Amy, w tej jeden jedyny piątek, kiedy miałam czas na nasze kobiece plotki, i zamiast tego spędzić wieczór w domu, przeklinając pod nosem Pana Żabojada. Chociaż nie byliśmy już razem, wciąż miał wyjątkową zdolność przypierania mnie do muru, rozbudzania aż zbyt znajomej mieszaniny gniewu i niechęci. Byłam na łasce jego pracy, nawet teraz; ta odrobina wolnego czasu, jaki miałam, nigdy nie była święta.

„Nie ma mowy! - odpisałam, stukając ze złością palcami po klawiaturze. - Dzisiaj jest twój dyżur! Mam własne plany”.

Dwie minuty później, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do biura Pana Żabojada. Krew mi wrzała, byłam zbyt wściekła, by pracować.

Pan Żabojad ledwo zdołał powiedzieć:

- *Allô?* - zanim się na niego rzuciłam.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz! - wysyczałam szeptem, mając na uwadze szefa, który siedział przy otwartych drzwiach. - Co byś zrobił, gdybym wyjeżdżała na weekend? Zostawił ją z *tatą* na noc? To ty obiecałeś ją dzisiaj wziąć! Nie jestem jakąś wzorową babysitterką, która może przyjąć zlecenie w każdej chwili...

Pan Żabojad był nieporuszony. Wiedział, że musi twardo stać na swoim stanowisku, a mnie pozostanie tylko skapitulować. *Tata* nie brała godzin nadliczbowych, a ja nie

miałam ochoty psuć naszych dobrych stosunków ani zawieść Kijanki, choćbym sobie pyszczyła na boku. Ugięłam się, cały czas wściekła na własną bezsilność. Ale cóż innego mogłam zrobić?

- Fakty są takie, że jednak tu jesteś, a ja nie mogę jej odebrać - oświadczył beznamiętnie Pan Żabojad. - Nie ma rady. Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym później, bo moje spotkanie już się zaczyna.

- Następnym razem - podniosłam głos, nie bacząc na szefa - następnym razem odpowiedź będzie brzmiała „nie"! Bez względu na prośbę!

Rzuciłam słuchawkę, a stażysta obok prawie wyskoczył z fotela.

I dopiero wtedy spostrzegłam, że za oknami leje deszcz. W wyobraźni zobaczyłam moje przeciwdeszczowe poncho, jedyne okrycie, dzięki któremu mogłam być sucha, kiedy obie ręce mam zajęte pchaniem wózka. Tego ranka wyjęłam to poncho z torby, pewna na sto procent, że nie będę go potrzebować. Może i zapakowałam w jego miejsce parasolkę, ale co do tego nie byłam przekonana. Znow jęknęłam. Tym razem nie obchodziło mnie, czy ktoś to słyszy.

Kiedy godzinę później zadzwoniłam do drzwi *taty*, z mojego płaszcza kapiała woda na jej wycieraczkę. W ciągu krótkiego spaceru z przystanku metra Laumière przemokłam do suchej nitki.

- *Ah, c'est vous ce soir?* - spytała, wpuszczając mnie do środka.

Nawet ona, zauważyłam z goryczą, była rozczarowana, że to ja przyszłam.

- Tak, nastąpiła zmiana planów - odparłam, nie zadając sobie trudu, żeby ukryć irytację. - Niespodziewana konferencja. Po prostu nie miałam wyboru. I tak całe szczęście, że nie wyjechałam na weekend.

- Hm... coś byśmy zaradzili... - mruknęła, rozsądnie powstrzymując się od komentarzy.

Miała słabość do Pana Żabojada i dyskretnie otarła łzę z kącika oka, kiedy jej oznajmiłam, że się rozstaliśmy.

Kijanka siedziała z koleżankami przy małym stoliku, trzymając pędzel w ręce. Miała brwi poplamione zieloną plakatówką i niebieską smugę na nosie. Ze stereo sączyły się francuskie rymowanki dla dzieci i nie usłyszała, że wchodzę. Na jej widok opadł ze mnie stres i złość; uśmiechnęłam się, czekając, aż mnie zauważy.

Najpierw na jej twarzy odmalowało się zdziwienie i przebłysk radości. Ale jak tylko przypomniała sobie, że miał przyjść tatuś, nie mamusia, kąciki jej ust opadły. Czasami jej mina była aż nadto wymowna. Nie nauczyła się jeszcze ukrywać emocji; każdy drobny grymas był dla mnie niezwykle czytelny.

- *Non! Je veux papa!* - Odwróciła się i prysnęła pędzlem.

Chociaż bardzo starałam się nie brać sobie takich reakcji do serca, nie dało się ukryć, że zapiekło mnie to tak, jakbym dostała policzek.

Powlokłyśmy się do domu; Kijanka bezpieczna i sucha pod ochronnym daszkiem wózka, wciąż lamentowała za tatusiem, a ja pochyliłam nisko głowę, ślizgając się na mokrych liściach, oślepiona kroplami deszczu na okularach. Włosy lepiły mi się do głowy, a strużki chłodnej wody ściekały po karku, nasączając ubranie pod wełnianym płaszczem, który przez to dwukrotnie zwiększył wagę. Czułam się jak zbity pies. Dziś już chyba gorzej być nie mogło?

Godzinę później, przebrana w suche ciuchy, z głową owiniętą ręcznikiem, kręciłam się po kuchni z filiżanką gorącej herbaty. Grillowałam paluszki rybne dla Kijanki, a sama zamierzałam pocieszyć się sandwichem.

Kątem oka zauważyłam córkę. Z powrotem włożyła buty, aczkolwiek niezasnurowane, lewy na prawą nogę i prawy na lewą, przerzuciła przez ramię torbę, do której zapakowała książkę oraz swój kubeczek, samochodzik i plastikową harmonijkę.

- *Maman*, idę teraz do tatusia - oznajmiła. Zamarłam bez słowa, drewniana łyżka zawisła w powietrzu.

Kijanka odwróciła się w stronę frontowych drzwi. Poszłam za nią, nadal trzymając łyżkę, nie bardzo wiedząc, co robić.

- *Ouvre la porte*, mamusiu. Wychodzę! - krzyknęła. Westchnęłam i potrząsnęłam głową, ale to tylko zdopingowało Kijankę. Zaczęła walić pięściami w drzwi.

- Skarbie, dziś tatuś do późna pracuje. Ale jeśli nie przyjdzie po ciebie dzisiaj, to na pewno pojawi się jutro rano. Niestety, na razie będziesz musiała zostać tutaj. - Czy to takie straszne być skazaną na wieczór ze mną? - chciałam jeszcze dodać. Co takiego robi tatuś, czego ja nie robię?

Kąciki ust Kijanki znów ułożyły się w podkówkę: pewny znak, że zaraz zacznie płakać. Przyklęknęłam i przygarnęłam ją do siebie. Początkowo się opierała, ale po chwili

przyłgnęła do mnie, dając się pocieszyć. Trzymałam łyżkę z dala od jej ubrania i rozkoszowałam się ciepłem jej policzka.

- Mamusiu - powiedziała nagle Kijanka, odsuwając się i marszcząc nos. - Co to za smród?

- Cholera jasna! - wrzasnęłam, kiedy zaczął pisać dym.

W trakcie ugłaskiwania córki udało mi się spalić naszą kolację. Są takie dni, powiedziałam sobie, sięgając do zamrażarki po ostatnie paluszki rybne - zostało ich dość dla Kijanki, ale już nie dla mnie - kiedy ma się po prostu pecha i wszystko idzie jak po grudzie. Francuskie powiedzenie mówi, że jeśli wstanie się z łóżka lewą nogą, na pewno nic się nie uda. Może i tak jest, pomyślałam zabobonnie, może dzisiejszy dzień należy spisać na straty i zwrócić uwagę na to, żeby następnego wstać odpowiednią nogą.

James był pełen współczucia i mówił wszystko, co należy, jak zwykle. Ale tego wieczoru z jakichś powodów jego głos w telefonie bardziej mnie przygnębił, niż ukoił.

- Nienawidzę tego uczucia bezsilności - poskarżyłam się. I jednocześnie zdałam sobie sprawę, że Pan Żabojad musiał czuć to samo. Może to był jego sposób, aby mnie ukarać?

- Nie powinien był przypierać cię do muru, to oczywiste - zauważył rozsądnie James. - I rozumiem, jakie to dla ciebie frustrujące, że nie możesz rozporządzać swoim czasem. Jeśli mój rozwód coś mi dał, to z pewnością nauką, że trzeba okazać mnóstwo dobrej woli, zanim zacznie się prosić o przysługi. Ale nawet wtedy nie należy niczego narzucać...

Kijanka już spała; moje włosy niemal wyschły. Schroniłam się pod kołdrę ze słuchawką przyciśniętą do ucha, żeby zdać mu sprawozdanie z dnia pełnego niepowodzeń.

- Szkoda, że cię tu nie ma - powiedziała żałosnym głosem. - Dobrze jest z tobą pogadać, ale jeszcze lepiej byłoby się przytulić. Gdybyś czekał tu na mnie, kiedy wracam do domu ociekająca wodą, wybuchnąłbyś śmiechem, a ja zobaczyłabym komizm tej sytuacji... Strasznie ciężko mi być tu samej.

- Przyjadę przy pierwszej okazji, *babe* - wymruczał pieszczotliwie. - Wiesz, że byłbym z tobą, gdybym tylko mógł.

Słowo *babe* aż mnie zmroziło. Powiedziałam Jamesowi, że tak nazywała się świnka z filmu rysunkowego. Ale najbardziej odstręczył mnie fakt - co przemilczałam - że

takie pieszczotliwe określenie jest całkiem bezosobowe i można je skierować do każdej kobiety. Ciekawe, czy mówił tak do swojej żony albo do Eve?

- Chyba już się położę - bąknęłam. - Chcę, żeby ten okropny dzień wreszcie się skończył..

Jednak nie mogłam zasnąć. Nadal byłam wściekła na Pana Żabojada, zbyt rozgoryczona zepsutymi planami. Miałam gonitwę myśli, wciąż przepowiadając sobie awanturę, jaką mu urządzę, kiedy skruszony zjawi się nazajutrz rano, i jadowity tekst, jaki zamieszczę na blogu. A kiedy w końcu zmorzył mnie sen, to okupował go nie James, tylko Pan Żabojad.

23. *Klucze*

- Och... sos arabica, mój ulubiony - powiedziała Amy, kiedy hojną ręką nałożyłam jej parującą porcję makaronu na talerz.

Zaprosiłam Amy na kolację, żeby zrekompensować nasze niedoszłe spotkanie. Na stoliku do kawy stała na wpół opróżniona butelka chianti; jadłyśmy na kanapie, balansując talerzami na kolanach. Od naszego ostatniego babskiego spotkania minęło trochę czasu, ale kiedy wino zaczęło działać i przyjemne ciepło rozlało mi się po ciele, obiecałam sobie częściej zapraszać gości.

Rozmowa nieuchronnie zesłała na mężczyzn naszego życia i frustrację zrodzoną z naszych związków na odległość.

- Mam już dość spędzania wszystkich wieczorów na telefonie, kiedy go tu nie ma - zwierzyłam się. - To znaczy, lubię z nim rozmawiać i byłoby mi przykro, gdyby nie dzwonił, ale zanim zapakuję moją *mademoiselle* do łóżka i mogę z nim tę godzinę przegadać, zapada już noc.

- Ale przynajmniej twoja sytuacja jest tylko tymczasowa - westchnęła Amy. - Ja nie mam nawet pojęcia, czy Tom i ja będziemy kiedykolwiek mieszkać w tym samym mieście. Co więcej, jestem przekonana, że mu to odpowiada. Gdybym pewnego dnia oznajmiła, że zbieram manatki i przeprowadzam się do Londynu, nie zobaczyłabym go już

na oczy.

- To nic pewnego - pocieszyłam ją, napełniając nam ponownie szklanki. - Moja sytuacja może i jest tymczasowa, ale w tej chwili przeprowadzka do Jamesa wydaje mi się czymś niesłychanie odległym. Na razie, czuję się jak w pułapce. Zupełnie jak przedtem. Zamieniłam jednego nieobecnego faceta na innego... Nie wiem, jak wytrzymam jeszcze osiem miesięcy tego czekania i zastanawiania się...

- Zastanawiania się? - podchwyciła Amy czujnie. - Czyżbyś miała jakieś wątpliwości?

- Och... sama nie wiem. Może czasem. - Po raz pierwszy dałam wyraz tego rodzaju uczuciom, zupełnie jakby pojawiły się tak niespodziewanie, że nawet tego nie zauważyłam. - Na przykład szukałam dzisiaj pracy przez Internet i martwię się, czy znajdę coś w Rennes i to za odpowiednie pieniądze. Naprawdę kocham Jamesa, po raz pierwszy coś takiego czuję, ale muszę myśleć praktycznie. W końcu nie tylko ja się mam przeprowadzić, to będzie też przewrócenie do góry nogami życia mojej córki.

- Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego on nie może przenieść się do Paryża?

- Z mnóstwa powodów. Jego córki są w Bretanii. Nie może sobie pozwolić na mieszkanie w stolicy. Większość jego zarobków idzie na różne podatki, a poza tym musi płacić alimenty byłej żonie. Tak czy owak, nienawidzi Paryża i przyjeżdża tu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć. Ale prawdę mówiąc, ja też chcę stąd wyjechać. Marzyłam o domu z ogrodem, odkąd zaszłam w ciążę.

- Rozumiem - powiedziała Amy, podniosła butelkę i odstawiła ją, widząc, że jest pusta. - Ale czy wspomniałaś Jamesowi o swoich wątpliwościach? Na blogu nie puściłaś żadnej farby...

Uwaga Amy była celna. Czasami czułam, że mój blog przerodził się w coś w rodzaju jednego z tych krzywych zwierciadeł z wesołych miasteczek, w lustro, które zniekształca moje odbicie. Dziewczyna w tym lustrze często się śmiała, podczas gdy w rzeczywistości mnie nie było do śmiechu.

- Właśnie o to chodzi - powiedziałam wolno. - Nie sądzę, żeby on miał jakieś wątpliwości i tym bardziej się obwiniam za te negatywne myśli... I oczywiście istnieje drażliwa kwestia pieniędzy. Z pewnością by się najeżył, gdybym wspomniała o tym na blogu.

- No tak, stara śpiewka - odrzekła Amy. - Współcześni mężczyźni w teorii nie mają nic przeciwko temu, żeby to kobieta utrzymywała dom, ale jak dochodzi co do czego, zwykle nie są w stanie się z tym pogodzić.

- Masz całkowitą rację - przyznałam. - Zatem w ogóle nie poruszałam tego tematu. I właśnie dlatego nie bardzo wiem, o czym pisać. Zamieściłam najwyżej dziesięć postów w październiku. Połowę tego, co w zeszłym roku o tej porze.

Zaniosłam puste talerze do kuchni i wróciłam z drugą butelką wina i korkociągiem. Amy stała przy oknie, ze skrzyżowanymi ramionami i wzrokiem wbitym w dal.

- Nie będzie ci tego brakować? - spytała, pokazując na horyzont.

Mimo późnej godziny tu i tam przy wieży Montparnasse paliły się żółtopomarańczowe kwadraty, zdradzając obecność pracowników po godzinach. Ostatnio wpatrywałam się w tę wieżę, myśląc głównie o stacji, nad którą góruje: mojej bramie do Bretanii.

- Będę tęsknić za tym widokiem - przyznałam, męcząc się z korkiem, który rozpadał się na drobne kawałki. - Ale tak się do niego przyzwyczaiałam, że już go prawie nie zauważam. Bardziej wlepiam w niego wzrok na swoim blogu niż za oknem...

Amy wyszła dobrze po północy. Kiedy zmywałam szklanki po winie, nucąc sobie pod nosem, pomyślałam nagle, że po raz pierwszy od długiego czasu nie czułam potrzeby przegadania wieczoru z Jamesem.

* * *

- La, la, la, czarna owca...

Kijanka śpiewała pełnym głosem, a głowy przechodniów zwracały się ku niej z nieukrywanym zainteresowaniem.

Dziecko, które uwielbia śpiewać na oczach publiczności, to jedno, a dziecko, które śpiewa po angielsku, po czym bezwiednie przechodzi na francuski, prosząc o herbatnika, i znów wraca do angielskiej piosenki, przyciąga uwagę i podziw. Jednego zazdrościłam Kijance: dla niej dwujęzyczność była tak naturalna jak oddychanie.

Wracałam do domu w zapadającym mroku, idąc chwiejnym krokiem po chodniku i łapiąc spojrzenia, jakie przyciągała moja córka. Poprzedni wieczór z Amy dał mi się we znaki. Obudziłam się ledwo żywa i chociaż mój zaćmiony umysł zaczął się z wolna rozjaśniać, miałam zamiar położyć się spać razem z Kijanką.

Drzewa straciły już liście i zachodzące zimowe słońce oślepiło blaskiem spod nagich konarów, że aż oczy zaszyły mi łzami. Jak na tę porę roku, było dość ciepło i chociaż pod rozpiętym płaszczem miałam na sobie tylko bluzkę z długimi rękawami, zaczęłam się pocić z wysiłku, pchając Kijankę pod górę. Nagle przystanąłam gwałtownie, przerywając jej piosenkę w pół słowa. Mój czerwony żakiet! Wychodząc z domu miałam go na sobie, ale kiedy wybiegałam z pracy, został na oparciu krzesła. Wiedziałam bez sprawdzania, że kieszenie płaszcza mam puste. Zostawiłam klucze w biurze.

- *Merde!* - mruknęłam pod nosem, patrząc na zegarek. Miałam do wyboru dwie opcje: albo wrócić tam metrem z Kijanką, modląc się, żeby ktoś pracował po godzinach, bo nie miałam kluczy do biura, albo wziąć taksówkę, chociaż jazda okreśną drogą w porze największego ruchu zajmie całe godziny i będzie mnie kosztować fortunę. Było jeszcze inne wyjście: zadzwonić do Pana Żabojada, który miał zapasowe klucze. Może zdołam jakoś go przekonać, żeby choć raz wyszedł wcześniej z pracy i przybył mi rycersko na ratunek swoją błyszczącą białą vespą?

- *J'ai fait une énorme connerie!* - jęknęłam, kiedy odebrał telefon. - Zostawiłam w biurze klucze do mieszkania! Jesteśmy w połowie drogi od *taty* i wracanie po nie byłoby absolutnym koszmarem! Może mógłbyś przyjechać i otworzyć nam drzwi?

Przez pełną napięcia chwilę słyszałam tylko ciszę i zaczęłam już myśleć, że połączenie zostało zerwane.

- Masz szczęście, trafiłaś na dobry dzień - odezwał się w końcu Pan Żabojad. - Spróbuję wyjść za jakieś dwadzieścia minut.

- Dzięki! Będę bardzo wdzięczna! - Kamień spadł mi z serca. - Daj mi znać na komórkę, jak już tu dotrzesz. Będziemy gdzieś w pobliżu.

Pan Żabojad przybył pół godziny później i najpierw go nie zauważyłyśmy. Siedziałyśmy nad czerwonym blatem stolika przy oknie w Café des Buttes Chaumont; Kijanka przeglądała pisemko o lalce Dorze, które jej kupiłam w agencji nieruchomości obok, a ja wpatrywałam się pustym wzrokiem w skwer Bolivar; mój umysł był zablokowany na pierwszym biegu, palce zaś zaciśnięte na pustej filiżance po espresso.

Słyszając swoje imię, Kijanka z radością zerwała się na równe nogi; zapomniane pisemko zsunęło się na podłogę. Obdarzyłam Pana Żabojada pełnym wdzięczności uśmiechem, kiedy pochylił się, żeby podnieść gazetkę. Wysłałam mu SMS-a, gdzie jeste-

my, ale nie spodziewałam się go tak szybko.

- Tatuś, tatuś, tatuś! - zaśpiewała Kijanka, klaszcząc w ręce w zachwycie. - *Viens t'asseoir avec nous!*

Pan Żabojad zajął miejsce obok niej, a ona wskoczyła mu na kolana i objęła go za szyję.

- Postawić ci drinka? - zaoferowałam się. - W podzięce, że tak szybko się zjawiłeś?

- Dobrze, czemu nie? Wezmę *pression*. Nieczęsto zdarza mi się wyrwać z pracy wcześniej na *apéro*.

Kiedy zjawił się kelner, Kijanka przedstawiła mu się i podniosła dwa palce, żeby pokazać swój wiek.

- *Aujourd'hui, je suis avec ma maman et mon papa!* - dodała z szerokim uśmiechem.

Kelner uniósł brwi. Jeśli o niego chodzi, oznajmiała rzecz oczywistą. Nie mógł przecież zrozumieć, co to za rzadka okazja.

Patrzyłam na nich ze ściśniętym gardłem. Byłam mistrzynią w usprawiedliwianiu się przed sobą, przed swoimi czytelnikami i przyjaciółmi; bez końca dowodziłam, że ponieważ teraz Pan Żabojad spędza więcej czasu sam na sam z córką, są sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem i wszyscy tylko na tym skorzystali. Ale to było tylko lukrowaniem faktu, że ograbiłam Kijanę z szansy bycia z obojgiem z nas w tym samym czasie. Kiedy teraz patrzyłam na jej euforię, zrobiło mi się ciężko na sercu.

Pan Żabojad miał na sobie nowy garnitur. Dobrze skrojony i stanowiący pewną odmianę po dżinsach i T-shirtach, w jakich James pracował w domu. Musiałam przyznać, że wyglądał całkiem przystojnie. Byłam ciekawa, czy z kimś się spotyka. Nigdy nie rozmawiał ze mną o swoim życiu osobistym i bez wątpienia byłabym ostatnia, która by się dowiedziała, że kogoś ma.

- Tak, rzeczywiście jest nowy - przyznał, widząc moje spojrzenie i wyprzedzając pytanie. - Podoba ci się?

- Podoba - odpowiedziałam po prostu. - Dobrze w nim wyglądasz.

Jeszcze nie tak dawno rozwodziłabym się, ile to musiało kosztować i robiłabym cierpkie uwagi, że wydaje wszystkie pieniądze na siebie, zamiast odkładać coś na przyszłość. Teraz, kiedy regularnie płacił na utrzymanie Kijanki, jego inne wydatki nie były moją sprawą: mieliśmy o wiele mniejsze pole do bitwy.

- Dzięki, że przyjechałeś tak szybko - powtórzyłam jeszcze raz. - Zapewne teraz byłobyśmy dopiero w połowie drogi do mojego biura.

- No cóż, może w charakterze wdzięczności zamieściłabyś o tym wzmiankę na blogu - zażartował Pan Żabojad, pociągając długi łyk piwa. - Po tym, jak po naszej ostatniej scysji napisałaś, że się wymiguję od odpowiedzialności, byłoby miło pokazać tym twoim czytelnikom, że nie jestem wcieleniem zła. Daj mi szansę na zmianę wizerunku.

Zaczerwieniłam się. Nie miałam pojęcia, że Pan Żabojad tak pilnie śledzi *petite anglaise*. Jak na ironię, zainteresował się moim blogiem dopiero teraz.

- Zobaczą, co się da zrobić - obiecałam niechętnie. - Pan Żabojad już nie będzie czarnym charakterem. Jeśli będziesz się dobrze sprawować, oczywiście...

Zostawiłam na stoliku odpowiednią ilość drobnych i kiedy wychodziliśmy, już krążyłam myślami wokół tego, co, na Boga, zrobić Kijance na kolację. Wlokłam się z tyłu z wózkiem, patrząc, jak Kijanka idzie za rękę z Panem Żabojadem do drzwi frontowych mojego budynku. Bałam się łez przy pożegnaniu. Takie niespodziewane spotkanie z ojcem z pewnością musiało ją dezorientować i okrucieństwem było rozdzielać ich tak szybko.

- *On se voit jeudi, ma puce* - wyjaśnił Pan Żabojad łagodnie, kiedy doszliśmy do celu. - W czwartek odwiedzimy razem twoje przyszłe przedszkole.

Kijanka kiwnęła głową, wyraźnie tym usatysfakcjonowana, a Pan Żabojad i ja wymieniliśmy uśmiechy ulgi nad jej głową. Podał mi klucze i pocałował córeczkę w policzek.

Patrząc, jak odchodzi, z kaskiem dyndającym na palcu prawej ręki, pomyślałam, że mimo trudnych przeżyć, jakoś się trzymamy.

Kiedy później tego wieczoru rozmawiałam z Jamesem, starałam się zlekceważyć naszą wizytę w przedszkolu.

- Tak naprawdę robię to dla jej ojca - tłumaczyłam. - Żeby czuł, że ma coś do powiedzenia. Kiedy zaproszę go do przedszkola w Rennes, za parę miesięcy, będzie miał porównanie. Ale w gruncie rzeczy ta cała wyprawa jest trochę bezsensowna, zważywszy na to, że w pewien sposób będziemy niepotrzebnie zawracać głowę kierownicze pod fałszywym pretekstem, kiedy wszyscy wiemy, że nie mam zamiaru zostać w Paryżu...

- Ależ dobrze robisz - zapewnił mnie James. - *Maternelle* to kwestia przyszłości, co

najmniej dziesięciu miesięcy. Nie wiadomo, co się w tym czasie może zdarzyć.

- Pewno masz rację - odpowiedziałam, rozczarowana jego reakcją.

Miałam nadzieję, że James zacznie mnie odwozić od wizyty w przedszkolu, przekonywać, że niepotrzebnie tracę czas. Potrzebowałam jego wsparcia. Jego niezachwiana pewność byłaby najlepszym antidotum na wątpliwości, które zaczęły mnie ogarniać i którym po raz pierwszy dałam wyraz w rozmowie z Amy.

- Wolałabym nie kłamać - dodałam. - No, może nie tyle kłamać, ile kręcić i ukrywać informacje. Najpierw trzymałam blog w tajemnicy przed przyjaciółkami. Teraz nie mówię nic o wyjeździe z Paryża, żeby przypadkiem szef się o niczym nie dowiedział, i ukrywam to przed administracją przedszkola...

- Dobrze robisz - powtórzył stanowczo James. - Powiesz im prawdę, jeśli nadejdzie stosowana pora.

- Jeśli? - Nagle się przestraszyłam. - Zostawiasz sobie furtkę?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział ostro. - Wiesz, jaki masz problem? Za wiele się dopatrujesz w każdym słowie. Wszystko niepotrzebnie analizujesz.

Jego uwaga zabolala mnie i przez chwilę milczałam, urażona.

- Ryzyko zawodowe - odparłam defensywnie, kiedy odzyskałam mowę. - Nie udawaj, że nie wiedziałeś tego o mnie na długo, zanim się poznaliśmy...

- Wiedziałem - przerwał James, zanim zdążyłam skończyć - ale miałem nadzieję, że razem pokonamy te twoje niepokoje.

- I pokonamy - oświadczyłam stanowczo. - Kiedy już wreszcie będziemy razem, a nie rozdzieleni setkami kilometrów. Przekonasz się.

* * *

Kiedy zobaczyłam Pana Żabojada krocącego ku mnie i Kijance w dniu owej nieszczęsnej wizyty w przedszkolu, ponownie uderzyło mnie, jak przystojnie wygląda w nowym garniturze. Ja tego ranka również dołożyłam starań i, przynajmniej na zewnątrz, stanowiliśmy zgodną, dobrze prezentującą się rodzinę.

- Pośpieszmy się - powiedziałam, patrząc wymownie na zegarek. - Mamy wyznaczone spotkanie za pięć minut i lepiej nie robić złego wrażenia na początek ani nie spóźniać się do pracy...

Przedszkole mieściło się w typowym komunalnym piaskowcu z początku wieku.

Zauważyłam, że wszystkie okna na parterze są okratowane, co sprawiało wrażenie bardziej więzienia niż placówki wychowawczej. Nie mogło się równać z tym, które widziałam w pobliżu mieszkania Jamesa, położonym między parkiem Thabor i siedemnastowiecznym opactwem benedyktyńskim. Kierowniczką, z którą parę dni temu rozmawiałam przez telefon, miała chrypiący głos, który wskazywał na czterdzieści gauloise'ów dziennie. Miałam tylko nadzieję, że zapomniała, jak przy pierwszej rozmowie przez pomyłkę wzięłam ją za mężczyznę, zwracając się do niej *monsieur*.

- *Nous avons rendez-vous avec la directrice* - powiedziałam do starszawej Afrykanki, która otworzyła nam drzwi, kiedy nacisnęliśmy dzwonek, i teraz stała w batikowej tunice, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, broniąc wejścia.

Zapewne powinnam docenić fakt, że nie każdy może wbiec tu tanecznym krokiem, kiedy tylko zechce, ale chyba można by oczekiwać cienia powitalnego uśmiechu?

- *C'est par ici* - odrzekła kobieta, ledwo racząc skiniąc głową.

Zaprowadziła nas przez hol, gdzie dokazywały dzieci wariujące na prowizorycznych szczudłach, zrobionych z odwróconych do góry dnem wiaderek przymocowanych sznurkami do ich nóżek, i zostawiła na szczycie schodów, wskazując gestem, żebyśmy poszli na lewo. Kiedy wchodziliśmy wolno, stopień po stopniu, z Kijanką, która mocno trzymała nas za ręce i spoglądała zdumiona na jaskrawe rysunki, które pokrywały każdy centymetr ściany, zwróciłam się szeptem do Pana Żabojada:

- Tylko ani słowa, że żyjemy w separacji i nie mieszkamy razem ani że zamierzam się przenieść do Rennes - syknęłam, nie patrząc mu w oczy. - Nie ma sensu komplikować sprawy, to nie ich rzecz.

Mieliśmy zgodnie powtarzać tę samą historię; kłamać poprzez zatajanie. Kiedy wreszcie będę mogła przestać udawać i wyrwę się z tej sieci półprawd, odetchnę z prawdziwą ulgą.

Pan Żabojad, z kamienną twarzą, milczał jak zaklęty. Słowo „Rennes” zawsze wywoływało taki efekt i nie mogłam go za to winić. Na myśl o przeprowadzce ja też byłam w rozsypce; wiedziałam, jak bardzo będzie czuł się odrzucony, kiedy wyjedziemy. Mogłam się zaklinać na wszystko, że nie chodzi mi tylko o własne szczęście u boku Jamesa, ale o przedszkole jak z bajki dla Kijanki i o dom z ogrodem, o którym zawsze marzyłam. Ale biedny Pan Żabojad i tak będzie widzieć przyszłość poprzez pryzmat tego,

co utraci.

Les poux sont de retour! - ostrzegwał plakat wiszący na drzwiach do biura *directrice*.
Widząc obrazek dziewczynki z wszą we włosach, instynktownie podrapałam się w głowę.

- *Entrez!* - dobiegł nas szorstki głos w odpowiedzi na moje niepewne pukanie.

- Mówiłaś, że to *directrice* - szepnął Pan Żabojad - nie *directeur*.

- I tak jest - odpowiedziałam, tłumiąc chichot. - Chociaż nie tobie pierwszemu zdarzyło się dać nabrać...

Podniósł brwi i uśmiechnął się kącikami ust, a potem całą gębą. Bez żadnych dalszych wyjaśnień pojął moją gafę. Był to jeden z tych rzadkich momentów porozumienia bez słów, które tak sobie ceniłam. Napięcie między nami nagle zniknęło i w oczach Pana Żabojada pojawiły się wesołe iskierki.

Kiedy później relacjonowałam na blogu przebieg naszej wizyty w przedszkolu, skupiłam się jedynie na czystej wymianie zdań między nami, nie wspominając o tej chwili braterstwa. Pisząc o jednym, ale już nie o drugim, nie byłam tak naprawdę nieszczerą - w końcu trudno było dokumentować każdą sekundę mojego życia. Ale dlaczego to pominęłam? Zapewne dlatego, że nie byłam gotowa się przyznać - przed Jamesem czy przed samą sobą - że w ciągu ostatniego tygodnia, pomiędzy kawiarnią i przedszkolem, najszcześniejsze chwile spędziłam z Panem Żabojadem.

24.

Lemoniada

- Nie chcę, żeby moje życie było zaplanowane punkt po punkcie jak w jakichś koszarach - zaprotestował James; w jego głosie pojawiła się nieznana mi wcześniej nuta irytacji, kiedy po raz szósty spytałam go, gdzie spędzą Boże Narodzenie jego córki.

- Przepraszam, wiem, że zawracam ci głowę - powiedziałam, wyciskając o łyżeczkę torebkę z herbatą i z trudem trzymając słuchawkę między uchem a ramieniem. - Ale uszczęśliwienie całej rodziny nie jest łatwe. Musimy wziąć pod uwagę wiele osób: twoją byłą żonę, mojego byłego, dziadków wszystkich naszych dzieci... Nie możemy zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. Zastanawiam się tylko, czy przysłać twoim dziewczynom prezenty pocztą, czy też je przywieźć ze sobą, to wszystko.

To nie było wszystko, oczywiście. Zastanawiałam się, czy same święta spędzimy w dwójkę, bez dzieci, czy też będzie to wspólna rodzinna afera. W głębi ducha marzyłam o tym pierwszym, chociaż za nic nie chciałam się do tego przyznać, żeby nie zostać oskarżoną o chęć odsunięcia córek od Jamesa.

Okres świąteczny został tak zaplanowany, żeby każda ważna osoba w życiu Kijanki dostała swój przydział. Najpierw Pan Żabojad miał ją wziąć do *mamie i papy*, na czas weekendu, który zamierzałam spędzić z Jamesem - z jego córkami czy bez. W drugi dzień świąt zostawię Jamesa z resztką niedojedzonych potraw i wrócę niechętnie szybkobieżnym TGV do Paryża na kilka przeraźliwie spokojnych dni w biurze. Kiedy Kijanka przyjedzie, polecimy razem do Yorkshire, żeby spędzić Nowy Rok z moją rodziną.

Świąteczny harmonogram Kijanki, który nikogo nie pominie, nie pokrzywdzi ani nie zostawi z boku, wymagał precyzyjnych ustaleń na całe miesiące naprzód, co, jak widać, nie każdemu przypadło do gustu.

- No dobrze, cóż, porozmawiam z mamą dziewczynek i zobaczę, jakie ma plany - prychnął niechętnie James. - Jeśli się okaże, że mają spędzić Boże Narodzenie z nami, to będę musiał dobrze się namęczyć, żeby znaleźć świąteczne dekoracje.

- Powodzenia! - rzuciłam sarkastycznie i natychmiast pożałowałam, że nie ugryzłam

się w język.

Przy mojej pierwszej wizycie u Jamesa jego mieszkanie było nieskazitelnie wysprzątane, przy następnych już mniej. Wprawdzie nie zarastało brudem, ale panował w nim wieczny nieład i bałagan; gdybyśmy jednak miały wprowadzić się tam z Kijanką, James musiałby zmienić swoje zwyczaje, już choćby dlatego, żeby dać nam trochę przestrzeni. Kiedy do niego przyjeżdżałam, musiałam się mocno pilnować, chociaż aż świerbiły mnie ręce, żeby pozbierać papiery z podłogi wokół biurka i jego ubrania rozrzucone wszędzie byle jak. James upierał się, że jemu to odpowiada i nie ma zamiaru niczego zmieniać, dopóki się do niego nie wprowadzę.

- Kupujesz sobie choinkę? - spytał, rozsądnie zmieniając temat.

- Sama się nad tym zastanawiam... Biorąc pod uwagę te wszystkie wyjazdy i przyjazdy, to nie wiem, czy warto się fatygować...

Gdybym poddała się pokusie i kupiła jedno z tych piekielnie drogich drzewek, wystawionych na chodniku przed kwaciarniami, biedna *sapin* spędziłaby większość Bożego Narodzenia samotnie w domu, zrzucając igły, które wciskałyby się w szpary między deskami podłogi, żeby jakimś magicznym sposobem pojawić się całe miesiące później, kiedy komuś przyjdzie do głowy przespacerować się boso po salonie.

W końcu było też mnóstwo innych atrakcji, które zapewniały Kijance świąteczny nastrój. Kościół był obsypany skrzącymi się białymi gwiazdeczkami, które obramowywały okna i zwieszały się z wieży niczym stalaktyty. Na wybrukowanym skwerze przed ratuszem rozgościł się jarmark: stragany z blokami czekolady Yule, imbirowymi piernikami ze Świętym Mikołajem i plastikowymi kubkami *vin chaud*, którego aromat wisiał w zimowym powietrzu zapachem goździków i cynamonu. Tuż obok wirowała karuzela, a dzieciaki wrzeszczały wniebogłosy, zagłuszając disco płynące z głośników.

Nie mogłyśmy ominąć tego okropieństwa w drodze od *taty*, ku wielkiej radości Kijanki. Co wieczór ze stoickim spokojem marzłam, stojąc z boku i wypuszczając białe obłoczki oddechu w mroźne powietrze, podczas gdy Kijanka przemykała obok w lśniącym niebieskim samochodzie, z jedną ręką w rękawiczce na kierownicy, drugą zaś energicznie mi machając.

Nauczyła się nawet śpiewać: *W żłobie leży...* i nagrałam tę kolędę, chcąc zamieścić

ją na blogu w Boże Narodzenie razem z jej fotografią w rogach renifera, specjalnie nieostrą, żeby zachować anonimowość.

Ale ciągle brakowało czegoś bardzo istotnego; w końcu jednak poddałam się i na tydzień przed świętami zapakowałam do wózka Kijanki drzewko i zawiozłam je do domu. Wszystko, co mogło ubarwić moje pierwsze Boże Narodzenie w roli samotnej matki, było warte wysiłku, jeśli nawet na próżno starałam się pokryć nieobecność obu ważnych mężczyzn w moim życiu błyszczącymi bombkami i łańcuchami ze srebrnej folii.

- Która *sapin* podoba ci się najbardziej? - spytałam Kijankę, podwożąc ją wózkiem pod kwiaciarnię na avenue Laumière. - Może ta? - Wskazałam na małą, ale idealną choineczkę z równo rozłożonymi gałązkami obrosniętymi pięknym zielono-niebieskim igliwem. Oczami wyobraźni ujrzałam idylliczny obrazek: Kijanka podaje mi ozdoby jedną po drugiej, w tle rozbrzmiewają kolędy. To mogło być pierwsze Boże Narodzenie, które zapamięta. Powinnam dołożyć wszelkich starań, żeby było wyjątkowe.

- Wolę tamtą! - krzyknęła Kijanka, pokazując żalosego, wysuszonego drapaka wysoko nad moją głową. Wyglądał, jakby przy byle tknięciu miał stracić ostatnie igły i zostać goluteńki. Zdecydowanie nie to sobie wymarzyłam.

- No cóż - powiedziałam dyplomatycznie - piękne drzewko, ale trochę dla nas za drogie i trudno by je było dotaskać do domu...

Czekała nas jeszcze podróż przez park; Kijanka będzie musiała iść pieszo, ustępując wygodnego miejsca w wózku choince.

W końcu zgodziłyśmy się na drzewko średniej wielkości, choć krzywiłam się na cenę, i ruszyłyśmy z nim do domu, gotowe, żeby zacząć je ubierać. Dopiero wówczas zdałam sobie sprawę z ograniczeń własnej wyobraźni. Zapomniałam, jakie kruche są bombki. Nie wzięłam też pod uwagę faktu, że rozmaite spinacze do papieru i agrafki, których używałam do wieszania dekoracji, są niebezpiecznie ostre. Nie mogłam też nigdzie znaleźć płyty z kolędami, która miała wprowadzać nas w świąteczny nastrój, i po trzecim: „Nie, nie rób tak! Uważaj, zaraz się zbije!”, Kijanka straciła zainteresowanie i obrażona pomaszzerowała do swojego pokoju. Jeśli nie mogła zonglować lśniącoymi kulkami ani wkładać ostrych przedmiotów do ust, to gdzie tu zabawa?

Moje fantazje wzięły w łeb, skończyłam dekorować choinkę sama. Cofnęłam się, podziwiając swoje dzieło. Musiałam przyznać, że drzewko wyglądało całkiem niezłe,

mimo że nie udało mi się wykreować świątecznego nastroju.

- Kochanie, chcesz wrócić do salonu? Mamusia zaraz zapali piękne światełka! - zawołałam z ręką na końcówce sznurka, gotowa włączyć go do obluzowanego kontaktu, który właściciel powinien był wymienić lata temu.

Kijanka przyczłapała wolno korytarzem, wbrew woli podekscytowana, ale nie chcąc dać mi satysfakcji, że jej spieszo. Zatrzymała się w drzwiach z flamastrem bez nakrętki w jednej ręce.

Chociaż tylko połowa światełek rozbliły, efekt wciąż był imponujący i Kijanka wydała okrzyk zachwyty, a flamaster potoczył się po podłodze pod kanapę, gdzie został znaleziony miesiąc później kompletnie wyschnięty.

- Święty Mikołaj przyjdzie zostawić tu prezenty - szepnęłam, podnosząc ją do góry, żeby mogła podziwiać z bliska dekoracje; konstelacja iskrzących się gwiazdek odbiła się w jej oczach. - I zostawi też pod choinką u *mamie i papy*, i nawet w Anglii, u babci i dziadka!

W umyśle Kijanki Boże Narodzenie nie było jeszcze niczym sprecyzowanym, tylko po prostu zmultiplikowanym świętowaniem.

- Ale oczywiście tylko wtedy - nie mogłam sobie darować - jeśli będziesz bardzo, bardzo grzeczna...

* * *

Amy i ja wspinałyśmy się po stopniach wiodących ze stacji metra Pont Marie na Quai des Celestines. Zmarznięte na kość z powodu lodowatych powiewów wiatru, z ulgą zanurkowałyśmy w wąską, osłoniętą budynkami ulicę prowadzącą nas prosto na najbardziej wysunięty na południe punkt Marais.

Przy łagodniejszej pogodzie Marais było jednym z moich ulubionych miejsc. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Paryża, całymi godzinami spacerowałam po wszystkich zaułkach wokół rue Saint Antoine, zaglądając przez ozdobne, kute w żelazie ogrodzenia do wypielęgnowanych ogrodów *hôtels particuliers*. W tym czasie czytałam *Niebezpieczne związki* i łatwo mi było wyobrazić sobie wicehrabiego de Valmont, który siedzi w *écritoire*, pisząc list do księżnej de Merteuil albo grupki arystokratów w wypudrowanych perukach, krążących po parku w oczekiwaniu, aż zaprzęgą konie do karet. Prywatne rezydencje ustąpiły teraz miejsca muzeom i różnym oficjalnym budynkom, ale nigdy nie

mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że z chwilą, kiedy wchodzę w te wąskie uliczki, cofam się w czasie.

- Więc jaka jest ta restauracja? - spytała Amy.

Szłyśmy na pracownicze obchody Bożego Narodzenia, co było dość skromną imprezą, zważywszy na fakt, że zawsze odbywała się w porze lunchu i nigdy nie było wiadomo, czy musimy potem wrócić do biura.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparłam, marszcząc brwi. - Nikt niczego mi nie zdradził.

W poprzednich latach to ja organizowałam te spotkania, ale od października popadłam w niełaskę u mojego szefa, zatem to zadanie zostało przydzielone komuś innemu.

- Ale chyba stosunki między wami się ostatnio poprawiają, prawda? - spytała Amy, wskazując na plecy szefa, który wraz z innymi pracownikami szedł przed nami.

Całe biuro kroczyło już w zgodnym marszu; my dwie zamykałyśmy pochód.

- Tak, trochę - przyznałam. - Chociaż ciągle nie rozumiem, co nas poróżniło i co się teraz zmieniło na lepsze. Mam zamiar siedzieć cicho i cieszyć się tym, póki się da. Gdyby ten stan rzeczy udało się utrzymać do mojego odejścia w lecie, byłoby idealnie...

Pod koniec roku zawsze było mnóstwo roboty i po raz pierwszy miałam szansę zamienić parę słów z Amy od czasu przyjęcia, które wydała parę tygodni wcześniej. Przyszedł z Jamesem - mieszkał wtedy u mnie - i Amy polubiła go, w każdym razie tak twierdziła. Przez cały wieczór prześladowało mnie uczucie, że James tu nie pasuje, ale w końcu nie było co się dziwić. Miał czterdzieści lat, podczas kiedy większość jej gości była ledwo po dwudziestce. I ostatecznie nie musiał się wpasowywać w moje paryskie życie towarzyskie. To ja miałam się przeprowadzić do niego.

- Jeszcze tylko sześć albo siedem miesięcy! - pocieszyła mnie Amy ściszym głosem, żeby nikt nie dosłyszał. - To minie jak z bicza strzelił.

- Mam nadzieję - odparłam. - Chcę mieć prawdziwy związek, z krwi i kości, jestem już zmęczona tym czekaniem...

- Przynajmniej James może przyjeżdżać i zostawać, jak długo mu się podoba - powiedziała z nutą zazdrości Amy. - Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o Tomie.

Tom nie pokazał się na jej przyjęciu i wiedziałam, że bardzo ją to zabolalo.

- Tu akurat mi się poszczęściło - przyznałam. - Chociaż, skoro już o tym mowa, James nie planuje do mnie przyjeżdżać aż do Nowego Roku. Mam wrażenie, że ma już trochę dość życia na walizkach...

- Będzie mi ciebie brakowało - Amy nagle spoważniała. - Jesteś jedną z niewielu osób, z którymi naprawdę mogę porozmawiać. Wiem, że mogę przeczytać twoje wynurzenia na blogu, ale to nie to samo...

- Przecież będę tu przyjeżdżać - zapewniłam ją wzruszona. Chciałam jakoś przypieczętować naszą pogłębiającą się przyjaźń. - Są jeszcze telefony i e-maile. Musisz przyjechać do nas z wizytą, jak tylko zmienimy mieszkanie na większe. Ale przed nami jeszcze długa droga.

* * *

Wsiadłam do pociągu w piątek wieczorem po pracy, dwa dni przed Bożym Narodzeniem, rozdygotana oczekiwaniem. Amanda i Carrie były na nartach z matką i jej nowym partnerem, zatem James i ja mieliśmy spędzić święta sami, dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Wyobraziłam sobie, jak jemy kolację przy świecach i kładziemy się wcześniej do łóżka z butelką szampana. Nie mogłam się tego doczekać przez trzy tygodnie, a teraz tylko trzy godziny dzieliły mnie od otwartych ramion Jamesa. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Montparnasse, kipiałam z podniecenia.

Najpierw, kiedy TGV pędziło w kierunku Rennes, przypisałam ucisk w gardle klimatyzacji. Ale kiedy z nosa zaczęło mi cieknąć jak z zepsutego kranu, a w skroniach odezwał się ból, wiedziałam, że nie jest dobrze. Kiedy dojechalśmy do Rennes, miałam gorączkę, mroczki przed oczami i marzyłam tylko o tym, żeby położyć głowę na chłodnej poduszce.

- Nie wierzę - wychrypiałam dwa dni później. - Tak bardzo czekałam, żeby cię zobaczyć, a teraz ledwo żyję. To takie niesprawiedliwe. Jediną świąteczną ozdobą jest mój czerwony nos.

- Cóż, szkoda, wiem, ale nie ma co popadać w rozpacz, skarbie - powiedział James rezolutnie, przykładając mi dłoń do spoconego czoła.

Miałam ochotę odtrącić jego rękę. Nie chciałam rozsądnych tłumaczeń. Chciałam romansu i pasji, chciałam naszej dawnej namiętności. A już przynajmniej dowodu, że

podziela moje gorzkie rozczarowanie. Podzielał ten James, który wysyłał mi w kwietniu tak gorące listy, że aż ugierało mnie w nogi? Gdzie się podział mężczyzna, który kiedyś wyznał, że na widok mnie nie może przejść, kiedy idę przez pokój, ledwo się powstrzymuje, aby nie porwać mnie do najbliższego łóżka?

Opadłam z powrotem na podłogę, aby wziąć chusteczek; czułam się oszukana, obrabowana. James zdążył mi oznajmić, że wraca do domu przez prawie cały styczeń, bo się wybiera do rodziców do Anglii, i - jak się okazało - w grudniu też ledwo zdążyliśmy się zobaczyć. Tak bardzo chciałam, aby święta Bożego Narodzenia były magiczne, żeby coś znaczyły. Mogły być. Tymczasem weekend upłynął na walce z gorączką i teraz nasz wspólny czas był.

- Tylko pomyśl, następne święta spędzimy się z tego razem śmiać - powiedział James, gładząc mnie, tym samym, który przedtem stosował wobec córek. - Leż sobie spokojnie, nie myśl o niczym więcej.

- Dzięki - wybąkałam słabym głosem, z nadzieją, że to nie będzie rozczarowania.

Prosiłam Świętego Mikołaja o żar namiętności, aby w końcu mogłam się pozbyć ni(j) Tj0.0 2 Tc (a) Tj0.(a)0c () Tj-n Tj

25.

Ulgą

- Wyglądasz na naprawdę zmęczoną - zauważyła Amy, kiedy wyciągnęłam się na krzesło przy kuchennej ścianie i zamknęłam oczy.

Bezmyślnie pogryzałam sałatkę, w końcu odsunęłam ją jednak na brzeg talerza, nie mogąc wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu.

W moich wyschniętych ustach zielony liść smakował zupełnie jak papier ryżowy.

- Mam doła - wyjaśniłam z westchnieniem. - Mam już dość bycia samej. Wpadłam w depresję. Nie mogę sobie z tym poradzić. Ale jakoś muszę.

W ciągu tych dwóch tygodni od Bożego Narodzenia odniosłam wrażenie, że z wolna zapadam się w ruchome piaski. Świat wokół mnie stał się bezbarwny, bez smaku i zapachu. Zwlekałam się rano z łóżka, wyprawiałam Kijanę i z najwyższym wysiłkiem ciągnęłam swoje bezwolne ciało do biura. Jakby wisiała nade mną czarna chmura, rzucając ponury cień.

Zacząłam pisać tekst na blogu o swoim złym samopoczuciu, mając nadzieję odpędzić ponury nastrój poprzez stawienie mu czoła. Kiedy trawiła mnie zazdrość, to w jakimś stopniu pomogło, ale tym razem nie zdało egzaminu. Mogłam napisać, jak się czuję, ale nie dlaczego. Dawanie upustu wątpliwościom, omawianie ich na blogu na oczach Jamesa, mogłoby wyrządzić nieodwracalne szkody. Bałam się, że owładnięta pesymizmem pociągnę za jedną nitkę i rozpruję całą materię naszego związku.

James był bezsilny w obliczu mojego przygnębienia; nie było słów, którymi mógłby mnie pocieszyć i przywrócić do pionu. Czarne chmury same musiały się rozproszyć we właściwym czasie. Szlochając do telefonu, łaknęłam jego fizycznej bliskości, opiekuńczych ramion. Chciałam położyć mu głowę na piersi i usłyszeć miarowe, regularne bicie jego serca.

Amy odsunęła krzesło i podeszła do szafki kuchennej. Zaczęła grzebać za torebkami herbatek, preferowanych przez nasze francuskie współpracowniczki - były to różne mieszanki ziołowe, które podobno miały cudowne właściwości odchudzające i oczyszczające organizm - i wyciągnęła dużą tabliczkę czarnej czekolady, schowanej na

tyłach.

- Masz, zjedz kawałek. Czasem to naprawdę jedyne lekarstwo.

- Wiesz, co jest najgorsze? - spytałam, rozwijając srebrną folię i odłamując sobie kawałek. - Jestem okropna dla Jamesa. Przekręcam jego słowa, odpycham go, zasypuję pretensjami... Przecież właściwie to miło z jego strony, że chce spędzić dwa tygodnie z rodzicami w Anglii, kiedy jego ojciec dochodzi do zdrowia. A ja każę mu czuć się za to winnym...

- Rekomendowana doza to dwa kawałki - powiedziała Amy głosem niebudzącym sprzeciwu. Zwracała się do mnie bardziej jak szkolna pielęgniarka zalecająca gorzkie lekarstwo niż jak przyjaciółka częstująca czekoladą, i mimo woli na moich ustach pokazał się cień uśmiechu. - On na pewno wie, że to tylko takie depresyjne gadanie - dodała, sama biorąc dwa kawałki i przesuwając tabliczkę po stole w moją stronę. - Trudno mieć ci to za złe. Ale może jest jakiś sposób, żebyś tam pojechała? Odwiedziła go, kiedy jest w Anglii?

- Nie sędzę, żeby jego rodzice marzyli teraz o jakimś brzdącu pętającym im się między nogami - wyraziłam wątpliwość. Pan Żabojad wyjeżdżał na dwa kolejne weekendy. Nie mógł sobie wybrać gorszego czasu. - Ale, skoro już o tym mowa, rodzice Jamesa rzeczywiście mieszkają dość blisko moich...

Amy zaszczerpiła mi pewien pomysł i jak tylko szef poszedł na popołudniową konferencję, zaczęłam sprawdzać możliwości wyjazdu.

- Mam wspaniałą nowinę! - oznajmiłam, kiedy James tego wieczoru odebrał telefon. - Rozmawiałam z moją mamą, a ona zaoferowała się zaopiekować Kijanką podczas następnego weekendu! Mogłabym przylecieć w piątek, spotkać się z moimi rodzicami na lotnisku, a potem przyjechać do ciebie i poznać twoich rodziców. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście... - zawiesiłam głos. Moje triumfalne, radosne oświadczenie zamieniło się w ostrożne pytanie, moja pewność siebie zawisła na jednej, jedynej nutce. A gdyby odpowiedział: „nie”? Co wtedy? Jego ojciec był chory i James pojechał tam, żeby go wspomóc. Jego rodzice mogą nie być zachwyceni niespodziewaną wizytą towarzyską. Nastąpiła nieznośna cisza. Wstrzymałam oddech.

- Przeciwno? Oczywiście, że nie mam nic przeciwko, głuptasku. To fantastyczna wiadomość! Mama i tata się ucieszą, że mogą cię poznać i jest tu tyłu moich znajomych, którym chciałbym cię przedstawić!

- Och... dzięki Bogu! Przez chwilę myślałam... - Odczułam taką ulgę, że roześmiałam się na głos.

Kijanka, która pluskała się obok w wannie, spojrzała na mnie z zainteresowaniem. Choć robiłam, co mogłam, żeby ukryć przygnębienie przed córką, była jak zawsze wyczulona na moje nastroje. Instynktownie wiedziała, że te wszystkie inne uśmiechy, do których się zmuszałam, były sztuczne, podczas gdy ten był niewątpliwie prawdziwy. Odwzajemniła mi go w lustrze.

- Logistyka będzie oczywiście trochę skomplikowana - dodałam, radośnie podniecona. - Ale zaraz zadzwonię do rodziców, musimy tylko uzgodnić wszystkie szczegóły...

- Fantastycznie. Wobec tego od razu zarezerwuj bilety na samolot. Słuchaj, muszę kończyć, matka właśnie podała kolację, ale to świetny pomysł. Skontaktuję się z paroma przyjaciółmi i umówimy się na wspólne spotkanie.

- Wspaniale! Dzięki Bogu, że to da się zorganizować. Myśl o tym, że nie zobaczę cię przez cały miesiąc, była nie do zniesienia.

Złapałam się na tym, że wyjmując Kijankę z kąpieli, nucę sobie pod nosem ulubioną piosenkę. Chmury zaczęły się rozpraszać. Za tydzień zobaczę Jamesa. Najwyższy czas.

* * *

Dzień przed podróżą do Anglii chwyciłam klucze do mieszkania Pana Żabojada, walcząc z protestującą Kijanką i modląc się, żeby nie powtórzyła przed drzwiami przedstawienia z poprzedniego dnia, kiedy tarzała się po podłodze i wrzeszczała jak opętana, a ja tylko zaciskałam bezsilnie zęby. Jej głośne napady złości stały się codzienną rutyną i współczułam naszym sąsiadom.

- Chcę skończyć moją układankę! - ryczała na cały głos, ignorując mój gest palca na ustach.

- Później, kochanie - obiecałam, świadoma, że zanim przyjdzie „później”, zapomni o całej sprawie.

Winda z zadyszka zjechała na parter - ta zadyszka stawała się coraz cięższa, chyba należałoby zrobić jakiś przegląd? - i po zapięciu Kijanki w wózku, wyruszyliśmy do „domu tatusia”. Pan Żabojad był w podróży służbowej, a poprzedniego ranka, kiedy odwoził ją do *taty*, zapomniał przymocować do wózka namiocik ochronny. Niebo

wyglądało dość groźnie, a prognoza pogody na weekend w Yorkshire nie była wcale lepsza, więc rano w pośpiechu zadzwoniłam do niego na komórkę, żeby spytać, czy mogę wpaść do jego mieszkania i zabrać to nakrycie podczas jego nieobecności.

Kiedy otworzyłam drzwi, Kijanka wbiegła do środka, z miejsca czując się jak u siebie w domu. Zatrzymałam się na progu. Jakoś głupio się tu czułam bez Pana Żabojada, zupełnie jakbym włamywała się do cudzego mieszkania. Moje własne niewiele się zmieniło od jego wyprowadzki, ale tu miałam żywy obraz nowego początku, wypełniony meblami, które kupił beze mnie. Wejście do środka było jak wdzieranie w jego nowe życie.

Natychmiast wypatrzyłam nakrycie na wózek, ale jeszcze go nie podniosłam. Przesunęłam się do sypialni, idąc za Kijanką. Pokój był surowy, żaluzje opuszczone do połowy. Zmięta pościel na futonowym materacu stanowiła znajomy widok; piżama Dora Explorer równo złożona na poduszce Kijanki to było coś nowego. Rozmawialiśmy o kupieniu dla niej normalnego łóżka, w końcu jednak nadal spała w swoim rozkładanym podróżnym łóżeczku z dodatkiem grubszego materacyka. Wyglądało to wciąż prowizorycznie, chociaż Pan Żabojad wyprowadził się już pół roku temu.

Kijanka natychmiast chwyciła książeczkę i nawet nie zauważyła, jak wymknęłam się z sypialni. Ciekawość wzięła górę: zaczęłam myszkować.

Wkradłam się do kuchni, najmniej „oswojonego” pomieszczenia; płyta kuchenna była tak nieskazitelnie czysta, że zapewne nigdy jej nie używano. Otwarte opakowania z herbatnikami czekoladowymi i innymi słodyczami zaśmiecały całą przestrzeń - był to dokładnie ten rodzaj niezdrowych produktów, które Pan Żabojad wrzucał mi ukradkiem do koszyka we Franprix, kiedy nie patrzyłam - i mogłam się założyć, że gdybym otworzyła szafkę, znalazłabym chińskie zupki w proszku, na jakich żył, dopóki się nie poznaliśmy.

Postawiłam sobie granicę - nie zajrzałam do szafek - ale przypomniał mi się maleńki pokój z opadającą podłogą, który dzieliliśmy na rue de Vaugirard. Od tego czasu przeszliśmy długą drogę, jednak najwyraźniej wrócił do swych kawalerskich zwyczajów, jakby przez te osiem lat nic się nie wydarzyło. Słyszac kroki Kijanki, nagle poczułam się, jak przyłapana na gorącym uczynku.

- Skarbie! Idziemy! - krzyknęłam.

Wycofałam się z kuchni, chwyciłam przykrycie na wózek, a drugą ręką Kijankę i wyszłam na klatkę schodową.

Ale wejrzenie w świat, który Pan Żabojad zbudował z popiołów naszego związku, ścigało mnie przez resztę dnia. Przypomniało mi, przez co kazałam mu przejść, i zasmuciło mnie jego samotnością, którą wyczułam w kuchni. W porównaniu z jego losem moje poświęcenie przygnębienie nagle zaczęło wyglądać trywialnie. Może i czułam się teraz samotna, ale w ciągu tych sześciu miesięcy miałam wszystko, o czym marzyłam, odkąd w maju spotkałam Jamesa. A czego mógł oczekiwać Pan Żabojad?

* * *

- W piątek w tym domu pije się gin i tonik - powiedziała Jane następnego wieczoru, zajęta krojeniem cytryn, podczas gdy Nick, jej mąż, nalewał nam hojne porcje ginu do szklaneczek, gdzie entuzjastycznie obijały się o siebie kostki lodu. - Wypijesz z nami, Catherine, prawda?

- Niegrzecznie byłoby odmówić - zaripostowałam dzielnie. Rozglądałam się po ich kuchni i starałam się wychwycić, co czyni ją taką nieodparcie angielską, pomimo faktu, że ostatnio większość ludzi - zarówno we Francji, jak i w Anglii - kupowała wszystko w Ikea.

Jane, brunetka o okrągłych kształtach, parę lat starsza ode mnie, z sarkastycznym poczuciem humoru i atrakcyjnymi zmarszczkami śmiechu wokół oczu, zdawała się być zadowolona z kart, które rozdało jej życie, i słusznie. Poznała Nicka, przystojnego przedsiębiorcę, w wieku trzydziestu paru lat; teraz byli małżeństwem z dwójką dzieci, które właśnie położyli do łóżek. Przelotne ukłucie zazdrości, jakiego doświadczyłam, kiedy weszliśmy z Jamesem do ich gustownie urządzonego domu, szybko zostało zneutralizowane przez ich swobodną naturalność. Od początku starali się, jak mogli, żebym poczuła się jak u siebie i trudno było ich nie polubić.

Nick był jednym z najstarszych przyjaciół Jamesa. Chodzili razem do pobliskiego liceum i utrzymywali ze sobą kontakt mimo życia na odległość. Z zafascynowaniem obserwowałam, jak James rozkręca się w ich obecności, jak opadają z niego lata. Zawsze uważałam, że ludzie w towarzystwie dawnych znajomych wracają do swoich korzeni, byłam zatem ciekawa, czego nowego się o nim dowiem.

- Jak słyszę, masz zamiar przenieść się w lecie do Rennes - powiedział Nick, podając mi szklaneczkę. - To będzie wielka zmiana po życiu w stolicy...

- Z pewnością. - Posłałam Jamesowi powłóczyście spojrzenie. - Ale Rennes ma kilka innych rzeczy do zaofiarowania...

James objął mnie ramieniem. Wyczułam, że trochę się mną puszy, czemu niewątpliwie sprzyjał fakt, że byłam o dobrych kilka lat młodsza od innych żon i partnerek jego kolegów.

Niemniej wciąż dręczyło mnie pytanie, jak wypadam w ich oczach w porównaniu z jego byłą żoną czy Eve. Nigdy nie zdołałam pozbyć się widma poprzednich kobiet Jamesa.

- A teraz... - zaczęła Jane, siadając naprzeciwko mnie w ogrodzie zimowym, który dobudowali na tyłach kuchni. Odsunęła nogą stos zabawek i położyła wypedikuiowaną gołą stopę na podnóżku. - Teraz musisz mi opowiedzieć, jak się poznaliście. Czy to prawda, że połączył was Internet?

Zaczerwieniłam się i ręka, którą podnosiłam szklanekę do ust, zawisała mi w powietrzu. Od czego, na miły Bóg, mam zacząć? Ile już wiedzą? Czy ona chociaż wie, co to jest blog? Na szczęście James spostrzegł moje wahanie i pospieszył mi z pomocą, wdając się w szczegółowe wyjaśnienia. Sączyłam wolno drinka, obserwując ukradkiem Jane.

Powód mojego zakłopotania był prosty. Nasza historia - jakkolwiek romantycznie przedstawiałam ją sobie w myślach czy na blogu - w opowieści na żywo brzmiała nieco trywialnie. Nie dało się uciec od faktu, że kiedy się poznaliśmy, żyłam z ojcem mojego dziecka; że go zdradzałam, a potem wyprosiłam z domu; że nasz związek z Jamesem był zbudowany na ruinach innego związku. Jane też była matką. Co sobie musiała o mnie myśleć? Jaką impulsywną, egoistyczną kretynką trzeba być, żeby porzucić swojego partnera dla kogoś, kogo się spotkało dwa razy w życiu?

Ale jeśli nawet Jane była zdumiona czy zaszokowana, nie pokazała tego po sobie i rozmowa potoczyła się w kierunku samego Internetu. Nick zaczął wypytywać, jaką mam statystykę odwiedzin i wyraził zdanie, że przy liczbie moich czytelników jego korporacja, dla której pracuje, może się schować w mysią dziurę. Dałam przykłady tematów, jakie poruszam: ataki złości u córki, przystosowanie się do separacji z jej ojcem, codzienne kłopoty. Przyznałam, że napisałam o połowę mniej postów w styczniu i właściwie zaczyna mi ostatnio brakować konceptu. Później, kiedy przeniosłam się z Jane do kuchni, żeby

przygotować nam drugiego drinka, ona wróciła do pogawędki o mnie i Jamesie, ale w jej głosie nadal nie było śladu dezaprobaty czy reprimendy.

- Na pewno nie jest ci łatwo. Musisz sama sobie radzić z rozpadem dawnego związku i z malutką - powiedziała, uzupełniając moją szklaneczkę, podczas gdy James i Nick studiowali potrawy na wynos z menu pobliskiej restauracji hinduskiej. - Naprawdę się cieszę, że widzę Jamesa z kimś miłym. Oboje wyglądacie na szczęśliwych. Dam głowę, że nie możesz się doczekać, żeby się przenieść do Bretanii...

- Masz rację, nie mogę się doczekać - przyznałam entuzjastycznie.

I to była prawda. Od momentu, kiedy spotkaliśmy się na lotnisku, moja wiara w nas odżyła. Moi rodzice odjechali z Kijanką machającą mi radośnie przez tylne okno, a on mnie przytulił i pocałował z namiętnością, która mówiła wszystko.

- Dopilnuj, żebyśmy dostali zaproszenie na ślub - dodała Jane, wrzucając mi kostkę lodu do szklanki.

Zaszumiało mi w głowie. Czyżby James coś jej o tym wspominał, czy to tylko wyciąganie informacji? Pewno to ostatnie, uznałam, chociaż nie mogłam być pewna.

- Będziecie pierwsi, którzy się dowiedzą - obiecałam z tajemniczym uśmiechem.

Jane podniosła szklankę w milczącym toaście. Kiedy się stuknęłyśmy, James i Nick spojrzeli na nas jak jeden mąż, wyraźnie zadowoleni, że obie tak dobrze się dogadujemy. James nie miał najmniejszego pojęcia, o czym rozmawiamy, a ja nie miałam zamiaru go oświecać. Zamiast tego wypiliśmy wszystko do dna, odstawiłam szklankę na kredens i zainteresowałam się, co zamawiamy na kolację.

26.

Dryf

Dwa tygodnie później, w Paryżu, biegłam z pracy do domu, żeby złapać trochę cennego czasu z Jamesem, zanim przyjdzie Amy. Ona i ja - wraz z połową naszego biura - zostałyśmy zaproszone na babskie plotki do koleżanki. Kijanka była u ojca i James miał zostać w domu sam. Zapewniał mnie, że mu to w najmniejszym stopniu nie przeszkadza, i twierdził, że ma mnóstwo roboty, chociaż był piątkowy wieczór. Niemniej czułam się winna. Umówiłam się na to spotkanie wieki temu - skąd mogłam wiedzieć, że to będzie kolidować z jego pierwszym przyjazdem do mnie od czasu Bożego Narodzenia? Miałam wielką ochotę nigdzie nie iść, ale ani James, ani Amy nie chcieli o tym słyszeć.

Kiedy metro zatrzymało się na stacji Buttes Chaumont i drzwi rozsunęły się ze znajomym brzęczkiem, wyszłam na peron, snując własne plany. Wskoczę pod prysznic, kombinowałam, a potem zaciągnę go na chwilę do łóżka, zanim przyjdzie czas, żeby wcisnąć się w wyjściowe ciuchy. A przed wyjściem zamówię mu pizzę. Tak, to będzie miły gest. Nie będzie musiał nic sobie przyrządzać.

- Cześć, skarbie, wróciłam! - zawołałam od progu, usiłując bez większego powodzenia naśladować amerykański akcent.

Nie było odpowiedzi, co mnie zdziwiło. Zwykle na dźwięk zatrzymującej się windy albo moich kroków na podeście James biegł do drzwi, zanim jeszcze zdążyłam włożyć klucz do zamka. Spojrzałam w głąb korytarza. Przez uchylone drzwi do salonu widziałam puste krzesło przed stołem jadalnym i zgaszony, czarny monitor komputera.

James siedział bez ruchu na kanapie, z powieścią kryminalną zwisającą mu z rąk. Był blady jak kreda. Albo miał jakąś złą wiadomość - może dotyczącą ojca? - albo coś okropnego w zanadrzu. Wskoczenie między prześcieradła należy chwilowo odłożyć na półkę, pomyślałam rozczarowana, zdając sobie sprawę, jakie to egoistyczne z mojej strony.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz jakoś niewyraźnie...

Nie podeszłam, żeby go uściskać: w jego postawie było coś, co nie zachęcało do kontaktu. Zatrzymałam się niepewnie na środku pokoju.

- Chyba zjadłem coś, co mi zaszkodziło. - Położył rękę na brzuchu. - Nie czuję się za dobrze.

W tym momencie przypomniałam sobie, że tak samo narzekał podczas poprzedniej wizyty, niemal trzy miesiące temu, na początku grudnia. Najwyraźniej Paryż mu nie służył.

- To dziwne - zauważyłam, marszcząc brwi - bo ja czuję się świetnie, a przecież jedliśmy to samo. Może złapałeś jakiegoś wirusa w pociągu...

James był świeżo ogolony i miał na sobie żółty sweter, co dodatkowo podkreślało jego bladość. Wolałam, kiedy miał odrobinę zarostu, i byłam, w razie czego, przygotowana na drapanie jego twardej szczecinki. Utył, odkąd się poznaliśmy, oboje utyliśmy - syte zadowolenie zbierało swoje żniwo. Spodnie bardziej niż przedtem opinały mi biodra, a u niego odbiło się to głównie na twarzy; nie była już tak gładka i kanciasta jak niegdyś; skóra wokół szczęk zaczynała mu zwisać.

- Dasz sobie radę sam? - spytałam z troską. - Bo mogę zmienić plany, jeśli...

- Nie, nie, nie rób tego! - przerwał, nie dając mi skończyć. - Po prostu wcześniej położę się spać i jutro wszystko będzie dobrze. Nie martw się o mnie.

- W porządku, jeśli jesteś pewien... - Westchnęłam bezgłośnie z ulgą. Parę miłych chwil z Jamesem to jedno, ale opiekowanie się chorym to całkiem co innego i nie o tym marzyłam. - W takim razie wezmę szybki prysznic i zacznę się szykować. Chyba że chcesz filiżankę herbaty albo coś?

Zaprzeczył ruchem głowy. Przeniosłam się do sypialni, wciąż w płaszczu, i usiadłam na brzegu łóżka; rozpięłam kozaczki i uwolniłam łydki z ich więzienia. Tak, zdecydowanie przybrałam na wadze: przedtem kozaczki mnie nie uwierały.

Rozcierałam czerwone ślady po zamku błyskawicznym pod kolanami, kiedy w drzwiach pojawił się James. Kątem oka spostrzegłam, jak przysiadł przed moim komputerem, który nagle wydał mi się śmiesznie mały, jakby przygnieciony jego wzrostem.

- Catherine?

W jego głosie, w sposobie, w jaki wypowiedział moje imię, było coś takiego, co kazało mi mieć się na baczności. Wyprostowałam się, biorąc głęboki oddech i bez słowa czekając na to, co, jak wyczułam nagle szóstym zmysłem, musi nastąpić. Na chwilę

zamknął oczy i przełknął ślinę z takim grymasem, jakby oczyszczał przelyk z żółci.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Ale nie mogę tego dłużej ciągnąć.

Coś zadzwoniło mi w uszach i przez chwilę myślałam, że zemdleję albo wyjdę ze swojego ciała, żeby nie słyszeć, co ma do dodania. Ale choć zamgliło mi się przed oczami, natychmiast przyszło otrzeźwienie: nie było ucieczki.

- Przykro mi, że tak jest - kontynuował zbolalym tonem. - Naprawdę chciałem, żeby nam się udało.

- Nie wierzę własnym uszom. Po tym wszystkim, co razem... po tym wszystkim, co ja...

Ale nie było sensu kończyć mojego bezradnego protestu. Przycisnęłam palce do skroni, pochyliłam głowę i oparłam się łokciami o kolana, zwijając się w ciasną, defensywną kulkę. W pozycję ochronną, jak to nazywają w tych laminowanych instrukcjach wetkniętych w kieszenie na oparciach foteli samolotów. Instynktownie przybrałam pozycję, która nie daje żadnej obrony przed okrutnymi, raniącymi słowami, które na mnie spadały.

- Nie mogę pozwolić, żeby to posunęło się za daleko. Nie mogę pozwolić, żebyś zlikwidowała wszystkie swoje sprawy w Paryżu i przeniosła się do mnie do Rennes. Ponieważ nie sądzę, abym chciał spędzić z tobą resztę życia. Chyba nie.

Nie mogłam podnieść głowy. Nie chciałam patrzeć w twarz, z której wydobywał się ten głos.

- Już mnie nie kochasz - powiedziałam bezradnie.

Ciche łzy zgromadziły mi się za okularami i pociekły w głąb rękawów płaszcza, mocząc mi przedramiona.

- Kochałem cię. I nadal cię kocham. Ale nie dość. Przykro mi.

Może to sobie wyobrażałam, ale wydawało mi się, że on także szlocha.

A więc to koniec. Garstka niewinnie brzmiących, codziennych słów zmasakrowała wszystkie moje nadzieje, wszystkie marzenia, wszystkie obietnice, których trzymałam się od dnia, kiedy się spotkaliśmy. Widziałam, jak stoimy przytuleni do siebie na rogu ulicy tego pierwszego wieczoru, zanim uciekłam do taksówki. Widziałam, jak leżymy spleceni w hotelowym łóżku, a moje palce u nóg zwijają się z rozkoszy. Widziałam jego dłonie na moim brzuchu w kąpielni. Domek z kart rozsypał się pod jednym okrutnym podmuchem

wiatru. Świat rozpadał się na moich przerażonych oczach.

Kiedy niemądrze zostawiłam Pana Żabojada, z całą beztroską przypięłam się do Jamesa, budując z nim każdą sekundę przyszłości. Byłam świadoma ryzyka, wiedziałam, że miłość nie jest zagwarantowana na zawsze, ale i tak rzuciłam się w nową przygodę na łeb, na szyję. Tak bardzo byłam spragniona intensywnych przeżyć i dostałam, czego chciałam - za wysoką cenę.

- Wynoś się - powiedziałam nagle; te słowa padły z moich ust szorstko i zdecydowanie.

Nie miałam zamiaru poniżać się i błagać go, żeby został. Lepiej zrobić szybkie cięcie, jeden ruch skalpelem i już. Usłyszałam, jak zbiera swoje rzeczy z błogosławionym pośpiechem, jego walizka już i tak była prawie spakowana, najwyraźniej w przewidywaniu rozwoju wydarzeń. Usłyszałam, jak zapina zamek błyskawiczny na futerale swojego laptopa, wkłada ręce w rękawy marynarki, zawiązuje sznurowadła.

- Przepraszam - powiedział znowu spod drzwi.

Łzy ciekły mi po policzkach, włosy lepiły się do twarzy, w ustach czułam gorzyc. Nie podniosłam głowy.

Kiedy drzwi frontowe zamknęły się za nim z głuchym trzaskiem, powędrowałam wzrokiem do czegoś, co błyszczało przy moim komputerze: był to pęk kluczy do mojego mieszkania, który mu dałam.

Zwinęłam się na łóżku, nadal w płaszczu, i rozryczałam się na cały głos; łkałam i chlupałam w poduszkę, aż rozboleła mnie głowa i zaschło w gardle. Niecały rok temu, kiedy wygłaszałam swoje przemówienie, na tym miejscu siedział Pan Żabojad. Teraz nadeszła moja kolej. Oba związki zaczęły się w Café Chabron i skończyły tutaj, w tym samym pokoju, szydząc ze mnie swoją idealną symetrią.

* * *

„Nie mogę przyjść, przepraszam”, wysłałam do Amy SMS-a, kiedy minął mi pierwszy atak płaczu.

„Dlaczego, do cholery?”, odpisała natychmiast.

Widziałam, że jest zła, zapewne uważała, że jestem rozleniwiona po rozkosznym baraszkowaniu w łóżku, ale nie mogłam się zmusić, żeby jej wyjaśnić, co zaszło, jeszcze nie teraz. Postanowiłam zatem niczego nie pisać. A gdybym zadzwoniła, głos by mnie

zawiódł. Przyszłaby tutaj, zobaczyła, jaki robię z siebie żaloszny spektakl, namawiała do wyjścia i zabroniła mi tonąć we łzach w samotności. Ale babskie plotki były ostatnią rzeczą, na jaką miałam teraz ochotę. No i istniał jeszcze cień nadziei, że może, a nuż, rozlegnie się pukanie do drzwi. James wróci na kolanach, błagając mnie o przebaczenie. Zrozumię, że popełnił potworny błąd. I choć chciał odejść, po prostu nie może.

Jednakże o północy, zrezygnowana, pogodziłam się z porażką. James nie wróci; w gruncie rzeczy na pewno był już w Rennes. Z suchymi oczami i kamiennym spokojem podjęłam decyzję, co zrobić. Pozwolę *petite anglaise* przynieść złą nowinę. Pozwolę jej przedestyłować mój ból, mój szok, moje niedowierzanie w szereg zgrabnych zdań; pozwolę jej przyszpilić moje wzburzone emocje słowami na stronie. Nasz związek zrodził się na blogu, czy więc nie tam było właściwe miejsce, żeby całemu światu ogłosić jego koniec?

Kiedy raz wcisnę klawisz „publikuj”, nie będę już miała żadnego wyboru. Będę musiała stanąć twarzą w twarz z ponurą rzeczywistością, zdusić w zarodku wszelkie płonne nadzieje na rekonyliację. Oto, co napisałam:

Jestem łódźką bezsterudrjmu ącą wkó lko bez ładu sk ładuna ~~brzo~~ym morzu
łez On mnie już nie chce.

Po raz drugi w historii bloga wyłączyłam komentarze, wysyłając mój krzyk rozpaczony w cyberprzestrzeń i szybko się wycofując. Nie miałam ochoty usłyszeć chóru: „A nie mówiłam/mówiłem?” i „biedna, biedna”; wiedziałam też instyktownie, że moi czytelnicy od razu potępiają Jamesa na bazie tych skromnych informacji, jakie mieli do dyspozycji.

Kiedy już wysłałam post, od razu wpełzłam do łóżka - wykończona, wyczerpana i w pełni ubrana.

Parę godzin później obudził mnie znajomy odgłos jego głębokiego i regularnego oddechu. Wyciągnęłam senne ramię i położyłam je na jego ciepłym i gładkim torsie, czując, jak podnosi się i opada. Uniosłam głowę, żeby przyjrzeć się jego pogrążonej w cieniu i we śnie twarzy. Był tutaj, ze mną; mój świat wrócił do normy.

Aż w jednym nagłym, budzącym mdłości hańście, wróciło wspomnienie jego słów i

uderzyło mnie z całą siłą, rozsypując w drzazgi okrutną iluzję. „To nieprawda - krzyknęło coś we mnie. - Jego tu nie może być!“. Zaczęłam przebijać się przez aksamitne pokłady snu, zmuszając się, żeby się obudzić. Mój sen zaraz przejdzie w koszmar, muszę jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię. Z rosnącym przerażeniem patrzyłam, jak powieki Jamesa drgają i się otwierają. Chciałam cofnąć ramię, ale je przytrzymał, wczepiając się palcami w mój nadgarstek. „Puść mnie!“. Głośny protest ścisnął mi gardło i wydobył się zeń jak śmieszny skrzek.

Nagle ciałem Jamesa wstrząsnął suchy kaszel, który stawał się coraz gwałtowniejszy, aż w końcu spowodował wymioty. Skuliłam się ze zgrozy i patrzyłam, jak wyrzucał z siebie coś czarnego i kleistego na pościel; jego oczy były równie przerażone jak moje. Wbiłam paznokcie wolnej ręki w twarz, gryząc własne palce, żeby się obudzić.

Nic mi jednak nie pomagało. James zaczął się rozpadać na moich oczach, jęcząc przeraźliwie, jakby konał z bólu. Po chwili obok mnie w miejscu, gdzie było jego ciało, została tylko kałuża czegoś cuchnącego i obrzydliwego.

Zlana potem, z sercem walącym jak młot, otworzyłam oczy i zobaczyłam puste łóżko. Koszmar senny minął, ale kiedy przysunęłam prawe ramię pod świecące na czerwono cyfry budzika, byłam niemal pewna, że znajdę siniaki na nadgarstkach.

Mouchoir

Nazajutrz rano próbowałam przypomnieć sobie każde słowo Jamesa, każde spojrzenie, jakim mnie obdarzył przez ostatnich parę miesięcy, chcąc odnaleźć jakiegokolwiek sygnały, oznaki tego, co miało nastąpić. Analizowałam każdą napiętą sytuację, każdą ostrzejszą wymianę zdań. Właściwie, kiedy przestał wspominać o małżeństwie albo o dziecku? Kiedy z jego mieszkania zniknęły foldery ze zdjęciami starych stajni przerobionych na domy i wiejskich posiadłości? Jakże inaczej to wszystko wyglądało, kiedy teraz, o wiele mądrzejsza, patrzyłam na to z perspektywy czasu.

- Nie mogę już tego ciągnąć - powiedział, jakby bycie ze mną sprawiało mu fizyczny ból.

Zbyt zajęta swoimi problemami, nie podejrzewałam nawet, że James także może mieć ciche wątpliwości i walczyć z własnymi demonami. Zastanawiać się, zgłębiać moc swoich uczuć. Uznać, że nie są dość silne.

Długie godziny wpatrywania się pustym wzrokiem w przestrzeń przerywałam okresami gorączkowej aktywności. Zbierałam wszystko, co po nim pozostało, w rytualnym akcie oczyszczenia. Włożyłam do dużej koperty moje klucze do jego mieszkania, pożyczone DVD, jakiś T-shirt z kosza na pranie, maszynkę do golenia pozostawioną na brzegu wanny. Nie było tego dużo: zawsze był tylko gościem, mieszkał na walizce, nawet nie rozwieszał koszul w szafie ani nie kupił sobie zapasowego kompletu kosmetyków do łazienki.

Na twardym dysku mojego komputera znalazłam tylko kilka zdjęć. Autoportret Jamesa, który przysłał mi na komórkę jakiś tydzień po naszym spotkaniu. Zrobione przeze mnie zdjęcie Kijanki przebranej za księżniczkę z postacią Jamesa mgliście majacząca na kanapie, jak przypadkowy obiekt. Ani jednej wspólnej fotografii. Jako związek, jako para, istnieliśmy tylko dzięki potokowi słów, które udowadniały, co nas łączyło: SMS-y zachowane w mojej komórce, setki zarchiwizowanych e-maili, dziesiątki komentarzy na *petite anglaise*, zanim się poznaliśmy i późniejszych. W szufladzie stolika nocnego znalazłam plik żółtych samoprzylepnych karteczek, które zostawiał mi w różnych

miejscach w szczęśliwszych czasach. *Kocham Cię* na poduszce, *Będę za Tobą tęsknić* na monitorze komputera. Nasz związek zaczął się od słów i tylko słowa po nim pozostały.

Przygotowałam sobie kąpiel i zanurzyłam się w wodzie; teraz niektóre dźwięki dochodziły do mnie stłumione, inne zaś dziwnie wzmocnione: kroki w mieszkaniu powyżej, odgłosy telewizji, wibrowanie pralki na najwyższych obrotach. Wróciło do mnie wspomnienie dni, które jako dziecko przeleżałam w łóżku chora na zapalenie ucha. W kokonie bólu nasłuchiwałam odległych, jak z innego świata, odgłosów: jak moja matka prała, odkurzała, rozmawiała przez telefon. Teraz czułam się podobnie jak wtedy, oddzielona ścianą od normalnego życia, podczas gdy moje własne stało w miejscu. Byłam strzępem człowieka, żalonym cieniem dawnej siebie, kimś niezdolnym do nawiązania kontaktu ze światem.

Kiedy woda zupełnie wystygła, wyszłam z wanny, drżąc z zimna. W końcu, owinięta w biały frotowy szlafrok, sięgnęłam po telefon, zawahałam się tylko przez chwilę i wybrałam numer, jeden z niewielu, który znałam na pamięć.

- *Oui?*

- To ja - miałam zachrypnięty głos. Od chwili, kiedy kazałam się Jamesowi wynosić, nie odezwałam się ani słowem.

- *Quelque chose ne va pas?*

- James mnie zostawił. Wczoraj wieczorem. - Ciche łzy zamgłyły mi oczy i pocięło mi z nosa. - Jestem w rozsypce. Przepraszam, ale nie wiedziałam, do kogo zadzwonić...

Pan Żabojad zamilkł, zaskoczony. Musiał modlić się o taki obrót sprawy - o cokolwiek, co powstrzyma mnie od wyjazdu z jego córką - i byłam zapewne posłańcem najlepszej nowiny, jaką słyszał od roku. Wyobraziłam sobie, jak się uśmiecha od ucha od ucha albo radośnie unosi pięść w powietrze. Ale kiedy w końcu odzyskał mowę, jego głos zdradzał głównie zatroskanie.

- Przyjdź do mnie, jeśli chcesz - zaproponował. - Mała śpi. Dobrze się składa, bo chyba lepiej, żeby nie widziała cię w tym stanie...

W pierwszej chwili byłam zbита z tropu tą propozycją. Pan Żabojad to chyba ostatnia osoba na świecie, która powinna mnie teraz pocieszać. Ale myśl o towarzystwie - czyimkolwiek - była tak nęcąca, że postanowiłam odsunąć na bok wszelkie wątpliwości.

- Jeśli... Okay, dobrze, wrzucę tylko na siebie jakieś ubranie. Będę za pięć minut.

Kiedy otwierałam drzwi, podchwyciłam swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam koszmarnie: zapuchnięte oczy, trupia cera, mokre, zmatowiałe włosy. Miał rację: lepiej, żeby Kijanka mnie nie oglądała.

Siedząc po turecku na ciepłych kafelkach balkonu Pana Żabojada, oparłam się plecami o szklane rozsuwane drzwi salonu. Pogoda była ciepła jak na wczesny marzec, a niebo jasne i bezchmurne. Zamknęłam oczy, starając się skoncentrować tylko na przyjemnym powiewie wiatru, który chłodził mi twarz i wysuszał ślady łez.

- Proszę - powiedział Pan Żabojad, podając mi filiżankę miętowej herbaty, którą zamknęłam w dłoniach, czekając, aż wystygnie.

Przycupnął na podłodze obok mnie i zapalił papierosa. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, spoglądając na dachy Paryża. Miasto, na które miałam zamiar się wypiąć, ciągnęło się przede mną po horyzont w każdą stronę, a słońce lśniło na setkach metalowych czap kominów.

- Wiesz, co jest dziwne? - odezwał się w końcu. - Myślę, że teraz jestem na niego bardziej zły, niż wtedy, kiedy mi cię odebrał.

- Zapewne czujesz też ulgę - odpowiedziałam, starając wyprać z głosu gorycz. - Z tego powodu, że już nie wyprowadzam się z Paryża.

- No cóż, oczywiście, że mi ulżyło - przyznał. - Kłamałbym, twierdząc, że jest inaczej. Ale wyobraź sobie, co by było, gdybyś się jednak wyprowadziła i wszystko by się zepsuło kilka miesięcy później. Pomyśl, o ile byłoby to gorsze...

- Wiem - westchnęłam. - Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że tak się stało. Że aż tak się pomyliłam. I że to tak boli.

Przygotowałam się na uwagi typu „a nie mówiłem?...”, które, rzecz dziwna, nie padły. Zamiast tego Pan Żabojad wysłuchał cierpliwie potoku moich żalów i bez słowa podsunął mi następną filiżankę herbaty, kiedy zauważył, że ta pierwsza jest pusta. Zawsze był dobrym słuchaczem, pomyślałam, ale dotychczas widziałam tylko szklankę do połowy pustą i nieustannie krytykowałam go za małowówność.

Jednak przez cały czas ani razu mnie nie dotknął. Pozbawiłam go prawa do wyrażania współczucia poprzez kontakt fizyczny. Nawet nie potrafił się zmusić do tego, żeby pocieszająco położyć mi rękę na ramieniu.

Kiedy przyszedł czas na budzenie Kijanki, wymknęłam się i cicho zamknęłam za

sobą drzwi. Pan Żabojad obiecał przyprowadzić ją za godzinę, żebym nie musiała spędzać reszty weekendu sama. Doprowadziłam mieszkanie do porządku, pozbierałam wszystkie mokre chusteczki rozrzucone wokół łóżka i zmieniłam umazaną tuszem pościel. Kiedy zatarłam ślady, znów wzięłam telefon, tym razem, żeby przekazać wiadomość matce. Wiedziałam, że nie czytała jeszcze *petite anglaise*, bo inaczej już by się do mnie odezwała.

- Przyznaję, że nieraz się martwiłam, jak wy dwoje dacie sobie radę w tej Bretanii - powiedziała, kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku. - To znaczy, pod względem finansowym. I całe to podróżowanie tam i z powrotem podczas weekendów, żeby dzielić opiekę nad dzieckiem. Bałam się, że to cię wykończy.

- Ja też się nad tym zastanawiałam - wyznałam. - Nigdy nie oczekiwałam, że to będzie bułka z masłem. Ale James zdawał się być taki pewny. Rozwiewał wszystkie moje wątpliwości. I jeszcze sama czułam się winna, że ciągle się wahałam...

- Zawiódł cię, skarbie, czy tego chciał, czy nie. Nie był taki silny, jak myślałaś. Poczył mnóstwo obietnic, których po prostu nie mógł dotrzymać.

Zagryzłam wargi. Instynktownie, nawet teraz, chciałam stanąć w jego obronie. Kochałam go i chociaż z pewnością któregoś dnia krytyka pod jego adresem sprawi mi przyjemność, to ten dzień jeszcze nie nadszedł. Pukanie do drzwi wejściowych pozwoliło mi szybko zakończyć rozmowę.

- Zadzwoń później, mamó - powiedziałam, błogosławiąc w duszy Pana Żabojada za idealną punktualność. - Już przyszli.

- Dbaj o siebie, złotko, i uściskaj mocno moją wnuczkę ode mnie - westchnęła.

To musi być strasznie trudne, pomyślałam nagle, być matką na odległość. Może pewnego dnia sama tego doświadczę, starając się pocieszyć przez telefon złamane serce Kijanki i przeklinając dzielące nas tysiące kilometrów.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po otwarciu drzwi, były jasnorożowe tulipany owinięte w celofan, które zasłaniały buzię Kijanki. Pan Żabojad taktownie cofnął się w cień, żeby mogła je triumfalnie wręczyć, ale było widać, że jest bardzo z siebie zadowolony. Jak na ironię, przez osiem wspólnych lat nigdy nie obsypywał mnie kwiatami, ale ten gest znaczył więcej niż bukiet na walentynki czy na urodziny. Słowa były w tej sytuacji zbędne, o czym dobrze wiedział.

- Jakie to miłe! Moje ulubione kwiaty! Co za niespodzianka! - wykrzyknęłam.

Przyklękłam przed Kijanką, delikatnie położyłam kwiaty na podłodze i przytuliłam córeczkę mocno do siebie, spragniona fizycznego kontaktu.

- Co się stało, mamó? - spytała, przykładając palec do mojego mokrego policzka.

- Mamusia płacze, bo jest bardzo, bardzo szczęśliwa, że cię widzi.

Podchwyciłam wzrok Pana Żabojada nad jej głową i obdarzyłam go nieśmiałym uśmiechem.

- Przyniosę ci *mouchoir*. - Kijanka wyswobodziła się z moich ramion i pobiegła do sypialni, po chwili wracając z pudełkiem chusteczek. - Popatrz! Sama to zrobię! - Wyciągnęła pełną garść i zaczęła niezdarnie wycierać moją twarz, przekrzywiając mi okulary.

- *Je vous laisse*. Jeśli dasz sobie radę? - spytał Pan Żabojad, nadal ociągając się na podeście, jakby nie palił się do przekraczania progu mojego mieszkania.

- Dziękuję... za wszystko - wykrztusiłam. Mój głos był słaby i drżący, ale się nie załamiał. - Ona jest naprawdę najlepszym lekarstwem.

- Wiem coś o tym, jak zapewne pamiętasz - zauważył, kiwając głową. Jego półuśmiech złagodził ukłucie, ale i tak się wzdrygnęłam.

Nie było całkiem jasne, kto opiekuje się kim tego dnia, ale może tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Przez resztę popołudnia leżałam wyciągnięta na kanapie obok córki, oglądając z nią kreskówki; rozkoszowałam się ciepłem jej przytulonego ciała, dostosowywałam rytm swojego oddechu do jej rytmu.

Wieczorem znów poczułam zbierające się łzy i uznałam, że należy jej się jakieś wyjaśnienie. Przez następnych parę dni groziły mi napady płaczu i za nic nie chciałam, aby pomyślała, że to może ona jest temu winna. Odłożyłam na bok książeczkę *Bardzo głodna gąsienica*, którą właściwie apatycznie recytowałam z pamięci, wzięłam Kijankę na kolana i patrząc jej w oczy, poszukałam najprostszych słów.

- Mamusia jest dzisiaj bardzo smutna. Bo przyjaciel mamusi, James, wyjechał do domu i już tu do nas nie wróci. My też nie będziemy jeździć do niego z wizytą i nie zobaczymy się więcej z Amandą i Carrie. Mamusia nie chciała, żeby James wyjeżdżał, więc dlatego jest jej smutno. I dlatego czasem płacze.

Kijanka słuchała uważnie, ale nic nie powiedziała. Wątpiłam, aby zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Dla niej James był tylko przyjacielem, okazjonalnym gościem.

Nie miała pojęcia - z tego, co wiedziałam - o naszych planach. Ani że dom Jamesa miał stać się naszym domem, że miałyśmy być z nim na co dzień. Powstrzymywałam się od całowania go czy ściskania w jej obecności, a on też przeważnie czekał cierpliwie, aż Kijanka głęboko zaśnie. Znow przysłała mi na myśl fotografia, którą znalazłam: James gdzieś w tle na kanapie, trzymający się dyskretnie na uboczu.

Gasząc kolorowe światełka nad łóżkiem Kijanki, otuliłam ją kołderką i powiedziałam „dobranoc” najpierw kolekcji pluszaków, z którymi dzieliła łóżko, potem jej - i pocałowałam ją w czoło. Dopełniwszy rytuału, odwróciłam się z ciężkim sercem, z niechęcią myśląc o samotnym wieczorze.

Dopiero kiedy byłam już na korytarzu i zamykałam za sobą drzwi, Kijanka się odezwała.

- Nie martw się, mamusiu - powiedziała dziarsko.

Uśmiechnęłam się. Zawsze mówiła: „Nie martw się”. Mogłam ją poprawiać do znudzenia na „nie martw”, ale nie byłam w stanie zmienić tego nawyku.

- Nie będę się martwić - obiecałam. - Wkrótce wszystko będzie dobrze.

* * *

Nazajutrz rano byłam głęboko wdzięczna losowi, że bez reszty mogę oddać się rutynie codziennych obowiązków z moją córką.

Rano udałyśmy się różnym krokiem do Grange aux Belles, na basen dla dzieci w pobliżu Canal Saint Martin. Nie bez szamotaniny wcisnęłam Kijankę w kostium kąpielowy, a potem z pewnym zażenowaniem przebrałam się we własny, onieśmielona koedukacyjną przebieralnią. Kryty basen z letnią wodą w najgłębszym miejscu ledwo sięgał mi do piersi i pływały w nim rozmaite kształty ze styropianu, żółte plastikowe kaczki, piłki we wszystkich kolorach tęczy; nie zabrakło też różnorodnych platform i zjeżdżalni. *Bébés dans l'eau* bardziej przypominał wodny park zabaw niż basen do nauki pływania, ale widok Kijanki, która z radością chwyta pływającego żółwia, a potem przewycięża strach i zjeżdża ze zjeżdżalni prosto w moje ramiona, wart był tej wycieczki. Chodziłam za nią krok w krok, kiedy przemierzała basen w nadmuchiwanej kole, nie tyle pływając, ile brodząc po wodzie.

Pan Żabojad przychodził tu z nią podczas weekendów, kiedy była pod jego opieką, ale ja nie gościłam tu zbyt często; podczas moich weekendów przeważnie wyjeżdżałyśmy

do Rennes. Początkowe zniechęcenie ustąpiło miejsca relaksowi, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że większości dzieci towarzyszy tylko jedno z rodziców, podczas gdy drugie, bez wątpienia, oddaje się sprytnie wynegocjowanemu wylegiwaniu się lub zajmowaniu drugim dzieckiem. Bez względu na powód, przyjąłam to z ulgą. Kiedy byłam z Jamesem - nawet na odległość - ani przez chwilę nie myślałam o sobie jako o samotnej matce. Teraz byłam samotną matką. Anomalia w świecie par.

Po południu, skuszone obietnicą łagodnego marcowego słońca, dzielnie włączyłyśmy się w weekendowy tłum w Buttes Chaumont. W głównej alei parku Kijanka biegła z rozpostartymi ramionami, balansując na krawężniku i udając samolot, a ja podążałam z wózkiem kilka kroków z tyłu. Moja skóra, wystawiona na słońce, była sucha jak pergamin. Płacz wycisnął ze mnie każdą kroplę wody. Czułam, jakby moje ciało było nieważkie i kruche. Jakbym była jesiennym liściem - niemającym prawa być tu na wiosnę - który może ulecieć z najmniejszym podmuchem wiatru.

Park co krok boleśnie przypominał mi, co straciłam: a to starzy ludzie na ławce, ich ręce splecione sękatymi, artretycznymi palcami, a to młody przystojny mężczyzna w czapce baseballówce, który szepce coś do ucha ciężarnej żonie, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

Idąc na skrót wąską ścieżką, na co uparła się Kijanka, niemal wpadłyśmy na parę ciemnowłosych nastolatków całujących się pod płaczącą wierzbą. Na ich widok ścisnęło mi się serce. Przypomniałam sobie, jak wiele miesięcy temu pisałam na blogu o młodych ludziach obściskujących się w metrze. Wtedy wzbudziło to we mnie tylko tęsknotę za czymś, czego już pewno nigdy nie doświadczę. Teraz byłam otwartą raną: niedawno czułam to samo co oni, przynajmniej przez chwilę, ale przepłynęło mi to między palcami.

- Mamusiu - zaczęła błagać Kijanka - możemy iść na *manége*?

Wyłoniłyśmy się spod niskiego mostu, kierując się do tej części parku, którą znała najlepiej, gdzie *tata* i inne opiekunki zabierały dzieci na popołudnia w ciągu tygodnia. Wszędzie były tłumy ludzi; dzieci domagały się lodów i balonów, przejażdżki na kucykach lub waty cukrowej. Zwykle potrafiłam oprzeć się naciskom Kijanki, ale dzisiaj nie umiałam jej niczego odmówić. Poszukałam w kieszeni drobnych i kupiłam w kiosku plastikowy *jeton*. Zachwycona Kijanka wsiadła do wozu strażackiego, a ja opadłam na ławkę obok, kiedy karuzela zaczęła wolno krążyć. Za każdym razem, kiedy Kijanka się do

mnie zbliżała, machałam jej i zmuszałam się do uśmiechu. Ale gdy tylko ginęła mi z oczu, przestawałam udawać i uśmiech zastygał mi na ustach.

- James, gdzie byłeś?

Kiedy wróciliśmy, Kijanka wyrwała się przede mną i zaczęła walić piąstkami w drzwi, pełna oczekiwania. Zacisnęłam rękę na klamce, aż zbieleły mi kostki, żeby się uspokoić, zanim włożę klucz do zamka.

- Jamesa nie ma - powiedziałam łagodnie. - Nie pamiętasz, co ci wczoraj mówiłam?

Pojęcie, że James nigdy się tu już nie pojawi, było zbyt abstrakcyjne dla Kijanki, która żyła głównie w czasie teraźniejszym. Zazdrościłam jej - tak bardzo chciałabym skupić się na tu i teraz, nie żałować przeszłości, nie bać się przyszłości.

James wszędzie zostawił swój ślad; był obecny w każdym pokoju niczym niewidzialny znak wodny. Jego duch siedział przy stole jadalnym, jego głowa pochylała się nad laptopem, w kuchni zaś rozbrzmiewało echo pobrzękiwania garnkami, kiedy gotował. Gdy zaciągałam zasłony w sypialni, machinalnie okrążyłam jego wyimaginowaną walizkę.

Kiedy położyłam Kijanekę spać i miałam przed sobą przerażającą perspektywę pustego wieczoru, zasiadłam przed komputerem i zajrzałam do mojej skrzynki, która pękała od wiadomości pełnych troski, wirtualnych bukietów, uścisków i pozdrowień. Przeglądając je jedna po drugiej, zaczęłam po kolei, drżącymi rękami, słać wszystkim podziękowania, podpisując się jak zawsze *petite*. Nie kopiowałam ich ani nie wklejałam. To byłoby pewnego rodzaju oszustwo, no i zadanie zostałoby zbyt szybko wykonane. Po chwili ręce drżały mi mniej.

„Wczoraj późnym wieczorem przeczytałam twój post i aż mnie skręciło z żalu - napisała anonimowa czytelniczka. - Nawet cię nie znam, ale nie mogłam zasnąć, martwiąc się o ciebie". Podobnych listów było wiele: ludzie kładli mi wirtualną rękę na ramieniu, przysyłali pudełka cyberchusteczek, dzielili się ze mną własnymi smutnymi rozstaniem w nadziei, że poczuję się mniej samotna.

„Chciałam tylko powiedzieć, że jest mi naprawdę, naprawdę przykro - napisała Anna Red Boat. - Myślałam o tobie cały weekend; nie wiem, czy słusznie robię, wysyłając e-maila, zważywszy na to, że inni czytelnicy zapewne robią to samo".

Uśmiechnęłam się wzruszona, że Anna widzi siebie jako moją wirtualną przyjaciółkę i odseparowuje się od reszty czytelników. Po wszystkich e-mailach, jakie wymieniliśmy przez ostatni rok, ja czułam podobnie.

Kiedy skończyłam korespondencję, spojrzałam na zegarek i potrząsnęłam z niedowierzaniem głową. Była już północ. Minęły cztery godziny. Nie byłam pewna, czy moje samopoczucie się poprawiło, ale przynajmniej mogłam się czymś zająć. Wszystko było lepsze, niż wpatrywanie się pustym wzrokiem w sufit albo popłakiwanie w poduszkę.

Znaczek nowej wiadomości pojawił się akurat wtedy, kiedy miałam zamknąć komputer i zrobić sobie kubek gorącego mleka. Kiedy zobaczyłam, kto ją wysłał, serce mi stanęło. James. Jego wiadomość była bez tytułu. Otworzyłam e-mail i przewinęłam dwie strony drobnego, starannego druku. Widziałam, że ważył każde słowo i starannie zredagował tekst przed wysłaniem.

Piszę dopiero teraz bo chcia łem dobre wszystko przemyśleć. Jeśli moje słowo
ładz ą ci się głupie, okrutne albo godne pogardy to nie mam nic na swój ą obronę.

Dalej następowały zdania, które wyrwały mi z piersi głośny jęk; paragrafy, które potwierdzały moje najgorsze przypuszczenia. Wyznał, że nie czuje się na siłach, żeby utrzymać mnie i Kijankę ani też ponownie zostać ojcem. Ubolewał, że jego bagaż emocjonalny okazał się cięższy, niż myślał. Ale potem nastąpiła znów ta tnąca jak brzytwa fraza, która zapiekła mnie do żywego: „Nadal cię kocham, ale - to najtrudniej powiedzieć - kocham cię nie dość - żeby dać ci to wszystko, o czym marzyliśmy i co planowaliśmy”.

Mogłam się spierać z innymi argumentami, przekonywać go, że razem możemy przepędzić jego demony i pokonać wszystkie trudności, ale wobec tego ostatniego oświadczenia byłam bezradna. Nie można nikogo zmusić, żeby cię dość kochał. Intensywność jego uczuć nie przetrwała miesięcy na odległość. Wolał się chyłkiem wycofać.

Ogarnął mnie chłód, który niósł akceptację. Ten koniec, jakkolwiek bolesny, był konieczny. Żadne z nas nie zasługiwało na mniej, niż było na początku, zanim wszystko się to rozwiało.

W strzępach

- Jesteś dzisiaj jakaś rozkojarzona - zauważył mój szef, zerkając na mnie znad papierów, które właśnie przeglądał.

Przystanęłam w drzwiach jego gabinetu. Był poniedziałek rano, pierwszy dzień w pracy po odejściu Jamesa. Miałam suche oczy, ale nadal byłam roztrzęsiona i myślami zupełnie gdzie indziej. Chciałam wziąć jakiś segregator z szafki, ale już po dwóch krokach zapomniałam, po co przyszłam; mój umysł był pusty, niczym uspiiony monitor komputera.

Od czasu Bożego Narodzenia moje relacje z szefem znacznie się poprawiły. Wrócił nawet do starego zwyczaju zapraszania mnie niekiedy na lunch do lokalnej winiarni, gdzie wciąż napelniał mój kieliszek, aż zaczynałam się martwić, jak zdołam funkcjonować po powrocie do biura zamroczone czerwonym winem. Toteż o ile kilka miesięcy temu jego uwaga mogła być podszyta wymówką, o tyle dzisiaj ton wskazywał raczej na ciekawość, a nawet pewną troskę o moje samopoczucie.

- No cóż, tak, mam kłopoty osobiste - odparłam, odwracając wzrok do widoku za oknem.

Nad dachami widziałam Sacré Coeur z mlecznobiałą kopułą na tle jasnoniebieskiego nieba. Bezpieczniej było podziwiać widok, niż spojrzeć w jego pytające oczy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, to stracić panowanie nad własnymi emocjami.

- Miałam ciężki weekend - dodałam wymijająco.

Nie byłam skora do zwierzania się szefowi ze swoich prywatnych spraw, nawet jeśli stosunki między nami uległy poprawie. A choćbym nawet mu się zwierzyła, i tak nie mógłby mnie w pełni zrozumieć. Nigdy nie puściłam pary z ust, że zamierzałam za kilka miesięcy przenieść się do Bretanii z obawy, że zburzy to naszą dopiero co odnalezioną harmonię.

- Okay, ale jestem tu, gdybyś chciała pogadać - mruknął, wyraźnie rozczarowany, że nie rozwijam tematu.

W drzwiach stanęła koleżanka z płaszczem zarzuconym na ramię; widocznie wybierali się razem na lunch. Cofnęłam się, żeby ją przepuścić, wdzięczna za pretekst do

zakończenia rozmowy.

Po ich wyjściu Amy natychmiast skorzystała z okazji, żeby mnie dopaść. Całe rano rzucała mi pytające spojrzenia nad szklaną przegrodką, ale jak dotąd udało mi się uniknąć *tête-à-tête*; omijałam kuchnię i pędziłam do łazienki tylko wtedy, kiedy wisiała na telefonie. Odślanianie się w Internecie, gdzie nikt nie mógł widzieć mojej ściągniętej twarzy, to jedno, a zwieranie się na głos, w miejscu publicznym, to zupełnie co innego. Bałam się, że się załamie. Szlochałam w telefon matce, lałam ciche łzy przed Panem Żabojadem, ale dzisiaj, w biurze, chciałam za wszelką cenę zachować spokój. Jeszcze tego mi brakowało, żeby koleżanki zatrzymywały się przy moim biurku, wypytując, czy wszystko w porządku; ich słowa troski i współczucia jeszcze bardziej by mnie rozłożyły.

- Właśnie przeczytałam twój blog - powiedziała Amy bez tchu, stając nade mną. - Dlaczego, do licha, do mnie nie zadzwoniłaś? Mogłam zmienić plany i przyjść. A tymczasem wymyślałam ci w duchu, pewna, że olałaś nasz babski wieczór dla rozkosznych chwil w łóżku z Jamesem...

W jej oczach widziałam współczucie, ale także żal. Najwyraźniej zraniłam jej uczucia, trzymając ją na odległość i pozwalając, żeby dowiedziała się z *petite anglaise* tego, czego powinna dowiedzieć się ode mnie.

- Naprawdę strasznie mi przykro - wybąkałam, dolna warga drżała mi niebezpiecznie. - Proszę, nie odbierz tego źle, ale musiałam przez chwilę być sama.

- Mogłaś mi powiedzieć, zrozumiałabym i dałabym ci święty spokój. Ale byłoby znacznie milej usłyszeć tę wiadomość bezpośrednio od ciebie - ciągnęła, nadal niezbyt udobruchana. - Jestem pewna, że wszyscy twoi internetowi przyjaciele pospieszyli ci na ratunek jak zwykle, ale nic nie zastąpi żywych ludzi, którzy cię znają i lubią. Nie odsuwaj mnie, tylko tyle. Jak mogę być prawdziwą przyjaciółką, jeśli muszę czytać twój blog trzy dni później, żeby dowiedzieć się, co się dzieje? - Kiwnęłam głową, nie patrząc jej w oczy. - A jeśli chodzi o Jamesa, to po prostu nie wierzę, że mógł ci to zrobić! - wykrzyknęła z patosem. - To znaczy, kiedy widziałam go w naszym naleśnikowym dniu, wszystko wydawało się w całkowitym porządku. A przecież musiał wiedzieć, co ma zamiar zrobić, już wtedy...

Zaprosiłam Amy na *crepes* w czasie Mardi Gras, wraz z paroma innymi przyjaciółmi z biura, na trzy dni przed odejściem Jamesa. Smażyliśmy po kolei naleśniki

w kuchni, dzieląc się planami na lipiec, a pośród pogawędki o przygotowaniach do zbliżającego się wieczoru babskich plotek wypłynął nawet temat ślubu. Czy już wtedy przeoczyłam jakieś znaki? Czy James był małomówny? Czy już wtedy zmagał się z myślą, że nic z tego, o czym dyskutujemy, nie wejdzie w życie?

- Z jego ostatniego e-maila wynikało, że wciąż starał się sam siebie przekonać, że wszystko się ułoży - powiedziałam, ponownie wcielając się w niewygodną pozycję jego obrońcy.

Przypomniałam sobie jego chorobliwą bladość w piątek. Zwlekanie do ostatniej chwili, żeby dać upust swoim wątpliwościom, kosztowało go zapewne sporo zdrowia.

- To musiał być dla ciebie straszny szok, Cath, tak mi przykro. - Amy położyła rękę na moim ramieniu. - Ale czekaj, czekaj... - Jej oczy się rozszerzyły. - Czy nie wspominałaś we wtorek, że dałaś już wypowiedzenie najmu?

- Jestem pewna, że właśnie to przesądziło o decyzji Jamesa - powiedziałam z goryczą. Wyjęłam z szuflady biurka list do właściciela mieszkania, który napisałam kilka dni temu i który czekał już tylko na znaczek pocztowy.

Amy gwizdnęła przeciągle. Mało brakowało.

- Posłuchaj, muszę lecieć - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Mam lunch z klientem. Ale jeśli chcesz porozmawiać czy po prostu nie być sama, mogę wpaść któregoś wieczoru. Wiem, że tobie niełatwo się wyrwać, bo musisz wynająć babysitterkę...

Kiedy wyszła, wzięłam moje wypowiedzenie najmu i podarłam na malutkie strzępki, wrzucając je do kosza na śmieci jak deszcz konfetti. Parę kroków dalej stała niszcarka, błyskając metalowymi zębami, które z pomrukiem pożarłyby kopertę i pokroiły na cienkie paseczki. Ale nie miałabym z tego należytej satysfakcji. Musiałam sama podrzeć list, obserwować, jak jego fragmenty opadają wolno, zabierając ze sobą moje zgruchotane marzenia.

Przerwę na lunch spędziłam, pracując nad nowym postem. Utkwiło mi w głowie pewne zdanie z e-maila jednej z czytelniczek: „Pierwsze czterdzieści osiem godzin jest zawsze najgorsze”. Moje czterdzieści osiem godzin już upłynęło, przestałam wybuchać głośnym płaczem i godzinami wpatrywać się tępo w ścianę, więc może było nieco prawdy w tym stwierdzeniu. Zaczęłam pisać i kiedy palce biegły mi po klawiaturze, ułożyłam tekst o tym, jak chciałam się czuć.

Nigdy nie będę żałować tego, że wtedy w majunasz ścieżki się skrzyżowały. Nie
zamieniłabym tego podstępgo paniką pierwszego wieczoru cała stabilizację świata.
Poczułam się odrodzona. Niepowiedzenie szczęśliwie. Nagle przyłość przełamała się
nieoczekiwanie obietnicą.

Im dłużej pisałam, tym bardziej moje słowa tchnęły życie w uczucia, które
opisywałam.

Przeżył śmyk kilka chwilowych momentów i ja. Momentów które na zawsze
pozostaną w mojej pamięci; momentów których nieobecność będzie mi
brakować.

Jak mogłabym zapomnieć? W końcu wloty i upadki naszego związku były
udokumentowane na moim blogu, zachowane dla potomności. Wszystko, co musiałam
zrobić, żeby jeszcze raz przeżyć naszą pierwszą noc w hotelu, moją pierwszą podróż do
Bretanii czy nasz dzień na plaży, to przejrzeć archiwum *petite anglaise* i przeczytać moje
notatki. Te wspomnienia nigdy mnie nie opuszczają.

Podczas pisania zdałam sobie sprawę, że spada ze mnie ogromny ciężar: to była
prawdziwa ulga nie szarpać się już z wątpliwościami, nie dusić dławiącego poczucia winy
na myśl o rozdzieleniu Kijanki i Pana Żabojada. Publiczne zmaganie z emocjami,
rozdrapywanie ran na blogu znów wydało mi się rzeczą całkiem naturalną, konieczną i
oczyszczającą. Dzięki pisaniu mogłam wrócić do siebie, znaleźć, jak zawsze, pociechę w
petite anglaise.

Kiedy skończyłam, przywróciłam możliwość komentowania. Coś mi mówiło, że
teraz, kiedy nie będzie już Jamesa, *petite anglaise* zastąpi tę lukę, wypełniając pustą
przestrzeń w moim życiu.

* * *

- Powinnaś się stąd wyprowadzić - powiedział Pan Żabojad, zakreślając palczkami
łuk od kominka do łukowego okna.

Siedzieliśmy na osobnych kanapach, rozdzieleni szerokością stolika do kawy
zastawionego aluminiowymi pojemnikami, których zawartość pokrywała cienka
warstewka tłuszczu. Kupiłam po pracy chińszczyznę na wynos w *traiteur* na dole, po

części dlatego, żeby skusić Pana Żabojada do zostania dłużej, ale także jako gest wdzięczności za jego niespodziewane wsparcie podczas weekendu.

Uniosłam widelec z ryżem do ust. Ledwo mogłam patrzeć na jedzenie, ale wiedziałam, że muszę udawać apetyt, bo w przeciwnym razie Pan Żabojad zacznie się martwić, czy mam dość sił, żeby zajmować się Kijanką. Codzienna rutyna, którą zbudowałam wokół niej, była rusztowaniem trzymającym mnie w pionie.

- Wiem, że nie mogę sobie pozwolić, żeby zostać tu na dłużej - westchnęłam. - To było uzasadnione, kiedy sądziłam, że będę opuszczać Paryż w lipcu. Ale teraz muszę to na nowo przemyśleć. - Sięgnęłam do torby i wyjęłam gazetę z ogłoszeniami. - W drodze do domu przejrzałam oferty. Tańsze znaczy mniejsze, zapewne mieszkanie z jedną sypialnią, co stanowi przygnębiającą perspektywę. Jedyne sposoby, żeby jakoś to sobie osłodzić, to kupić coś, zamiast wynajmować...

Wyobraziłam sobie konieczność zrezygnowania z łóżka i materaca na rzecz rozkładanej kanapy, z którą będę się mocować każdego wieczoru, przekształcając nasz salon w sypialnię. Albo alternatywę: spanie nad Kijanką na łóżku piętrowym. Zawsze byłam skora do wejścia na pierwszy szczebel drabiny społecznej i zostania posiadaczem, co Pan Żabojad wiedział najlepiej, ale jakoś nie wyobrażałam sobie tego jako całkiem dosłowne wspinanie się na koję. Nieco mnie to otrzeźwiło po długich miesiącach marzeń o domu z ogrodem.

- Ho, ho, to duży krok - powiedział Pan Żabojad. - I nie rób niczego w pośpiechu. Ale jest w tym pewien sens... Pomogę ci się przeprowadzić, jak coś znajdziesz. Zapewne przydałoby się też paru kolegów z pracy do dźwigania.

Uśmiechnęłam się. Rzeczywiście, moje przyjaciółki, takie jak Amy, Caroline czy Elisabeth-Coquette, nie na wiele by się przydały w obliczu pięciu pięter i wszystkich moich mebli.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz dla mnie taki miły.

Te słowa mimowolnie padły mi z ust, jakbym myślała na głos. Ledwo się powstrzymałam od dokończenia: „...po tym wszystkim, co ci zrobiłam”. Nigdy dotąd nie ośmieliłam się na taką bezpośredniość. Moje zerwanie i jego przejścia były tematem tabu, który wciąż okrążaliśmy na palcach. Jego uczucia do mnie teraz - jakiegokolwiek były - stanowiły strefę zakazaną.

- No cóż... - powiedział ostrożnie. - Zawsze będę się o ciebie troszczył. Twoje dobro jest również dobrem naszej córki.

- Dziękuję - wybąkałam. - Z pewnością będę potrzebowała pomocy. Czekają mnie duże zmiany. Nowe mieszkanie. Może i nowa praca. Zaczynam myśleć, że najgorszą rzeczą nie była strata Jamesa, tylko strata wszystkich planów, jakie mieliśmy, wszystkich naszych zamierzeń. Teraz muszę sama zmierzyć się z życiem, na własną rękę, bez uciekania do Bretanii.

Tak naprawdę znalazłam się w miejscu, gdzie byłam przed spotkaniem z Jamesem, pomyślałam. Spędziłam większość roku, zataczając pełne koło.

- Nie będziesz całkiem sama. Ja tu będę - zapewnił mnie Pan Żabojad. - A co z tymi przyjaciółmi, które nawiązałaś przez blog?

- Zaniedbałam je przez Jamesa - przyznałam. - Miałam tak mało czasu i nie widziałam sensu w tym, żeby poświęcać go ludziom, którzy mieszkają w Paryżu, kiedy byłam pewna, że wkrótce wyjadę. Więc się niejako odcięłam. Niektórzy z nich na pewno nie będą chcieli już mnie znać. Trudno ich za to winić.

- Och, nie bądź dla siebie taka surowa. Powoli wrócą. I jesteś silniejsza, niż myślisz. *Ça va aller, j'en suis sûr.* - Sięgnął po ostatniego pierożka.

Kiedy sprzątałam ze stołu, jego słowa wciąż rozbrzmiewały mi w uszach. „Zawsze będę się o ciebie troszczył”. Czyżbym przypisywała zbyt wielkie znaczenie jego opiekuńczemu zachowaniu w ciągu ostatnich dni? A może nadal coś do mnie czuł?

Później tego wieczoru wpatrywałam się w monitor komputera z mętlikiem w głowie i z drżącą ręką na myszy. Może lepiej usunąć e-maile Jamesa jednym bezlitosnym kliknięciem? Gdyby ich nie było, nie miałabym pokusy, żeby wciąż na nowo je czytać i wracać do miłych mi wspomnień, nie potrafiąc - czy nie chcąc - odesłać ich do lamusa. Może byłoby bezpieczniej zapomnieć, jak napalona byłam na początku, jak pragnęłam ponad wszystko dotyku jego ciała?

Oczyrna duszy wyobrażałam sobie, jak oznajmia nowinę swoim rodzicom, córkom, przyjaciółom, Eve. Po części miałam egoistyczną i okrutną nadzieję, że go zwymyślają od głupców i oświadczą, że już nigdy nie dostanie drugiej takiej szansy. James, jakiego widziałam, rozpaczał i szalał z żalu.

Ale nie mogłabym już przyjąć go z powrotem, nie mogłabym wymazać tych

ostrzych, raniących słów, które przywoływałam na pamięć, ilekroć świerbiła mnie ręka, żeby chwycić za telefon i błagać go o zmianę decyzji. „Nie dość cię Kocham”, dźwięczało mi w uszach. „Nie mogę już tego znieść”.

Jednak na razie zostawiłam jego e-maile. Wrócenie do tych wspomnień bolało, ale wiedziałam, że to konieczna forma samotortury.

29.

We mgle

Kijanka dreptała przede mną przejściem między siedzeniami, wzdłuż przejścia samolotu, kiedy przebiegałam wzrokiem po rzędach, szukając naszych miejsc. Minęliśmy grupkę emerytów, dzieci w strojach bohaterów z kreskówek Disneya; zakochane pary tulące się w oczekiwaniu na romantyczny weekend, przedsiębiorców z laptopami. Wracałyśmy do Paryża po weekendzie w Yorkshire z moimi rodzicami. Długie rozmowy z matką - ja mówiłam, ona słuchała - i zmiana otoczenia dobrze mi zrobiły. Co do Kijanki - ich pierwszej i jedynej wnuczki, rozpuszczanej tam zawsze jak dziadowski bicz - to pławała się w centrum uwagi, jakby to było jej przyrodzone prawo.

Włokąc się noga za nogą ze współpasażerami niosącymi podręczny bagaż i płaszcze, w końcu dotarliśmy do naszych miejsc. Kijanka wgramoliła się na siedzenie przy oknie i z dziką determinacją zaczęła zmagać się z pasem.

- Mamo, zapnij mi tę szelkę! - krzyknęła po kilku nieudanych próbach zatrzaśnięcia metalowej klamry.

Stłumiłam chichot, rozglądając się, czy ktoś jeszcze to słyszał.

- Poczekaj chwilę, skarbie, musimy najpierw zdjąć ci płaszczyk - powiedziałam, wpychając nogą torbę pod siedzenie i uwalniając najpierw siebie, a potem Kijankę z wierzchnich okryć.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam atrakcyjnego mężczyznę, który wkładał swój bagaż do schowka nad głową.

- Pozwoli pani, że pomogę? - spytał, wskazując na nasze płaszcze.

Na oko był trzydziestoparolatkiem; nosił eleganckie dżinsy i wzorzystą koszulę, ale

- jak na mój gust - na jego ciemnych włosach było trochę za dużo żelu. Miał miły głos, zdradzający dobre wykształcenie, z akcentem trudnym do zidentyfikowania.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony - wybąkałam, posyłając mu nieśmiały uśmiech i podając nasze okrycia.

Mężczyzna usiadł po mojej lewej stronie; obserwowałam go ukradkiem. Trzymał laptopa na kolanach, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby go otworzyć.

Kiedy rozpakowałam kuferek z zabawkami i wyjęłam kredki, książeczkę do kolorowania oraz naklejki, zauważyłam, że mój towarzysz podróży poruszył się niespokojnie. Czy tylko mi się zdawało, czy też bacznie obserwował ostatnich wchodzących pasażerów, licząc na to, że nie wszystkie miejsca będą zajęte? Rzeczywiście, ledwo stewardesa zamknęła główne drzwi i zakleiła je na ukos czerwoną taśmą, mój przystojny sąsiad zerwał się na równe nogi.

- Przenieś się gdzie indziej, żeby zostawić wam trochę więcej miejsca - wyjaśnił, przenosząc wzrok ze mnie na Kijankę. - Nie chciałbym, żeby wypadło to niezręcznie...

- Nie ma sprawy - mruknęłam, mając nadzieję, że zabrzmiało to nonszalancko, choć w głębi serca poczułam niepokój.

Niepokój i lęk: lęk, że ta nieistotna, nic nieznacząca zmiana miejsc symbolizuje to, co mnie czeka. Po raz pierwszy od wielu lat byłam singielką. I tym razem nie tylko singielką, ale także matką; częścią zestawu. Ta mała osóbką siedząca przy oknie obok mnie - ze szmacianą lalką wepchniętą między pas a jej brzusek - była moim największym, najcenniejszym skarbem. Ale była także powodem do trzymania się ode mnie z daleka. Widząc ją u mojego boku, niektórzy mężczyźni z góry zakładali, że mam partnera, inni nawet nie chcieli tego wiedzieć.

Nie spieszyłam się, żeby znaleźć sobie kogoś nowego, wolałabym tylko mieć świadomość, że atrakcyjny mężczyzna nie ucieknie zaraz z siedzenia obok. Zmieniając miejsce, niechcący zadał cios mojemu poczuciu własnej wartości i zmusił do trzeźwego spojrzenia na trudną przyszłość.

* * *

- Co ty tu jeszcze robisz? - spytała Amy, patrząc wymownie na zegarek. Zwykle o tej porze dawno by mnie nie było. - Nie musisz biec do opiekunki?

- Mam wolny wieczór - wyjaśniłam. - To głupie, nawet nie pracuję, tylko zajmuję

się głupotami, odwlekając pójście do domu.

Co prawda w domu nie byłoby inaczej. Zamknęłabym biurowy komputer i otworzyła ten w mojej sypialni. Pisanie bloga, zamieszczanie komentarzy, jakieś pogawędki na stronie, surfowanie po Internecie to były jedyne zajęcia, jakim umiałam się w tej chwili poświęcić. Kiedy próbowałam czytać książkę, treść natychmiast mi umykała, nie mogłam skupić się na stronie, choćbym nie wiem ile razy do niej wracała. Jeszcze gorzej było z telewizją: patrzyłam pustym wzrokiem w ekran, nie mając pojęcia, co oglądam.

- Posłuchaj, jeśli nie masz żadnych planów na dzisiejszy wieczór, to wybieram się do przyjaciółki na urodziny, chociaż najpierw muszę jej coś kupić. Może pójdziesz ze mną? Nie będzie miała nic przeciwko temu, że kogoś przyprowadzę i przydałaby mi się pomoc przy wybieraniu prezentu...

Nie byłam ubrana wyjściowo - w gruncie rzeczy wyglądałam, jakbym w kompletnych ciemnościach wrzuciła na siebie byle co - i nawet nie miałam ze sobą puderniczki, ale wszystko było lepsze niż samotne usychanie z tęsknoty w domu. Ciągle nie dojrzałam do tego, żeby usunąć listy Jamesa, i jakby to nie było dostatecznie masochistyczne, zaczęłam sprawdzać statystykę gości, żeby zobaczyć, czy wciąż czyta *petite anglaise*, szukając choćby jednego śladu na drodze przemierzanej przez tysiące innych.

- Dobrze, pójde z tobą - zgodziłam się. - Przynajmniej na zakupy. Później zobaczymy. Wiem, że powinnam częściej korzystać z wolnych wieczorów, chociaż nie chcę wracać zbyt późno, bo rano muszę zrywać się do pracy...

Ponieważ ciągle czułam się obolała, najłatwiej mi było kryć się w domu za monitorem komputera i pogrążyć bez reszty w blogu. *Petite anglaise* stała się moim azylem i podwoiłam liczbę postów, odkąd James odszedł. Ale nie mogłam w nieskończoność chować się jak mysz pod miotłą.

Kiedy szłyśmy wzdłuż avenue de l'Opéra w kierunku Havre Caumartin do sklepów Printemps i Galeries Lafayette, Amy nie przestawała mówić o Tomie, który wciąż nie mógł się zdecydować co do swoich uczuć, oscylując między uwielbieniem a obojętnością. Kojącą rzeczą było słuchać dla odmiany o cudzych problemach, zamiast myśleć czy pisać bezustannie o własnych. Parę razy ugryzłam się w język; podejrzewałam, że mam teraz

zbyt negatywne nastawienie - zarówno do mężczyzn, jak i do miłości na odległość - by oferować Amy jakąś sensowną radę. Porzucenie zostawiało gorzki smak: cokolwiek powiem, będzie skażone moim własnym rozczarowaniem.

Kiedy podeszliśmy do Opéra Garnier i zatrzymaaliśmy się na pierwszym z kilku przejść dla pieszych, Amy odwróciła się do mnie nagle i zmieniła temat.

- A ty jak się czujesz? Ale szczerze. Bo choć z blogu wynika, że trzymasz się dzielnie, to złamanego serca nie da się tak szybko uleczyć.

- Tęsknię za nim - wyznałam ze smutkiem, zagłuszana przez hałas uliczny w godzinie szczytu. - Tęsknię za takimi śmiesznymi rzeczami, jak jego chrapanie w nocy. Budziło mnie czasem i to na pewno zabrzmiało głupio, ale czułam się wtedy szczęśliwa, że jest obok mnie. - Amy nie roześmiała się, raczej zachęciła mnie wzrokiem, żebym kontynuowała. - Brakuje mi też strony fizycznej, oczywiście - dodałam, zezując wstydliwie na boki. Odkąd James odszedł, moje ciało z wolna zaczęło wracać do stanu poprzedniego, jakby końcówki nerwów zaniknęły mi pod skórą. - Ale nie chcę, żeby znowu pojawił się w moim życiu. Nie ma już dla nas przyszłości. - Mówiąc, obracałam na środkowym palcu pierścioneł, który lata temu dostałam od Pana Żabojada.

Zapaliło się zielone światło i w milczeniu przeszliśmy przez ulicę.

- Muszę cię o to zapytać - odezwała się Amy, kiedy znalazłyśmy się po drugiej stronie i mijaliśmy *terrasse* Café de la Paix - nawet jeśli to zabrzmiało okrutnie. Czy gdybyś mogła cofnąć wskazówki zegara do tego naszego lunchu w przeddzień rozmowy o Jamesie, postąpiłabyś inaczej?

- Nie - odpowiedziałam bez wahania. - Nie żałuję niczego, co zrobiłam. Myślę, że to się musiało zdarzyć. Nawet jeśli James miał być tylko katalizatorem, niech i tak będzie. Byłam nieszczęśliwa i potrzebowałam bodźca, żeby coś zmienić.

Moje spojrzenie padło na elegancko ubraną parę, trzymającą się za ręce i popijającą szampana w przykawiarnianym ogródku, i mimo woli aż się skuliłam. Pamiętam, że kiedy byłam w ciąży, wszędzie widziałam ciężarne kobiety; teraz cały Paryż był dla mnie okrutny i osaczał mnie szczęśliwymi parami, sypiąc sól na moje rany.

- Cóż, przynajmniej nie uciekasz do Rennes przy pierwszej lepszej sposobności i będziesz miała parę wolnych weekendów tylko dla siebie. To ci się przyda - powiedziała Amy. - Sama długo się zbierałam po zerwaniu z poprzednim chłopakiem i przez jakiś czas

nie mogłam patrzeć na mężczyzn, ale zmuszałam się, żeby wychodzić, spotykać z przyjaciółkami... Dobrze mi to zrobiło, chociaż moja wątroba może być innego zdania...

- Masz rację - przyznałam z westchnieniem. - Muszę bardziej się udzielać, widywać ludzi... Oderwać się od komputera i zacząć żyć w realnym świecie. Może zacznę od wybrania się z tobą na tę urodzinową imprezę? Jeśli jesteś pewna, że nie będę nieproszonym gościem...

- Cudownie! - ucieszyła się Amy. - Wiedziałam, że cię namówię! Ale wszystko po kolei. Najpierw musimy kupić prezent.

Przeszliśmy przez boulevard Haussmann, pchnęliśmy obrotowe drzwi i weszliśmy w jasno oświetlone foyer Printemps.

* * *

„Dzisiaj widziałem w metrze billboard, który przywiódł mi na myśl ciebie - napisał do mnie nazajutrz jeden z komentatorów na prywatny adres *petite anglaise*. - Sama się domyśl, o czym mówię...". Byłam zaintrygowana, ale tak zawałona pracą, że nie miałam czasu bliżej się tym zainteresować. Potem, kiedy biegałam po biurze, zbierając dokumenty na konferencję, zagadkowa wiadomość zupełnie wywietrzała mi z głowy.

Ale kiedy wracałam wieczorem do domu i kolejka zahamowała z piskiem na stacji Gare de l'Est, podniosłam wzrok znad książki i oto pysznił się obok jednej z tych reklam Galeries Lafayette z wierną kopią Laetytii Casty odzianą w niewiele więcej niż gruba warstwa olejku. Plakat, dwukrotnie wyższy ode mnie, przedstawiał olbrzymie różowe serce ze słowami: *petite anglaise raffinée cherche compagnon de route pour chanter sous la pluie*. Książka wypadła mi z rąk i uniosłam dłoń do ust. A więc o to chodziło!

Następnego dnia zamieściłam zdjęcie plakatu na blogu, opisując wstrząs, jakiego doznałam, widząc swój pseudonim wypisany wielkimi literami na billboardzie, nawet jeśli reklama tak naprawdę była częścią kampanii firmy udzielającej kredytów i dotyczyła małego angielskiego autka szukającego właściciela, a nie młodej Angielki szukającej miłości. Wkrótce z komentarzy zaczęło jasno wynikać, że wielu moich paryskich czytelników - podobnie jak ja - wykazało się spóźnionym refleksem.

„Nie mieszkam w Paryżu - napisała Aude - ale byłam tu dzisiaj i widziałam ten plakat dwa razy. Za pierwszym razem nie zdążyłam przeczytać tekstu do końca i naprawdę myślałam, że to reklama twojego blogu”.

Aude mogła siedzieć obok mnie w metrze i zareagowałybyśmy tak samo. Byłam anonimowa, pisałam incognito, a jednak tłukłam się po głowach kompletnie obcych ludzi. Ludzi, którzy znali mnie tylko *jako petite anglaise* i którzy nigdy nie widzieli mojej twarzy.

Przeczesałam tej nocy książkę gości, zastanawiałam się, czy tłukę się jeszcze po głowie Jamesa. Nie zostawiał komentarzy i nie był moim jedynym czytelnikiem w Rennes, więc poszukiwania były skazane na niepowodzenie. Chociaż lubiłam wyobrażać sobie, że siedzi przykuty do komputera i czyta moje posty z udręczoną miną, w rzeczywistości to, co myśli, pozostawało dla mnie tajemnicą.

Postanowiłam dać wyraz swoim uczuciom, po części dlatego, by wywabić James z kryjówki, gdyby śledził mój blog, a po części, by się przyznać czytelnikom, że za dobrą miną do złej gry, którą *petite anglaise* prezentowała światu, nadal kryje się bolące serce.

„Jeśli tam jesteś, eks-Kochanku - napisałam tuż przed wyłączeniem listy gości, zdecydowana raz na zawsze przestać do niej zaglądać - to masz przewagę. Bo ja jestem tutaj, niczym otwarta księga ze złamanym grzbietem. A ty pozostajesz gdzieś we mgle”.

30.

Przebudzenie

Oznaki nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości: sprężysty, lekki krok, na nowo odzyskana werwa. Znajome uczucie patrzenia na świat przez różowe okulary.

Podśpiewywałam sobie po drodze, a kiedy pochwyciłam swoje odbicie w sklepowej witrynie, spojrzała na mnie dziewczyna, która co prawda była bladawa, ale uśmiechnięta.

Może to głupie, ale wciąż czułam się rozchwiana psychicznie, wrażliwa na każdy bodziec, miękka i plastyczna jak kit pod ciepłymi palcami. Ale teraz Paryż otworzył do mnie ramiona i wpadłam w nie z prawdziwą wdzięcznością.

To wszystko zaczęło się dwa tygodnie wcześniej, w pierwszy wolny piątkowy wieczór, odkąd James mnie zostawił. Kiedy przeglądałam pocztę z ostatnimi wyrazami współczucia od czytelników, natrafiłam na e-mail od Elisabeth-Coquette. Umówiliśmy się na wypad do kina w pobliżu Odeonu. Drząc z zimna i wypuszczając z ust obłoczki pary,

żałowałam, że nie byłam dość przewidująca, by ciepłej się ubrać.

Marzec to kapryśny miesiąc w Paryżu. Okres łagodnej pogody zwabia drzewa w pułapkę fałszywego poczucia bezpieczeństwa, kusząc je, by przedwcześnie wypuściły pączki. Ale potem nieuchronny atak zimna brutalnie przywołuje je do porządku. Ja też zostałam zaskoczona i żałowałam, że oddałam już zimowy płaszcz do pralni. Wpychając ręce głęboko do kieszeni cienkiego płaszczyka przeciwdeszczowego, zastanawiałam się, czy przed przyjściem Elisabeth zdążę jeszcze skoczyć na *crepe* do kiosku po drugiej stronie ulicy. Zrezygnowałam z tego, ale aromat cukru waniliowego i ciepłego sosu czekoladowego napływający uparcie do mojego nosa wystawiał mnie na ciężką próbę.

Czekałam na nią pod pomnikiem Dantona, który był popularnym punktem spotkań na Lewym Brzegu. Nie mogłam sobie przypomnieć, kim był Danton, ale zauważyłam z uśmiechem, że cokół ozdabiają graffiti w kontrastujących kolorach przedstawiające najeźdźców z kosmosu. Byłam otoczona młodzieżą; w powietrzu unosiły się mroźne obłoczki pogawędek. Samotne dziewczyny z zapartym tchem czekały na swoich partnerów. Niepewne miny i ostrożne, nieśmiałe uśmiechy powitania były zarezerwowane dla pierwszych randek; dąsy i wymówki w rodzaju: *t'es encore en retard* dla stałych chłopaków. Grupki studentów, których twarze oświetlały neony wabiące do kin i kawiarni wzdłuż obu stron boulevard Saint Germain, kłóciły się zażarcie, na jaki film iść. Dochodziły mnie strzępki ich rozmów. *Il va être nul, ce film là... Tu l'as déjà vu? Je déteste Tom Onks... Mais si, ça va être bien... Oh là là, non, hors de question...*

Czerwone z zimna ręce przyciskały telefony komórkowe do uszu, zdrętwiałe palce wysyłały SMS-y. Obcy ludzie prosili się nawzajem o podanie ognia lub nawet o papierosa. Wokół czuło się nastrój podniecenia. Stojąc tu całkiem sama, poczułam swego rodzaju tęsknotę.

Młodsza ja często wyczekiwała przy pobliskim wyjściu z metra, z gazetą „Pariscope” w rękę, niecierpliwie spoglądając na zegarek i wypatrując w tłumie granatowej budrysówki Pana Żabojada. Jego *chambre de bonne* był o kilka kroków stąd, na końcu rue de Vaugirard. Wszystko wydawało się wówczas o tyle prostsze: oboje pracowaliśmy doraźnie, nie zajmując się robieniem kariery, i nie mieliśmy jakichkolwiek powodów do kłótni, oprócz tego, na jaki iść film i czy kupić popcorn *salé* czy *sucré*.

Zatopiona we wspomnieniach, nie zauważyłam zbliżającej się Elisabeth, dopóki nie

stała przede mną z rwącym się oddechem. Kasztanowe loczki umykały jej spod robionej na drutach wełnianej czapki, a policzki gorzały.

- Przepraszam, że się spóźniłam - wydyszała, jakby przez całą drogę biegła. - Zatrzymał mnie telefon ze Stanów, kiedy już byłam w drzwiach...

- Nie przejmuj się - uciełam jej usprawiedliwienia. - Wyjście z domu dobrze mi zrobiło. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wybrałam się tu do kina. W głębi serca jestem raczej przywiązana do *rive droite*, ale mam słabość do tej części miasta.

- Wygląda na to, że się całkiem nieźle trzymasz - powiedziała ostrożnie, zdziwiona moim lekkim tonem. Przypuszczała zapewne, że czeka ją misja miłosierdzia, opiekowanie się jednym wielkim nieszczęściem. - Przykro mi, że tak się stało... Ale przynajmniej mogliśmy się nareszcie zobaczyć. Stanowczo zbyt rzadko się spotykamy.

Obejrzałyśmy film - *Capote* - a przedtem chichotałyśmy w kolejkę jak pensjonarki, bo jakiś Francuz przed nami wymówił tytuł po francusku, co zabrzmiało tak, jakby pisarz nazywał się Truman Condom. Po kinie poszłyśmy bulwarem Saint Germain do najzwyczajniejszej pod słońcem restauracji tex-mex, którą Elisabeth dobrze знаła. Gadałyśmy i gadałyśmy, aż zachrypliśmy od kłębow dymu papierosowego; straciłam poczucie czasu i mało brakowało, a uciekłoby mi ostatnie metro. Z głową opartą o szybę patrzyłam, jak przed oczami migają mi kolejne stacje i zastanawiałam się, czy to wypite wino przepelnia mnie uczuciem radosnego uniesienia, czy też może coś wisi w powietrzu?

Nazajutrz rano, wracając z oględzin kolejnego mieszkania, zatrzymałam się w połowie drogi na rue Piat, oparłam o balustradę i spojrzałam w dół na Parc de Belleville. Położony na stromym zboczu, w miejscu, gdzie wieki temu mieściły się winnice i sady, miał niezliczoną ilość schodków i krętych alejek, a za nim, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się panorama Paryża. Stanowczo powinnam przychodzić tu częściej, powiedziałam sobie. Nie korzystałam nawet z uroków bliskiego sąsiedztwa, a co dopiero całej reszty.

Zaczęłam aktywnie szukać nowego lokum w pobliżu przedszkola Kijanki i „domu tatusia”. *Deux pièces*, które wizytowałam tego ranka, miało swoje wady, jednak pozwoliłam sobie na nieśmiały optymizm. Decyzja o przeprowadzce, podjęta z konieczności i niechętnie, z każdym dniem coraz bardziej mnie pociągała. Zyskałam nowy cel. Własne mieszkanie w Paryżu - czyż nie tego zawsze pragnęłam? Zamiast uciekać, powinnam dać mojemu adoptowanemu miastu drugą szansę.

Chociaż w powietrzu nadal wisiał chłód, niebo miało piękny fiołkowoniebieski kolor i ptaki wesoło ćwierkały na gałęziach. Po spotkaniu z agentką nieruchomości postanowiłam spontanicznie iść na spacer. Wystarczyło przymrużyć oczy, wymazać z pola widzenia zaparkowane ciasno przy chodniku samochody i zamienić w myślach asfalt na kocie łby, a można było sobie wyobrazić, że jest się gdzieś w małym miasteczku, daleko od stolicy. Belleville było pełne niespodzianek: ślepe uliczki z szeregowymi domkami z ogrodzonymi ogródkami ukrytymi w cieniu wysokich bloków, prywatne podwórka wypełnione zielenią za ciężkimi podwójnymi drzwiami, parterowe albo jednopiętrowe budynki, które w czasach, gdy Belleville leżało jeszcze poza granicami miasta, były domami wiejskimi albo warsztatami. Snułam się bez celu, na nowo rozkoszując się wolnością i możliwością improwizacji. Radość, jaką czułam poprzedniego wieczoru, nie minęła, a raczej się nasiliła.

Po lunchu postanowiłam pojechać metrem na Lewy Brzeg i powłóczyć się po butikach na Saint Germain, bo wreszcie miałam na to czas. Czując się trochę jak turystka, zamówiłam gorącą czekoladę w Café Flore i zajęłam stolik na pięterku, gdzie było spokojniej i luźniej. Dostałam dwa dzbanuszki - jeden z gęstą jak melasa czekoladą, drugi ze spienionym ciepłym mlekiem; zmieszałam energicznie zawartość obu i wylizałam łyżeczkę.

Zrezygnowałam z dość niesprecyzowanego planu zakupu książek w W H Smith, w pobliżu Concorde, i udawałam się spacerkiem rue de Seine, mijając opuszczone galerie sztuki i senne restauracyjki. Przystawałam przy drewnianych kioskach, które ciągnęły się wzdłuż brzegu rzeki, i przeglądałam stare pocztówki i plakaty reklamowe, pożółkłe przedwojenne gazety i klasyczne komiksy, wszystko opakowane w ochronny celofan. Starzy kioskarze siedzieli na rozkładanych krzeselkach, popijając kawę z termosów i obserwując turystów, na pozór mało zainteresowani tym, czy ktoś coś zechce u nich kupić.

Kiedy doszłam do Pont Neuf, przypomniałam sobie, że ostatni raz widziałam ten most z okna taksówki wiozącej mnie na *soirée* blogerów, jeszcze zanim poznałam Jamesa. Uśmiechnęłam się na widok par obściskujących się w półokrągłych niszach. To było wręcz obowiązkowe miejsce do zaliczenia przez kochanków, ale byłam zdumiona, że publiczne okazywanie uczuć już nie kłuje mnie w sercu. Zbliżało się późne popołudnie i temperatura się podniosła. Rozpięłam płaszcz i odetchnęłam pełną piersią. Powietrze

pachniało wiosną.

Tego weekendu spacerowałam całe godziny, całkowicie ukontentowana własnym towarzystwem, samowystarczalna, chłonna wrażenia; moje zmysły zdawały się być wyostrzone. Znajdowałam radość w małych rzeczach. Jaka to przyjemność odłamać koniec ciepłej bagietki i rozkoszować się kontrastem między chrupką skórką a miękiszem; strzepnąć okruszki z płaszcza, uśmiechnąć się do przechodnia, który życzył mi *bon appetit*.

Po utracie Jamesa stałam się bardziej wrażliwa, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Byłam chłonna i przenikalna jak kostka cukru, którą przyłożyłam do powierzchni espresso i patrzyłam, jak kawa unosi mi się do czubków palców. Popijając słodko-gorzki napój, nie umiałam wyobrazić sobie innego miejsca na świecie, w którym wolałabym być. Zapomniałam, jak bardzo można kochać to miasto.

* * *

- Jesteś gotowy, żebym przejęła Kijankę? - spytałam, stojąc na szczycie schodów stacji Buttes Chaumont z telefonem przy uchu.

- Nadal jesteśmy w parku - oznajmił Pan Żabojad, całkiem niepotrzebnie. Nietrudno było się tego domyślić, słysząc gwar dzieci w tle. - Wyjdziemy z ogródka jordanowskiego obok zjeżdżalni. *Et toi?*

- Właśnie wyszłam z metra, jestem pięć minut od was. Może spotkamy się w połowie drogi?

To było dziwne uczucie iść samej przez park, bez Kijanki, zwłaszcza podczas weekendu. Ławki wzdłuż głównych alei były zarezerwowane, jak zawsze, dla plotkujących emerytów, ale szerokie ścieżki, podczas tygodnia preferowane przez biegaczy, okupowały teraz rodziny z dziećmi. Lawirowałam między wózkami i rowerkami na trzech kółkach, radośnie podniecona tym, że zobaczę Kijankę.

Podczas weekendu prawie o niej nie myślałam - coraz bardziej umiałam cieszyć się krótkimi okresami swobody - ale teraz nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć, jak jej twarz rozjaśnia się na mój widok. Już z daleka wypatrzyłam Pana Żabojada; siedł obok pustego wózka, który zdawał się toczyć, wiedziony przez jakąś niewidzialną siłę. Kijanka uparła się ostatnio, że sama go będzie pchać. Było to dość frustrujące, zważywszy na fakt, że często posuwała się żółwim tempem albo wpadała na ludzi, którzy przypadkiem zesli

z chodnika, bo pchała go praktycznie na oślep. Obrałam kurs prosto na nią: zobaczyłam rączki zaciśnięte z determinacją na kabłąku, ale miała schyloną głowę i zasłoniętą twarz.

- Miałaś dobry weekend? - spytał Pan Żabojad ze zmęczonym uśmiechem.

- Cudowny! - odparłam. - Już zapomniałam, jak to jest mieć trochę wolnego czasu dla siebie w Paryżu. I ta pogoda, to światło... Aż chce się żyć, prawda?

Na dźwięk mojego głosu, Kijanka wyłoniła się, rozjaśniona, zza wózka.

- Poszedłam z tatą na zjeżdżalnię! - oznajmiła radośnie, kiedy przyklękłam i mocno ją przytuliłam.

A potem, idąc zgodnie krok w krok - z Kijanką między nami, która nadal pchała wózek - udaliśmy się do bramy wyjściowej jak normalna rodzina.

31.

Oczarowanie

W następnym tygodniu Pan Żabojad wziął Kijankę na spotkanie rodzinne do domu rodziców. Kiedy zbliżał się weekend, zaczęłam panikować: mój odkurzony entuzjazm dla Paryża wprawdzie nie przygasł, ale istniała różnica między rozkoszowaniem się wolnym czasem dla siebie a obawą samotności. Przełknęłam dumę i wysłałam SOS do paru osób, które poznałam dzięki *petite anglaise*.

„Siedzę w domu sama przez ten weekend, a połowa moich koleżanek z pracy idzie na przyjęcie weselne, na które nie zostałam zaproszona. Chętnie spotkałabym się z kimś, kto ma trochę czasu”, wyznałam nieśmiało.

Niełatwo było, ale wiedziałam, że muszę zrobić pierwszy krok. Tak bardzo skupiałam się na Jamesie, że całkiem zaniedbałam swoich internetowych przyjaciół. Jednak gdyby ktoś z nich zechciał mi dać drugą szansę, przyjąłabym to z wdzięcznością.

Caroline Mancunian Lass odpowiedziała prawie natychmiast. Akurat przyjechała do niej w odwiedziny matka, więc miała pod ręką babysitterkę. zaproponowała, żebyśmy poszły na drinka na rue Montorgueil, gdzie kiedyś mieszkała. Otrzymałam też inne zaproszenia: w niedzielę umówiłam się na lunch z Joanne, czytelniczką, która miesiąc temu znalazła zdjęcia Jamesa na portalu randkowym. Prośba przyniosła skutek.

Rue Montorgueil stała się ostatnio modna, korzystając z bliskości popularnych butików na Etienne Marcel. Wzdłuż ulicy, zamkniętej dla ruchu kołowego, ciągnęły się sklepiki z dojrzałym serem, cieszące oko stragany świeżych owoców i warzyw, pachnące stosiki usypanych ziaren kawy, a wszystko wystawione wprost na kocie łby, żeby zachować atmosferę dawnego placu targowego. Roilo się tu też od rozmaitych knajpek i po drodze z metra ze zdziwieniem zauważyłam nowy, błyszczący Starbucks na rogu rue Reaumur.

Spotkałyśmy się w ulubionym barze Caroline, zwanym La Grappe d'Orgueil, w którym nigdy przedtem nie byłam, a który zawdzięczał swój urok temu, że wciąż uparcie tkwił jedną nogą w poprzednim wieku. Wszystko było tu zaokrąglone, w stylu *art nouveau*: od luster po cynkową ladę, a nawet drzwi prowadzące do toalet. Zakochane pary i małe grupki przyjaciół popijały aperitify w drewnianych boksach wybitych ciemno-zieloną skórą, podczas gdy starsze pokolenie zajmowało stołki przy barze. Powietrze było gęste od dymu papierosowego. Kiedy weszłam, Caroline już sęczyła drinka. Udało jej się znaleźć malutki wolny boks pod szklaną gablotką z kolekcją antycznych kryształowych kieliszków.

Zabawiłyśmy tam o wiele dłużej, niż początkowo miałyśmy zamiar, popijając drinki i pogryzając orzeszki. W końcu przeniosłyśmy się do Il Tre, bardziej nowoczesnego lokalu, ze ścianami w czerwono-czarnych barwach i rurkowatymi reflektorami zwisającymi z sufitu.

- Nie ma to jak nadskakujący włoski kelner na poprawę nastroju - powiedziała Caroline z uśmiechem, kiedy czekałyśmy przy barze na wolny stolik. - Dlatego lubię to miejsce. Ci faceci potrafią działać cuda dla podbudowania twojego ego, wszystko jedno czy jesteś z partnerem, czy sama.

- Pamiętasz, jak poszłyśmy razem z Jamesem i Louise do tej hinduskiej restauracji? - spytałam, szybko zdejmując serwetkę ze stołu, kiedy kelner, dość przystojny Włoch, pojawił się z dwoma parującymi talerzami spaghetti z owocami morza. - Wiesz, zawsze zastanawiałam się, co wtedy naprawdę pomyślałyście o Jamesie...

- Uznałam, że jest miły - powiedziała Caroline wolno. - Twardo stąpa po ziemi i jest w ciebie bardzo zapatrzony. Młodo wyglądający. Jednak Louise była mniej przekonana... Po części dlatego, że wyobrażała go sobie zupełnie inaczej, wiesz, myślała, że jest dziko

przystojny i zbudowany jak młody bóg, tymczasem on był w porządku, ale nic nadzwyczajnego. Ale przede wszystkim uważała, że nie będziesz szczęśliwa, kiedy zagrzebiesz się w tak prowincjonalnym mieście jak Rennes.

Przeżulałam w myślach jej słowa.

- Muszę przyznać, że teraz, kiedy wszystko między nami się skończyło, trudno mi wyobrazić sobie siebie w Rennes - wyznałam. - Paryż znów odzyskał dla mnie urok. To taki banał, ale nie ma nic piękniejszego niż wiosna w Paryżu, prawda? I wiem, że nie powinnam tak myśleć, a już tym bardziej mówić głośno, ale teraz, jako singielką, znacznie lepiej czuję się w roli pracującej matki. Mając całe weekendy dla siebie, mogę z powrotem naładować baterie, poleżeć sobie dłużej w łóżku... To taki luksus...

- Przestań, budzisz we mnie zazdrość! - zaprotestowała Caroline. Podniosła butelkę i jeśli oczy mnie nie myliły, naląła mi dwa razy więcej wina niż sobie. - Muszę rano wstać do dwóch małych dziewczynek, które nie okażą mi żadnej litości, kac czy nie kac. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz się wyspałam. - Stuknęłyśmy się kieliszkami w milczącym toaście, nie bardzo wiedząc za co. - Nigdy nie rozstawałam się z moimi córkami - wyznała. - Choćby na weekend. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakby to było.

Wzięłam sztucce i spróbowałam nawinać śliskie spaghetti na widelec. Zamówiłam je z czystej tęsknoty za dawnymi czasami. To było ulubione danie Pana Żabojada, kiedy lata temu pojechaliśmy na Sycylię na nasze pierwsze wakacje. Zdażyłam już zapomnieć, jak trudno spożywać je w elegancki sposób.

- Na początku też nie wyobrażałam sobie rozłąki - powiedziałam refleksyjnie. - Kijanka po raz pierwszy pojechała do swoich dziadków, kiedy miała zaledwie roczek i tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. *Tata* wyjechała, a ja nie miałam już ani dnia urlopu. Najpierw byłam pełna obaw i chyba trochę u

głową, że każda matka, która twierdzi, że nie skorzystałaby z okazji, żeby choć przez chwilę zostać sama, po prostu się okłamuje.

Kiedy piłyśmy kawę po posiłku, w kieszeni mojego płaszcza zawieszzonego na oparciu krzesła energicznie zawibrowała komórka. SMS od Elisabeth-Coquette. Była na hucznej parapełowce. Może mam ochotę wpaść? Przejrzałam miniaturowy *Plan de Paris*, który zawsze nosiłam w torebce.

- To tylko dziesięć minut drogi stąd - powiedziałam do Caroline z uśmiechem, który powoli rozjaśniał mi twarz. - Co ty na to? Idziemy?

Zjawiłyśmy się na imprezie tuż przed północą, zawiane i nieco zawstydyzone, że przychodzimy z pustymi rękami. Założyłyśmy - trochę beztrąsko - że na pobliskim rogu znajdziemy jakiś sklep sprzedający alkohol przez całą dobę, ale kiedy zostawiłyśmy za sobą gwar Montorgueil i skierowałyśmy się na północ, wylądowałyśmy na pustkowiu bloków mieszkalnych i dawnych magazynów odzieżowych. Nasz plan zawiódł z kretesem. Jeśli jednak gospodyni - przyjaciółka Elisabeth i blogerka, którą znałam tylko jako *Maîtresse* - uznała nas za niegrzeczne, to nie dała nam tego odczuć. Lauren, szczupła blondynka, otoczona aurą uroczej bezbronności, powitała nas ciepło i gościnnie.

- Chodźcie, chodźcie - powiedziała wesoło, chwając się lekko w swojej małej czarnej i kozaczkach do kolan. - Naprawdę miło mi cię poznać, *petite*, zaraz naleję wam drinka i przedstawię wszystkim...

- Och, mów mi Catherine - wtrąciłam szybko.

Nie przeszkadzało mi, kiedy mnie tak nazywano w gronie blogerów, ale wśród obcych zdecydowanie wolałam występować pod własnym imieniem.

Rozejrzałam się po apartamencie Laurel z ciekawością poszukiwaczki nowego mieszkania. W każdym pokoju był marmurowy kominek, zdobione gzymsy na suficie i lakierowana dębowa podłoga. W salonie gawędziło jeszcze ponad dwudziestu gości, ale czułam się znacznie pewniej, rozmawiając z gospodynią i jej francuskim chłopakiem w wąskim korytarzu wiodącym do kuchni. Po szklaneczce cienkiego czerwonego wina - z rodzaju tych, które ludzie przynoszą na imprezy, ale sami nigdy ich nie piją - zaczęło mi wirować przed oczami i przerzuciłam się na wodę mineralną, opierając się plecami o ścianę. Parę metrów dalej Caroline dyskutowała z Elisabeth, której blog śledziła równie pilnie jak mój.

Nawet nie zauważyłam, kiedy u mojego boku zatrzymał się jakiś facet. Noszenie długich, rozpuszczonych włosów miało swoje wady i zalety: zapewniało doskonałą ochronę przed wścibskim wzrokiem, ale również zawężało pole widzenia.

- Cześć, chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Toby.

Ku mojemu zdziwieniu, głos należał do atrakcyjnego mężczyzny, którego dotąd nie dostrzegłam wśród zebranych. Był mniej więcej w moim wieku, miał czarne jak smoła włosy, równie ciemne oczy i chłopiące rysy twarzy. Jego strój - choć pozornie niedbały - był niezwykle starannie dobrany.

- Catherine. Miło mi cię poznać.

- Skąd znasz Lauren, Catherine?

Próbowałam domyślić się, skąd pochodzi. Życie za granicą czy też wykształcenie wygładziło jego akcent, ale miałam wrażenie, że dosłyszałam spłaszczone samogłoski, które zdradzały Yorkshire.

- Jestem przyjaciółką Elisabeth, tej rudej - pokazałam. - Prawdę mówiąc, pierwszy raz widzę Maîtresse, to znaczy Lauren... - Zaczerwieniona ugryzłam się w język.

Lauren musiała to usłyszeć.

- Catherine jest najślynniejszą blogerką, jaką znam - wtrąciła. - Ma tysiące czytelników.

Teraz zaczerwieniłam się jak piwonia, jednocześnie dumna i zakłopotana. Co, jeśli Toby pomyśli sobie, że mam dziwne hobby? Albo jeśli uzna mnie za jakąś ekshibicjonistkę?

- Sława na Internecie to bardzo względna rzecz - mruknęłam. Pożałowałam, że nie wypić jeszcze jednej szklanki wina zamiast wody i szybko zmieniłam temat. - Co cię sprowadza do Paryża, Toby? I jak poznałeś Lauren?

Toby, jak się okazało, był kiedyś aktorem, co by tłumaczyło jego sposób bycia, nieco teatralny zaśpiew w głosie i umiejętność wcielania się w różne postaci, kiedy opowiadał anegdoty. W jego gestykulacji była pewna afektacja i przeszło mi przez myśl, że jest gejem, ale jeśli dobrze odczytywałam pewne sygnały, zdawał się być mną zainteresowany i to nawet kiedy mimochodem wtrąciłam, że jestem samotną matką.

Późną nocą, gdy część gości już wyszła, siedzieliśmy w dwójkę na kanapie w sąsiednim pokoju, wspominając stare szkolne czasy. Miałam rację co do łączących nas

korzeni z Yorkshire. Skończyliśmy na wspomnianiu wycieczki do Whitby, nadmorskiego miasteczka leżącego godzinę drogi samochodem od miejsca zamieszkania moich rodziców. Oboje pojechaliśmy tam ze szkołą w wieku dziewięciu lat, on z Leeds, a ja z Yorku.

- Mieliliśmy takie druciane wieszaki do ubrań, wygięte w kwadraty, i w regularnych odstępach trzeba je było położyć na piasku wzdłuż plaży i zapisać wszystko, co się znalazło w środku, w ramach zadania przyrodniczego - powiedziałam. Przypomniałam sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Toby zarechotał.

- Tak, my też mieliśmy to samo zadanie. A odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: wodorosty, wodorosty i jeszcze raz wodorosty, chyba że się miało szczęście i trafiło na puszkę po coca-coli lub zużytego kondoma.

Nie byłam pewna, czy jako dziewięciolatka umiałabym zidentyfikować kondom, ale tak czy inaczej wyszczerzyłam zęby.

Kiedy przy moim boku zmaterializowała się Caroline i poklepała mnie w ramię, odwróciłam się do niej z nagłym poczuciem winy, że bez reszty poświęciłam uwagę Toby'emu.

- Muszę już iść do domu - powiedziała przepraszająco. - Wstaję rano do dziewczynek. Weekend czy nie weekend.

Podniosłam się niechętnie i poszłam z nią do sypialni, gdzie na łóżku Lauren piętrzyły się nasze płaszcze. Zastanawiałam się, co robić. Powinnam zaproponować, że z nią wyjdę, żebyśmy mogły wziąć jedną taksówkę. Ale widząc moje niezdecydowanie, Caroline szybko zapewniła, że nie ma takiej potrzeby.

- Nie martw się o mnie. Widzę, że miło spędzasz czas. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Nie możesz teraz wyjść...

- Toby sprawia sympatyczne wrażenie - powiedziałam z wahaniem, czekając na jakiś rodzaj błogosławieństwa.

- Tak, rzeczywiście. I wydaje się być interesujący. - Odwróciła się do wyjścia. - Baw się dobrze i nie zapomnij o wszystkim mi jutro opowiedzieć.

Wkrótce potem impreza dobiegła końca; Elisabeth, Toby i ja wyszliśmy na Place de Clichy w poszukiwaniu taksówki. Elisabeth jechała na południe, z powrotem na Lewy

Brzeg, ale Toby, podobnie jak ja, na wschód.

- Może wobec tego zabierzemy się razem? - zaproponował, kiedy podjechała wolna taksówka.

- Czemu nie, tak będzie sensowniej - zgodziłam się niedbałym tonem.

Zapakowaliśmy Elisabeth do tej pierwszej taksówki, żeby nie czekała sama.

Odjeżdżając, pomachała mi przez okno z porozumiewawczym uśmiechem.

- *Où allons nous?* - warknął taksówkarz, skutecznie zagłuszany przez głośną muzykę, zapewne z rejonu Afryki, płynącą z radia.

- Place Sainte Marthe - odparł Toby.

Jego francuski akcent był równie dobry jak mój. O wiele lepszy niż Jamesa, pomyślałam złośliwie.

- *Et ensuite, à l'avenue Simon Bolivar* - dodałam znacząco. Nie chciałam, żeby miało to wyglądać tak, jakbym z góry przesądziła, czym się ta noc skończy.

Kiedy skręcaliśmy z boulevard de la Villette w kierunku Place Sainte Marthe, Toby wygrzebał z kieszeni płaszcz portfel.

- To za mnie... - pochylił się do kierowcy, wręczając mu pieniądze i udzielając bardziej precyzyjnych wskazówek, gdzie ma się zatrzymać.

Intrygowało mnie, co teraz nastąpi. Pocałunek w policzek? Wymiana telefonów? Czy tylko: „Miło było cię poznać, do zobaczenia przy okazji...”. Miałam żałośnie małe doświadczenie w tego rodzaju sprawach. James i ja poznaliśmy się w dość nietypowych okolicznościach, więc minęła już cała dekada, odkąd brałam udział w takich gierkach.

- Może wpadniemy gdzieś jeszcze na ostatniego drinka? - zaproponował nagle, kiedy taksówkarz się zatrzymał.

Pochlebiło mi to i dało pewną satysfakcję, ale od razu wiedziałam, że nie przyjmę zaproszenia. Była czwarta nad ranem. Bary, zwykle wychodzące stolikami na zewnątrz, zamknęły się za drewnianymi żaluzjami i pogasiły światła. Chwiałam się na nogach - i tak już zbyt dużo wypiałam - ale przede wszystkim nasza znajomość była za świeża.

- Najwyższy czas, żebym już wróciła do domu - odpowiedziałam. - Ale możemy się spotkać innym razem, kiedy znów będziesz w Paryżu.

Z tego, co zdołałam zrozumieć, Toby żył na walizkach, w ciągłych rozjazdach, jedną nogą w Londynie, drugą w Paryżu.

- Cóż, trudno, wobec tego zostawię ci wizytówkę...

Jeszcze raz pogrzebał w portfelu. Moja ręka zamknęła się wokół białego prostokąta, a on nachylił się i dość niezdarnie musnął mnie w policzek, a potem wyskoczył z taksówki i zniknął w najbliższym budynku. Podałam kierowcy swój adres i opadłam na obite sztuczną skórą siedzenie, nieco zawiana, ale zadowolona z siebie.

Zapewne nigdy więcej go nie zobaczę, pomyślałam, kiedy taksówka wspinała się na rue de Belleville i język na szyldach zaczął się zmieniać z mandaryńskiego na francuski. Byłam jednak gotowa podjąć to ryzyko. Jednonocna przygoda - do czego z pewnością zaprowadziłby ten „ostatni drink” - była ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam.

Ale spotkanie Toby'ego - i okazja, żeby mu odmówić - dały mi tak potrzebną dozę pewności siebie. Flirtował ze mną atrakcyjny mężczyzna. I nawet nie drgnęła mu powieka, kiedy dowiedział się, że jestem matką.

32. *Chéri(e)*

- Jest małe, ale idealne w proporcjach - wyjaśniłam Panu Żabojadowi, kiedy szliśmy dziarsko na moje poranne spotkanie, z podskakującą między nami Kijanką. - Chcę złożyć ofertę, ale najpierw wolałabym usłyszeć twoje zdanie.

Poszukiwanie nowego mieszkania zaczęło przynosić rezultaty. Czyżby był to przypadek „ekstremalnej terapii zakupowej”, jak zasugerował jeden z moich komentatorów? Minął zaledwie miesiąc, odkąd James odszedł. Jednak, choć innym mogło się wydawać, że działałam pochopnie i pod wpływem impulsu, wcale nie uważałam tego kroku za nierozważny. Czyż nie patrzyłam łakomym wzrokiem na paryskie mieszkania od wieków, marząc o własnym kącie z Panem Żabojadem, na długo przedtem, zanim James pojawił się na horyzoncie? Jeśli już, to wracałam do punktu wyjścia sprzed lat. Jediną różnicę stanowił fakt, że Pan Żabojad nie był już częścią układanki.

To bardzo upraszczało sprawę. Nie było potrzeby kompromisów ani przedłużających się sprzeczek, czy mieszkanie jest odpowiednie dla naszej rodziny. Zamartwiania się, czy to właściwy czas, żeby wziąć kredyt. Z perspektywy czasu zro-

zumiałam, że te wszystkie dyskusje to tylko zasłona dymna.

Kłótnie na temat ceny, sąsiedztwa, lokalizacji były bezpieczniejsze niż drażliwy temat, dlatego nie chcemy ręką w rękę dać nura na głębszą wodę. Teraz decyzja należała do mnie i tylko do mnie. Chciałam usłyszeć opinię Pana Żabojada jako przyjaciela, ale nie potrzebowałam jego błogosławieństwa.

- Ile mieszkań do tej pory widziałas? - spytał.

Przy przejściu dla pieszych jednocześnie wzięliśmy Kijankę za rączki.

- Pięć, łącznie z tym. Poza dziesiątkami innych, które kiedyś oglądaliśmy razem... - Czułam, że się najeżam, podejrzewając kryjącą się za tymi słowami krytykę, że się zbyt szybko spieszę. - Ale to naprawdę się wyróżnia. Nie widzę powodu, żeby zwlekać. Potem będę żałować, jeśli ktoś sprzątnie mi je sprzed nosa... - Spojrzałam na uparcie niezmieniające się światła, a potem na Kijankę, która ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w mój nos, zdumiona moim sformułowaniem.

- Aha, przy okazji - dodał Pan Żabojad szeptem, żeby Kijanka nie dosłyszała go w gwarze ulicznym. - Mówiła mi, że płaczesz, bo jesteś smutna, że James już nie przyjeżdża.

- O Boże, naprawdę? - Przeprowadziłyśmy tę rozmowę całe tygodnie temu. Czyżby zapamiętała to tak wyraźnie, jakby zdarzyło się wczoraj? Byłam zaniepokojona, że oboje mogą się o mnie niepotrzebnie martwić. - Wiesz, jakie ona ma względne poczucie czasu - powiedziałam w końcu, siląc się na niedbały ton. - „Wczoraj” znaczy dla niej wszystko, od pięciu minut temu do czterech miesięcy temu. Od dawna nie płakałam, przysięgam. Jestem zdziwiona, że w ogóle zapamiętała naszą rozmowę.

- Tak właśnie myślałem - przyznał Pan Żabojad, kiedy maszerowaliśmy przez ulicę, przerzucając Kijankę nad strumieniem wody, który niósł zmiecione z chodnika śmieci do rynsztoka i dalej, ku jakiemuś mrocznemu przeznaczeniu. Ten manewr zawsze wywoływał jej chichot. - Ale trochę się zmartwiłem. Co prawda wyglądasz znacznie lepiej, lecz zacząłem się zastanawiać, czy tylko nie robisz dobrej miny do złej gry.

- Widzę, że muszę uważać na to, co mówię! - odparłam tylko na poły żartem.

Kijanka może nie była wiarygodnym świadkiem, jednak - tak czy owak - była świadkiem. Kiedy zaczniesz płynnie mówić, będę musiała mieć na uwadze, że wszystko, co powiem lub zrobię, może zostać zaraportowane tatusiowi.

Dziewczyna z agencji nieruchomości czekała już na nas przed bramą z telefonem

komórkowym przy uchu. Wyglądała na dziesięć lat młodszą ode mnie i przypominała mi Maryline z jej lśniąco ciemnymi włosami i perfekcyjnym makijażem.

- Przyprosiłam przyjaciela, żeby mi doradził - wyjaśniłam, kiedy stanęliśmy przed nią jak jeden mąż, nadal trzymając Kijankę za rączki. Gołym okiem było widać, że Pan Żabojad i Kijanka są spokrewnieni i że nie jest on tylko przyjacielem, ale wciąż szukałam słów na zadowalające określenie naszych obecnych relacji. - To mój były narzeczony. - Wyłączyłam Kijankę; „ojciec mojej córki” brzmiałoby zbyt bezosobowo, jakby nigdy nie był kimś dla mnie bliskim.

- To rozsądne podejście - powiedziała dziewczyna, wystukując kod domofonu i prowadząc nas po drewnianych schodach na pierwsze piętro, gdzie otworzyła drzwi.

Kijanka bez wahania wbiegła do środka. To była nasza druga wizyta i już czuła się tu jak w domu.

- *Bon, je vous laisse faire un tour.* - Dziewczyna cofnęła się, żeby nas przepuścić. - Muszę zatelefonować, więc poczekam na zewnątrz. W razie czego jestem do dyspozycji...

Korytarz w kształcie litery T wiódł do dwóch prostokątnych pokoi podobnej wielkości: „mojego” na lewo i „Kijanki” na prawo. Między nimi znajdowała się wąska kuchnia i tuż obok równie wąska łazienka, z najmniejszą wanną, jaką kiedykolwiek widziałam, niewiele większą od brodzika prysznicowego, ale wystarczającą dla Kijanki. Podłogi były wycyklinowane i polakierowane, ściany świeżo pomalowane, duże okna dawały sporo światła. Mieszkanie było o połowę mniejsze od dotychczasowego - na każdy rok mojego życia wypadał dokładnie jeden metr kwadratowy - i nie miało żadnego widoku, jako że wszystkie okna wychodziły na wewnętrzne podwórko i dokładnie drugi taki sam dom naprzeciwko. Ale coś w nim było: już się tu widziałam z Kijanką. I wyobrażałam sobie, jak urządzę nasze pokoje.

- Ładny parkiet - powiedział Pan Żabojad. - Szkoda, że zlikwidowali kominki.

- Tak, nie ma porównania z naszym mieszkaniem - powiedziałam rzeczowo. - Budynki są z tego samego okresu, ale tu mieszka klasa pracująca, a nie burżuazja.

- Jednak mnie się podoba - dodał pośpiesznie. - Wiem, że jest o wiele mniejsze, ale to ofiara, którą musisz ponieść, jeśli zamierzasz kupić coś na własność.

- A ty, co myślisz, kochanie? - spytałam, odwracając się do Kijanki. - Chciałabyś tu mieszkać z mamusią?

Nie było odpowiedzi. Kijanka była pochłonięta pstrykaniem wyłącznikiem światła, zachwycona, że go znalazła na wysokości dziecka, ale zdumiona, że nie przynosi to żadnego efektu, jako że prąd był wyłączony.

Uklęklam przy niej i powtórzyłam pytanie:

- Chciałabyś tu zamieszkać z mamusią? Pomalowałybyśmy ściany na jakiś ładny kolor, a tu byłaby twoja sypialnia...

- Będziemy malować na ścianach? - spytała z niedowierzaniem, wskazując na ogromne białe połacie wokół.

Z pewnością już się widziała w plastikowym fartuszk, tworzącą paluszkami malowidła ściennie, choć nie całkiem to miałam na myśli.

- Myślę, że to przesądza sprawę! - uśmiechnął się Pan Żabojad. - *Vendu!*

- No dobrze, jeśli nie sądzisz, że zwariowałam, to złożę ofertę - powiedziałam, nagle podejmując decyzję. - Mieszkam w tym mieście od dziesięciu lat i już pora zapuścić korzenie.

I zrobiłam pierwszy krok w tym kierunku. Wieczorem, po pracy, udałam się do agencji nieruchomości i drżącą ręką podpisałam stosowne papiery, podczas gdy Kijanka kreśliła esy-floresy biurowym długopisem na służbowej wizytówce. Brałam życie we własne ręce i choć byłam przerażona, było to miłe przerażenie.

* * *

Spotkałam się z Tobym na rogu rue Rébeval, przed Café Chéri(e), jedyną kawiarnią z nawiasami w nazwie, jaką widziałam. Zawsze byłam przekonana, że powinien też być tu znak zapytania, jako że nazwa miała przyciągnąć uwagę zakochanych par, które idą ulicą i przystają zaskoczone, żeby zajrzeć do środka, po czym jedno pyta drugiego: *Tu veux un café, chéri?* Chociaż kilka razy mijałam *terrasse* w drodze na basen z Kijanką, to nigdy nie widziałam, jak wieczorami kawiarnia przeistacza się w pełen życia bar nocny, i musiałam przyznać, że beztroska zbieranina używanych stolików i krzeseł wygląda zupełnie inaczej w przyćmionym czerwonym świetle. Kijanka była pod opieką ojca, a następnego dnia wypadał jeden z wielu majowych *jours fériés*, co znaczyło, że biuro będzie zamknięte i nie muszę iść rano do pracy.

Po powściągliwej wymianie powitań i pocałunków w powietrze obok policzków, weszliśmy z Tobym do środka i zajęliśmy miejsce przy jedynym wolnym stoliku,

ocierając się kolanami w zatłoczonym pomieszczeniu. Początkowo rozmowa niezbyt nam się kleiła.

- Co nowego? - spytał Toby.

- Och, wszystko po staremu - odparłam nonszalancko, żałując, że nie mogę dodać niczego interesującego do tego, co już przekazałam w e-mailach, jakie wymienialiśmy od tamtego pierwszego spotkania. Co innego flirtować w Internecie, gdzie można cyzelować każde słowo, a co innego znów zobaczyć go na żywo. - Wiesz, pracuję, bloguję, kupuję mieszkanie... A co u ciebie? Przyjechałeś na dłużej czy to tylko przelotna wizyta?

- Tym razem chyba zostanę parę dni - odpowiedział wymijająco.

Miałam niejasne wrażenie, że Toby nie lubi być przyciskany. O tym, że przyjeżdża, dowiedziałam się zaledwie poprzedniego wieczoru. Albo miał skłonność do planowania wszystkiego w ostatniej chwili, albo lubił trzymać ludzi w niepewności.

Kiedy wreszcie zdołaliśmy przywołać kelnerkę, żeby zamówić jeden z koktajli z rumem, które były specjalnością tego miejsca, na małą scenę pod ścianą wkroczył zespół muzyczny. Jakiś facet z plerezą i w rozpiętej do pasa koszuli ukazującej owłosiony, siwawy tors, zaczął ryczeć do mikrofonu, prezentując nowe wykonanie jednej z piosenek Johnny'ego Hallidaya.

- Nie powiesz mi chyba, że tutejsi bywalcy lubią ten rodzaj muzyki? - spytałam ze zdumieniem, ogarniając wzrokiem barwny tłumek rozwalony na krzesłach. - Zupełnie nie tego się spodziewałam!

- Miejmy nadzieję, że to ma być parodia - powiedział Toby kwaśno. - Poza wszystkim, jest o wiele za głośno. Może wypijemy po jednym drinku i przeniesiemy się do baru, gdzie można słyszeć własne myśli?

Jak na zawołanie, kelnerka postawiła przed nami szklanki ze słómkami.

- Dobry pomysł. - Wzięłam długi łyk słodkiego ponczu, cukier osiadł mi na przednich zębach.

- Jakieś preferencje, *mademoiselle*?

- Żadnych. - Moja zwykła nieśmiałość zaczęła topnieć. Tego dnia niewiele jadłam i czułam już szum alkoholu we krwi. - Sam wybierz. Wszystko jedno, gdzie pójdziemy. Łatwo daję się przekonać.

Toby podniósł brew; a ja uśmiechnęłam się. Po trudnym początku rozmowa

wreszcie zaczynała się kleić.

Zapewne nie przez przypadek wybrał bar na Place Sainte Marthe, o rzut beretem od jego mieszkania. Tu ściany również były pomalowane na czerwono, ale kiedy daliśmy nura w łukowe wejście do salki za barem i usiedliśmy w rogu, byłam rozbawiona, widząc, że dwie przeciwległe ściany są udekorowane kiczowatą tapetą, upstrzoną pożółkłymi zdjęciami w pomarańczowych ramkach, zupełnie jakby w tę niepasującą scenerię przeniesiono ścianę czyjś saloniku. Długowłosego właściciela o dzikim spojrzeniu usiadł przy mnie, kiedy przyjmował zamówienie, kładąc bosą stopę w sandale na krześle. Z satysfakcją odnotowałam, że moja francuszczyzna zrobiła wrażenie na Tobym.

Popijając przez słomkę sok imbirowy, zastanawiałam się bezwiednie, czy nie ma on przypadkiem jakichś właściwości afrodyzjaku. Siedziałam po turecku na *banquette* i słuchałam anegdotek Toby'ego, który był doskonałym gawędziarzem; zauważyłam, że kiedy zaciągał się mocno papierosem, tembr jego głosu się zmieniał. Byłam urzeczona jego uśmiechem i czekoladowymi oczami; raz czy drugi musiałam nawet cofnąć rękę, powściągając impuls, żeby dotknąć jego gęstych, starannie zmierzwionych włosów. Skrępowanie ulotniło się; przekomarzaliśmy się i przerzucali żarcikami; a czas płynął niepostrzeżenie.

- Nawiasem mówiąc, nie czytałem twojego bloga - powiedział Toby bez śladu zakłopotania, kiedy w końcu ten temat wypłynął. - I nie zamierzam. Wolę cię raczej poznać bezpośrednio.

- Może to i lepiej - odparłam. - Trochę za bardzo się tam odsłaniam i to dałoby ci niezasłużoną przewagę.

Prawdę mówiąc, byłam zdumiona, a nawet urażona jego brakiem ciekawości. Wiedziałam, że gdyby on prowadził blog, rzuciłabym się na niego jak sęp, szukała nowych informacji, wypatrywała z niecierpliwością, czy zasłużyłam na jakąś wzmiankę, dociekała, co go rajcuje. Czy ten brak ciekawości oznaczał także brak zainteresowania mną? Z drugiej strony po tym wszystkim, co zdarzyło się z Jamesem, spotkania z mężczyzną, który nie wisiał na każdym słowie *petite anglaise*, były czymś odświeżającym.

Dopiero kiedy właściciel przyszedł nas wyprosić, zdałam sobie sprawę, że jesteśmy w barze sami i to pewno od dłuższego czasu. Kiedy wychodziliśmy, ze zdumieniem zobaczyłam plastikowe meble z *terrasse* starannie ustawione wewnątrz pod ścianą przy

drzwiach. Nie wiem, jak Toby, ale ja nie słyszałam żadnego szurnięcia krzesła po kafelkach podłogi.

- *Un café, chérie?* - spytał Toby, obejmując mnie ramieniem, kiedy wyszliśmy na opuszczony skwer.

- U mnie czy u ciebie? - odparłam z uśmiechem, wiedząc doskonale, jaka będzie odpowiedź.

* * *

Nazajutrz rano, kiedy wracałam do domu, Toby odprowadził mnie do połowy drogi; zatrzymaliśmy się przed kawiarnią, w której spotkaliśmy się dwanaście godzin wcześniej.

- Miło było - powiedziałam niezobowiązująco, jakby był to dla mnie chleb powszedni.

„Miło” to odpowiednie określenie. Podeszliśmy do tego dość swobodnie. Toby nie wykazywał żarliwości Jamesa ani jego niemal religijnej czci. Jednak mimo tego lekkiego tonu, pod rękawami płaszcza wbijałam sobie paznokcie w dłonie. Co będzie dalej?

Wyraźnie mu ulżyło, kiedy pijąc kawę w jego malutkim mieszkanku, wyznałam, że na razie dochodzę do siebie po rozstaniu z narzeczonym. Jak podejrzewałam, on także nie szukał stałego związku. Był beztroskim motylem, fruującym z miasta do miasta i nieskorym, żeby osiąść na jednym kwiatku. Kiedy oboje wiedzieliśmy już, na czym stoimy, milcząco zgodziliśmy się na przygodę bez komplikacji. Wytykałam mu bałagan i sterty leżących w nieładzie książek, niemniej bez oporów udałam się w kierunku materaca na podłodze, który służył mu za łóżko.

Jeśli naprawdę potrafimy utrzymać naszą znajomość na lekkim, niezobowiązującym poziomie, to może właśnie tego mi trzeba, pomyślałam. Ale było to moje pierwsze doświadczenie tego typu i nie wiedziałam, jak się zachować następnego dnia.

- Będę z tobą w kontakcie - powiedział Toby, wyciskając mi szybki pożegnalny pocałunek na ustach.

Idąc w górę rue Rébeval, ślepa na niezgrabne, wysokie bloki po obu stronach, wciąż rozgrzana wspomnieniem jego uwagi, postanowiłam, że choćby to miały być przelotne i krótkotrwałe doznania, będę się cieszyć chwilą i na nic nie naciskać.

Podobał mi się i miałam wrażenie, że mogłabym poczuć do niego coś więcej. Ale wiedziałam, że to o wiele za wcześnie, by zapraszać kogoś do niewidzialnego kręgu, który

wokół siebie zakreśliłam. Za wcześnie, by znów ryzykować usuwanie się gruntu spod nóg. Bo chociaż na pozór doszłam do równowagi, w środku nadal byłam miękka jak wosk. I wcale nie chciałam testować granic nowo znalezionej siły.

* * *

- Nie chcę, żeby ktoś znów cię zranił. I to tak szybko po Jamesie - powiedziała Amy ostro, rozpakowując swojego sandwicza i podnosząc go do ust.

Kupiłyśmy lunch w piekarni przy biurze i postanowiłyśmy zrobić sobie piknik w ogrodach Palais Royal, gdzie, z braku wolnych metalowych krzeseł, przysiadłyśmy na kamiennym obramowaniu fontanny.

- Ten układ jest dla niego trochę zbyt wygodny. Ma cię na każde skinienie i telefon, kiedy tylko zechce mu się zawitać do Paryża.

Prawdę powiedziawszy, to mój mały romansik był dziwnie podobny do jej pokrętnego, długotrwałego romansu na odległość z Tomem, ale zatrzymałam tę myśl dla siebie i skupiłam całą energię na tupaniu nogą w piasek, żeby odgonić stado zbyt natarczywych gołębi. Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, żując nasze sandwicze. Bezlitosne południowe słońce piekło mnie w oczy i żałowałam, że nie byłam dość przewidująca, żeby wziąć przeciwsłoneczne okulary.

- Wiem, że to tylko odskocznia - wyznałam między kęsami. - I wiem, że Toby nie jest poważnym kandydatem na żaden długoterminowy związek. Ani nawet średnioterminowy. Ale może dlatego jest dla mnie atrakcyjny właśnie w tym momencie. Nieodpowiedni partner też się czasem przydaje. Tymczasowy związek też się przydaje... I chociaż może wyglądać to tak, jakby on pociągał za sznurki, nie jestem taka znów bezwolna, zatem to on musi się dostosować do moich planów.

Spotkałam się z Tobym jeszcze dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni od naszej randki w Chéri(e) i za każdym razem dbałam o to, żeby w tym czasie Kijanka była ze swoim ojcem. Od czasu do czasu mówiła o Jamesie i wyrzucałam sobie, że za wcześnie wprowadziłam go do domu. Nie miałam zamiaru po raz drugi popełnić tego samego błędu; przed oczami mojej córki nie będzie przepływał strumień krótkotrwałych „przyjaciół mamusi”. Jedynym rozwiązaniem było wieść dwa życia i nie dopuścić do tego, żeby się przecięły. Kiedy miałam wolne wieczory, mogłam robić, co mi się podoba. Ale rano myłam głowę, pozbywając się zapachu dymu papierosowego wiszącego w barach,

zmywałam rozmazany makijaż i znów byłam matką. Podobnie jak idealną sekretarką, kiedy wkraczałam do biura, albo *petite anglaise* na spotkaniach blogerów. Wspecjalizowałam się w graniu wielu ról.

- Napiszesz o tym na blogu?

Amy wstała i strzepnęła okruszki ze spódnicy, tym samym znów odstrasząc okrążające nas gołębie. Pociągnęła z butelki długi łyk evian.

- Bo ja wiem... - odpowiedziałam wymijająco. W gruncie rzeczy spędziłam cały ranek na pisaniu postu, którego jeszcze nie opublikowałam. - Toby mówi, że i tak go nie czyta, więc co za różnica. I przydałoby się ożywić trochę moje teksty. Odkąd James dał dyla, ciągle staram się budzić zainteresowanie czytelników. Od początku zawsze był jakiś mężczyzna w tle, a teraz jestem tylko ja i moja córka. Trochę mi brakuje tematów...

- Może postaw siebie na pierwszym miejscu, a nie twój blog - poradziła Amy, kiedy zbierałyśmy swoje rzeczy. - Wiem, że blog jest dla ciebie ważny, ale nie powinnaś żyć dla zadowolenia czytelników.

Kiedy wracałyśmy w milczeniu do biura, przygotowując się na lodowaty powiew klimatyzacji, zastanawiałam się, do jakiego stopnia moje wybory są naprawdę powodowane potrzebą znalezienia materiału dla *petite anglaise*. Czy żyłam własnym życiem, czy też to ona nim dyrygowała, popychając mnie w kierunku, gdzie można znaleźć dobrą historyjkę? Czy żyłabym inaczej, gdybym nie opisywała tego na blogu?

Usiadłam w swoim ergonomicznym fotelu, rozejrzałam się, czy pole jest wolne, otworzyłam w drafcie mój post i przeczytałam go jeszcze raz przed naciśnięciem klawisza „publikuj”.

Starannie wierałam strój bielizę, ponieważ zdołałam się przed nią

mojej wali co ś mnie z k łulo wercuPocz łam się tak, jakbym oddaw ła się kaw łek po kaw łąkupierswumuktoymnie zchce.

Nazajutrz starannie przejrzałam komentarze, jeden po drugim. Osiemdziesiąt dwie osoby poczuły potrzebę, żeby zabrać głos i powiedzieć, co sądzą.

„No, nie wiem, *petite* - wyraził wątpliwość Lost in France. - To mi wygląda jak recepta na nieszczęście”.

Wiele osób podzielało jego obawy i ostrzegało mnie, żebym zachowała ostrożność i nie dała się znów tak szybko zranić po stracie Jamesa.

„*Petite*, sama zdecydujesz, co dla ciebie najlepsze - podsumowała Ingrid - ale najważniejsze, żebyś wymagała dla siebie podziwu i szacunku. Proszę”.

Słowa, które najlepiej oddawały moje własne odczucia, nadeszły od niejakiej Trinigirl.

„No, tak - napisała - wszystkie w pewnym momencie życia tańczyłyśmy do tej melodii. Doświadczenie mi mówi, że większość kobiet to beznadziejne romantyczki; wierzymy, że z czasem on zda sobie sprawę z tego, jakie jesteśmy fantastyczne, i się w nas zakocha...”.

Czyżby trafiła w sedno? Pisząc ten post z myślą, że a nuż Toby go przeczyta, sięgałam do starych sztuczek. Czyż nie wysyłałam mu otwartego listu z nadzieją na jakąś odpowiedź?

33.

Roquette

- Mam nowinę! - krzyknęłam w słuchawkę. - Właśnie zadzwoniła agentka i moja oferta na mieszkanie została przyjęta!

Pan Żabojad znów stał się osobą, do której dzwoniłam z każdą rzeczą, jaką musiałam się podzielić, a ponieważ była z nim Kijanka, mogłam sobie pozwolić na telefon przed południem w sobotę.

- Ooo! To fantastyczna wiadomość. Gratuluję!

Dobór słów był bez zarzutu, ale coś w tonie jego głosu wskazywało, że ten entuzjizm był nieco wymuszony. Podejrzywałam, że trochę go uwiera, iż w końcu sama zdecydowałam się na ten krok po tylu mieszkaniach, które oglądaliśmy razem. Ja też się czułam nieswojo, zupełnie tak, jakbym zatrzaśniwała mu drzwi przed nosem, zamykając możliwość pojednania.

- Jedliście już lunch? - spytałam, patrząc na zegarek. - Bo jeśli nie, to może poszlibyśmy do tej chińskiej knajpki z wielkim akwariem. Mógłbyś zobaczyć, jak twoja córka doskonale posługuje się pałeczkami. Ja stawiam.

- Świetnie. - W jego głosie wyczułam pewne wahanie. - Tylko że... Daj nam trochę czasu.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że przez cały dzień ogląda telewizję w piżamie?
- spytałam z udaną dezaprobatą.

Ostatnio o wiele luźniej podchodziłam do obowiązków rodzicielskich i teraz, kiedy dzieliliśmy je sprawiedliwiej, patrzyłam na wszystko bardziej realistycznie.

Najważniejsze, że Kijanka spędzała część czasu z ojcem.

- Zamontowałeś u mnie ukrytą kamerę? - spytał z żartobliwą podejrzliwością.

Prychnęłam śmiechem.

- Zadzwon, kiedy będziecie gotowi, okay?

Dwie godziny później rozłożyłam się na krześle, patrząc na moje odbicie w lustrze na suficie, zadowolona z siebie i odprężona. Nie wiem, czy to piwo w południe, czy też perspektywa zostania właścicielką mieszkania zaszumiały mi w uszach. Zapewne jedno i

drugie.

- Nie mogę uwierzyć, że wyczyściła pełen talerz kurczaka z ryżem - powiedział Pan Żabojad, potrząsając ze zdumieniem głową. Nasz beznamiętny kelner podszedł sprzątnąć naczynia, które złożyłam w porządną stosik, i zamówiliśmy pucharek lodów waniliowych dla Kijanki i dwa espresso dla siebie.

- Zdajesz sobie sprawę, że teraz spędzimy tu cały dzień? - spytałam ponuro. - Wiesz, jak dużo czasu zabiera jej zjedzenie lodów? Nie wkłada ich do ust, tylko oblizuje łyżkę.

- Nigdzie mi się nie spieszy - odparł Pan Żabojad. - Jest bardzo miło.

Kijanka przez cały lunch zachowywała się wręcz nadzwyczajnie, z ciekawością oglądała akwaria przy naszym stole i komicznie starała się manewrować pałeczkami, dopóki głód jej nie pokonał i nie przerzuciła się na deserowy widelczyk i łyżeczkę. Czekaając na deser, rysowała na papierowym obrusie ołówkiem, który znalazłam na dnie torby. Patykowata kobieta z włosami do pasa to miałam być z pewnością ja. Mężczyzna obok, z głową jak poduszczyk do szpilek, to Pan Żabojad.

- Jeśli ci to pasuje, to może spędzalibyśmy razem trochę więcej czasu podczas weekendów? - zaproponowałam. - Wtedy, kiedy żadne z nas nie będzie mieć innych planów...

- Bardzo chętnie - powiedział Pan Żabojad z oczami utkwionymi w obrazek Kijanki.

Między postaciami na rysunku pojawiła się mała figurka z kręconymi włosami i uśmiechem od ucha do ucha, gdyby jeszcze narysowała jej uszy.

* * *

Kiedy się pożegnaliśmy, wsiadłam do metra do Voltaire. Jakimś cudem zdołałam się rano umówić na popołudniową godzinę z asystentką w banku, co zwykle wymagało paru tygodni starań. Ciągle miałam rachunek w oddziale najbliższym mojemu pierwszemu miejscu zamieszkania, Caisse d'Epargne na Place Léon Blum. Byłam ich klientką przez ponad dziesięć lat, co - nawiasem mówiąc - stanowiło najdłuższy okres mojego przebywania w jednym mieście. Nawet jako dziecko, jeszcze w Anglii, z powodu pracy ojca ciągle się gdzieś przenosiłam z rodzicami.

Po wyjściu z metra miałam jeszcze pół godziny wolnego czasu. Postanowiłam spacerować się rue de la Roquette, obok mojego pierwszego *chez moi*. Pogoda była

kapryśna: raz gromadziły się groźne chmury, a za chwilę optymistycznie wyglądało słońce. Parasolka i okulary przeciwsłoneczne, tak to nazywałam, ponieważ nigdy nie wiedziałam, czego będę potrzebować. Snując się pod kapryśnym niebem znanymi uliczkami, zatrzymałam się w paru ulubionych miejscach, mój nastrój odzwierciedlał pogodę, a moje wspomnienia były słodko-gorzkie.

Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatniej dekady, przybyło i ubyło tyle sklepów i restauracji, i kiedy rozpoznawałam jedno z miejsc, zatrzymywałam się wdzięczna za jakiś stały punkt. Wyblakły szyld *traiteur* w oknie firmy cateringowej przypominał klientom, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku sklep wygrał nagrodę w ogólnokrajowym konkursie na *fromage de tête*. Nigdy tu nie wstępowałam, bo mięso z głów zwierząt rzeźnych czy salceson nie były moimi ulubionym przysmakami, niemniej ucieszyłam się, że w tym miejscu nie powstał bezduszny sushi bar ani kolejna błyskająca światelkami chińska knajpka z potrawami na wynos. Przeglądałam się w oknach wystawowych, zupełnie jakby zegar cofnął się o dziesięć lat i niemal spodziewałam się, że zobaczę tam dwudziestotrzyletnią dziewczynę.

Powietrze nadal wypełniał gęsty aromat pieczonych kurczaków. Ceny były w euro, nie we frankach, ale pomocnik rzeźnika w białym fartuchu, pilnujący miarowego obracania się tłustych ptaszysk na ruszcie, wyglądał znajomo. Zagadnął mnie, kiedy przechodziłam, jowialnym: *Bonjour mademoiselle*, i podziękowałam mu w duchu, że nie powiedział *madame*.

Małeńki sklepik pod moim pierwszym mieszkaniem już nie sprzedawał płyt, teraz jego drugie czy trzecie wcielenie było punktem oferującym telefony komórkowe z rabatem. Niemniej frontowe drzwi pod numerem sto cztery na lewo nadal nosiły ten sam odcień brązu i mogłabym przysiąc, że muślinowe zasłony w oknach pierwszego piętra to te same *voilages*, które powiesiła moja gospodyni, kiedy się tu sprowadziłam. Zwiewna materia nieco zzółkła, lecz wzór był identyczny. Zatrzymałam się na chwilę przy drzwiach, starając się przypomnieć sobie kod. Tak czy owak to było bez sensu - kod musiał się wiele razy zmienić. W końcu minęło dziesięć lat.

W moich oczach widziałam młodszą siebie, jak wymaszerowuje z tych drzwi, z przewodnikiem *Rough Guide* pod pachą, zdecydowana przejść pieszo każdy centymetr miasta. Widziałam tę dziewczynę: nieco zmęczoną, dość biednie ubraną, wracającą nad

ranem z klubów nocnych, beztroską, nieostrożną i wciąż przekonaną, że młodość zapewni jej magiczny immunitet przed wszelkim złem. Co do Pana Żabojada, to jeszcze go nawet nie znała.

Idąc ulicą jak transie, zbliżyłam się do czerwono-białej pralni - *laverie*, pokazanej w filmie *Wszyscy szukają kota*, który wzruszył mnie do łez, kiedy oglądałam go lata temu, myśląc o opuszczeniu Francji. Młody mężczyzna z kraciatą torbą pralniczą otworzył drzwi, wypuszczając powiew wilgotnego powietrza przesyconego zapachem lawendowego płynu zmiękczającego. Wewnątrz para studentów przeglądała ospale kolorowe magazyny, wprawiona w przyjemny stupor odgłosami wirujących pralek.

Zegar na ścianie pralni wytrącił mnie z zamyślenia; czar prysnął. Dochodziła trzecia, jeśli się nie pośpieszę, spóźnię się na spotkanie, co nie będzie korzystne. Zawróciłam, obiecując sobie przyjechać tu któregoś dnia, kiedy będę miała więcej czasu, żeby powrócić się trochę w przeszłości.

Niedługo, jeśli wszystko dobrze pójdzie, przeniosę się do nowego mieszkania, niewiele większego od pierwszej klatki na rue de la Roquette; ale tym razem z moją córką, pół-Francuzką. Miałam nowe obowiązki. Byłam matką, wkrótce miałam zostać właścicielką własnych czterech kątów. I byłam bardziej niż kiedykolwiek poślubiona temu miastu, które dziewczyna z rue de la Roquette wybrała na swój dom.

Gdyby mogła zajrzeć w przyszłość, ciekawa, co Paryż chowa dla niej w zanadrzu, to mam nadzieję, że pochwaliłaby moje kroki.

34.

Samodzielność

Toby znów wrócił ze swoich podróży, ale wszystko się zmieniło. Nasze rozmowy były beznadziejnie drętwe. Krążyliśmy gdzieś po nieistotnych poboczach, mając sobie niewiele do powiedzenia; potem zapadaliśmy w krepujące milczenie. Za każdym razem, kiedy próbował opisać, co czuje, jego słowa zawisały w powietrzu, pozbawione znaczenia. Mieliśmy odbyć poważną, konstruktywną rozmowę na temat przyszłości - albo choćby jej braku - ale to okazało się niemożliwe. Umieliśmy tylko przerzucać się żarcikami, a bez nich traciliśmy środki komunikacji. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie, oddaleni o lata świetlne.

To była wyłącznie moja wina. Poprzedniego wieczoru, ośmielona paroma ginami z tonikiem, wbiłam sobie do głowy, żeby sprowokować jakiś rodzaj konfrontacji. Kiedy go nie było, wymienialiśmy nieustannie SMS-y i częstość naszych kontaktów wzrastała, ale kiedy oznajmił, że natychmiast przyjeżdża, zdałam sobie sprawę, że mam już dość tych gier i gierki, mam dość domyślania się kierujących nim motywów i dość robienia dobrej miny do złej gry.

Już podczas naszego ostatniego spotkania zaczęłam podejrzewać, że coś jest nie tak. Przejście od przekomarzanek do łóżka stało niezręczne; seks jawił się jako nienaturalna transakcja przypisana przyjaźni, bez czułości cementującej związek. Ale mimo wszystko i mimo faktu, że Kijanka leżała w sąsiednim pokoju, nadal malowałam paznokcie, używałam balsamu do ciała i nie oszczędzałam kremu do depilacji. Te żmudne przygotowania wskazywały, że wciąż na coś liczyłam: na jakiś zwrot, na deklarację. Teraz siedziałam z brodą opartą na kolanach, z rozpuszczonymi włosami, które łechtały moje łydki, i czekałam, aż on się odezwie.

- Nie wiem, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to banalnie - mruknął Toby usprawiedliwiająco.

- Cóż, proszę, nie idź po linii „to nie twoja wina, to moja”, jeśli chcesz wyjść stąd żywy - zasugerowałam, patrząc na nieudolnie pomalowane paznokcie u nóg.

- Przeczytałem w końcu twój blog - oznajmił nagle. - To było zdumiewające

doświadczenie.

Skuliłam się. Napisałam o nas dwa, może trzy razy. Dałam do zrozumienia, że ciężko mi z tą milczącą zgodą na powierzchowność. Owszem, użyłam sformułowania, że „oddaję się kawałek po kawałku pierwszemu, który mnie zechce”, to prawda. Miałam tylko nadzieję, że Toby nie przeczytał komentarzy. Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że niektórzy z moich czytelników potraktowali go bez zrozumienia. „Podłość” i „egoizm” to były najłagodniejsze określenia, a ja doczekałam się wzmianki, że „mam złe podejście do mężczyzn”.

- I?

- Cóż, to bardzo dziwne doświadczenie, ale w ogóle nie rozpoznałem się w twoim opisie. Ciebie też nie rozpoznałem. Zupełnie jakbym czytał o obcych ludziach. Spędziliśmy ze sobą tylko dwie albo trzy noce i od początku stawiałem sprawę jasno i uczciwie...

Poruszył się niespokojnie na kanapie. Cała rozmowa była tak żenująca, że chciałam jak najszybciej ją skończyć i wypchnąć go za drzwi.

- Właściwie pięć czy sześć nocy - sprostowałam łagodnie. - I jasne, *petite anglaise* czasem trochę ubarwia swoje przeżycia, przyznaję. Z pewnością mówię nieco innym głosem, niż ona pisze, ale czy to nie jest bardziej przykład na to, jak dwoje ludzi może odebrać tę samą sytuację w całkiem inny sposób? Podczas gdy ja starałam się, jak zawsze, zwalczyć chęć budowania zamków na piasku, ty widziałeś tylko to, co sam chciałeś widzieć...

Kiedy wyszedł, zamknęłam za nim drzwi z głośnym westchnieniem. To nowe odrzucenie bolało, ale było lepsze niż dwuznaczność i niepewność, które już zaczynały mnie męczyć. Albo sama siebie oszukiwałam, że potrafię zachować chłód, albo popełniłam błąd, za długo ciągnąc tę znajomość. Wyjęłam kalendarzyk z torebki i przejrzałam ostatnie tygodnie: pomyliłam się, ale on też. Spotkaliśmy się dokładnie cztery razy.

Ja zawyżyłam tę liczbę, on zaniżył, a prawda leżała gdzieś pośrodku.

* * *

Nazajutrz rano usłyszałam skrzypnięcie drzwi i tupot gołych nóg po podłodze. Podciągnęłam kołdrę pod brodę i szybko zamknęłam oczy, żeby nie pozbawiać Kijanki

złudzenia, że mnie budzi.

Mała rączka pogładziła mnie po policzku i przygotowałam się na bojowy okrzyk: „Pobudka! Pobudka!”, którego natężenie nigdy nie przestawało mnie zdumiewać. Jak takie małe płuca mogą wyprodukować taki grzmiący głos? To chyba przeczy prawom fizyki?

Tymczasem, ku mojemu zaskoczeniu, poczułam drobne paluszki badające rysy mojej twarzy i musiałam się pilnować, aby nie drgnęły mi usta. Nie otwierałam oczu, żeby nie płoszyć tego momentu i nacieszyć się nim jak najdłużej. „Mamusia ma piękne brwi”, zamruczała Kijanka, wiodąc palcem po mojej prawej brwi. „I mamusia ma piękne usta”, szepnęła z opuszkami lekkimi jak piórko na moich wargach. Wygrzewałam się w ciepłej bezwarunkowej miłości jak kot w promieniach słońca. Toby był zdumiewająco nieczuły na moje wdzięki, ale tu miałam kogoś, kto uważał, że jestem cudowna - bez względu na moje rozczochrane włosy, zapuchnięte oczy i flanelową piżamę, którą dostałam od mamy pod choinkę.

Włożyła mi palec do ust i poczułam, jak dzielnie zapuszcza się w głąb, badając moje przednie zęby. Miałam ochotę ją capnąć, udając, że gryzę, z drugiej strony nie chciałam psuć tej chwili. Zanim zdążyłam się zdecydować, znów się odezwała.

- Mamusia ma piękne żółte zęby...

- Żółte? - Aż podskoczyłam, zapominając o udawaniu snu. Kijanka szybko cofnęła palec. - Wcale nie są żółte! Zęby mamusi są białe. Może nie takie białe jak twoje dzieciinne ząbki. W innym odcieniu bieli...

- Nie, mamusiu! - Kijanka zmarszczyła brwi, zupełnie nieprzekonana. - Są żółte, jak twoje włosy.

- Mogłabym dostać trochę mniej brutalnej szczerości, a więcej bezgranicznej miłości? - jęknęłam, naciągając kołdrę na głowę w udanym proteście.

Ale kiedy Kijanka wślizgnęła się obok mnie na poranne pieszczoty, prosząc, żebym podrapała ją po plecach *avec tes griffes*, jakbym była zwierzakiem z pazurami, a nie mamą, która ma tylko paznokcie, musiałam przyznać, że - żółte zęby czy nie - bywały gorsze sposoby rozpoczynania dnia.

* * *

Pan Żabojad rozwalił się na kanapie, a ja usiadłam po turecku w jego nowym skórzanym fotelu, pochylając się od czasu do czasu nad stolikiem, żeby sięgnąć po garść

chipsów - z solą i octem, bo z czasem udało mi się go przekonać do zalet niektórych angielskich przysmaków. Nie wiedziałam, co zrobić z wolnym wieczorem, więc przemaszerowałam przez ulicę na pogawędkę. Kijanka spała błogo w jego sypialni. Przez chwilę opowiadaliśmy sobie historyjki o niej; w duchu wesołego udowadniania swojej wyższości, nasza naturalna rywalizacja wychodziła na pierwszy plan.

- Powinieneś zobaczyć żółwia, jakiego narysowała dziś rano na magicznej tablicy - powiedziałam. - Był fantastyczny, zupełnie jak żywy. Zrobiła skorupę i wszystko. Chociaż teraz, jak sobie myślę, mógł mieć pięć nóg...

Pan Żabojad wstał i przeszedł do biurka. Tam przejrzał stos papierów i wyciągnął kartkę A4, podsuwając mi ją pod nos z triumfalnym uśmiechem.

- Niezłe, co?

Pokazał mi doskonały rysunek ślimaka z rogami wystającymi nad zawadiacko przekrzywionym kapeluszem - wypisz wymaluj Brian z *Magic Roundabout*.

Postanowiłam zmilczeć anegdotę o żółtych zębach, chociaż była śmieszna i z pewnością trafi na blog, a ja do dentysty na wybielanie. Zamiast tego opowiedziałam mu, jak Kijanka zareagowała na płatki spadające z drzew na ulicę, kiedy szliśmy tego ranka do opiekunki.

- Powiedziała: „Mamusiu, zupełnie jak konfetti!”. Nasza córeczka wyraża się tak poetycko, prawda?

- O tak, słyszałem, jak mówi to również po francusku - dodał szybko Pan Żabojad, nie chcąc być gorszy. - *On dirait des confettis!*

- To dziwne - powiedziałam, myśląc na głos. - Ostatnio przy mnie rzadko mówi po francusku. A zapewne przy tobie po angielsku.

Pan Żabojad potwierdził skinieniem głowy. Wraz z nieszczęsną separacją została skutecznie wzniesiona bariera językowa.

- Dużo wychodzisz? - spytałam, chcąc uciec od rzeczy, które nas dzieliły.

Ale kiedy Pań Żabojad poprawił się niespokojnie w krześle, pożałowałam, że nie trzymałam języka za zębami.

- Och, czasem tu i tam... Ale mniej niż na początku. Ostatnio trochę się ustatkowałem.

Zastanawiałam się, czy spotyka się z jakąś dziewczyną czy dziewczynami, ale nie

pozwalalam sobie o to pytać, dopóki sam się nie kwapił z żadną informacją. Było mnóstwo tematów, których nie ośmielałam się poruszać z Panem Żabojadem. Nigdy nie spytałam go, jak sobie radził z tym, że się związałam z Jamesem. Ani czy czytał wtedy mój blog, ani czy rozmawiał o nim z Kijanką. Nie miałam pojęcia, czy nadal coś do mnie czuje. Czy teraz, kiedy znów zostałam sama, żywił nadzieję, choćby głęboko ukrytą, że pokonamy dzielące nas różnice i spróbujemy jeszcze raz? A ja?

- Chyba powinnam się już zbierać - wymamrotałam, kiedy konwersacja wygasła.

Wydawało się absurdalne, żeby wynosić się do pustego mieszkania naprzeciwko, kiedy moja córka spała sobie spokojnie w sąsiednim pokoju. Co za ironia, że muszę wyjść, zostawiając dwoje ludzi, którzy są dla mnie najważniejsi na świecie.

Staliśmy w drzwiach, przedłużając tę chwilę, jakby żadne z nas nie chciało się rozstać. Spojrzał mi głęboko w oczy i pochylił głowę, niemal niedostrzegalnie, jakby rozważał pocałunek. Nie *la bise*, co już samo w sobie byłoby wielkim krokiem naprzód w stosunku do przyjacielskiego dystansu z ostatnich kilku miesięcy, ale prawdziwy pocałunek. W usta. Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana, mając mętlik w głowie. Posunie się do tego? A jeśli tak, czy oddam mu pocałunek czy się odsunę? Do czego doprowadzi nas każdy z tych kroków?

W końcu Pan Żabojad tylko uściśnął mi ramię i cicho zamknął drzwi. Stałam przez chwilę w ciemności na korytarzu przed jego mieszkaniem, serce waliło mi jak młot, i zastanawiałam się, czy nie wyobraziłam sobie tego wszystkiego. I nawet jeśli był to jeden z tych cudownych, dramatycznych momentów, które uwielbiałam uwieczniać w pamięci, rozważając bez końca ich znaczenie, od razu wiedziałam, że nie zamieszczę tej sceny na blogu.

Niektóre chwile musiały pozostać tylko dla nas: nasza przyjaźń była ważniejsza, niż odkrywanie się przed kilkoma tysiącami czytelników, z których wielu nie kryło nadziei, że się pogodzimy.

* * *

Nazajutrz rano zagłębiłam się w wnętrznościach metra, idąc do rytmu muzyki, która rozbrzmiewała mi w głowie. Chociaż byłam pogrążona w myślach i poruszałam się jak automat, moje biodra instynktownie znały wysokość kołowrotka przy barierce i dokładnie pamiętały, jak mocno należy go szturchnąć. Stopy same zawiodły mnie na właściwe

miejsce na peronie i ustawiłam się tak, żeby później mieć najbliżej do właściwego wyjścia. Przez cienkie podeszwy butów czułam znajomy wypukły pasek ostrzegawczy biegnący wzdłuż peronu.

Minął cały rok kalendarzowy, odkąd po raz pierwszy na własne oczy zobaczyłam Jamesa. Piosenka, którą odtwarzał mój iPod, to była nasza piosenka - *Gorecki Lamba*. Ta sama, której słuchałam w metrze, kiedy wyszłam z Hotelu Saint Louis, zalana ekstatycznymi łzami.

Pamiętałam kobietę, którą byłam przed *petite anglaise*: kobietę, która chodziła jak we śnie, niezadowolona z życia, pełna pretensji nie bardzo wiadomo o co. Pamiętałam, jak pisanie o mieście i o ludziach wokół mnie stało się bodźcem do trzeźwego spojrzenia na otoczenie. Zdałam sobie sprawę, że bycie matką i bycie w związku nie powinno oznaczać negacji własnych potrzeb, pogrzebania ich gdzieś na dnie. To prowadziło tylko do goryczy.

Kiedy James zakochał się w *petite anglaise* i wkroczył do mojego życia, z całym impetem rzuciłam się w wir przygody. Były momenty, kiedy wątpiałam w trzeźwość własnego umysłu. Momenty, kiedy martwiłam się, że blog żyje własnym życiem albo popycha mnie do ujawniania więcej niż powinnam dla zaspokojenia własnego - i czytelników - poczucia dramatyzmu, dla dostarczenia materiału, żeby show mógł się kręcić. *Petite anglaise* patrzyła na to z chłodnym zainteresowaniem, traktując mnie jak świnkę doświadczalną, szczura laboratoryjnego, umieszczając mnie w coraz bardziej niespodziewanych sytuacjach, żeby zobaczyć, jak się zachowam. Cały czas namiętnie pisać, dokumentując moje emocje, zdając sprawozdanie z każdego ruchu.

Może to wcale nie w Jamesie się zakochałam, pomyślałam nagle w przebłysku szczerości. Może należało przyznać, że zakochałam się we własnych słowach lub we własnym, starannie skonstruowanym, odbitym obrazie *petite anglaise*, o wiele ciekawszym niż moja prawdziwa wersja. Wszystko, co pisałam, było obliczone na to, żeby czarować i uwodzić, i czyż James nie był najbardziej widowym dowodem jej sukcesu?

Przyjrzałam się wnikliwie mojej twarzy odbitej w oknie wagonu metra, który stukał po szynach i kołysał się na zakrętach w tunelu. Wyglądałam inaczej, dojrzalej. W jednym roku przeżyłam więcej niż w ciągu całej poprzedniej dekady. Powstałam z popiołów dwóch wypalonych związków i byłam teraz samotną matką, kobietą na najlepszej drodze

do zdobycia pierwszego własnego mieszkania.

Przez większość dorosłego życia czułam się w związku jak źle dopasowana połówka, ale teraz, w pojedynkę, wreszcie byłam samodzielna, w pełni pogodzona z samą sobą. Pragnienie lotu w nieznane w końcu mnie opuściło. Mglisty cień już nie biegł obok pociągu. Gdybym dostała drugą szansę, nie skorzystałabym z niej. Nie wróciłabym do dawnej siebie. Ani nie chciałabym, żeby *petite anglaise* nigdy nie istniała. Ona przywiodła mnie tu, gdzie byłam, i to mi w zupełności odpowiadało.

Moja komórka zawibrowała, oznajmiając nadejście SMS-a od jednego z nowych zaprzyjaźnionych blogerów. Pytał mnie, czy mam ochotę spotkać się na drinka w Café Chabron podczas weekendu. Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. „Chyba na razie będę omijać to miejsce - odpisałam. - Ale mam nadzieję, że nigdy nie zniknie z mapy Paryża!”.

Pociąg zwalnia, dojeżdżając do stacji; podnoszę klamkę, żeby podwójne drzwi otworzyły się zawczasu i pozwoliły mi wysiąść dokładnie w chwili, kiedy wagon stanie. Idę wzdłuż peronu, nadal w takt ścieżki dźwiękowej z iPoda. Czasami czuję się, jakbym posiadała to miasto na własność. Cokolwiek kryje dla mnie w zanadrzu, kogokolwiek mogę spotkać za rogiem, jestem pewna jednej rzeczy: moja przyszłość to Paryż.

Przed sobą widzę puste kartki, które zapraszają, żeby pokryć je wyraźnym, odważnym pismem.